TADEUSZ

Z CYKLU: CZARNE SKRZYDŁA

JULJUSZA KADEN-BANDROWSKIEGO

Niezguła, powieść, Lwów 1911, wyczerpane
Zawody, nowele, wyd. II, Warszawa 1922
Proch, powieść, wyd. II, Warszawa 1921
Zbytki, nowele, Kraków 1914, wyczerpane
Piłsudczycy, wyd. II, Warszawa 1921
Iskry, Wiedeń 1915
Bitwa pod Konarami, Wiedeń 1915
Mogiły, wyd. II, Lublin 1916, wyczerpane
Spotkanie, nowele, Warszawa 1917, wyczerpane
Łuk, powieść, Warszawa 1919, wyczerpane
Wyprawa Wileńska, Warszawa 1919, wyczerpane
Podpułkownik Lis-Kula, wyd. II, Warszawa 1919
Wianki, Warszawa 1920
Wiosna 1920 roku, Warszawa 1921, wyczerpane
Rubikon, nowele, Warszawa 1921
Generał Barcz, powieść, Warszawa 1923, wyczerpane
Wakacje Moich Dzieci, nowele, Warszawa 1924, wyczerp.
Przymierze Serc, nowele, Warszawa 1924, wyczerpane
Miasto Mojej Matki, Lwów-Warszawa 1928, wydanie III
W cieniu Zapomnianej Olszyny (Z cyklu: „Miasto mojej matki"), Lwów-Warszawa, wyd. II
Europa Zbiera Siano, Lwów-Warszawa 1927
Nad Brzegiem Wielkiej Rzeki, Lwów-Warszawa 1928
Rzymianie Wschodu, Warszawa 1928, nakładem Sekcji Bibljofilów Pol. Uniw. Warsz.
Na Progu, Warszawa 1928, Główna Księgarnia Wojsk.
Lenora, (z cyklu: Czarne Skrzydła), powieść, Lwów-Warszawa 1928.

JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

TADEUSZ

Z CYKLU

CZARNE SKRZYDŁA

POWIEŚĆ

LWÓW 1929
WYDAWNICTWO ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH

DRUKARNIA ZAKŁADU NARODOWEGO IM. OSSOLIŃSKICH WE LWOWIE
pod zarządem A. Wierzbickiego

I

DO UBOJU

Bandrowski:
Czarne skrzydła
t. 2.

1

KOSMATA PIĘŚĆ

A cóż, że stał policjant? Dwóch ich tu było: Jeden przy drzwiach, drugi kręcił się, niby za interesami do Zarządu, po placu, tędy, sięddy i znów do Izby Zbornej powracał delikatnie.

Niech se ta będzie dwóch. I jeszcze więcej; tych trzech, którzy myszkują tu w cywilu. Niechta będą te policjanty razem z czterema siłaczami ogromnymi z drużyny ratowniczej, którzy — ciemne goljaty, — obnoszą się pomiędzy wiecem milcząco.

Na tę wszelaką siłę tak czujnie zgromadzoną miał Supernak w swej piersi jedno tylko: Wewnątrz łaskawość, nazewnątrz jeszcze większe szczucie.

Przemawiał i zagrzewał wszystkich rumianem słowem zemsty, rękami przed się wytrząchał wszystką zgrozę położenia i zdrady. Od tej gry wielorakiej tak mądrze z tylu lat prowadzonej, już nie patrzył przed siebie, lecz daleko, daleko, w samo słońce rozumu życiowego.

Wybłyskiwało cieplej, jaśniej, ile razy od ścian

Izby i z środka i z kątów i z placu, wypełnionego ludźmi podrywały się wrzaski.

Izbą zborną aż trzęsło. Krzyk twardy był, — jak mur. Niewiada, skąd go tyle w tak chudych gębach ludzkich.

Darło się, pruło, piorunami wśród ciasnych budynków rozlegało. Przez cały plac aż po wysokie zwały węgla, gdzie deszcz zalewał echo łaskotliwym szmerem.

Wiec był zwołany na Erazmie bez wiadomości delegatów, a tylko żywiołowo. Z poduszczenia Dusia, Supernaka i ich Koła Czerwonego na kopalni. W nadziei rozszerzenia nastroju rewolucji, przeciw widomym znakom zaprzedaży świętych żądań robotniczych ze strony dotychczasowych władz Związku, a tam w Związku wiadomo, kto: Ciemny Drążek na czele.

Ciemny Drążek, siła wszelkiego wstecznictwa w klasowem życiu robotniczem!

Działo się przed drugą zmianą, to znaczy o godzinie drugiej, czyli czternastej.

Inżyniery i władze schodzą z kopalni, z zarządów z biur i z wszelkich kreślarni na godzinę dwunastą.

Dzisiaj wszystko zostało — i czeka.

Przycichło wszędzie za jasnemi oknami władzy kopalnianej. Ale okienka sztygarskie do Izby Zbornej, te sztygarskie judasze, — wszystkie wyzamykane.

Niema głupich!

Za całą straż — zostawili lakierowaną na biało i niebiesko Matkę Boską, która z pustemi rękoma wznosi się przed zakurzoną lampą na ołtarzu, w kącie Izby Zbornej.

Jedyny świadek krzywdy robotniczej — z bezradnemi rękoma!

Do niej zwracał swe słowa Supernak. Nie, — żeby był wierzącym. Ale mogła przecie odpowiedzieć, wszystkiemu więc musiała świadczyć swą niemotą.

Rzecz tę obliczył sobie Supernak — na kobiety.

Stały przy mężach swych, górnikach, karowaczach, ramiarzach, ciskaczach, cieślach i tym podobnych zawodach kopalnianych, — wstrząsane prawdą wyłuszczanej krzywdy.

Więcej nie trzeba tutaj. Wszczynał się ryk przeciągły, szybami wstrząsał, przez drzwi poganiał daleko, zmieszany z czarnem skrzydłem węgla — od czego wszystkim władzom, piszącym w kancelarji pióro martwieje w palcach.

W przemowie Supernaka nie było wiele sensu. Więcej mętu, niż wyraźnego ukazania. Ale ranami swemi wytrząsając i różne nawet wahania własne, całkiem jeszcze niedawne wspominając i różne swe postępki z gorzkiej krzywdy zrodzone, umiał zagrzać takowych ludzi portjer, jak nikt.

Wszyscy drżeli rozmiękłym duchem. Kobiety i mężczyźni i przemądry Martyzel, — bo patrzyli na niego, Martyzela, jaki podaje przykład.

Jeden tylko policjant stał słupem granatowym przy drzwiach pustych i poziewając przewlekle, śmierdział wonią rządu.

Palacz Szymczyk słuchał przemowy Supernaka i drżał osobliwie.

Drżał teraz całe dnie i noce. Ze strasznego braku pracy i z braku wszelkiej dostępnej nadziei.

Drżał tak od czasu wieczora, ostatniego już chyba w życiu, gdy na kamiennych schodach Rady Kopalń i Hut dyrektor Kostryń wymówił słowo — łamistrejki — a potem konie kapuścika po nich przeleciały. Zacisnęło się wtedy w palaczu Szymczyku tak dokładnie, że wszystkie wymyślone przez Coeur'a, francuza, żelazne sztangi z wielkiemi ciężarami do wentyli, by się kotły nie ziębiły — są wobec tego niczem.

Zacisnęło się i odwróciło nagle, — raz na zawsze, mimo, że Szymczyk wcale nie wiedział, co?

Od owego zacisku brzękł, w całym sobie nasiąkły gorzką wodą, — zatrutą.

Dziś, mimo, że urząd tu sprawował, co napełniało zazwyczaj Szymczyka błogosławioną powagą, urząd zbierania na tych, którzy mrą za kratami, czyli „Mopr“, zaś dla policji jest zawsze do pokazania kartka, że to na sieroty; dziś za stołem urzędu tego, ustawionym przy drzwiach, by ludzie nie minęli bez datku, — dziś drżał tu palacz Szymczyk rąbkiem nowej nadziei:

Względem punktu, którym muszą kończyć się wszystkie takie wiece, ostatecznego punktu, jeśli zebranie szczęśliwie doniesie się do wysunięcia żądań: *Przyjąć zredukowanych.*

Gdy słowa Supernaka kierować się zaczęły w stronę świętej figury zmartwił się Szymczyk. Nie chciał tu takich zwrotów.

Zbyt wielkie rozjuszenie kobiet nastąpi.

Gdy Szymczykowa, zaraz obok stojąca (nie godziło się jej usiadać obok, do tego miejsca miał prawo tylko sekretarz komitetu, nie zaś człowiek postronny) westchnęła zbyt porywczo, nakrył jej usta dłonią.

Musiało to zebranie donieść się aż do miejsca żądań! Choć znów tu, przy tym rąbku nadziei tkwiło niebezpieczeństwo: Gdy do zredukowanych przyłączą wnioski o wszelkich bezrobotnych.

Stali pospołu, w łachmanach, wymoczeni udręką, w trykotowych pływackich koszulkach. Najbardziej oblepiali mówcę. Z ich pasiastych pstrych piersi w kolorową kratkę wylatał krzyk raz po raz.

Palacz Szymczyk nakrywał dłonią miedziaki przy arkuszu ofiarodawców i przepalone oczy swoje odwracał od owych bezrobotnych z rozpaczą, — gdzie?

W głąb Izby Zbornej, aż pod ściany szare, brudne, olejne: Tam właśnie, niemym rzędem ciemnało najstraszliwsze nieszczęście klasy robotniczej, głowa przy głowie, nieokrzesane chłopy, twardze chłopskie, ciągnące jesienią do kopalń, małorolne, bezrolne, — nieustający kij w obrocie doli robotniczej.

Więc już nic: Ani tu, ani tam! Najlepiej — nigdzie. Palacz Szymczyk zamykał oczy, by nie widzieć jak rąbek nadziei rozchwiewa się w powietrzu. Palacz Szymczyk siedział nadal przy drzwiach, spokojnie i cierpliwie. Zimną dłonią nakrywał miedziaki, drugą zaś przytrzymywał kartkę spisanych datków, w zimnym przeciągu chłodził po starej pracy zapalone płuca i drżał.

Leciały nad nim wielkie krzyki zebranych, tłum miesił się i wzdymał i ubijał, — lecz cóż to znaczy?!

Palacz Szymczyk słuchał już tylko, jak odwraca się w nim, w głębi, na całkiem inną stronę. Ocknął się z tego dopiero, gdy na stół mówcy wyskoczył młody Duś. Sygnalista.

Wszelkie drżenie ustało. A nawet kto wie, czy rudy prosty mur kotłowni, czarnemi garbami kotłów ciężko oblepiony, który widać stąd było przez cienki deszcz, czy nie zbliżył się teraz?

Krople deszczu stały się wyraziste, — można je liczyć, jedna w drugą, jak ziarna.

Wszystko jakoś okrzepło na jedno słowo Dusia, rzeczone głosem przekonania:

— Towarzysze!

Duś Jan, sygnalista nadszybia w kopalnianych portkach w takiejże wysmolonej kurcie. Twarz Dusia Jana wytarta, wysmolona tak samo, — jak ów miedziany grosz. Z oczami, które świecą po same brzegi powiek, — napełnione monetarną jasnością.

Duś wartkiem słowem zaraz doskoczył do żądań. Mają być wysunięte żądania i nawet zaraz muszą!

Na to słowo oczy Szynmczyka zlepiły się, jak do błogiego snu.

Umilkło wszystko.

Straszliwy terkot sąsiedniej płóczki suchej, czyli sortowni zatrzymał chyba nieco swe stalowe wnętrzności. Mlaszczące pasy płóczki mokrej, tuż obok ściszyły ślizkie pluski swych obrotów. I para cieńszem może przędziwem snuła się już z kotłowni? I nawet głos przy szybie powietrznym, z drugiego końca kopalnianego placu od cynobrowych ścian wielkiego podnośnika, jękliwy głos miażdżonej w silozach zamułki — chyba już może zelżał?

I nawet Buruś, który tu pętał się wszędzie wśród znajomych i podszczekiwał, — jakoby stulił teraz swój biedny, mądry pysk?

Wszystko, — wszyscy — i wszędzie.

Na głos tych żądań: Wrócić zredukowanych!

Zatrudnić bezrobotnych!

Wszystkich!

I jakie jest powiększenie stawki?!

W akordzie i na pańskiej dniówce, na wierzchu i na dole?!

I co do małoletnich!

I wszystko, jak na dłoni, co do zagrożonych zdobyczy robotniczych!

Wszystko i wszyscy ścichli, a z połyskliwej kompresorni ukazała się w czarnych drzwiach siwa głowa maszynisty, od maszyny wyciągowej.

Nawet koła linowe na szczycie przebierały wolniutko żelaznemi szprychami, jakby w tych czarnych promieniach najwyższego koła wszelkiej kopalni mdleć poczynała moc i władza obrotu.

Żądania były znane, wiadome, zawsze stawia się takie i zawsze muszą być. Więc nie dlatego takie zamieszanie.

Dlatego, że wnosili te żądania po nieudałej chyba zdradzie Związku na tak niedawnem posiedzeniu z kapitałem i pracą w Radzie Kopalń i Hut.

— To już nie organizacja, nasz żywioł, towarzysze, przemawia tu obecnie, — krzyknął Duś.

Głosem, czyli oddechem samym krzyknął, postacią swą wytartą, groszową, czy samą myślą? Wołał całem swem ciałem, każdym szczegółem rozpalonej duszy, oraz strasznem podziemnem marzeniem, które mu przyświecało w długie godziny i dnie nad czarną pustką

szybu, — aby tu, z tej kopalni Erazma wyprowadzić człowieka pracy w świat.

— Byście się, każdy jeden, czuł żołnierzem światowej armji pracy: Wasz żywioł robotniczy! Wobec ciemnych faktów powyższych, faktów zdrady nic już nikomu nie zostaje, jak walczyć poza Związkiem! Wysunąć swe żądania po za tą organizacją po stokroć zmurszałą obecnie, a jak nie — to strejk! Stanie wszystko i Erazm, Flora, Paryż, Katarzyna, Irena!!

Z krzykiem wymieniał nazwy. Ach, — owe nazwy dalekich miast, lub też nieznanych kobiet, matek, czy też miłośnic kapitału, które sławnemi czyni swą krwią nieszczęsną klasa robotnicza.

Po tych okrzykach Dusia poszły z piersi zebranych okrzyki potężne a zarazem karne. Nawet Martyzelowi, któremu obca już była wymowa młodocianych ideałów, zdało się w tej chwili, że coś, jakby poniekąd świętość zbiorowa pręży się we wszystkich zawołaniach.

Żądanie, — okrzyk — a potem znowu najposłuszniejsza cisza. Cisza, głucha, jak grób.

Byli tu przecie ludzie bardzo różni w tej Izbie Zbornej. Starzy górnicy, młodsi i ze stron rozmaitych, byli też tu wkropieni delikatnie poniektórzy dozorcy.

Bo nie zostanie dozorcą, jak nie ma zaufania, — gdzie należy...

Gdy Duś wyliczał jawnie, gromowym głosem poszczególne żądania, a ludzie krzykiem popierali, potem zaś ciszę taką kładli znowu, nawet dozorców wzruszał przebieg tej litanji.

Że człowiek nieświadomy, prosty, albo młódź, albo

już starzy, miękcy, którzy tu na Erazmie całe życie utracili, — zapominali nawet, o co główna rzecz idzie. Tylko pławili się bez miary w szczęściu nieszczęśliwem tych wypominek wszystkich. Zwłaszcza w obliczu onych miejsc, murów, maszyn i dni i wszystkich lat codziennej pracy, które służą obecnie za świadków.

Nigdzie tak łatwo nie rozumie górnik przemowy, jak tu, gdzie sam pracuje!

Byłby ich Duś poprowadził swem słowem, gdzieby chciał, zwłaszcza, gdy zapewnienie padło, że na innych kopalniach wszędzie to samo mówią i tak samo wiecują.

Aż oto głos rozlega się nagle i niespodzianie z żółtej gumowej paltociny, która zjawiła się w środku pustych drzwi tej właśnie Izby Zbornej.

— Nieprawda, towarzysze! Fałsz, wierutny fałsz — i wcale nie tak samo! Wierutny fałsz szanowni towarzysze!

Kto potrafi tak mówić?

Wierutny, — szanowni?

Kto potrafi zawołać takim warem przekonania? Tak dosadnie namaszczonym głosem? A przytem, żeby mu zaraz żyły na szyji poczerniały? Przemówić z takim honorem a równocześnie, jakby już dawno w człowieku siedział i wszystko przewidywał co najgłupsze, lecz, że to właśnie stanie się na pewno?

Tak zdoła przemówić jeden tylko człowiek w Osadzie, wiadomo, że ze Związku, oczywiście, — sam sekretarz z wystrzyganym gwoździkiem czerwonym w klapie gumowego płaszcza, Alojzy Koza.

To jest zawsze organizacja: — przeszpiegi!

Którzy to znów donieśli Kozie o zebraniu, którzy? A skutek?

Judaszowe okienka sztygarskie uchyliły drewnianych okiennic, po równym brukowisku głów przeleciały odrazu cienie, — już ludzie nie słuchają.

Koza? Wcale nie uznał za stosowne na stół wyłazić, trybunę sobie robić i przemówienie sasadnicze wyciągać.

Nic podobnego!

Szeleszcząc gumowemi połami swego płaszcza, postąpił zaledwie parę kroków naprzód, — od niechcenia. Pustka zaraz przed nim powstała. Ludzie rozsunęli się uprzejmie. Sami.

I co?

I zaraz wstąpił w oną pustkę, świadomym krokiem władzy.

Jako władza odrazu przepowiedział, — że teraz są dwie drogi.

Zawsze a zawsze dwie, — czyli że żadnej niema!

Koza zaś widzi dwie i wcale się nie straszy. Ani się temu dziwi, ani lęka. Głosem to zaś podaje obrażonym, wielką krzywdę ma z tego, że mówić o tem musi, — zwłaszcza do bezrobotnych, którzy, — jako że zawsze politycznie chwiejni, przez wszystkich pozostaną wypluci.

— W myśl ewangelji przecie, — do jasnej cholery!

Takie były sposoby Kozy. Wierutny fałsz, — a to znów ewangelja, — a to wypluci! Niby szacunek, a jakby cię zarazem ciężko po mordzie tłukli.

A samo zakończenie?

Jako to, że jest sekretarzem Związku i ze składkowych pieniędzy swe utrzymanie czerpie, sięga do chustki i wszem wobec, jedwabnym kolorowym fularkiem czoło sobie obciera i całą twarz spoconą.

Więc znów, — jak?

Praca i takie zbytki?!

Jakże to wszystko złączyć?

Koza nie czeka na nic, — na żadne łączenie. Jakby miał Związek w nosie, i tych górników — w nosie, i tę kopalnię — w nosie, a tu przemawiał tylko z pobudek miłosierdzia, przyczem głosem gromowym.

Więc jakież miłosierdzie?!

Tym właśnie głosem wyrzuca bezpośrednio takie zdanie?

— Sekretarz Związku, to znaczy ja, — sonduje narazie opinję delegatów kopalnianych! Wszystko inne, czy tam postanowienia jakieś w sprawie strejku, — warcholstwo! Sami wiecie!

Przekrzywił sportową czapeczkę (gdyż jej był nie zdjął wcale) z lewego ucha na prawe i dodał, już wychodząc:

— A znów jeżeli chcecie być zgniłą szlachtą z końca osiemnastego wieku, — to już nie moja rzecz!

Nie moja rzecz, — huczał przez gęste strugi deszczu, głośno wesoło, obraźliwie, aż do budynku łaźni, wciąż dymiącego od spodu białą parą. Tu, ukrył się za węgłem w towarzystwie dwóch jeszcze bezrobotnych.

Nie należało się im właściwie: Lecz za wstawiennictwem Związku dostali jeszcze „zaspomogi“ i tak służyli zewsząd najlepszą wiadomością.

Koza odprawił ich pokrótce słowami władzy: — Jesteście mi narazie niepotrzebni, — możecie iść.

Nasłuchiwał przez fukającą parę, choć był już pewien swego: W Izbie Zbornej szumiało nadmiernie, gadali teraz w kilku, albo też w kilkunastu.

Do niczego nie dojdą.

Tu za węgłem, samotnie, na własnej osobności ocierał twarz, bynajmniej nie chusteczką, lecz rękami. Przyczem martwił się wszechstronnie: W obliczu tej kopalni za jej losy i swoje i za cały przebieg obecnych kryzysów, które nie chciały jakoś spleść losów marnego sekretarza z upartem kierownictwem kapitału.

W tak wielkiem naprężeniu ogólnem, przy tak szczęśliwych konjunkturach, po oddaniu sprawozdania z wiecu Leadera w Głosie Osady i w tylu barwnych korespondencjach do prasy partyjnej, — ani jednego cienia jakiejś zmiany na lepsze.

Jedno pewne, stanowczo, — w zupełnej lojalności: Opinja robotnicza wrzała już przeciw posłowi Drążkowi do najwyższego stopnia.

Wszędzie!

Koza działał od rana właśnie w tym kierunku, atoli zawsze w zupełnej lojalności: Poobiegał te żywiołowe wiece na kopalniach. Co się gdzie złego działo, — stłumił. W zupełnej lojalności mógł donieść Drążkowi o usposobieniu masy robotniczej i że w powyższych warunkach kierownictwo ewentualną akcją strejku wymknie się z rąk Związku. A zatem trzeba zmienić warunki: Partja musi stąd zabrać posła Drążka. Musi!

Z tą myślą wleciał Koza i wbiegł i wszedł i wtar-

gnął, — gdyż w takich chwilach wszystkie sposoby umiał zmieścić w jednym, — do sekretarjatu Domu Ludowego.

Na trzecie piętro, mocno poturbowane przez ostatnie posiedzenie delegatów, lecz znowu poprawione. Zastał tu posła Drążka, — samego.

W doskonałym humorze? Taki głupi wieloryb partyjny, na starość nigdy nie wie, co mu i skąd grozi. Cały porasta tłuszczem. Ty się tu kręcisz w ukropie, zmiatasz mu proch z przed stóp na wszystkie strony, a taki hrabia partyjny pachnie poranną kawą, w kątach oczu ma jeszcze białe mleczko z nocy i przegląda partyjne gazety.

Dużo się dowie!

Koza runął za biurko, na fotel z wojłokowym, cichym, ciepłym krążkiem (słodycz pracy biurowej!), a Drążek nogę na nogę zakładając:

— Macie tam dużą pocztę na biurku, choć naogół wcale nic ciekawego!

Tyle ci ma do powiedzenia poseł Zagłębia i to w podobnej chwili!

Koza więc, odpowiednio przybladłszy i głos szczerem wzruszeniem namarszczywszy, mówi o sytuacji, zaczynając od słów, w tym razie prostych chyba i najodpowiedniejszych:

— Nie mogę nic przed wami, pośle, obwijać w bawełnę.

Koza zaczyna mówić wszystko, — szczegółowo.

Z trzeciego piętra widać podwórko gimnazjum żeńskiego. W której to szkole niestety, nie skanalizowanej, omal, że dziecka nie miał ze starawą posługaczką.

Deszcz leje po żałosnych drzewkach gimnazjalnego ogródka. Od czasu do czasu przebiega jakaś dziewczynina, w uczniowskim fartuchu wzdłuż śliskiego chodnika, widocznie do klozetów.

Kozie dobrze wiadomo, że klozety są na końcu podwórka, — o czem pisało się już nieraz pod rubryką *Higjena*, w własnym Głosie Osady.

Za tem podwórkiem wznoszą się dziurawe, ospowate ściany lichych domostw, poczem znów widać dach, na który ile razy Koza spozierał stąd, podczas związkowych czynności, tyle razy rozlegało się w nim jedno pełne słowo: Pałac.

Dach domu podgięty, centkowany arystokratycznie, pod którym mieszkają Kostrynie, ze swą jedyną córką.

Nad dachem owym wznosi się pięć ogromnych kominów, wiadomej wszystkim huty Katarzyny. Na widok których w chwili ciężkich rozterek moralnych rozlega się czasami w sekretarzu, następujące oderwane od wszystkiego zdanie:

— I cóż to komu szkodzi?

Z kominów owych leci teraz przez deszcz ogromna płachta dymu. Leci, rozsuwa się w powietrzu tak szybko i dokładnie, że można ją smakować aż tu, na trzeciem piętrze.

Jest słodkawo-kwaśna.

Koza wyłuszcza gorzką prawdę posłowi Drążkowi, gdy oto!... Niewiadomo, kiedy się to stało?

Szeroka twarz posła znalazła się tuż przed oczami Kozy. Patrząca w oczy sekretarza tak spokojnie, spojrzeniem cierpliwego wołu, nie zaś partyjnego człowieka.

Twarz owa cofnęła się powoli, a przed nią, tuż pod sam nos sekretarza Kozy wysunęła się pięść. Zaciśnięta ogromna, potworna. Grube włoski tej pięści niemile dotykały rozchylonych warg Kozy.

Pięść trwała zrazu spokojnie.

Po chwili jęła drżeć. Drżenie to przekształciło się w szereg drobnych, niebawem coraz prędszych zamachów.

Poczem tuż nad tą pięścią, słowa:

— Mordę rozbiję! Rozbiję mordę, Słyszysz? Śmierdząca pluskwo! Będziesz mnie partją straszył? Ja cię nauczę partji! Co ty, Koza, wyrabiasz tu po demną, jak ryjesz, podkopujesz, jak podrywasz, — to ja wiem nie od dziś. Ale zdałeś ostatni egzamin tu, w tym Domu Ludowym na tem samem piętrze, w czasie ostatniego posiedzenia delegatów. Kto mnie tu na klucz zamknął! Otóż moja nauka partyjna, — pięść!

Pięść Posła Drążka, błyszcząca ciemnemi włosami uniosła wgórę koniec nosa Kozy.

— Dość całego gadania: Mordę ci porozbijam. Gnido! Mordę ci porozbijam na dziesięć kwaśnych jabłek. Zęby w spluwaczce zostawisz. O, — tam, w kącie, przy piecu, — w spluwaczce tego Domu Ludowego, który na waszych kościach, bydlęta, wystawię, — a wystawię!! Nacom cię wziął z twej biedy? Z twojej nędzy parszywej i za biurko posadził: Żebyś służył, ty, psia krew, zdechłe ścierwo!

Jedno potężne kopnięcie posła wywaliło z pod sekretarza krzesełko.

Ciepły kwadracik filcowej podściółki zatoczył się

daleko aż pod piec i oto Koza zawisł niejako na swej własnej kamizelce, zgarniętej mocno w ręku Drążka, którego druga ręka, ogromna, groźna, w potężną pięść ściśnięta, sterczała wciąż przed nosem, połyskując włosami.

Głos posła, jakoby się przed samym sobą rozstępował, wydając z nieznanych głębin i pokładów przemożne ryki.

Sekretarjat, kalendarze na ścianach, wielki kałamarz na biurku, mapy organizacyj zawodowych, — wszystko to trzęsło się od wielkiego krzyku.

Pospołu z głosem przemieniło się też i oblicze poselskie: Czerwone, sine prawie, zbiegło się w jeden żylasty befsztyk, krwią, zda się tryskający.

— To wcale nie dla formy, — ryczał Drążek, — to wcale nie dla formy! Będę walił po mordzie, żeby morda bolała!

Trząsł Kozą, wznosił go i opuszczał, wreszcie cisnął na kanapę.

Dopiero teraz przyszedł Koza do przytomności. Zerwał się, skoczył na równe nogi, świszczący i zjeżony nagłą poniewierką.

— Ja, wrzasnął głosem zwycięskich swych zgromadzeń i urwał...

Drążek od biurka zamachnął się aż szyby zadzwoniły. Coś z szelek, czy guzików oberwało się przy portkach poselskich — i już leciał.

Towarzysz poseł z pięścią wielką, jak kamień wysoko uniesioną, — by bić w mordę!

Koza zawył przeciągle, załamał się, padł na kolana i zapłakał.

— Siadaj draniu, i ucz się — warczał Drążek.

Odrazu rozpoczęła się ta nauka na wzór posła Drążka.

— Dowiesz się głupcze wszystkiego, żebyś wiedział co się dzieje, żebyś się rozeznawał, a nie, żebyś był wart wiedzieć, co się dzieje. To jest pierwsze. Dowiesz się całej prawdy, boś tu jest u mnie w organizacji pies na posyłki i dopiero masz się nauczyć, — jak zostać człowiekiem. To jest — dwa.

Po dwóch nastąpiło trzy, cztery, pięć i sześć i siedem, każdy szczegół wyraźną pięścią posła pod nos sekretarzowi podetknięty.

— A gdybyś słowo pisnął, zostawisz tu wszystkie swoje zęby w spluwaczce.

W punktach od trzech do siedmiu wyliczone zostało narazie:

— Co do strejku harmonizować się będziem, póki co z nastrojem mas. Puścimy wielkie wiece wszędzie, gdzie się da, teraz my sami, przeciw kapitałowi. Skoro już na to przyszło. Ludzie muszą nam znowu zawierzyć a kierownictwo akcją strejkową musi pozostać u mnie. W ręku. W mojem ręku. Na końcu, tak, siak, czy też inaczej, pójdzie się na kompromis. Więc trzeba działać w słowach a nie w wyraźnych punktach. A dlaczego kompromis? Dlatego, że jak ty, tak samo każdy da se tu mordę rozbić, lecz sam nikogo nie ugryzie. Dlatego Dom Ludowy będziecie mieli normalnie, wielką piękną budowlę, — hipoteki do spłaty nie będzie znów tak dużo; i zostanie tutaj coś — a nie tylko wasz pysk! Na waszych kościach dom ten wybuduję, — co jest właśnie najlepsze!

Poseł Drążek odwrócił się od sekretarza plecami, na znak, że dłużej gęby strzępić nie warto w tej sprawie. Zatrzymał się przed oknem. Umilkł.

Sekretarz ani drgnął. Milczał.

Pod doryckiemi słupami wejścia do teatralnej sali Domu Ludowego gasili ludzie wapno. Irytowała posła Drążka szczerze owa nazwa, którą zresztą płynnie powtarzał za innymi, mianowicie: doryckie. Niby z dorytu czy jak?

Nie słyszało się przecie przy budowlach, praktycznie o kamieniu — doryt. Fabrykat powojenny — doryt — czy też jakaś miejscowość?

Przypomniało to posłowi wizytę leadera i te płaskie zabiegi sekretarza w stosunku do posła Mieniewskiego. A zarazem i lizusostwo w kierunku kapitału, na posiedzeniu w Radzie Kopalń i hut i jeszcze dawniej, wcześniej!

— Patrzę na ciebie, Koza, dawno i nie od dziś, — zaczął znów Drążek, nie odwracając się od okna.

Więc niby czemże patrzył, — tyłem? Wystarczało, gdy plecami pouczał teraz tego zgniłka.

— Dopiero muszę cię powoli wyprowadzać na człowieka. Z którego względu siedniesz sobie tu pilnie przy biurku, wypiszesz na papierze związkowym, że wobec takich to a takich incydentów uważamy rokowania za zerwane. Do Rady Kopalń i Hut to wypiszesz na ręce ich prezesa, Kostrynia. I sam mu to zaniesiesz tam naprzeciw. Tam w Radzie, na posiedzeniu z kapitałem pary z gęby nie puściłeś, ani tu z delegatami jednego słowa. Więc tam temu hyclowi, Kostryniowi,

z którym ja mogę się chamrać, ale nie ty, baranie, — od siebie, niby prywatnie, od siebie, od takiego głupiego Kozy wyrazisz swoje oburzenie klasowe. To już mi potem nie będziesz przez palce przeciekał! No, — więc pisz.

Poseł Drążek nie wcześniej odwrócił się od okna aż usłyszał stuk maszyny. Wtedy dopiero zbliżył się do Kozy z właściwą, bardzo godną łaskawością.

Koza bowiem przepisywał już rzeczony list na maszynie a zarazem płakał. Gęstemi łzami, przechylając w bok głowę, by nie padało mokrotą na papier, czy też na klawisze maszyny.

Łzom poseł Drążek niedowierzał jeszcze, sądził jednak, że jest to już pierwszy objaw skruchy.

— Musisz jeszcze, — to sobie powiedz zgóry, — wiele takich łez wylać, nim wyjdziesz na człowieka. — Przystanął wpobliżu piszącego i paznokciem przejechawszy wzdłuż równiutkiego rozdziału Kozy pośród ryżych ulizanych włosów, dodał:

Nauczyłeś się dopiero pisać na maszynie. Artykuły układać i temu podobne. Siedzisz tu sobie w cieple, czysto, — cóżeś myślał, — za darmo?!

List podpisali prawomocnie. Drążek wielkim czerwonym językiem zakleił kopertę, oddał Kozie i jeszcze raz spojrzał z pod nawisłych powiek.

Koza dobrze zrozumiał. Cichutko przy wieszaku wdział na siebie mokry, gumowy płaszcz, zapiął wszystkie guziki, drżącemi palcami obrównał pasek, stanął na środku sekretarskiego pokoju i zaczekał, póki wzrok posła jeszcze raz w tę stronę nie padnie. Wtedy zaś

napełniając oczy świeżemi łzami, wyrzekł prostym najwierniejszym głosem:

— Dziękuję, panie pośle. Bardzo wam, towarzyszu pośle, dziękuję.

Towarzyszu — a zarazem — panie!

Dość, — czy może za mało, — czy też może wystarczy?!

Koza schodził z trzeciego piętra, — jak pijany. Szczęście, że chociaż niewykończona jeszcze i wciąż pełna gruzu, miała ta klatka schodowa drewniane poręcze.

Sekretarzowi szumiało w uszach, mieniło się w oczach, mógł na pierwszym lepszym zakręcie runąć wdół.

Szczęście też, — że akurat nikogo na tych schodach obecnie nie było. Ach, tak! Gdyby w tej chwili spotkał tu kogokolwiek, kogo bądź, kogokolwiek, każdego, — własnego nieboszczyka ojca, piekarza nieszczęsnego i pijaka, — zagryzłby na śmierć.

Z bezsilnej złości, z rozpaczliwej rozpaczy! Z tak ogromnej rozpaczy!!

Przemykał się wzdłuż muru, mimowoli bielił sobie zmoczony płaszcz gumowy o ścianę i płakał! Nie głupiemi łzami mokroty, jak przed posłem, lecz — jak płakał kiedyś, kiedyś, — na czwartym pokładzie kopalni Flory, jeszcze przy rynnach ruchomych Rinneisena, gdy pełzać musiał od końca filaru górniczego do końca z opuchłemi nogami, w zimnej wodzie po kostki, dwanaście, potem dziesięć godzin na dobę!

Płakał gniotącym głęboko bólem, pod żebrami i każdą czulszą myślą: Okazało się bowiem dzisiaj, po tylu

latach tejże pracy biurowej, — którą, gdyby takowe miała, po nogach chciało się całować, — iż przy pracy biurowej, wcześniej, czy później, też zaczną bić człowieka — i też biją!

W bramie Domu Ludowego spotkał swych bezrobotnych. Obu. Którzy o żywiołowych wiecach donosili.

— Co tu stoicie?! — rzucił się na nich groźnie.

Uciekli.

Został sam.

A ciągle deszcz i deszcz.

Na lewo zapocone szyby Cieplika, naprzeciw zaś zielona bombonierka, czyli gmach Rady Kopalń i Hut. Przed gmachem schody.

Schody są rzeczą martwą. Kamienie. A jednak zdawało się człowiekowi dawniej, że te kamienie żyją — nadzieją ludzką: Gdyby się po nich przeszło na czele delegatów...

Koza kroczył teraz przez nie, — niby po własnym trupie.

W Radzie kopalń i Hut, zaraz na samym wstępie w przedpokoju, rzekłbyś zapomniał o wszystkiem, co go dziś tak boleśnie spotkało.

Trudno, — każdy człowiek ma swoje zawroty i szaleństwa. Cóż wielkiego? Jedna chwila miłej nieprzytomności wobec tego zakroju bogactwa, wobec tej potęgi wyliczeń i tej władzy potężnej, tak wygodnie rozsiadłej.

Gdy oddał wizytówkę

Alojzy Koza
Redaktor Głosu Osady,

ugięły się pod nim nogi.

Niech powie świat, niech mówią wszystkie siły i potęgi — co ważniejsze?

Na Rany Boskie, — co ważniejsze? Drążek, — własne zęby w spluwaczce sekretarjatu na trzeciem piętrze, czy ojciec panny Zuzy, prezes Rady Kopalń i Hut, dyrektor Feliks Kostryń?!

Czy za murami partji wiernie, wiernie do śmierci z pięścią Drążka pod nosem, czy jakieś inne, lepsze własne życie?...

— Pan dyrektor prosi, — służący Rady Kopalń i Hut, stary, kulawy zdrajca Ciołek Maciej uchylił drzwi.

Koza podciągnął spodnie, które z lata jeszcze, z sezonu wystawowej swej koszuli popelinowej nosił na pasku. Podciągnął, jak do skoku, czy też wielkiego, największego wyścigu, — o całe życie...

Minął na palcach pierwszy pokój, w którym stukały na maszynach biuralistki, minął drugą większą kancelarję, gdzie w kółkach papierosowego dymu urzędował pogodnie pan Skierski i oto nacisnął drzwi następne, — podwójne.

Zmylił kierunek uchylania odrzwi, na sekundę zamknął się w watowanej ciemności, poczem, jakgdyby już sam przez się ukazał się gabinet prezesowski.

Biurko, — nad niem owisła twarz Kostrynia, — dwa klubowe fotele po bokach. W środku pokoju, zapewne na stole, — lecz Koza widział ją w pustej niejako przestrzeni, — błyszcząca, ciężka popielniczka.

Niby mała gwiazdeczka.

Sekretarz Związku Koza nie przedstawił się, nie

przypomniał dyrektorowi, nie powiedział — dzieńdobry, — nie ukłonił się.

Nic.

Na dwa kroki od biurka przystanął, z tej odległości cisnął list na zieloną bibułę prezesowską.

Teraz, — teraz, — w okruszynach sekundy przechodził czas na okazanie oburzenia klasowego.

Niestety! Zamiast oburzenia, jakgdyby tuż przed źrenicami sekretarza ukazała się pięść Drążka i sterczące na niej sztywne włosy.

— O tak! — wykrzyknął Koza, głosem przez całe piersi prującym się boleśnie, — wy tu za temi murami, złoconemi, my za murami klasowej krzywdy robotniczej!

Trzasnąwszy drzwiami, wracał na palcach przez wszystkie pokoje Rady Kopalń i Hut, nie kłaniając się już po drodze nikomu.

2

JAK WE ŚNIE

Idjota, — pomyślał Kostryń, usłyszawszy patetyczne słowa sekretarza. Dyrektor przypuszczał, że okrzyk o murach złoconych będzie wstępem, po którym nastąpi właściwa przemowa. Gwoli wysłuchania jej podniósł się nawet — gdy oto Koza znikł był już w drzwiach.

Idjota, — oczywiście, — idjota.

Nie można było przypuszczać, by idjota ten działał na własną rękę. Stojąc wciąż jeszcze za biurkiem, wpatrzony w biało-niebieskie błyski na szklannej klamce zamkniętych drzwi, Kostryń powtarzał machinalnie słowo, idjota, — równocześnie jednak wykończał w duchu pewne, i to ostateczne już podsumowanie sytuacji.

Rzucony przez Kozę na czyściutką bibułę biurka list otworzył dyrektor Kostryń li tylko gwoli sprawdzenia.

Ma się rozumieć, — zerwanie!

Wiadomość tego rodzaju należało w każdym razie przepunktować, — odczekać.

Kostryń, drżącemi palcami wsunął sobie do ust trzy cukierki eukaliptusowe.

Od chłodu smołowego, czy też zapachu tych cukierków czerwone łezki trysnęły z dyrektorskich oczu. W dostojnej ciszy gabinetu usłyszał nawet, jak łzy owe padają na bibułę.

Kostryń nie przypuszczał, że równie szybko, jak on sam, zorjentuje się taki Drążek, cieśla, majster, bydlę ordynarne i poseł — w jednej osobie.

A więc równie dobrze i równocześnie orjentowali się obaj, — po obu stronach barykady.

Było w tem sporo pociechy. Kostryń nie wierzył przecie, by po tylu latach wrogiej, ale bądź co bądź współpracy, mogli sobie wzajemnie wyrządzić jakąś krzywdę.

Nie, nie, — nie miałoby to najmniejszego sensu!

Ty zrywasz, — pomyślał z uśmiechem, tak dobitnym, jakby tu Drążek stał blisko, przed biurkiem, — a ja sobie pójdę linją Coeur'a. Narazie, — obaj zawracamy.

Tak, — tak, — tak, wierzymy w strejk...

Ucieszył się. Z wielkiej, skrytej radości zadzwonił przeciągle trzy razy, — oznaczało to pana Skierskiego.

Temi samemi drzwiami, co Koza, lecz jakże płynnie, gładko, cicho, zjawił się przystojny pan Skierski.

— Panie Skierski, — wyrzekł Kostryń w pluszczącej deszczem ciszy gabinetu, — czekają nas bardzo, bardzo ciężkie czasy.

Powiedzenie to, przemijające głośno przez pokój przeraziło Kostrynia. Może, — przypuszczając, że straszy innych, nieświadomie wypowiada — istotną prawdę?

Dodał więc: — Tak, tak, panie kolego.

Na dźwięk słowa — kolego, — Skierski pochylił się naprzód, jakby łapał cenny jakiś kamyczek lecący przez powietrze.

— Dziękuję panu, — zasmucił się Kostryń dobrotliwie. — Tak, tak, teraz już musimy być ciągle wpogotowiu.

Na czem polegać mogło pogotowie pana Skierskiego?

Oczywiście, — na niczem.

Kostryń jednak potrzebował teraz od swych podwładnych, — czułości, ufności i wylęknionych spojrzeń. Wiedział, że słowa o pogotowiu powtórzy Skierski wszystkim maszynistom, manipulantom, całemu personalowi Rady Kopalń i Hut. Ci — woźnym. I tak dalej, aż do chwili powszechnego ustalenia obrażonej godności Rady Kopalń i Hut.

Gdy w kwadrans potem wychodził z Rady stwierdził przelotnie, że stare wypróbowane sposoby nie zawodzą.

Maszynistki pisały na maszynach bojowo, aż powietrze dzwoniło, urzędnicy podnosili się z nad biurek dla złożenia ukłonu, patrząc wiernie i przysięgle w oczy swego dyrektora i prezesa.

Nawet Ciołek Maciej, stary, kulawy woźny, ongiś członek drużyny ratowniczej na Erazmie, dziś niezdolny, niestety, do najprostszego szpiegostwa, — podał obecnie dyrektorowi płaszcz z namaszczeniem, co najmniej, jakby pancerz podawał, — nie zaś zwykłą jesionkę.

Lało, jak z cebra, niemniej Kostryń nie wytelefo-

nował sobie auta. Z Rady Kopalń i Hut ruszył do domu piechotą. Miał w tem wiele i bardzo różnorodnego wyrachowania.

Aby — ewentualnie widziano, — jak rzekomy wróg ludu, — idzie przez deszcz, troskami obarczony.

Aby wzbudzić uczucie solidarnego demokratyzmu wśród podwładnych urzędników. Nadewszystko jednak z przyczyn cichej, wewnętrznej radości, płynącej z poddania się wyższej woli.

Woli Coeur'a.

Z poddania się wynikało miłe, łagodne poczucie bezpieczeństwa.

Dyrektor Kostryń miał wrażenie, że idąc piechotą, odrabia zło, spełnia akt skruchy, — odwraca ciosy, które już ściągał był na siebie.

Na obiad przyszedł do domu za wcześnie. Zrobił to, w danym razie — świadomie. W okresach tak niepewnych nie powinien był „dom“ rozeznawać się w psychologji postaci głównej.

Poco?

Pozostawiać sobie należy, — niejakie furtki. Nieprzewidziane wyjścia. Dla zmylenia czujności żony, a nawet Zuzy, którą zmylić było wcale nie tak łatwo, miał dyrektor pewien sposób bycia, — specjalny. Określał to sam przed sobą słowami: Jak we śnie.

Naprzykład dziś: Przyszedł w nieoczekiwanej godzinie. Nie zdejmując mokrej jesionki, udał się w kapiącym kapeluszu do salonu, zabrał stamtąd nuty, pulpit, zawlókł to wszystko do swego gabinetu i tu, —

chociaż przecie nie zanosiło się na żaden kwartet, gdyż Coeur miał wykręconą nogę, — zaczął ćwiczyć.

Partję drugich skrzypiec z kwartetu Schumanna.

Partja drugich skrzypiec, czyli towarzyszenie nieistniejącej tu narazie melodji, — powinna była wcześniej, czy później zdenerwować Stanisławę.

Po pół godzinie rozległo się niespokojne pukanie. Kostryń nie odpowiedział. Podczas systemu — jak we śnie, — można nie odpowiadać.

Potem znów, wołano na obiad. W czasie systemu — jak we śnie, — nie słyszy się żadnych pukań, ani wołań. Dopiero głos i instancje Zuzy miały prawo wyrwać Kostrynia z osobliwego stanu, którym osiągnął już jednak, czego pragnął: Najbliżsi siedzieli za stołem, przy obiedzie, — jak struci.

Czyli, — wolne pole działania.

Zjadłszy obiad, poprosił Zuzę, wyraźnie, — tylko Zuzę, — do siebie, do gabinetu.

— Przyjdź tam z czarną kawą.

Pani Stanisława chowała właśnie owoce do kredensu. Usłyszawszy życzenie męża, zatrzymała się z srebrną tacą przed otwartemi skrytkami, jak gdyby w pół drogi. Po chwili dopiero zwróciła ku mężowi twarz, mimo ciemność ponurego popołudnia, jaśniejącą przepięknie światłem, urodą, czy też jakby poprostu wzniosłością.

Złote włosy błyszczały jej nad czołem.

Rzeczywiście, — medaljon, — zirytował się Kostryń, przywodząc na myśl efektowne określenie Coeur'a.

— A mnie nie prosisz? — spytała Stanisława.

Nie odpowiedział.

Po przykrej i brutalnej scenie w bibljotece Staszica oraz drugiej, późniejszej w łóżku, kiedy po posiedzeniu wrócił w nocy od Coeur'a, ustaliło się w Kostryniu niespodziane zgoła przekonanie, — że wszystkiemu winna jest właściwie Stanisława.

Sama zresztą przyznała mu to wtedy!

Na czem te ciężkie winy miały polegać, Kostryń nie dociekał. Wystarczał mu najzupełniej sam fakt, nowy, świeży, napełniający dyrektora pogardliwą radością w stosunku do żony.

Medaljon śmieszył teraz Kostrynia, chwilami prawie tak samo, — jak Knote. Mnożyło się w tem doznaniu poczucie równowagi i równości i jakoby sprawiedliwości, którego nigdy dotąd wobec żony nie doznawał.

— Czy ciebie nie proszę? — podchwycił po długiej pauzie pytanie Stanisławy.

— Nie, kochanie, — dodał w drzwiach, — proszę Zuzę.

— Dlaczego nie zostawiasz mokrego palta w przedpokoju, nie wiem? — zaczęła Zuza, pierwsza.

— A wiesz, że nie wiem. — Odczekiwał, wpatrzony w zalane deszczem szyby.

Przez strugę wody/odgłosy huty dochodziły o wiele słabsze, elastyczniejsze i rozciągliwsze.

— Moje dziecko, chciałem z tobą pomówić.

— No, tak.

— Nie chcę tych spraw poruszać z matką.

— Bardzo słusznie.

— Dlaczego bardzo słusznie?!

— Skoro nie chcesz, musisz mieć jakieś ważne powody.

— No tak, nie chcę matki martwić.

— Bardzo słusznie. Martw mnie.

Kostryń spojrzał na córkę, — przestraszony. Nie imały się jej żadne sposoby indagacyjne. Metoda, — jak we śnie, — nie mogła tu mieć żadnego zastosowania.

Zuza siedziała na kanapie, z nogą na nogę wysoko założoną, utleniona na rudo. Jak zawsze, — w najstosowniejszem obuwiu, szaro, ściśle a najstosowniej ubrana.

Patrzyła obojętnie na wszystko, a zarazem — nigdzie. Na meble, pulpit, skrzypce, dywan i na ojca ciepłem spojrzeniem obojętnych oczu.

Po swojemu, — niby w daleką perspektywę kolejowego toru.

Z czerwonych, ukarminowanych ust, małych, malutkich chyba, jak serduszko ptaszka, puszczała kółka dymu.

Sylwetka Zuzy sprawiła Kostryniowi w tej chwili przykrość — olbrzymią.

Doznał wrażenia, że jego własna córka przerasta go możliwościami swemi tysiąckrotnie. Do wielkiej, bezgranicznej miłości, którą czuł dla Zuzy, dołączyło się, jak już nieraz tego doświadczał, — coś upokarzającego.

Szacunek! Szacunek dla wyrobienia, dla możliwości lepszych i wyższych losów, godnych córki zapewne, — niedostępnych już jednak dla ojca?!

Siedzi tu teraz z nogą na nodze założoną, foremna,

śliczna i układna. Czyż nie powinna zostać żoną ministra Przemysłu i Handlu?! A już co najmniej jakiegoś podsekretarza stanu przy ministerstwie Spraw Zagranicznych?!

O ileż przewyższała matkę, — mocny Boże?!

Kostryń przechylił głowę żałośliwie i rozpoczął długie, ojcowskie wywody, pełne uświęconego kłamstwa.

Że starał się zawsze o wszystko.

Była to prawda.

Że wszystko urządzał i naginał do tego, by rodzinie, — a przedewszystkiem tobie, moje dziecko, na niczem nie zbywało.

Nieprawda, — niczego mocno nagiąć nie potrafił.

Poza rodziną i domowem ogniskiem, żadnego życia nie ma.

Nieprawda.

— Jeżeli chodzi o walkę o byt w tych tak trudnych stosunkach tutejszych, o niczem nie wiecie, wszystko staram się z przed drogi wam usunąć, nigdy nie obarczając was.

Zuza zmieniła pozycję na kanapie, rzucając niespodzianie:

— Dalej?

Kostryń umilkł. Zawstydził się.

Patrzyli na siebie, przez mrok pokoju mijali się gładkiemi spojrzeniami. Gdy wspomniał o domowem ognisku, musiał coprędzej spuścić oczy, źrenice bowiem Zuzy, — jakby go poparzyły.

Przeleciały szerokiemi piętnami waru od stóp do głów.

Zaczerwienił się — do własnych myśli. Może to nie on sam, może to tylko jego własne myśli, niewiadomym sposobem, tak kierowały Zuzą, że to ona, Zuza administrowała całą przyjaźnią z Coeur'em? Urządzała tennisa, pierwsza wymyśliła kwartety, w których sama nie grała nigdy.

Kostryń rumienił się tak intensywnie, że aż go oczy jęły świerzbieć od gorąca.

Dobrze, że rozległy się na korytarzu posuwiste kroki i głos — medaljonu:

— Czy macie dosyć kawy?

— Ależ dosyć, — krzyknął niecierpliwie Kostryń.

Miękkie kroki odeszły.

Przysiadł się do córki. Tuż obok, bardzo blisko.

Jakgdyby całkiem inny: Cichy, spłoszony, smutny.

— Wiesz, — zaczął, — że mam właściwie pół na pół wymówione miejsce.

Ku wielkiemu zdziwieniu swemu nie odnalazł w oczach Zuzy żadnego wrażenia. Dopiero po chwili żachnęła się, mówiąc:

— Nie trap się o to. Głupstwa.

— Jakto głupstwa?!

— Po tylu, tylu latach takiej pracy?!

— Głupstwa.

— Dziecko jesteś.

— Wcale nie dziecko. Wiem doskonale, że wyrzuca się ludzi z pracy po latach a nie przed latami.

— No, więc?

— No więc, zapewniam cię, że wedle mego prze-

świadczenia nikt nie ośmieli się wymówić ci miejsca na Erazmie. — Odsunęła się w drugi kąt kanapy.

Kostryń rozśmiał się krótko i radośnie, przekonany stanowczą intonacją córki. Poczem nagle spuścił głowę pełen wstrętnego wstydu.

Skromnie i uniżenie wyjaśnił, o co mu chodziło. Gdy w obawie, — jakby to powiedzieć, — gdy w obawie o wszystko poczyniło się pewne kroki poniekąd przeciwne, tak, tak, — przeciwne istotnym planom Coeur'a.

Czyim? — krzyknęła Zuzanna.

— Coeur'a, — rzekł Kostryń cicho.

— A cóż nas Coeur obchodzi?!

Nie odpowiedzieli sobie na to pytanie.

Po długiej chwili, wraz z deszczem bełkocącym w rynnach, z gwizdem przeciągłym, z stalowym mlaskotem ciężkich trybów huty Katarzyny, doszedł znów uszu Zuzy potulny, uniżony głos ojca.

— Nie chodzi o osoby, — martwił się Kostryń, — a o rzecz samą, o rzecz, którą trzeba koniecznie odrobić.

Chciała przerwać energicznie, iż nic w tej sprawie nie mają tu do odrabiania!

Nie pozwolił.

Chodzi o rzecz samą, gdyż skoro chcą, a wszyscy, wszyscy teraz chcą, to będą mieli już ten swój strejk. No, — oczywiście.

Mówił, zamykając oczy, jakgdyby nawet w mroku nie chciał patrzeć na to wstrętne słowo: Strejk.

— Więc będą mieli. Ale odrobić należy to, co się

zawiniło. Kostryń nie rozumiał, dlaczego Zuza patrzy na niego martwo, przedmiotowo, nie jak na żywą istotę ale na rzecz jakąś, zgoła obojętną.

— Należy odrobić moje fałszywe stanowisko poprzednie a sprowokować tych, którzy i tak będą rozbici.

— Rozumiesz przecie, że ojciec twój, czy chce, czy nie chce, musi tutaj rządzić się — także i podstępem. Tem, co ludzie wrodzy nam a bezmyślni nazywają podłością.

— Rozumiem doskonale.

Wysunął wolno naprzód rękę, uniósł z podołka córki zimną jej dłoń i ucałował.

— Otóż, — szeptał cichutko, — przebywa tu obecnie ten, jakże mu tam, no, — syn starego, Tadeusz Mieniewski. Bardzo kręci się wśród tutejszych partyjników. Czy też może tylko po ojcu miejsce wygrzewa? Znają go tu wszyscy i może nawet myślą, że ma jakieś zlecenia od starego leadera. Daruj, że o tem wspomnę, ma tu nawet stosunek, miłosny stosunek z dziewczyną kopalnianą niejaką Eleonorą, — dobre imię? — Eleonorą Duś. Ode mnie z Erazma, — już ją wydaliłem.

Zuzanna wstała. Przejęło ją nagłe, niespodziewane zimno. Tak doniosłe, iż gdyby nie zwarła silnie szczęk, zaczęłaby dzwonić zębami.

Cóż ją mogło obchodzić, z kim jakiś tam Tadeusz Mieniewski ma miłosne stosunki?! Uzmysłowiła sobie wyraźnie, tak straszliwie wyraźnie, że ojciec prosi ją o to, co już dawno chyba, i jeszcze raz ostatni w niedzielę załatwiła już z Coeur'em — sama...

Spaźnia się ojciec z głupiemi intrygami, na tle owego

Włazolinu, — żeby to tu gdzieś na jakimś kawałku podłogi wypróbować, potem urządzić pokaz, naprzykład w sali koncertowej, na pierwszem piętrze Rady Kopalń i Hut. Uprzednio zawiadomić anonimem szanownych towarzyszy i niechże patrzą, jak to syn leadera, co ich od strajku odmawiał, froteruje posadzki u kapitalistów.

Oto, co z wielkim smutkiem, skromnie, z żałosnem westchnieniem wyłuszczał Kostryń córce.

— Zasadniczego znaczenia nie ma taka rzecz, — twierdził wstydliwie, — ale rozumiesz sama, iż w takiej chwili wrzenia, taki — szczegół?!

— Dobrze, — a cóż to ma do rzeczy, że ten pan ma tu jakąś kochankę?

— Tamto znów, ta kochanka, łączy się z czem innem. Tamto — są znowu komuniści. To się jakoś tak dziwnie, dziwnie rozgałęzia, tak nieuchwytnie przenika jedno w drugie, korzenie ma dalekie.

— A cóż na to twoja informatorka — Knote? Cóż mówi Knote?

Kostryń niedbale machnął ręką.

Zuza podeszła do ojca, podniosła go za ręce z kanapy. Wszystko tak niepotrzebne, liche, małe, małoważne. Więcej ją obchodziło w tej chwili, że jednak taki sobie młody pan Mieniewski kombinuje się tu dziewczyną kopalnianą, nie szuka nikogo z towarzystwa. Tysiąc razy więcej obchodziło to teraz Zuzę, niż kiepska intryga ojcowska, po wiadomej niedzieli u Coeur'a, tak bardzo już spóźniona!

Palcem wskazującym uderzyła ojca lekko w czoło:

— Nie wstyd ci dla takiego głupstwa zamykać się na klucz, tak wielką przykrość robić matce?!

Szczypnąwszy struny skrzypiec, położonych na biurku, wyszła z przykrym, pogardliwym uśmiechem.

Trącone kwinty zabrzmiały czyściutko. Kostryń przysłuchiwał się dźwiękowi z bezmierną ciekawością.

Ach tak, — udało się! Będzie kompromitacja, jakich nie notowały chyba jeszcze kroniki Zagłębia.

A przytem, — mocny Boże! Jeżeli chodzi o wyrównanie pewnych pobocznych rachuneczków z starym leaderem Mieniewskim, — to wyrównanie przecie nienajgorsze! Sprawdzić jeszcze, czy młody blagier ma przynajmniej te jakieś Zaprawy w odpowiednim stanie.

Może i tego nie ma?

Godzina była właściwa: Koło piątej. I taki deszcz. Ponuro.

Ostatecznie, — wcale niezłe wiadomości i pomysł wcale niezły!

Kostryń zebrał się do Knote. Mokrą jesionkę, — w myśl teorji, — jak we śnie, — zostawił w gabinecie na krześle. Wziął futro. I czapkę futrzaną.

Trzeba wkońcu przebaczyć tej Knote. Nie przeciągać struny, zwłaszcza obecnie, gdy tak zależy na świeżych wiadomościach od Drążków.

Zastał Knote, jak właśnie pragnął: W szpitalnej bieli.

Dziś, gdy tyle przebaczenia miał w swem sercu biel owa, — czysty gładko sprasowany kitelek — przypominała dyrektorowi pierwsze poznanie z Knote. W okresie wojny światowej, podczas tłumienia epidemji tyfusu plamistego w łączności z Komitetem Biskupim.

Na widok dyrektora, — w futrze wyglądał szeroko, mężnie i barczyście, — Knote zawstydziła się.

Przepadał za tem.

Okazało się jednak, że narazie, zawstydziła się nie z oczekiwania, — z obawy. Wskazując na ceratową kanapę, wykrzyknęła:

— Tyle dziś miałam wenerycznych wypadków! Skąd się to bierze, panie dyrektorze, doprawdy już nie wiem. Ci ludzie chyba wkońcu nawet ten węgiel tu pozarażają?!

— Więc umyj się odrazu w sublimacie!

— Dawno zrobione — odrzekła Knote.

— No, więc chodź!

Przyszła do niego. Objął ją wilgotnemi rękawami, futra, objąwszy zaś, zadziwił się, jak chyba nigdy jeszcze od czasu poznania.

Knote, która na każde zawołanie lgnęła do swego dyrektora szczelnie, — sama mówiła kiedyś: jak ameba, — nie potrafiła dzisiaj przylgnąć. Ani wklęsnąć odpowiednio, ani płaską się stać a potem znów ciepłą, pożądliwą i przytulną.

Poprostu, — nic!

Głowa ją boli?

Nie.

Może coś zjadła?!

Nie.

Kłopoty?!

I to nie.

Więc nie zwracać uwagi?

— Ma się rozumieć. — Słowa te wypowiedziała głosem wysokim, cichym, od wszystkiego oderwanym.

Trzeba babę przejednać — ucieszył się Kostryń.

Wsunął ręce, po swojemu, za biały fartuch na piersiach.

Rzecz osobliwa: Piersi Knote zachowały całkowitą obojętność. Jakgdyby nawet ciało, nie tak znów chyba specjalnie w tem miejscu unerwione, — mogło wyrażać stany uczuciowe człowieka?!

Trzeba kobietę rozgrzać!

Kostryń jął opowiadać w tym celu, co czeka teraz miłego gościa nyży! Jaki doskonały pomysł, jeżeli chodzi o gruntowną kompromitację bezczelnego smarkacza i warchoła.

— Froterka, — rozumiesz to? Publiczna froterka! Więc pokaż mi te gary wkońcu!

Przeszli do nyży. Knote pierwsza, — uduchowionym krokiem. Nie truchcikiem wiewiórki, lecz dokładnie, sumiennie, — jak idzie się na dyżur szpitalny.

Obok rozwiązanych garów leżało na parapecie okienka mnóstwo pudełek blaszanych z tą właśnie pastą. Widocznie gotową do użytku.

Kostryń wąchał pudełka, jedno po drugiem, nader badawczo.

Knote patrzyła przez ten czas w małe, ciemne, deszczem zalane okienko nyży.

— Co ci jest? — spytał nagle dyrektor. — Czemuś taka nieswoja?

Bez odpowiedzi: Wzrok poczciwej Knoci — wlepiony obojętnie w zalane deszczem okno.

— Co ci jest? — spytał Kostryń po raz drugi, obwąchując pudełka.

— Nic mi nie jest — Feliksie.

Zaiste, była to zuchwałość niesłychana, od czasu bowiem, kiedy poznali się, nawet w chwilach największej rozkoszy nie ważyła się Knote nazywać dyrektora po imieniu.

Wyrzekła dziś słowo — Feliksie, — nie szukając żadnej aprobaty w jego oczach, głosem wysokim, cichym, równym, — poprostu zagrobowym!!

Kostryń zchrypł. Zmąciło mu się w oczach. W jednej ręce trzymał jeszcze pudełko, drugą szybko, brutalnie, wtargnął pod suknię masażystki.

Trwała nieporuszona, z straszliwem, jakże straszliwem uczuciem w swem, poniżonem ciele. Jakgdyby pająk przebrzydły łapczywie i bezwzględnie wnikał w nią.

— No, co, — no, co, — moja Knote? Powiedz nareszcie!

— Otóż to właśnie, — Feliksie, — że teraz myślę tylko o śmierci. To. Czy moja wina, czy tylko takie czasy teraz idą, — nie wiem. Czy z ciebie i z tych przejść naszych ta nauka do mnie przyszła? Mam ci nawet powiedzieć na ten temat, — Feliksie, — że na ten temat płakałyśmy razem z twoją żoną, przy masażu!... Myślę tylko o śmierci.

Kostryń głaskał, pieścił, wnikał palcami w jej ciało, Knote stała cierpliwie, posłuszna, niczem zwierzę.

Wpatrzona w mokre szyby, wstrząśnięta przerażeniem i wstrętem a jedną tylko myślą ożywiona: Że Kostryń ulęknie się owych myśli o śmierci, — skłamanych zresztą, nieprawdziwych!! Za któremi rozścielony

jest ogródek księdza Kani na Zielonem, wszystkie zioła posłuszne, cicha rozmowa w starej karczmie na hałdach, takie męskie, święte, błogie miłosierdzie, że, — jak najgłupsi chłopi:

Krzyżem leżeć przed takiem miłosierdziem i po nogach całować!

— Cóż za głupstwa o śmierci?! Skądże jeszcze to znowu? — warknął dyrektor.

I oto, czego dawno już nie robił: Przyciągnął masażystkę do siebie jeszcze bliżej, wydobył portfel, wyłuskał cicho z przegródki niebieski banknot stuzłotowy.

Knote, zamiast ucieszyć się, zapłakała gorzko. Płaczem dziwnym: Wysokim, śpiewnym, cichym, też, — jakby zagrobowym. Nie odwracając wcale twarzy od okienka.

— O co znów, o co, — o co?!

— Żebyś wiedział, Feliksie, — zdążyła wyznać wkońcu, — że obie teraz tak płaczemy. Obie. Gdyż obie jesteśmy bardzo nieszczęśliwe.

— Gdzie znowu, jakie obie?!

— Twoja żona, Feliksie, i ja, — wyznała godnie Knote.

Nie mógł z niej więcej wydusić ani słowa.

Przyobiecała zrozpaczonej Stanisławie, że pogada, że wstawi się do męża, — czyż nie wstawiła się? Płakały, — owszem płakały istotnie niedawno razem przy masażu, gdy Knote opowiedziała Stanisławie o dziwnym księdzu Kani, o takiej prostej wierze takich prostych górników, którzy z nauk i kazań takiego szlachetnego fanatyka czerpać mogą tyle nadziei, osłody, ulgi i otuchy.

— A my, kobiety wykształcone, — zapłakała wówczas pierwsza Knote, — skąd weźmiemy otuchę?!

Płakały razem, Knote z miłości tego oto miłosierdzia księdza Kani, a Stanisława może tylko z dobroci i własnego niedołęstwa.

Chwila owa przydała się teraz wyśmienicie. Kostryń struchlał.

— Cóż znowu za wspólne płacze i zwierzenia?!

Puścił Knote, gdy mu przez łzy oświadczyła, iż zwierzeń żadnych nie było.

— Masz tutaj sto złotych na kuferku, — dodał, — i z okrzykiem, — powarjowały baby! — wyszedł z pracowienki.

— Cóż to za jakieś wspólne żale gorzkie odprawiacie z Knote? — spytał wieczorem w sypialni żony. Nie cierpiał tej niebieskiej sypialni, podobnej do buduaru w sztuce Madame sans géne. Właśnie na sztuce tej, podczas trzeciego aktu doniesiono Kostryniowi swego czasu, że stary Mieniewski zarżnął wszelką możliwość kompromisu na komisji mieszanej w ministerstwie.

— Gorzkie żale? Nic nie wiem o żadnych żalach, nie mamy chyba jednak powodu do specjalnej radości.

Pani Stanisława leżała już w łóżku. Nawet w łóżku umiała leżeć inaczej, niż wszyscy. Tak jakoś — uroczyście.

Dyrektor wzruszył ramionami. By zmienić temat rozmowy spytał po chwili o niewyczerpaną nigdy, — jeżeli chodzi o kłopoty, — dobroczynną bibljotekę Staszica?

Naturalnie, — jak zawsze przed każdą solidniejszą

awanturą w Zagłębiu — wielki ruch, drobni urzędnicy pchają się jeden przez drugiego, wypożycza kto tylko w Boga wierzy.

Stanisława nie odpowiedziała, czyniąc jeden z swoich przepięknych gestów śnieżnem ramieniem.

— Doskonale, — przerwał Kostryń. Poczem uprzedził żonę, co do wizyt Mieniewskiego młodego. Rzecz zgoła niewinna, — chodzi tu o wypróbowanie pewnych, zdaje się niedołężnych pomysłów.

— Wytłumaczyłem to już Zuzie. Mieniewski próbować będzie u nas jakichś tam swoich past. Wciąga mnie w to. Rozumiesz, że nie należy odmawiać odrazu.

Tak samo, jak w rozmowie z nim samym Zuzanna, dorzucił nakoniec:

— Dalej?

I tu znów scena! Dzika, nieprzytomna scena!!

Stanisława wyskakuje z łóżka. W długiej, nocnej koszuli jedwabnej. Żeby też musieć myśleć przy swej żonie zawsze o teatrze i do tego, — najgłupszym!

Chwila ta przypomina Kostryniowi któryś akt Rigoletta. Takie to oklepane. Gdy owa Firdyginda jakaś, zgwałcona, czy tam jak, wylatuje z kulisy w długich nocnych jedwabiach i pada przed ojcem na kolana. Przed starym błaznem. Myśli się podczas tego, że mogłaby mieć te jedwabie trochę więcej przezroczyste.

Są przezroczyste! Kostryń dawno już nie widział tak swej żony. Od szybkiego przebiegu wysokiej postaci cieniutki jedwab przylgnął szczelnie do ciała, oznaczając wyraźnie kształty.

Zaprawdę piękne. Tak piękne i klasyczne, że nie stąd, ni z owąd, husarskie oblicze pana Skierskiego przemknęło dyrektorowi przez myśl.

Nie pozwolę, — błagała Kostryniowa, — na żadne wizyty. Nikogo!

Wiedziała najdokładniej od Knote, co się święci w Osadzie. Tu w Zagłębiu, a specjalnie w Osadzie Górniczej. A przedewszystkiem u nas, na Erazmie.

— Żadnych intryg, żadnej gry politycznej, czy jak sobie to tam nazywacie, żadnych Mieniewskich, młodych, czy też starych. Jedno jest do zrobienia — i ja to zrobię, — i wszystko wyjaśnię! Jako twoja żona a zarazem matka Zuzy: Porozumieć się z Coeur'em! Poczciwie i poprostu. Wyjaśnić wszystko.

Kostryń, tracąc już prawie cierpliwość spytał o powód tych nagłych, głupich scen i zdenerwowań.

Niestety, — nie pomylił się co do odpowiedzi. Powody bardzo mądre, ważne i istotne: Przeczucia.

— Ty może nie rozumiesz tego i nie wiesz, co to jest za siła: Przeczucie matki i kobiety!!

Dyrektor spojrzał mimowoli, czy żona nie klęczy na twardem i nie odciska sobie kolan. Byłoby rzeczywiście szkoda tak pięknych kolan.

Klęczała na dywanie.

— Błagam cię, — wołała, dłonie męża przyciskając sobie do piersi, — błagam cię głosem najczystszej prawdy mego życia, — głosem mego nieszczęścia!

— Niby — jakiego? — żachnął się Kostryń.

— Jakiego?! — zawołała zdziwiona bezbrzeżnie,

jakgdyby owe nieszczęście dawno, dawno, już dawno wiadome było wszystkim.

Spojrzeli sobie w oczy.

Źrenice pani Stanisławy rozszerzyły się, tchnąc wilgotną, promienną jasnością.

Czerwone spojrzenie dyrektora zaciemniło się. Przez żyłkowane białka przeleciał mętny brud.

Kostryń ścisnął żonę za ramiona, podniósł, popchnął i rzucił na pościel. Zaszumiało mu w uszach rozkoszą tak wielką, tak gwałtowną, — jak gdy bił Knote w kancelarji Huty.

Szamotali się w niebieskiem świetle stylowej sypialni aż nagle:

— Poniewierasz mnie, — jęknęła pani Stanisława.

— A poniewieram, — poniewieram, — poniewieram, — odpowiadał cichutko, — poniewieram.

Już dawno go nie było a jeszcze uparty szept mężowskiego głosu szeleścił Stanisławie w uszach.

Wszystko razem, — nie do pojęcia! Dlaczego owe straszne poniewierki zaczęły się wtedy, gdy uświadomiła sobie i nawet powiedziała, wyraźnie powiedziała mężowi, — iż sama może za wszystko, co się obecnie dzieje, ponosi część winy?! Że sama — pomóc teraz pragnie? Właśnie pomóc, — domowi, Feliksowi, córce? I wtedy właśnie zaczęło się to wszystko, — w bibljotece!

Cały następny ranek przepłakała w swem ulubionem miejscu, w salonie, za parawanem z pierścionków od cygar.

Cóż teraz pozostaje? Usuwać się, nie wchodzić już

nikomu w drogę. Poza porami jedzenia starała się nie bywać w domu.

Czyż mało było pracy w bibljotece?! Pracy i ukochanej samotności!

Tu, w bibljotece, rano, w ciszy czarnych, biednych, płóciennych tomików, ustawionych wysoko aż pod sufit powzięła jasną decyzję: Rozmowy z Coeur'em.

Przygotowała sobie nawet w tym celu kilka powieści ukochanego pisarza, — chociaż też francuza, — Pawła Bourget'a. Dla nabycia, czy choćby tylko odświeżenia sobie pewnych płynniejszych zwrotów konwersacji francuskiej.

Dajmy na to zwrot taki: Czy pan uważa za moralne, właściwe, by pracownika tak oddanego, — myślała o Feliksie, — traktować w sposób zaprawdę tak dziwny?

Czyli, słowo, — *bizarre*. Dziwny.

Bizarre — chyba za ostro?

Equivoque — niestosowne.

Z ściśniętem gardłem czytała głośno tom Bourget'a w nadziei, że napotka tam wreszcie jakąś odpowiednią rozmówkę.

Najgorsze, — że rozmowę taką trzeba jakoś uzyskać przedtem! Żeby ludzie nie przeszkadzali podczas tego.

Napisać list, — bilecik.

Miała już napisane trzy takie bileciki na brudno. Z błędami. Zuza mogłaby to z łatwością poprawić, — tyle obcuje z Coeur'em.

Nie: Pani Stanisława nie umiała już spokojnie myśleć nawet o Zuzie. Po ostatniej rozmowie z córką?

Musiało już być coś osobliwego w atmosferze zagłębia, co ciężyło na wszystkich ludziach, rzeczach, stosunkach wzajemnych i sprawach...

Pani Stanisława spotkała Zuzę, — tak, tak, gdyż mieszkając pod jednym dachem spotykały się tylko w przedpokoju. Ze strachem, wstydem, lękiem powiedziała tu córce, co dyktował macierzyński obowiązek.

— Ty wiesz Zuziu, że ja się do niczego nie mieszam. Choć chcecie potem zawsze, bym za wszystko odpowiadała. Nie mieszam się już dziś zupełnie do spraw ojca. To jednak muszę ci powiedzieć z racji owego pomysłu tych jakichś pólek doświadczalnych, froterki, czy też prób, czy bo ja wiem? Muszę cię — ostrzec. Młody pan Mieniewski, który tu był już u nas kiedyś na kolacji, — nie jest właściwie, — jak przekonaliśmy się, — człowiekiem z towarzystwa.

— Jakto, — nie jest?

— Nie jest z naszego towarzystwa. — Pani Stanisława zarumieniła się. — Ma tu stosunek ze zwykłą, prostą dziewczyną kopalnianą.

Cóż wielkiego, że matka w sposób właściwy stara się przestrzec córkę?

Pani Stanisława nie skończyła jeszcze zdania, gdy Zuza jęła krzyczeć.

— Czyście powarjowali? Wszyscy mnie ostrzegacie, mama, ojciec. Czy ma to być reklamą dla tego chłopca? Wstrętny idjotyzm!

Taki właśnie idjotyzm uczepi się człowieka! Od pierwszej chwili, zaraz podczas rozmowy z ojcem, za-

pamiętała doskonale imię i nazwisko tej donny pana Tadeusza Mieniewskiego: Eleonora Duś.

Gdy spotkali się później z synem leadera w buduarku na herbatce, nazwisko to, — Eleonora Duś, — nie przestawało brzmieć w uszach Kostryniównej. Tak natarczywie, iż w pewnej chwili, bez żadnego powodu, omal nie powiedziała głośno przed siebie, w gładziutką głębię lustra, odbijającego postacie jej, i Tadeusza, pochylone nad stolikiem z herbatą:

Eleonora Duś.

Uczepi się coś tak i przeszkadzać będzie w najniestosowniejszej chwili. Szło tu o głupstwo, — rzecz jednak wymagała uwagi a nawet może pewnej zręczności.

Tyle drobnych, potocznych szczegółów!

W którym kącie założone być mają owe pólka doświadczalne? A tu znów, — żeby służba nie zmiarkowała czegoś niepotrzebnie, a znów, — postarać się dla Mieniewskiego o jakiś kitel, czy w każdym razie, stosowny ubiór do pracy?

I najważniejsze: Nie podobała się Zuzannie cała ta historja — jako zemsta nad rodem Mieniewskich. Gdyby swego czasu nie było się niedołęgą w Warszawie, nie trzebaby było mścić się teraz. Zemsta dość słaba.

Manewr w stosunku do zbuntowanych ludzi z Domu Ludowego, — dość dwuznaczny? I wkońcu wszystko dawno już załatwione — tam w niedzielę u Coeura.

Poczciwy, głupi ojciec!

A poza tem brak czasu: Coeur rozbił sobie nogę

na kopalni. Teraz wściekał się, szalał, trzeba było pamiętać o nim więcej, niż zwykle.

Do tego — nowe kawały z Mieniewskim!

Do tego — sam Mieniewski.

Głuptak, który nic sobie nie robił z nikogo i z niczego.

Do froterki przygotowała mu Zuza, — nie bez ukrytej złośliwości, — stary, przeprany drelich po służącym. Zaprasowane to było w fałdki gładkie, świeże, koloru — w biało-niebieskie paski.

Liberja — do sprzątania.

Tadeusz nie obraził się.

Na widok ubranka, zawołał, — doskonałe. Przywiozłem z sobą mój pływacki kostjum, ale może to racja? Kostjum byłby zbyt — nagi. Wezmę kostjum — i to.

Przebrał się w „to“ w łazience i tak już pił herbatę, w fagasowskich drelichach na zielonej, pistacjowej kanapce, bynajmniej nie stropiony.

Przeciwnie, — bardzo dumny!

W mniemaniu, że Zuzanna szczerze zajmuje się sportem, dzięki takiemu kostjumowi mógł z całą łatwością pokazać, tu odrazu, na sobie, — odpowiednie partje mięśni, wyrobione odpowiedniemi gałęziami ćwiczeń.

Niezmiernie charakterystyczną gulę przy łokciu — od tennisa. Różnicę między łydką prawą i lewą od gry w piłkę nożną. Długie muskuły na piersiach i plecach od fechtunku.

— A cóż pan sobie teraz u nas wyrobi? — spytała podkurczając stopy pod siebie.

— Tu, u was? Powiem pani, aż doprowadzę kwadraty posadzki do takiego połysku, że będę się mógł w nich przejrzeć.

Kwadratów owych było ośm, w ośmiu różnych tonach zaprawy, — cytryna, heban, orzech, mahoń, limba, cedr, palisander i gruszka.

Kiedy na drugi dzień, po południu, mimo, iż znowu ciemnawo było, gdyż deszcz lać nie przestawał, — przejrzał się Tadeusz w swych kwadratach, — odpowiedział Zuzannie, co sobie tu wyrobi.

Miał dziwną pamięć drobnych, najdrobniejszych szczegółów nic naogół nie znaczącej rozmowy.

— Wyrobię sobie, proszę pani — może trochę wolności. Nie wypada o takich rzeczach mówić tak poprostu. Bo niby, co za wolność? A jednak, — jednak! Gdy kłóciłem się o to z moim starym, nazywałem nowy pomysł wynalazków — ucieczką. Prawda? Sam wynalazek jest głupi — jak but. Cóż to za wynalazek? Nie widzę jednak powodu, by rzeczy mądre wynosić ponad głupie. Nic do takich nieszczęść nie prowadzi, jak właśnie rzeczy mądre. Mówiliśmy już o tem przecie. Naprzykład praca?

Sapał ciężko, trąc dawnemi swemi szczotkami od konia, — szczotkami, które brały udział w wielkiej wojnie światowej, — barwne i coraz bardziej lśniące kwadraty posadzki.

Czyli — doświadczalne pólka zaprawy.

— Ja to ujmuję, proszę pani, po swojemu. Z amerykańską dosłownością wglądu. Proszę wziąć dla przykładu, chociażby tych dwóch naszych starych: Jakież

to mądre rzeczy wyczyniają?! I co? I nienawidzą się z tego powodu, jak głodne psy. A czy im tu brak czego? Wszystkiego mają w bród! Od starych naszych idzie to tak kolejką, nadół. W całem zagłębiu ma pani to samo: Obłęd. Dobra, majątku, bogactwa wytwarza się tu — do cholery! I wszyscy, tutaj właśnie chodzą głodni, nieszczęśliwi, wściekli, nieprzytomni z wściekłości. Moja teorja buddystycznych trzech minut, to jest spojrzenia na rzeczy w oderwaniu się od własnych namiętności, święcićby mogła tutaj niebywałe triumfy. Włącznie — aż do pani!

Plótł głupstwa a wyglądało jakgdyby pouczał. Czy też może miał słuszność? Zuza patrzyła na niego niechętnie, — prawie z lękiem. Za dużo było w tem co mówił dobrotliwej abnegacji. Tem bardziej niezrozumiałej, że był tak pięknie zbudowany!

Tyle siły i tyle tak wdzięcznej łagodności! Biało-niebieskie drelichy owiewały twarz Tadeusza, bronzową ciemną, — lekkim, matowym puchem. Śmiejąc się sprawiał dziwne wrażenie, — zachwyconego ptaka.

Froterował pamiątkowemi szczotkami wielkiej wojny światowej, plótł o minutach buddystycznych, Zuzanna zaś, słuchając plusków deszczu, przejętych głuchą wrzawą huty, myślała o czem innem: O swej nudzie wygodnej, ciepłej, utrapionej i o tej prostej jakiejś obcej, nieznanej dziewczynie kopalnianej, która ma wymówioną pracę na kopalni, ale zarazem — ma takiego oto chłopca.

Takiego oto chłopca.

— Czem pan był w wojsku?

Wstał, ujął się szczotkami, do rąk przyczepionemi, pod boki i wykrzyknął zgorszony:

— A to dobre? Porucznikiem artylerji. Służyłem od prostego żołnierza. Czy pani ma pojęcie, jak ja strzelam?! Też bardzo piękny sport.

Przechyliła się poprzez oparcie pistacjowej kanapki i wydobywszy z toalety, podała Mieniewskiemu mały, pięknie niklowany browning, ze słowami:

— Ja też strzelam.

Wziął broń z jej ręki i wymierzył, — niby w głowę.

— Nabity, panie!

— Ale zabezpieczony, widziałem przecież. — Uśmiechnął się, odrzucając browning na kanapkę.

— Więc był pan porucznikiem artylerji?

— Ma się rozumieć.

Wymówili jej pracę, ale ma sobie taka dziewczyna kopalniana — takiego porucznika artylerji. — Rozprzędło się przez myśli Zuzanny głębokie upokorzenie. Kogoż to ona znała dotąd w swem życiu, prócz pana René Coeura?

Uśmiechnęła się złośliwie: — Pan jest jednak szczerym demokratą!

— Nic podobnego! Prawdę mówiąc, mimo że ojciec mój zawodowo pracuje w tak zwanej demokracji, nie rozumiem sensu i znaczenia tego słowa.

— No tak, — właśnie dlatego.

— Moje pólka świecą się już, — zniecierpliwił się Tadeusz, — niech pani patrzy! I teraz pani powiem dopiero. Jest to zupełnie głupie, taki wynalazek, à la Zaprawa. Obliczony na głupotę ludzką. Na zwaną tak

przeze mnie, najważniejszą dziedzinę w życiu naszem, — dziedzinę nóg. Tańczenie, — stosunek nóg do posadzki; chodzenie, posuwanie się, miłość i t. d. Mniejsza o to. W dziedzinie nóg bardzo drobne ułatwienia. Rzecz nieszkodliwa. Ale jeżeli się uda, — jest to dla mnie odskocznia w świat. Jeżeli to się uda, my to przecie sprzedamy, — niech się tam pani stary potem z moim za łby biorą, — sprzedamy, skoczymy sobie w świat i od dziś za pół roku, lub za rok!

Śmiał się promieniejącą nadzieją, szczęściem, wesoły i aż piękny z tej nadziei.

— Kto — my? Panie Tadeuszu? Kto — my?..

— Jakto — kto? No więc ja. Ja, — oczywiście, ma pani rację: Ja i mój brat, Stanisław. To on znalazł proporcję dla tych maści.

— I?...

Tadeusz umilkł. Nie mógł przecież tego powiedzieć tutaj. Za nic w świecie. Tylko, — jakby objęło go nagle, przez żebra i przez skronie, przez piersi i przez szyję i przez nogi i przez obie ręce i zasłoniło wszystkie najprostsze nawet myśli, — miłością!

— Pan? Pański brat Stanisław, — Zuzanna przeciągnęła się lekko na kanapie, — i panna Eleonora Duś?!

— Cicho!! — krzyknął Tadeusz.

— I panna Eleonora Duś, — powtórzyła Zuza uprzejmie.

— Poco to gadać!! — krzyczał głośno, brutalnie, gdy oto stało się już za późno:

Zuzanna, zerwawszy się z kanapy, jednym posuwi-

stym skokiem przejechała przez kwadraty pólek doświadczalnych, zmazując podeszwami czyste kolory Zaprawy.

— Co to znaczy? Czy pani oszalała?!

— Moim kosztem nikt stąd w świat nie pojedzie, — wołała Zuza, ślizgając się po świeżej farbie w najróżniejszych kierunkach.

Tadesz schwycił ją wreszcie i odepchnął ku kanapce pistacjowej.

Kostryniówna pociągnęła z sobą Mieniewskiego.

Upadli razem.

— Moim kosztem nikt w świat nie pojedzie, — powtarzała, objęta nagłem przerażeniem, złością, pasją, wstrętem do ojca, Coeura, matki, wszystkich i najsilniejszym wstrętem do samego Tadeusza.

— Jak pani mogła?!

Słowa przestały znaczyć: Zuzanna i Tadeusz mówili pośpiesznie, w żywe ogniem przymrużone oczy, wyrywali się wzajem od siebie, szepcąc napastliwie o złości, wzajemnych nienawiściach, sile, przemocy i najgłupszym bezsensie. Lecz równocześnie łączyła ich, jakoby już spajała błoga, nienawistna potęga. Aż nagle, płacząc nieomal, z drżeniem, z przeciągłym krzykiem Zuza rzuciła się na Tadeusza... —

— No więc, przepowiedzieli, rozumiesz? Wywróżyli, rozumiesz? Przepowiedzieli! — Uskoczyła z kanapy.

— Komu przepowiedzieli, — co?

Głos Mieniewskiego był tak spokojny, jasny i wyraźny, że odwróciwszy się ku ścianie, zasłoniła sobie

twarz rękami. Potworny, obcy, dziki, banalny sens tej myśli, że człowiek władający w tej chwili głosem tak spokojnym, obojętnym uczynił ją kobietą, — pan Tadeusz Mieniewski!

On, — on właśnie dopiero!

Zuzanna opanowała się co prędzej.

Mam wrażenie, — zbladła śmiertelnie, mówiąc te słowa, — mam wrażenie, — jakby mnie zgwałcił mój własny służący.

— Nie zgwałciłem pani! To nieprawda! — oburzył się Tadeusz. — I nie jestem pani służącym.

Nic nie odpowiedziała.

— Mógł pan być, — uśmiechnęła się tak szczególnie, iż w uśmiechu tym rozłamała się jej twarz w tysiąc zmarszczek, — gorzej niż służącym.

Podszedłszy do niej blisko, rzekł pełen smutku i współczucia:

— Pani — i ja — i ten deszcz — i ta słota. A nawet powiem więcej: Nasi rodzice, — nasi starzy, — z tem jakiemś gadaniem wzajemnem. I te pokoje pistacjowe — i te nory ludzkie...

Wyciągał do niej ręce, jak do obrażonego kolegi.

— I te nory, — uśmiechnęła się z łaskawem pobłażaniem. A w głębi wszystkich myśli, w głębi istnienia własnego, całkiem innego, niż każde inne własne i znane, w głębi tego istnienia, które odczuwa się w sobie tak rzadko, rzadko i prawie nigdy, — doznała uczuć nieposkromionej nienawiści względem ojca.

Zawsze pośrednio on i jego głupie, nędzne, spóźnione podstępy.

W przedpokoju, pod wieszakiem na palta ucałował Tadeusz Zuzę w rękę. Jakgdyby pocałunkiem zakończyć pragnął cały ten incydent.

— Odprowadzi mnie pan chyba do bibljoteki? Prawda?

— Oczywiście.

Dlaczegoż chciała, by ją tam odprowadzał?

Zbiegli szybko po czerwonym dywanie przedsionka.

— Jaki deszcz!

Z otwartą parasolką pochylił się nad Zuzą.

Ulica była prawie pusta. Ze wszystkich nor, rozpadlin, z pomiędzy kamieni, z pomiędzy drutów kolczastych wielkiego muru huty Katarzyny, zewsząd pluskał zimny ulewny deszcz.

— Nie wiem tylko, — spytał nagle Tadeusz, brnąc ofiarnie przez wodę, — dlaczego, ostatecznie, zepsuła i zamazała pani te moje biedne pólka doświadczalne?

— Tego pan nie wie?

Nie mogła mu w tej chwili odpowiedzieć: Musieli w bok uskoczyć. Z przecznicy którą właśnie mijali, cicho, zda się bezgłośnie, wybiegły cztery krowy. Jałówki.

Zmoczone, jakby zdziwione niepomiernie rozejrzały się w lewo, w prawo i wzdłuż Alei Trzeciego Maja, aż sinej od deszczu.

Za pierwszemi czterema jałówkami ośm, dziewięć i dziesięć i cała gromada, wielki tłum młodych, spłoszonych krów, które zdala poganiali starzy brodaci ludzie w szarych worach na głowie.

Tadeusz znalazł się z Zuzą niespodzianie w gęstej, stłoczonej trzodzie, pędzącej przez deszcz naprzód.

Szli we dwoje, dość blisko przytuleni pod jedną parasolką, raz po raz potrącani przez żywe, twarde, rozbiegane sztuki.

— Zepsułam panu te pańskie pólka, — zaczęła wreszcie Zuza w odgłosie gęstych batów i w łomotaniu kijów, — aby pana ocalić od wielkiej kompromitacji. Od skandalu, — od wstrętnej kompromitacji, — może nawet od tak zwanej hańby. Gdyż miał pan —

Krzycząc głośno wśród zamętu mokrej trzody, przedstawiła mu cały projekt ojca.

— Miał pan publicznie froterować w Radzie Kopalń i Hut, — jak błazen, czy też fagas!

— Jak błazen, czy też fagas, — krzyczała pośród tumultu zwierząt i gęstych, ciężkich razów.

— Jak błazen, czy też fagas — powtarzała jeszcze na ciemnych schodach bibljoteki Staszica.

Jak błazen czy też fagas!!! — Z słowami temi wpadła do środka, — przez pusty przedpokój, — naprzód dalej, do wypożyczalni.

Pani Stanisława zerwała się z nad biurka, na którem udało się jej wreszcie wystylizować francuski list do Coeura: Po sprawdzeniu każdego słowa i czasu i trybu w obu Larousse'ach i w gramatyce.

— Co ci jest, moje dziecko, ależ co to, kochanie, co to?!

— To przez ciebie! — krzyknęła Zuzanna. — Przez twoje jedno, — jedno głupie słowo! Przez was!

— No co, kochanie, powiedz, przecież do matki mówisz!

Zuza wysunęła się z ramion pani Stanisławy, — już opanowana:

— Każesz mi tu przychodzić. Zmokłam! Każesz mi tu przychodzić, a tam, — znów przez miasto pędzą krowy!

Pani Stanisława uśmiechnęła się wyrozumiale:

— Wiesz przecie, że dwa razy na tydzień pędzą przez miasto krowy, — do uboju.

3

DOBRY HUMOR ŻYCIA

Tadeusz zatrzymał się na schodach bibljoteki Staszica, pośród stęchłych wilgotnych ciemności — w połowie pierwszego piętra. Nie biegł za Zuzą dalej.

Nie myślał o niej. Przerwało się już wszystko w tym wątku, — bezpowrotnie. Zapomniał nawet o cierpkiej gorzkiej rozkoszy, którą dziś przeżyli.

Oczekiwał na coś w ciemności i odliczał i skreślał wszystko, zdziałane doniedawna, oddany całkowicie szumom niewiadomej przyszłości.

Odliczyło się to wszystko — z amerykańską dosłownością: King of England, — Zaprawa, — wynalazki, — smutna dręcząca głupota! Blaszane pudełka w nyży na oknie u Knote, — długi spór z ojcem pod Marksem murarskiej sali Domu Ludowego, — wizyta u Kostrynia, — projekty, — sto dolarów, — kwitek na owych sto dolarów.

Wszystko to miało wkońcu zaprowadzić do froterki publicznej! Kupa śmieci, pod ścianą przepaścistą, — pod ścianą żółtych, groźnych, kamieniołomów.

Zbiegł parę stopni wdół, przekonany już dowodnie,

że niema i nie może być żadnej ucieczki z tamtego świata ojców, leaderów i Kostryniów.

Do matki? Amfilada starych pięciu pokoi i wieczysta historja o cierpkiej bezwzględności ojca.

Do ojca? — Geologja, pelargonja, pamiętnik i wszelakie podpórki.

A tu — szuję zrobiliby z człowieka.

Zszedł na sam koniec schodów, do sieni, przed niedomknięte drzwi, by w sinym blasku ulewy zobaczyć, która też może być godzina?

Za siedm minut ósma. Widać przecie wskazówki, wyraźnie, — z amerykańską dosłownością.

Patrząc na słaby połysk cyferblatu zegarka wiedział już, co zrobi. Że już nie wróci. Przypomniało mu się, jak płakali razem z Lenorką w samolocie.

Nie wróci, — już nie wróci!

Ruszył co prędzej Aleją Trzeciego Maja, ulicą Przemysłową, mimo Rady Kopalń i Hut i dalej wyboistą ulicą Miedzianą w stronę bocznego wejścia do kopalni.

Postanowienie, całkiem niespodziane i bezsensowne. Nie sprzyjał temu postanowieniu, mimo, iż tak nęciło: Darować raglan Dusiowi!

Gdy spotkają się kiedyś wreszcie ze starym, z leaderem, i ojciec zapyta, — a gdzież podziałeś płaszcz, ten raglan wspaniały, com ci go sprawił po wojnie? odpowiedzieć: Darowałem go pewnemu górnikowi, sygnaliście, Janowi Dusiowi, który chciał zamordować cię na wiecu w Osadzie Górniczej. Darowałem mu ten raglan.

Równocześnie zaś myślał Tadeusz o swym bracie

Stanisławie. Jakgdyby teraz mieli żegnać się na zawsze! Trzeba przecie napisać do brata.

Przystanął pod okapem murku: Widać stąd było we mgle deszczowej twarde światła kopalni, dalej pole rozmiękłe i w zećmionym poblasku, po drugiej stronie Erazma, jakoby skałę wyniosłą, rozległą, czerwoną, — wielki kościół Osady Górniczej.

Pod okapem owym, szczękając zębami z nagłego zimna szybkiej, nieukładnej radości pisał Tadeusz w pamięci swój list do brata:

Stanisławie — tytułować samem imieniem. — *Za przeprowadzenie naszych wynalazków musiałbym zapłacić zbyt drogo. Całym dobrym humorem mego życia. Staraj się przeniknąć i zgłębić określenie: Dobry humor życia. Wracając tedy do teorji buddystycznych trzech minut, stwierdzam: Wolę być błotem na drodze, niż pyskiem, na który leci to błoto z pod kół anglosasa w kratkę.*

Taki list. Podpisać imieniem i nazwiskiem.

I — PS: *O ile sami nie potrafimy rozbić komu innemu mordy.*

Powtórzywszy sobie te słowa kilka razy w pamięci, pobiegł ulicą Miedzianą na kopalnię. Wedle ustanowionego porządku musiał minąć portjernię. Drewnianą budę, psią raczej chyba, niźli ludzką, z judaszowem okienkiem w połatanych drzwiach.

Drzwi owe popchnął śpiesznie i byłoby się może nieszczęście przydarzyło z piecykiem żelaznym do czerwoności rozpalonym w portjerni, gdyby nie zimna krew portjera Supernaka.

Tadeusz wbiegł i chciał lecieć dalej, jak to czynił za dnia.

Supernak, nie poznając, kto idzie, z wiadomego obowiązku kopalnianego chwycił przybysza, by obrewidować a przynajmniej obmacać.

Sczepili się, byliby piecyk wywalili w szamotaniu i jakiego nieszczęścia narobili, gdyby młody Mieniewski wporę nie odskoczył.

Odskoczył z nagłego przerażenia: Czy to ów uścisk starych kości i kikutów, czy też w rudem świetle piecyka sama twarz portjera, — jako twarz śmierci! Potwornej zarośniętej brudną siwizną, męskiej, starej śmierci!

Stąd dopiero opamiętanie i papieros i rozmowa nawet:

Taki jest obowiązek portjera: zrewidować kto idzie a kto wraca, co niesie, co wynosi, — tak kradną. Wszystko, co i gdzie mogą, kradną tu teraz z głodu, a dyrekcja nie pyta, winien jest zawsze portjer. A znów górnicy nie chcą takowego obmacunku przy wejściu i przy wyjściu. Więc biją. Więc taki stary inwalida pracy, na starość, niedosyć jeszcze, że na siebie nie zarobi, lecz biją go, którzy na jego miejsce nastąpili i posiniaczony jest i pokopany przez tych następców.

Tadeusz do myśli swych w tej chwili nader buddystycznych, odpowiedział Supernakowi z uśmiechem:

— I to tak dobrze jest, mój bracie, i tak musi być u was. Przewiedziawszy się zaś, że Duś jest na kopalni, na nadszybiu, poszedł stąd prosto do Dusia, pełen najlepszej wesołości.

Całe nadszybie dygotało każdą łatą żelastwa, każdym gwoździem, wszystką rdzą, wszystkim smarem — całą głośną wymową śpiesznego wydobycia.

Tadeusz skoczył żelaznemi schodami na poziom drugi nadszybia, gdzie wyjeżdżały windy, oddające waginiki z węglem.

Widno tu było, jak w dzień, lecz w dzień sztywny, umarły, ustanowiony w świetle elektrycznem, nie zaś w gibkości słońca. Wózki drygały raz po raz z klatek windy, jakby za piersi pochwycone.

A kraty rozsuwane warczą tylko i trzeszczą, a winda mlaszcze wkoło tłuszczem smaru, a wszystko, — z dołu głębokości straszliwej podwiane parą umęczoną.

W pierwszej chwili nie dostrzegł Tadeusz Dusia, jeno wybałuszone twarze rzutkich ludzi „od śtosa“, którzy piersiami i ramionami, — mało powiedzieć popychali te wózki!

Trzeba powiedzieć, — bodli.

Nakoniec okazał się i Duś ze swoją twarzą miedzianą groszowego pieniądza, którą blask elektryczny raz po raz oblewał i jakoby oddalał.

Oddalał w inne, — wysokie, — wyższe strefy.

Dozorca podniósł się z ławki, ustawionej obok krat szybu. Coś zawrzasnął, bo w takim huku ludzie inaczej słyszeć się nie mogli, — machnął ciemnym toporkiem przez białe usztywnione światło i poszedł za wózkami w szklanny korytarz sortowni.

Wtedy dopiero Tadeusz przyskoczył do Dusia i krzyknął prosto w węglem zaczernione ucho:

— Jak chcesz, to chodź dziś ze mną na kolację!

— Jaka to jest kolacja? — odkrzyknął Duś. W oczy rozmówcy nie mógł patrzeć. Tu palce, a tu słuch, a tu dźwigi i hebry, a tu kraty, a tu sygnały, a tu, trzymając się za rundajs żelazny, — już zwisa nad przepaścią szybu, — a tu znów jedzie klatka.

Tadeusz wrzasnął:

— Jaka kolacja? Taka. — I siadł na owej ławce przy kratach. Ukołysany żelaznym pośpiechem a wpatrzony wysoko między dziury wieży wyciągowej, gdzie z pośród kół linowych, elektryczną lampą dosadnie oświetlonych widać już było niebo i krople deszczu przez światło spadające tak pięknie i tak równo.

Daj Boże najmodniejszym pannom takich łez!

Ukołysany żelaznym pośpiechem, od którego ludziom przy szybie w piersiach kwiczało, poczuł się tutaj Tadeusz dobrotliwie i serdecznie, jako gdy bywał czasów wojny w ataku: Gdy już swoje odrobił, ten taki krwawy obowiązek i leży w bróździe i słony pot zlizuje z warg a inni znów kolejno niechże się trudzą teraz...

Nastała przerwa w pracy. Coś tam gdzieś nie odbili, czy wózków na dole nie starczyło, czy wporę nie podwieźli, albo też może z kwerszlagu nie zabrali, albo co?

Szyb westchnął niebiesko-siną ciszą, która zleciała wdół, chyba aż do żompienia.

Warkot bliskiej sortowni w obliczu nagłej ciszy wywozowego szybu, zdał się łagodnym gwarem.

Duś przetknął kołeczkiem na tablicy, ponad kratami szybu ilość wózków wydobytych, na ścianie zaś

wedle zegarka swego wypisał kredą pauzę w robocie, gdyż znów przy maszynie wyciągowej zegar wypisze pauzę i tak się sprawdza wszystkie przerwy w pracy między człowiekiem a maszyną — na czas.

Teraz dopiero, nie obcierając nawet potu, usiadł blisko na ławce. Nie mówił nic. Teraz dopiero wychodziły z niego te wszystkie wstrząsy i hałasy sygnalistowskiej pracy. Cała twarz w drżeniu milczenia, jakoby parowała z mocy żelaznych rozgłosów i poświstów.

Tadeusz objął go niespodzianie przez mokre, dymiące jeszcze plecy. Lekko a zarazem tak czule, że wszystko rozstąpiło się w Dusiu naoścież tej przyjaźni:

— Pójdziemy na kolację, gdyż mam do pogadania z tobą. Jeśli chcesz? Słyszysz?

— O czem?

— O różnych sprawach. Po pierwsze zaś, — to wiesz. Że żyję z twoją siostrą i kochamy się bardzo — szepnął Tadeusz. Dech mu uniosło i łzy mało nie bryznęły z oczu.

— No, — to co?

— No, — to to. Więc mówię ci tu, — jak do brata. A plany mam!

Cóż mogły znaczyć słowa? Nic.

Mogłeś mnie zabić, — ja ciebie mogłem zabić, — tam w jatce. Wielkie zmartwienie?!

— Nie o to.

I, — warjat jesteś, Duś, cholerny warjat.

Odpowiedź Dusia: — Takie tam, burżujskie jakieś smaki.

Na to Tadeusz, — gdzie to ma takie smaki!

Nie natrafili na żadną zgodę w swoich słowach.

Nie starali się o to. Ciepłota wspólna, która się w słowach nie objawia, którą czuli do siebie, gdy sponemi czołami o siebie wsparci dyszeli jeden przeciw drugiemu jeszcze wtedy, tam w jatce!

Objęło ich to niewiadome w sprawach pomiędzyludzkich: Młodość, — nie młodość, czy zobopólna zawziętość, czy też, że jeden od drugiego na sam koniec nieprzewidziany spodziewali się twardej stałości i grozy we wszystkich uczynkach?

Po trzeciej zmianie wyruszyli. — Co będziesz wracał na Błotną, u Cieplika ręce przemyjesz, — Tadeusz w swoim raglanie doskonałym, Duś w kopalnianych łachudrach i w paletku jesiennem, nader starem.

Do Cieplika. Bo — i gdzie?

Duś rzetelnie wykręcał się, że nie pójdzie, lecz wkońcu wszystko jedno.

Więc tu. Więc w której salce w pierwszej, drugiej, czy jak?

W drugiej!

A zwłaszcza w kącie, doskonałe miejsce, tem bardziej, że przy piecu.

Nie zastali za bardzo licznych gości. Profesorzy ze Szkoły Sztygarów kipieli nad szachami, w drugim kącie Falkiewicz opiekły, chmurny. Aż kwaśno i czarno robiło się od spojrzenia tego podziemnego skaczybrózdy.

Na środku siedział pan sekretarz Koza, kostkę świńską z kotleta wysysał i gwizdał z niej piskliwie, jak z fletu.

Zamówili jedzenie. Zjawiły się wódeczki jasne, ciemne a potem piwko.

Duś jadł ponuro, choć skromnie i cicho, jakby z przezwyciężeniem samego siebie. Ręce mu się rwały do jadła, oczami znów jadła owego unikał.

Gdy już pojadł i popił, uśmiechnął się niewinnie i spytał:

— Jakie to będą plany?

Cóż tu powiedzą słowa? Nic znowu. Ale wpatrzyli się w siebie do ostatnich, najmiększych, aksamitnych już gruntów sumienia.

— Wiesz, — złapał Tadek Dusia za szyję pijackim półobrotem. Wiesz, co ci powiem: Że wszystko rzucam i przystaję do pracy. Do pracy robotniczej, prostej. Chcę na kopalni, razem z wami na Erazmie.

— Taki prezent burżujski i wielka pańska łaska, — warknął Duś.

Nie mogli więcej mówić, gdyż Koza nasunął się na nich, zgrzany i uniżony i taki już, już taki, że aż mdliło. Z temi swojemi uśmiechami w których oszustwo kryło się, — jak w nawiasach.

Ale Duś wtedy:

— Ty Koza idź stąd wont! Gdyż tu bracia gadają.

A wiesz co to jest bracia? Że, — co jest wypowiedziane, — będzie zrobione zawsze. A nigdy zaś skłamane. Koza wont!

Upił się Duś, czy nie upił, gdyż truli na potęgę. Twarz została ta sama, — miedziana. Jakoby na posągu zemsty klasy robotniczej.

— Zapiszże sobie Koza do swego szpiegostwa, żeśmy się pochamrali. Poradź się o to Drążka.

Z tem wyszli. Powiedli się wspólnie żeberkami Erazma, przez ciemności uśniętego miasteczka i żelatynowe błyski czarnych okien biurowych aż ku stacji.

— No, i co? Przystajesz do tej pracy, że niby prowokacja ze strony panów socjalistów i różnych innych leaderów została przedsięwzięta?

— Widzisz Duś, — bardzo mi się chce, żebyś pysk stulił!

— No więc co? — Miedzianą twarz Dusia oblał rumieniec, — więc niby garniesz się do nas, do komuny? Do naszej partji?

— Rozstrzelam, psia krew, tę waszą partję. Masz! — Tadeusz zwlókł z siebie raglan i okryć nim pragnął Dusia na środku zabłoconego chodnika. — Żeby ci ciepło było i dobrze, a partję twoją haubicami rozstrzelam.

Tu znów, blisko cynkowni, gdyż owe żeberko erazmowskie, po nocy, miast prowadzić na stację, zaprowadziło skosem przed cynkownię, naprzeciw sinych i śmiertelnych oparów murowanego potwora tej mordowni, wyzwoliła się z Dusia jego najdroższa przemowa:

W świat cały wyjść z tym człowiekiem tutejszym z tego grobu za życia, aby się stał ów człowiek żołnierzem armji świata!

Do tego przyszli, co ich zderzało i rozbijało zawsze: Gdzie żołnierz, — tam ojczyzna, gdzie ojczyzna — tam krew!!

Duś z krzykiem entuzjastycznych piersi:

— Dla mnie niema ojczyzny, czyli, że jedna jest!

Tadeusz: — A dla mnie, jak ojczyzna, to wszelka, — tysiąc różnych na świecie, o każdą własną każdy musi bliźniego swego strzelać!

— Ja też, byś wiedział, — każdego zamorduję!! Z łatwością!

Wyniosły się nad nimi i podniosły i niby z oparu pijaństwa, czy też nocy, czy wichru, czy tylko śmierdzącego sapania mufli cynkownianych, czy z cieni wiatrem pędzonych, czy z czego? Wyniosły się i wydźwignęły owe dwa wielkie strachy człowieczeństwa — Rewolucja, pod rękę z Ojczyzną...

— Ja tak, — wygrażał Tadeusz, — a ty zawsze mi wkońcu ustąpisz. Zdychać będziesz cholero, od ran i od stargania, ale siostra twoja za mną pójdzie, żołnierzem przy szabli. A ty na moje ojczyźniane zaklęcie zawsze wkońcu zapłaczesz i ustąpisz. Bo ja tu jestem, zawsze o swoim czasie, a ty jesteś w teorji!

Duś na to, — że przenigdy!

Tadeusz zaś, chwytając przyjaciela za szyję i obejmując ciepłym braterskim uściskiem:

— To wtedy zginiesz, zginiesz z mojej ręki, choćbyś najlepszy był w worku mojej ojczyzny. To wtedy zginiesz z mojej ręki!

Z słowami temi znaleźli się, dobrym pijackim trafem na żelaznym wiadukcie po nad stacją kolejową.

Świat stąd się okazywał groźny, zamglony i wszystkie światła kopalń pracujących jakby wodą obrzękłe, a zaś cynkownie, — niby straszne tygrysy zdechłe, — w prążki czarnej i żółtej zgnilizny.

Tadeusz wyjął z kieszeni i okazał Dusiowi przed

oczy swe dolary, które był otrzymał na wynalazek od Kostrynia. Owe dolary podarł na kawałeczki, na papierki najmniejsze i rzucił z wiatrem, mówiąc:

— Taki jest teraz mój wkład do całego tego interesu.

Nie domówił tych słów, gdy Duś rzucił się mu na szyję i wyznał, od czego wrogie obrzydzenie zdjęło Tadeusza: Bowiem twarz Dusia miedziana i surowa przetopiła się w ogniu płomiennych wyrazów na twarzyczkę stroskanego chłopięcia, mimo, że słowa leciały z piersi głosem najtwardszym!

Głosem twardej, chrypliwej rozpaczy.

Że oto Duś miłość taką, z powodu której ani jeść ani spać, poświęca i poświęci sprawie robotniczej. A owa miłość z innym jakimś człowiekiem pójdzie!

Pocóż to było mówić? I komu? I naco się przydało? Lecz kiedyś wkońcu trzeba rzecz taką powiedzieć i wszystko jedno komu! Gdyż zdało się Dusiowi, że cóż tu jakiś człowiek znaczy, jeden drugi, czy trzeci i bliski, czy daleki, — w obliczu idei robotniczej?!

Braterska a przedziwna wrogość sczepiła ich na ciemnym wiadukcie. Nie rozumieli się, choć wszystko o sobie wiedzieli. Niby wielką nienawiść sobie ogłaszali a znów nad nienawiścią tą wznosił się most złączenia, tysiąc razy mocniejszy i trwalszy, niż ten tu czarny wiadukt kolejowy i nie wiedzieć jakie tam jeszcze kamienne wiadukty!

Zawrócili stąd, mocno upijaczeni pod dom zamieszkiwania Dusia, czyli Martyzelów, podnajmowany znowu u byłego dozorcy.

Do izby Dusia weszli oknem, odtrąciwszy wątłe haczyki.

Księżyc wyłonił się wreszcie po deszczu na którąś stronę wyczerpanego nieba.

W księżycu tym zasiedli na wyrku sygnalisty, milczący, ukołysani znienacka szumem oddechów śpiącej obok rodziny robotniczej, to jest Martyzelów.

Ów szum brzmiał w ciszy nocnej niby szmer łodzi, idącej szuwarami przez gęste wodorosty. Tak się to tarło, hamowało, gmatwało i znów zatrzymywało z trudem w tej tak potrzebnej, wiecznej praktyce oddechu.

Co tu znów jeszcze gadał Duś, — Tadeusz nie pamiętał. Było to proste ogromnie i prawdziwe i niby jakiś przyszły odpoczynek z tego tchnął: Że powieki zwierały się od tego a znów jakiś tam stary przesąd śmiertelny topniał.

Była to znów ta sama na całym świecie, jedna i ta sama sprawa, — pracy i płacy, — od której Tadeusz sam nie wiedział, kiedy szczęśliwie zasnął.

Na barłogu przy Dusiu.

Obudziło Mieniewskiego, — gdyby nie mały, ciemnozielony kogutek z czerwonym grzebieniem na krzyczącej głowinie, — oczom własnym trudnoby było, dać wiarę!

Tadeusz z pijaństwa wczorajszego nic zrazu nie pamiętał. Ani wkońcu, gdzie byli, ani też, co robili?!

Kogutek ów piał w słońcu za podwójnemi szybami na śmietnisku małego podwórka. A tu, w drzwiach izby, właśnie naprzeciw okna i kogutka, — stała przecie Lenora!

Nie uwierzyłby Tadeusz nigdy, że zjawiła się tu w swojej własnej, pożądanej osobie. Odziana, jak niedawno na kopalni, w kaftan, z którego jagody piersi przeświecają, i w tę spódnicę zwiewną, pod którą zapamiętane są na zawsze białe a tak strzeliste nogi.

Lenorka w ramie niskich drzwi naprzód pochylona, z cienia tamtej izby podana tu przychylnie w samo słońce, jakoby nad tonią jakąś, czy jasnością.

Oto głos zielonego kogutka, a tu oddech Lenory świeższy, milszy i czystszy, niż sam śmiech!

Fruwające skrzydełko szczęścia!

Na nic czasu nie stało, ani przestrzeni, ani odległości, ani żadnego stąd dotąd, ani nic! Wszystko w tę samą jedność...

W jedność skoku, rzutu i uchwytu, w którym znalazła się Lenorka przy łóżku Tadeusza. Objęli się i jakoby spłynęli i odpłynęliby byli, niewiadomo w jakie światy, gdyby nie pianie zielonego kogutka.

Tak się darł, — na deszcz widać.

A niech pieje!

Rozmawiali, obtoczeni rękami, ramionami wspólnemi i taką chwilą zespolenia!

Jak tam, jak tam, jak tam, — gdy z pod niechybnej śmierci szalonym pędem spadła w ramiona swego Tadka.

Mówił, że tak tu teraz z nimi pozostanie, przy pracy. Do Warszawy nie wróci. Przy pracy górniczej z nią razem, tu z Lenorą. Tu w Osadzie, — gdzie bądź.

Takiego słowa wystarczy, jak owe słowo, — gdzie

bądź. Przed jego dźwiękiem prostym, nieukładnym i przed znaczeniem jego wielce nieoznaczonem aż oczy zamykali ze szczęścia.

I drżeli.

I chwytali się za ręce.

I mówili do siebie różne słowa, jeszcze inne, niż dotąd, — wędrowne, — które nigdy na niczem nie spoczęły.

A cóż to znów nowego za oknem?

Za szybami przeleciały gołębie, wiodąc malutkie cienie przez podłogę.

A tu tymczasem, — z zamkniętemi oczami, z złączonemi ustami, z przeplecionemi ramionami, trwają we dwoje za ramą białych drzwi!

Potem zaś czołgał się przez nich strach cierpki i szalony o to szczęście, które innemu komuś nic nie znaczy, a tobie znaczy wszystko!

Potem radzić zaczęła Lenora.

Mocna, silna i gładka, osiadła w chwytkich objęciach Tadeusza, jak utoczony kamień ozdoby jakiejś w splotach bronzu.

Umilkli.

Trzymając Lenorkę na podołku, ukazał jej Tadeusz zielonego kogutka.

Darł się na deszcz, czy co?

Słuchali, zapatrzeni w okno.

Cóż stąd widać?

Stare gnaty płotu, a dalej kartoflisko rozkopane już dawno, a dalej ściany piętrowego domku.

Wszystko razem — jest szczęście.

Całą duszą przycichli. Przycichli, — jakby już nigdy więcej słowa wyrzec nie mieli.

Aż tu szum-bur od drzwi i drepty, czochranina i zamek sam odskoczył?!

I kto tu znów pośpiesza?

Buruś, piesek kochany, który zawsze wyczuje swoją panią. Widział chyba, jak biegła z Erazma przez Zielone, słowami brata, Dusia Jana oślepiona, — że Tadek u niego dziś nocował, — widział Buruś te biegi, widział, więc sam przyleciał, — świadczyć. Przyleciał tu — za drużbę!

Gołębie srebrną zadrą, poblaskiem, cieniem wilgotnym jeszcze raz przeminęły za szybami: Lenora głowę schowała na piersiach Tadeusza z śmiechem radości, — że rozległo się wokół, — jak źródło.

Ileż to było pomiędzy niemi takich pierwszych dni? Niewiele, czy też dużo, nikt tego nie potrafi zrachować. Mieli zaraz ogromne kłopoty i jakże je ominąć?

A to z przyjęciem na kopalnię, a to znów, żeby paszport wymyślić fałszywy, a to znów, żeby ludzie nie poznali, — lecz kto tam kogo szukać będzie coprawda, w kopalnianych zamętach?

Do tych spraw najzdatniejszy okazał się i najwydatniej przyczynił się portjer Supernak. Szedł przecie razem z Dusiem w sprawach organizacji.

Podali, wymyślili, wynaleźli paszport, oraz foto podobne.

Duś rzekł, — przypatrzysz się, porobisz i sam wszystko zrozumiesz.

Odbyło się tak dalece szczęśliwie, — w czem niemało głowy Supernaka, — że nawet do doktora nie wiedli Tadeusza, z pieczątką na ramieniu, — tak bowiem przyjmowali na Erazmie, by w ludziach pieczętowanych podstawiania nie było i fałszerstwa.

Zamieszał się Tadeusz w erazmowskich górników gładko i bez śladu, z nazwiskiem, — Mieniuk.

Podczas gdy serce Lenory w ciemnym huku i jazgotliwych zgryzach czarnej sortowni drżało mocniej chyba niż ten wywrót żelazny, który tu wózki przyjmuje i węgiel z nich na ruszty sypie!

Ów wywrót w środku wysokiej sortowni, niby huczący tron, otoczony powierzchnią wyślizganych bonów, jak lodem połyskliwym. Od wywrotu do góry i wdół jakoby nogi i ramiona i ręce i przewody i czarne kiszki rozciągniętego wzdłuż i wpoprzek gada, — przędą się rozmaite przekładnie, ruszty, koryta wszelkie, przewody, rozdzielające węgiel.

Serce Lenory drży mocniej, niż wszystkie owe ruszty i wszytkie łoża blachy, — czy Tadeusz wytrzymie?

Poprawił ją tu kiedyś, — czy wytrzymam?

Czy jej Tadek wytrzymie?...

Którędyż to, kłórędy tutaj, myśli Lenorki nie ścigały tego miłego Tadka. Ścigały go po szklannym korytarzu, co wiedzie wagoniki na łańcuchach ruchomych przez podłogę, od nadszybia aż tu. A gdy znów która z koleżanek odczepi już wagonik pierwszy z idącego naprzód rzędu i popycha przez metalowe bona i zakręca i z śliskich szyn wybija i ramieniem popiera, —

uszy Lenory słyszały tego Tadka w potężnych grzmotach bona:

Jak Tadek woła — nie!!! — Jak Tadek woła — nie!

A kiedy sama Lenorka czuwała przy wywrocie: Gdy już ten dźwig przechylić trzeba przy każdym z korytarza wytoczonym wózku, serce mdlało jej w piersiach. Na tę myśl, godną najśliczniejszych, najłagodniejszych śpiewów: Że tu z głębiny ziemskiej z tych czarnych korytarzów wyjeżdża znów aż tu, gdzieś pośród wozów którychś ta miłość tego Tadka, do tych węgli przylepła, pokruszona, w dotyku tych odłamów zagubiona, a przecie żywa, własna i obecna!

Węgiel spadał z przewrotu, szarpnięty sprawą hebra leciał ostatnim kurzem, ostatnim dechem głębin ziemskich zaprószył znów powietrze a potem w biegu rusztów niby różnorakiego kształtu czarną głową potrząsał i potrząsał na rusztach.

Jakby myślał i radził. Tak radził, — bardzo wielce i straszliwie. Na wszystkich wyniesieniach, garbach, przez wszystkie swoje piętra ruchomy, tarty, łamany, aż nawet tam, gdzie spadała drobizna, miękka, lotna pospółka, wszędzie i wszędzie wielką i małą kostką, orzechem jednym, drugim, trzecim i najmniejszym grysikiem doradzał, — nie i nie!

Że nie i nie — i nie!!!

Że nie — i nie i nie!

Wtedy starości zachciewało się Lenorce na tę tu jedną chwilę taką i już na wszystkie wieki. Starości niemej, którą miała tu zaraz u stóp. Głowę tylko przechylić nad zapadnię ruchomego wywrotu i już widzisz,

jak to pod tobą właśnie na dolnem, niskiem piętrze, pod huczącemi blachami wyślizganego bona stoją jedna przy drugiej stare zwiędłe kobiety, przegrodą oddzielone, jakoby konie w stajni.

Tych kobiet właśnie tyczy się tu przegroda, by z sobą nie gadały, gdy na jadących z węglem rusztach ów przerost wybierają.

Więcej nic, — tylko starość. Nie gadaj, — milcz — przez piersi ostatnia stara chustka, wybieraj, co się nigdy, nigdzie nikomu nie zda.

Lecz gdy gwałtowny węgiel zagadał nagle z wywrotu — swoje tak!?!

Tak i tak!

Gdy nagle zaczął w strasznych terkotach wszystkich żelaznych transporterów swoje *tak* przepowiadać, — do tej prostej miłości, — swoje tak!

Od miękkich, błogich cieni wagonów towarowych, co podstawione czerpią z czarnych boków sortowni, od koszów z ogniem małym, co grzeją kurki i sprężyny zbiorników na węgiel, aż po dalekie fioletowe trójkąty wieży wyciągowej przez wszystek czarny dygot rozkruszonych tu, — żywych ludów węglenych!...

Przez twarz Lenory od rozprysków spadającego węgla skrwawioną i pobladłą i aż perłową ze szczęścia leciał krzyk niesłyszany, wszelką nadzieją wsparty:

Cóż tu starość? O młodości, młodości, jedna jedyna, ciepła, świeża i spocona!

O młodości, — młodości!!

Wtedy Lenorka ustać już w miejscu nie mogła i już

wiedziała w sobie, że gdzieś tu jakoś, niezadługo zjawi się ten jej Tadek.

Ustać na miejscu nie mogła. Wtedy zmieniały się choćby z biedną Karolcią Domagało, dla której miejsce tu na zimę u Stasiaka zjednała.

— Czyż nie lżej przy wywrocie? A chodźże tu, Karolka, to ci tu będzie lżej!

Domagało waruje przy dźwigu a Lenora w te pędy do wózków, jadących od nadszybia z szklannego korytarza: Gdyż to jest może jego węgiel, — Tadka! Więc odczepić haczykiem z łańcucha. Więc uwiesić się obrotem postaci. Która jest *jego!* Więc zatoczyć tym wózkiem ku przodowi. Więc od toczenia tego napiąć mocno brzuch. Który jest jego! Więc głową i ramieniem i obydwu piersiami, — które są jego, — pchnąć i skoczyć z tym wózkiem przez bona, jak po lodzie, ty, — młodości, młodości i młodości!

Takie przeczucia są zawsze nieomylne: Gdy tak latała musiał jej Tadek nadejść. Czy godziny latała, czy minuty — nadchodził wreszcie.

Kryli się wtedy w tem warkoczącem piekle, uczynionem ze śruby, hałasu, kurzu, czarnej pustki i szkła.

Gdzie bądź, — to jedno słowo, — gdzie bądź!

We dwoje, — czarni i spoceni od pracy, z ustami które błyszczą, z oczami co się szklą.

Lenorka — takie szczęście, — cieszyła się! Przynosił jej coś zawsze, niby że na pamiątkę. Ze swego przodka górniczego. Naprzykład — białą pianę grzybków, co rosną na dole wśród drzewa odbudowy.

Białe, puszyste — nic.

Albo znów przyniósł jej na rękę, tak zwaną wśród górników i wszelakiej pomocy górniczej i wszędzie tutaj na kopalniach, — łapkę skórzaną. Wykrojoną ze skóry oficerskich rajtuzów, która to skóra brała udział w tylu wojnach i bitwach.

Taki dar.

By nie łapała ręką kantów, jak dotąd, przez szczupłą garstkę siana.

— Żeby ci węgiel czarnem sianem z dłoni nie wyrastał!

Tak oto przyoszczędzić chciał jej ciała.

Włazili tu wysoko, gdzieś pod sufit, na stosy odrzuconych, potarganych przez windę wagoników. Działo się, ma się rozumieć, podczas przerwy w pracy gdy szyb stanął i sortownia czekała na nowe wydobycie.

Szemrali tu, Tadeusz zwierzał się ze swej radości, którą zrozumieć trudno, lecz czegoż nie zrozumie serce?

Radość taka, choć dziwna: Iż teraz znowu dopiero wie, dlaczego żyje, gdy znów, jako na wojnie o ćwierć sekundy, czyli o jeden włos wpobliżu śmierci chadza. Jak tam robią na przodku u starego Martyzela. I co to jest olunek na stemplu, a co znów kapa. I jak wózki zapychają na pomost, który się zowie szczur — co wyjeżdża z czarnych głębin pochylni.

Szczur.

Jak wskoczyć trzeba z chodnika z wózkiem razem przez odwrócony bigiel na ów pomost. Nad śmiertelną przepaścią. A później znów na szczura tego zapchać inne wózki. W niebezpieczeństwie życia. I że tam wszyscy ludzie tacy głodni. I że w tych ludziach ma

Tadek taką wielką przyjemność. Gdyż śmierci z nimi smakuje co krok. A to znów przystaje zawsze żołnierzowi i składa dowód takiej zdrowotności.

— Cóż za życie bez śmierci? — powiedz tylko, Lenorka?!

Taka zdrowotność: Że z Leonory i z Tadka, gdzieś w kącie wózka, wysoko, pod szklannemi łatami sortowni wiązało się spojone zawiniątko.

Że słów nie znajdowali nawet!

Aż w uściskach tych odnachodziła Lenora przebaczenie za to, że w tej samej sortowni hańbiła się z Stasiakiem.

Cóżby się nie zmieściło w tak gorącej miłości, jaka wina i grzech?!

Czyż tu nie można zapomnieć o całym bożym świecie? I o tych wszystkich wiecach, naradach, strejkach, co wałkują się teraz wszędzie między ludźmi?! I o tem że u Szymczyków płacz, a znów u Supernaków śmierć już prawie, a u Martyzelów jeno swary i swary i to najgorsze: Ciche, — wszędzie głód?!

Któregoś dnia takiego, zachwyconego bardzo i szczęśliwego zdybał ją i obsztorcował organizacyjnie, stary portjer, Supernak.

W duchu następującym: Gdy tu wszystko teraz do strejku prze, nie czas na same tylko takie oto miłostki. Wszędzie ma być klasowy cel prawdziwy w walce, w społecznem życiu i w życiu jednostki.

Stary pies, kat śmiał taką rzecz powiedzieć.

Nie o kata tu jednak chodziło i nie o powiedzenie, a o rzecz.

Lenorką, jak tam stała w portjerce uwędzonej, zatrzęsło od stóp do głów. Potem ścisnęło w dołku obrazą, jak nigdy. Odrzekła krótko:

— Plunę ci między ślepia, że zobaczysz! — i poszła. Z burym płomieniem w wielkich szarych źrenicach.

Dowiedział się z tego Supernak, że nie wszystko jest pewne z leaderowskim młokosem i jeżeliby tu miała być prawdziwie zręczna prowokacja, to już nie od tej strony. Dyrektor „wsiej" administracji Coeur mówił niedawno — takiego Mieniewskiego wpuścić za fałszywem nazwiskiem na kopalnię i milczeć. I zapiszcie mi go do organizacji.

Ale nic tu nie będzie od tej strony — chociaż mówił sam Coeur.

Pracować z Coeurem, nie jest to samo co pracować z Kostryniem i, jak się mówi na wiecach, czy zebraniach, — nie przelewki! Będzie z tobą taki Coeur niby gadał, jak z bratem, ale ci w karku trzeszczeć musi od zginania, a oczy na wierzch wyjdą, — tak trzeba wyrozumieć!

Prawdziwy człowiek!... Takiego trzeba zawsze przy tych sprawach kopalnianych.

Gdy wypadało Supernakowi, jako naprzykład dziś, meldować się u Coeura, to już od popołudnia z wielkiego poruszenia — czkał. Rzekomo nawet nie on sam i z żadnej strawy a coś za niego czkało, — samo.

I czyścił się i golił i mył skwapliwie i przeodziewał się zamknięty w muzeju i kapelusz z bibułek odwijał i nie mógł się doczekać tej godziny.

Gdy już przyszła, czy choćby tylko nadchodziła

stopniowo, skradał się cicho. Nie szedł a skradał się z pomiędzy zarośniętych wieczną rzęsą stawów i innych wód Zielonego, mimo więzienia, które łajnami więźniów na odległość cuchnie, i dalej, prędzej mimo zgiełkliwych baraków pokozackich ku miastu.

A dalej znów przez miasto.

Szedł ulicami Osady Górniczej w taki dzień swej bytności u Coeura, — jak sprawiedliwy sędzia. Cały główny nastawnik nad wszystkiem.

Erazma przy spacerku takim mijał zdaleka, obchodził, krążył, mocno, mocno kołował i zachodził nareszcie od całkiem innej strony.

Przy kępce topoli, — podrosły już od tego czasu, — przy kępce, nad białym domkiem sztygara, zaraz wedle zakrętu stojącej, — zawsze tu powracało portjerowi, jak poznali się z Coeurem na dobre. Gdy szedł do dyrektora pierwszy raz, patrzył na ową kępkę drzew przerażony. Szedł przecie wtedy z opuchniętą twarzą, zaraz po tem pobiciu sławnem przez Coeura o pretensje inwalidzkie.

Udawał się prywatnie do pałacu, zawezwany przez onego sztygara.

Takie to były chwile, dziwnie straszne: Więc ten dom pilnowany zewsząd, więc te drzwi, więc te sale i światła i wielka pięknie urządzona pustka, blaskami oświetlona.

Cały muzej z tem tylko, że już nic w nim niema, tylko blask i sam blask!

Więc na górę — i nic i jeszcze cisza, Coeura jeszcze nie widać, dopiero w dalszym pokoju jakieś ruchy.

Wtedy to tam na progu, — z czego?! Z rozumu, strachu, czy innego dopustu rzekł portjer zapuchniętą gębą, — niech będzie pochwalony, — i tak to już pomiędzy nim a Coeurem pozostało.

I wtedy zmówili się, chyba że już na zawsze. Płaca była od Coeura niewielka, — Kostryń od siebie płacił znacznie więcej. Lecz gdzież ten zaszczyt przy Kostryniu? Zaszczyt od którego chyba aż po drewnianej nodze ciarki szły!

Gdy wszedł tu dziś Supernak, zawezwany na ścisłą minutę, pierwsze, co zrobił, — oczyma strzygnął po wszystkiem, czy niema jakiej zmiany? Nie chciał tu zmian, — broń Boże — żadnych. Gdy córka Kostrynia pętać się tu poczęła, uważał nadewszystko, co do zmian.

Żadnych nie sprowadziła.

U takiego mocodawcy, jak Coeur, winno już być, jak w wojsku, czy w kościele: Żadnych zmian.

Dziś też żadnych nie zastał, — czyli wszystko uczciwie, — po staremu.

Na górę poszedł do Coeura, cały w kłapiącym mrozie. W żadne tam nic nie wierzył, co uczą, prorokują różni księża i nie księża. Ale szedł tu, jak nigdzie nie chadzał, ani do kanonika nawet:

W radości i w rozpaczy posłuszeństwa... Spłakać się chyba od tego i powiesić. Paliło się też w myślach portjera: Że odzież nie taka, jak powinna, i ciało jest nie takie i postawa i wszystko. Ani krok!

Krok za głośny a ma być delikatny.

Jakby tu wciąż szło za Supernakiem jego własne

odbicie lepsze, gorsze, czy jakie a nigdy nie złowione. Niby nie jeden, a dwóch Supernaków, lecz obaj niewłaściwi!

Tak przyszedł przed firankę i o ścisłej minucie nacisnął drzwi do gabinetu.

Nic.

Wszedł. Dymu z cygara więcej, niż zwyczajnie. Zresztą, — nic.

Coeur za biurkiem, plecami odwrócony.

Serce biło portjerowi ogromnie z tak wielkiego zaszczytu. Śmignął skrycie spojrzeniem po pokoju, na jedno ważne, najważniejsze, — czy jest przygotowane?

Było.

Rozkwitła od tego w Supernaku zgoda najserdeczniejsza.

Było: Taca srebrna u skraju biurka. Na tacy butelka koniaku. Dwa nalane kieliszki. Zaraz obok, na spodku, jakiesiś ciastka, niespotkane tu nigdzie, francuskie pewno. Ukosem zaś przez tacę cygaro.

Zaszczyt.

Coeur, — nic.

Jaki będzie porządek widzenia — wiadomo. Stanąłeś, masz powiedzieć i donieść, jeżeli co ważnego. Nie trociny i śmieci, — lecz ważnego. Które nie było dotąd wyjawione. Nie to, co inni wiedzą i już powiedzieli. Zdać tu, co nie wie Kostryń i nie wymyszkowały dotąd nigdzie jeszcze francuzy, ani żadne sztygary.

Nie to, co tu przypływa z policji. Ma być nowe i świeże.

Broń Boże — żadnych pytań.

Supernak zaczął, jak zawsze rozpoczynał: — Niech będzie pochwalony.

Cóeur potrząsnął swą dłonią nad czołem, jakgdyby zganiał muchę uprzykrzoną.

Potem zwrócił się nagle wraz z całym swym fotelem skórzanym i popatrzył w oczy Supernaka. Kolorowemi źrenicami, bronzowemi. Ciepłemi i gęstemi, jak upalony cukier.

Cukier.

Taki to cukier najdziwniejszy, przez ślepnące niejako oczy Supernaka wpływał, wnikał i patrzył.

Palił.

— No więc tak, — zeznawał portjer, gdyż jak tu mówisz, to nie mówisz a zeznajesz, — teraz musi nastąpić zakłócenie porządku publicznego. Zakłócenie, wtedy zaś prowodyrów pod klucz. I wtedy wszystko można. Zakłócenie porządku publicznego z socjalistami i z komuną, oraz przy współudziale nowej wiary kapłana księdza Kani nastąpi na pogrzebie mojej żony?!...

Pan dyrektor Coeur ruszył lekko ramieniem. Jednem tylko. Lekko, — a takim jednym ruchem ramienia ileż tu mógł wyważyć, ile podnieść, czy zburzyć?!

— Więc można, — spytał, nie odwracając się do Supernaka, — żeby już poszły takie sprawy religijne?

— Och, można, panie dyrektorze, och, — już można!

— Kiedyż umarła wasza żona?

— Jeszcze wcale — zeznał Supernak. — Teraz dopiero umrze.

— No, jakto, — jakto teraz?

— Jak długo Kasa Chorych łożyła, to żona chorowała. Ale przecie już minęło tych piętnaście tygodni.

— No więc cóż?

— Więc to będzie w samą porę, — jeśli trzeba.

— Co jej jest?

— Suchoty, proszę łaski pana dyrektora. — Supernak rozpłakał się głośno i uroczyście.

Coeur machnął ręką.

Płacz ustał.

Popatrzyli sobie w oczy dobrotliwie: Taki ogromny zaszczyt.

Coeur wstał, lecz nie mógł jeszcze dobrze utrzymać się z powodu potłuczonej nogi.

Supernak podbiegł żwawo i podparł zaszczytną postać swą ręką jedyną.

Gdybyż to mógł podtrzymać jeszcze drugą ręką. Lecz tylko chwiał się po niej pusty rękaw.

Coeur wskazał na tacę z konjakiem.

Wypili.

Czoło Supernaka operliło się potem.

Coeur wetknął portjerowi cygaro do kieszeni surduta. Następnie zaś, jakby z postumentu ścierał kurz — tak wodził ciężką grubą dłonią po siwych włosach Supernaka.

Portjera przygięło do ziemi. Nie strach, ani też wdzięczność, lecz samo zrozumienie: W podobny sposób może tutaj dotykać kogoś, w całej Osadzie Górniczej tylko — prawdziwy człowiek.

4

ŚWIĘTA PROLETARJATU

Niczego nie spodziewała się już więcej. Bo i czegoż? Supernaczka uśmiechnęła się do księdza Kani, — można powiedzieć, — całem swem życiem.

Jakie ta wkońcu, czy dobre, czy złe, — cóż to komu przeszkadza?

Całem życiem uśmiechnęła się z pośród wymiętej pościeli: By ksiądz nie odchodził jeszcze.

Musiał już odejść i ileż tu miał siedzieć? Do kiedy?

Znajdował dla niej zawsze dobre rady; a to w krwotoku wywar pokrzywy; albo z rdestu, albo też z jemioły. Huśtać się dla wietrzenia pęcherzyków płucnych, — co tak pięknie objaśniał, — dawno już nie mogła, bo ją mdliło na huśtawce.

Więc — żeby na wypadek krwotoku wiązać ramiona i uda, w połowie, dla tamowania dopływu krwi żylnej.

Teraz musiał już odejść.

Stał nad nią, przy łóżku i przypatrywał się — oczami samej dobroci.

Jakgdyby byli we dwoje, — na górze Synaj, albo

przy Krzaku Gorejącym, albo gdzie, w jakimś świętym testamencie.

Sami, sami, — bez Supernaka, który czekał pod piecem.

Supernaczka zakończyła swe prośby tyle już razy ponawiane. Dziś mówiła przy mężu, — więc przy świadku.

Supernak nie odpowiadał wcale.

Kończyła dziś te prośby, ledwie słyszalnym szeptem.

Lecz rzeczy, ledwie już dosłyszalne to mają w sobie, że wszystko dookoła nich zmilknie.

Prosiła natarczywie, ile tylko tchu w piersiach pozostało o ten chrzest w nowej wierze. Dla swego życia tutejszego i dla wiecznego chyba?! A na wypadek, — co objaśniła jedynej przyjaciółce Martyzelce, — a na wypadek śmierci, żeby ją grzebał ksiądz Kania.

Wyłącznie.

Mówiąc te słowa, patrzyła w księdza, jak w tęczę, gdyby tęcza mogła być wielką, czarną figurą, pełną łaski, dobroci i najlepszej pociechy.

Ksiądz Kania zdecydował ostatecznie. Nie raz i nie dwa lecieli mu już ludzie przez ręce, zlani śmiertelnym potem. Jeżeli prośby dotąd nie wykonał, to tylko, gdyż wykonać tutaj pragnął po dobroci i z przekonania wszystkich. Czekał więc, aż się skruszy Supernak, który choć niby teraz taki niezależny od wszelakich przesądów, komunista, — coś kręcił, zamazywał, — bał się?

Ksiądz Kania pragnął, by sprawa odbyła się z świadkami, uroczyście i szczerze.

Ustał szept Supernaczki. Takiej oto łazarki współ-

czesnej i czemże gorszej od tylu innych świętych żeńskich, czyli też figur i postaci kobiecego cierpienia pośród wieków?!

Ksiądz zwrócił się do Supernaka obrotem godnym a milczącym, jaki był dany chyba tylko Kani na całym bożym świecie.

Obrotem, — na który cieszyło się chyba powietrze tego miejsca, chwili i wszelkiego udręczenia.

Supernak w cieniu szafy, jakgdyby docna się rozpłynął, — tak milczał.

Więc zapadło milczenie ogólne.

Co się obok przez sień działo u Szymczyków, niewiadomo, oczywiście. Więc stamtąd ani śladu głosu. I ani śladu jakiegoś poruszenia.

Wiadomo zresztą, że nie mieli co jeść.

Buruś który mieszkał tutaj i myszkował powszędy, wyleciał gdzieś z Lenorą. A dzieci Supernaków na wstawiennictwo lekarskie księdza Kani oddali portjerzy na te dnie do sąsiadów.

Milczenie zapadło nieprzerwane. Jeszcze wyraźniej błyszczały w niem na stole dwie brunatne butelki piwa, które ksiądz przyniósł chorej dla ugaszenia pragnienia i na sen i niby dla ochłody, przedewszystkiem zaś z wielkiej dobroci, nigdy dość ocenionej.

Milczenie takie, jakby tu wcale ludzi nie było w izbie.

Na dworze inna sprawa, — tętniły głosy, jakie chciały. Tutejsze mocne, krwawe i żelazne odgłosy pracy wśród rozszarpanych chmur.

Prawował się z głosami temi wiatr zimowy, który

ściąga i ciśnie i przewraca i o każdej ludzkiej biedzie tak srogo pamięta.

Zielona umbra wciąż drygała na lampie.

W milczenie owo wpłynął szept Supernaczki.

Że: — Gdyby nawet co, albo tam jakieś opóźnienie, albo co! To proszę księdza, byście mnie pochowali w nowym narodowym obrządku. Nanic się zdało moje ciało za życia, niech się przyda po śmierci.

Dlaczego ów obrządek zowie się narodowym, nie rozumiała Supernaczka. Ani też wcale nie wierzyła, by już nadchodził czas owego pochowku. Mówione o tem było, aby się właśnie nie sprawdzało. Jedynie dla zamówki. Przystawała do narodowców, gdyż doznała tu wielkiej dobroci. Więc, żeby swoją śmiercią wskazać na ową dobroć.

Łzy popłynęły chorej z oczu wielkie i rzęsiste, aż ślady zaświeciły na policzkach.

Ksiądz pochylił się nad żoną portjera i złożył ręce na jej głowie. Czuł pod palcami swemi skudlone włosy tej kobiety, mokre od śmiertelnego potu. Lecz czuł zarazem, jakoby pod włosami, pod skórą i pod kością tej, zaprawdę, — świętej proletarjatu, — żałosny ogień tworzenia się wiecznego.

W takiej chwili ksiądz Kania wiedział znów najdokładniej, i dokładniej, niż gdy katechizm nowej wiary spisywał i obrządki układał i walki, znoje i cierpienia przewidywał — dlaczego rzucił dobrą, intratną plebanję, pogryzł się z konsystorzem, na klątwę się naraził i wzgardził wszystkiem innem: Tyle najlepszej dumy

człowieczej zagrało mu w piersiach i gdzież to wyżej jeszcze może się człowiek wznieść?!

Gdy wyszli z Supernakiem i stanęli na progu chaty w obliczu nocy tutejszej, światłami bolejącej, głosami roztarganej, wśród wiatru zimowego zbłądzonej, przyciągnął portjera do siebie jak najbliżej i rzekł w samo ucho:

— Toż to, człowieku, jest prawdziwa święta!

Supernak walnął się pięścią w piersi i zapłakał.

Rozstali się nakoniec z tem, że jutro a najdalej pojutrze ksiądz przeprowadzi chorą uroczyście na łono nowej wiary.

— Zostawił piwo, dwie butelki, — rzekł Supernak wróciwszy do mieszkania.

Wiedziała przecie Supernaczka o tych butelkach i dziękowała za nie. Więc teraz oczu nawet nie otwarła, by sobie nie psuć — swojego snu o piwie.

Czy to był sen, czyli też przypomnienie, czy też jawa, ożywająca z przepływu zatraconych już lat?!

Dawno, tak dawno, za młodych, dobrych, służącowskich czasów była z swem państwem kiedyś na wycieczce. W Ojcowie. Rozliczne państwo zjechało i podwieczorek jadło pod skałami, — skały, skały liściaste, pod niebem. I piło wiele piwa, a butelki — o skałę. Brzdęk — i brzdęk!

Wszyscy pragnęli pić i potłuczone szkło sypało się, jak lód.

Potem dali służącym, na każdą po butelce.

Co się tam dzieje teraz z temi koleżankami?!

Na każdą wypadło po butelce i każda, która już

wypiła, — jeno dalej od państwa, — swoją butelkę tłukła o te skały. I znów prószyło tym utłuczonym szklanym lodem.

A gdy ona rzuciła, Supernaczka, — choć się wtedy nie znali jeszcze z Supernakiem, — butelka wyśliznęła się z rąk i żywcem, cała, nierozbita, upadła na murawę.

Na płacz zebrało się wtedy Supernaczce. I tak to już przebyło od tego czasu, że ile razy słychać, jak chłopcy pod drzewami stacyjnemi wykrzykują — piwo, piwo, piwo... Czy na zabawie jakiej, czy gdzie — zaraz masz w oczach łzy.

Piwo, piwo, — i płacz. Piwo, piwo, — i płacz.

Supernak przeniósł lampę z zielonym kloszem ostrożnie do muzeju.

Widać stąd cały muzej przez drzwi: błyszczy się i świeci. Obrazy w złotych ramach, wiszące pięknie lustro i metalowe gałki jakiegoś sprzętu, który tam stoi w muzeju na najgłówniejszem miejscu.

Widać przez uchylone drzwi ten muzej — dowód całego życia.

A znów tutaj, przez okno, widać księżyc, — jak płynie w białych, fryzowanych chmurach, niby w czyściutkich, pięknych, białych kapuścianych liściach.

Myślenie o kapuście było nad wszelkie siły Supernaczki. Nie skończyła z Szymczykową zakwasić na zimę, — i tak wszystko zostało. Nie będą miały kapusty a portjer węgla jeszcze nie wydostał, ani kartofli.

Na wspomnienie kartofli wywróciło się nagle wszystko

i rozpadło, roztrzęsło, rozleciało, — zostały tylko dzieci na tem miejscu, — jak ssą tę matkę i ssą, po piersiach gryzą a ona ich od piersi nie odstawia, by znowu w ciążę nie zajść, — trzy lata mają prawie a wciąż ssą. Gonią ją, gonią, gonią, — ona ucieka w bezradzie, — aż tu oto przypadła do łóżka i takie ma wygody długie za tę śmierć.

A kto tam dba, a kto tam dba, jak ty się matko z dziećmi swoimi popychasz?

Nikt i nikt. Nikt — choć tylu przełazi zawsze w każdą stronę, jak dzisiaj tu przełażą, jak ich tu widzi teraz, że się schodzą znowu na zebranie. Na zebrania i prace i zebrania, — a kto tam dba?

Widziała ich na jawie, a zarazem jak we śnie:

Jednem słowem: Mężczyzny.

Pierwszy przeszedł przez izbę Szymczyk. Nie spojrzał w stronę łóżka i wszedł do muzeju.

Czemuż to jej tu nie bronili wcale?!

Za Szymczykiem Sikora, chłop uparty i głupi. Potem zaś znowu razem Machnik i Pstrokoński, uczniowie księdza Kani.

Jeden Kania, obrońca, — jeden Kania!!

I znów inni.

Między nimi Martyzel. Chłopisko wątłe, kobietą swoją utrapione.

Martyzel znalazł się tu, jako ścisły sympatyk, ścisły i bardzo ścisły, gdyż zebranie dzisiejsze było z delegatem okręgowym.

Przybyło ich tu sporo, w tej liczbie dwie „komórki“.

Zasiedli, jak kto mógł, — i wiadomo, jak zaczną.

Skłonili głowy, obcisnęła ich najcichsza cisza i wyszły z tego twarde słowa Dusia na cześć tych, co za kratami więzień jęczą.

Taka była jedyna w całem życiu modlitwa sygnalisty: Nazwiska towarzyszy miedzianem obliczem wymienione, z oczyma pełnią światła utkwionemi w mroki szyby okiennej.

Gdy nazwiska owe wskroś izby przemijały, zredukowany palacz Szymczyk całem sercem zastawiał się za prawdę wszystkich ugniecionych, — stąd, z Zielonego aż po wszystkie krańce. Zastawiał się tak szczerze, że już nawet o kotłowni nie myślał, ani o synu z powierzchni erazmowskiej wygnanym, ani nawet o rękach swoich przez dyrektora Coeura rozduszonych.

Delegat okręgowy, wypchany po kieszeniach papierami, skłonił też głowę, jakoby starszy dziekan, przy którym młodzi diakoni celebrują.

Martyzel zaś podsunął się i w pół ruchu zawrócił: Znane mu było przecie to wszystko, jak żadnemu innemu i uczył się, studjował z wszystkich oryginałów tę rachunkową wiedzę socjologji. Że to sięga jeszcze czasów ucieczki Żydów z Egiptu. Albo też czasów znacznie wcześniejszych samego Babilonu, od którego przyjęli Żydzi dzień sabatu, jako tygodniowego święta pracy, ogromnie przemysłowych centrów babilońskich. Że to wszystko kiełkuje w pomroce obyczaju ludzkiego, w instytucji patrjarchatu, który wiódł do prywatnego posiadania i we wcześniejszym jeszcze matrjarchacie, który był władaniem zbiorowem, czyli komunistycznem. I jak to dalej szło przez wszystkie niewole człowieka,

Greków, Rzymian i ciemnego średniowiecza, pańszczyzny, aż do samej istoty strejku. Znaną mu była ta istota pod różnemi postaciami, w odniesieniu do zaprzestania wytwórczości, lub też do walki o wyższą płacę robotniczą.

I ów okrzyk głupi, że z wyższą płacą zawsze drożyzna wzrośnie! A tymczasem zagadnienie jest odmienne; że lepszej maszyny nie wprowadzą, póki pracy należycie nie ocenią. Czyli, — strejk narzędziem postępu wytwórczości!

I jaka też ma być zasada kolektywnej solidarności, gdzie poszczególny robotnik jest jurystyczną fikcją, a znaczy tylko kolektywność robotnicza, która uprzednio za każdego warunki umowy ustanowiła przez się.

Ileż to, ileż mądrości takich natkał w siebie z wszystkich wielojęzycznych, grubych oryginałów?! Lecz życie samo doniosło mu przebiegiem swoich lat taką nowość okrutną, od której nie mógł się już w własnych latach opędzić: Że cóż tam zdobycz taka, czy owaka, którą się wywalczyło? Już inni ją chwytają, a ci którzy walczyli, muszą rozminąć się ze szczęściem życia i z owocem zwycięstwa. A co znów wywalczone, spóźnionem okazuje się w świeżych krokach wiecznego postępu człowieczego.

Więc takie opóźnienie, zabłąkanie, więc takie rozmieszczenie przewrotne jednostki ze swym losem zbiorowym?!

Gdy ciężka twarda modlitwa Dusia, o tych co za kratami, — przeminęła, gdy niewiadomy delegat okręgowy, papierami wypchany, rozpoczął sytuację światową

jak świat ten pali się i rozlatuje i już kruszeje Anglja i już się Ameryka złotem własnem zdławiła, a co Chiny, a co murzyni i wszystkie czarne ludy i jakie w każdej rosyjskiej wsi pędzą elektryfikacje, — Martyzel schmurzył się wielce:

O straszliwą potrzebę takich prawd a zarazem zupełną niepotrzebę. Najwięcej zaś o ucznia swego, młodego Dusia, który płonął do tych poglądów każdem włóknem ciała i każdem drgnieniem myśli.

Jakże to drżał ów Duś, gdy przyszła mowa o świecie, co się rozpada, jakąż to sycił w sobie nienawiść upragnioną! Więc tak się obracały stare nauki w młodym uczniu? Zdjął Martyzela wielki najszczerszy żal, iż nic obrotom takim przeciwstawić nie zdoła.

Na nowość i na krew, jaką kto znajdzie radę?!

Gdy doszli do miejscowej sytuacji, która jest w porównaniu z wielkim poruchem świata nic — i sama w ten ów poruch zaskoczy wprost automatycznie, — lecz która dla tych tutaj żyjących jest wszystkiem, — znaleźli się we właściwym wymiarze.

Więc, — jakoby w dolinie bez wyjścia.

Zapadła wielka cisza.

Nikt nie słyszał, że otwarły się w zimowym przeciągu drzwi muzeju. Oraz, że znów terkoce uczenie i bardzo praktycznie delegat okręgowy. I nie widzieli nawet, jak twarz okręgowego delegata ciemna, jakosiś zasadniczo przełamana, okryła się perlistym potem.

Gdyż tu trza było samemu wyjść, nazwisko imię i lata swe położyć i los zaryzykować i wszelką pracę zerwać?!

Więc taka cisza trwa nie tylko jedną minutę i nie dwie.

Wypowiedział się pierwszy Supernak. Stopniowo i dosadnie, — aż pobledli wszyscy od tej prostej przemowy.

Wypowiedział się nader ofiarnem zrozumieniem krzywdy proletarjatu:

— Rozszerzenie nastroju rewolucji, towarzysze, — zaczął. Przemawiają tu do was w tym względzie rany i to kalectwo w pracy nabawione. Rozszerzenie nastroju rewolucji. Te rzeczy są wiadome. Ale, — jak? Ale, — kiedy? No więc wzburzenie podstaw wszelkich. I zbuntowanie stojącej, przegniłej zgody klasy robotniczej. W danym rozruchu, wywieszony następnie sztandar komunistyczny. Trzeba tu występować znienacka, gdy się nikt nie spodziewa. Więc mówię: Atak cały musi iść przez Kanię. Od tej strony, gdzie nikt nie oczekuje. Więc w tym wypadku moje życie prywatne, familijne składam na potrzebę partji.

Żywemi słowy wyłuszczył swą intrygę: Żona już w tych dniach umrze, gdyż na godziny tylko jej życie obliczają. Tu wystąpi ksiądz Kania. Ujawni się, jako dziś sam to święcie przyobiecał. Trzeba sprawić, by na pogrzebie tym spotkały się oba obrządki. A znów, jako dla dawnego towarzysza przyjdą też wcale licznie socjaliści... Więc — niech się wypowiedzą wtedy, — bez pomocy policji, przy okazji takiej walki obrządków.

— Każdy daje, co ma, — zakończył portjer, spozierając na Pstrokońskiego i Machnika: O których wie-

dział cicho, przez dyrektora Kostrynia, że pochamrani są z panem Kapuścikiem.

Którzy też gęby wykrzywili, niby z powagi, a tymczasem — szklanne oko Pstrokońskiego łysnęło blaskiem śliny.

Najczystszym blaskiem zdrady!

Duś zmarszczył brwi: Wierzył w uczciwe serce Kani. Poświęcało się tego pracownika, lecz jakież może być za małe poświęcenie w walce proletarjatu?!

Martyzel, — jak Martyzel: W pierwszej chwili pozazdrościł. Pozazdrościł temu oto ciemnemu człowiekowi, Supernakowi, że nie wie, nie rozumie, a zawsze tak wymyśleć zdoła, iż rzecz naprzód posunie.

Poczem zawahał się starszy górnik całym swym ludzkim, utrapionym sensem: Pomiędzy żoną swoją, w którą to uderzy a księdzem Kanią, zawiedzionym w nadziei na człowieka tutejszego.

Zamyślił się starszy górnik osobliwie nad sprawami idei i myśli, że gdy już po wyżynach kluczą, ziemię z pod nóg swych tracą.

Rozstrzygła wszystko twarz delegata Okręgu, schodzona i zgadana, a pod sznurek równiutko kłapiąca, — że dobrze.

Na tem, po obrachunkach kłopotliwych z Mopru i po sprawach bibuły i utworzeniu nowych komórek zebranie zakończyli.

Trwało dobrych dwadzieścia minut a może i więcej, nim jeden za drugim wymknęli się i rozeszli pocichu w różne strony.

Supernak, jak przystało na gospodarza „punktu“

wychodził i myszkował i niby znaki dawał, czy można, czy nie można i czy jest droga wolna.

Gdy wrócił nareszcie do izby, przetarł oczy raz drugi i trzeci: Wszystko jest po dawnemu.

Chora mlaska w betach z pragnienia i tak rzewnie smakuje powietrze, że zemdlić mogło człowieka, który się w to zasłucha.

Wszystko jest po dawnemu: A tymczasem, jakoby wszystkim przedmiotom przybyło kształtu, — od czego zatknął się Supernakowi wszystek oddech.

Tu, nad piecem garnuszki i talerzyki na czterech półkach i doniczki na oknie i stołki, szafa, cebrzyk, miednica, wiadro, — stały się nagle widne, wyraźne i tak jawne!

Jakby ukazać człowiekowi miały, — a niby co?!

Supernak milczał, nasłuchiwał, — z swojej budy portjerskiej zwyczajny do nasłuchiwania.

Nie zanosiło się nigdzie na nic nadzwyczajnego.

Wiatr prządł się wkoło domu a wewnątrz cisza. Portjer dosłuchiwał się w ciszy, — nie wiedział czego?

Czego?...

— Gdzież to Buruś? — spytała chora.

Ucieszyło Supernaka to pytanie. Jakże kanonik mówi na kazaniach? Potępieńcowi — jedna jedyna kropla ochłody pośród ogni piekielnych... — Tak ucieszyło Supernaka, że nie mógł odpowiedzieć. Słowa nie szły przez usta.

Żadne.

Wreszcie wyrzekł z ciężarem ogromnym.

— Buruś? Poleciał za Lenorą. — Po tych słowach przeraził się Supernak i tak trwał dalej pośrodku cichej izby.

— Nasz ksiądz zostawił piwo — szepnęła Supernaczka. Nie to chciała powiedzieć, Może to, lecz zarazem — nie to. Słyszała przecie wszystko, co mówili w muzeju o Kani i pogrzebie i śmierci.

Zsuwało się to teraz na bok i wciąż dalej i na bok w łagodnym i anielskim powabie cichych głosów szycia: Jak siedziała tu kiedyś przed oknem, przy doniczkach z kwiatami, jak szyła i dobrze zarabiała, nim wrócił z galmanów. A gdy wrócił, znów ją pognał na kamieniołomy.

W chwilę tę weszły nagle słowa męża: — Wiem, że to ksiądz zostawił.

Podebrała się nagle na łóżku:

A skąd wiesz, kiedy umrę, że mi pogrzeb szykujesz? — Rozpłakała się ostatniemi łzami. Nie łzami nawet a samem rozstąpieniem się, rozejściem myśli, duszy i ciała i wszystkiego.

I znów wstąpiły w tę chwilę gęste słowa męża: — Nic nie szykuję.

Uczuła Supernaczka w tej minucie, napoły mrocznej, napoły oświetlonej, jeszcze raz znów rzecz taką, o której nikt nie myśli, gdy zaś pomyśli raz tylko w swojem życiu, — życie całe utraci: Iż duszę jej zabrali!!

Nie wiedziała zaiste, czem może być ta dusza, lub czem jest. Lecz doświadczyła przecie światła tej sprawy uroczystej. Nikt nie ma onej duszy — sam. A zawsze

z kimś. Przy Bogu, przy kościele, przy każdem świętem przywiązaniu.

Gdy Kania ma być wydany, to razem z Kanią wydadzą i jej duszę z przywiązania onego.

— Więc to Kanię wydałeś komunistom? — Supernaczka na nikogo w życiu nie podniosła swej ręki. Dzieci nie biła nigdy. Bo i poco? A oto teraz, jakgdyby podnieść się chciały jej ręce udręczone, — by uderzyć.

Lecz kto na świecie wierzy naprawdę w uderzenia?

— Więc to Kanię wydałeś komunistom? A od kiedyż ty jesteś, człowieku, komunistą? Więc to tak tędy idzie? A komunistów znowuj wydasz socjalistom? Więc to tak tędy, — jednych drugim?

Nie były to już słowa: Więcej śliny, niż głosu, więcej smaku, niż mowy.

— Czy za darmo to robisz? Pewne, — że nie za darmo. Więc czemuś mi szyć nie dał?! — które to słowa wybuchły strasznym żalem i ucichły.

— Nie za darmo. — Supernaczka liczyła na palcach obu rąk, zatrzymanych pilnie tuż przed oczami. Aż szept przeszedł w nucenie, niby taką melodję dziwaczną, jakby to były przykre i smutne śpiewy jasnowidzenia...

Supernak zwrócił oczy w stronę łóżka. Nie odpowiedział i ręki nawet nie wyciągnął. Tylko znów, obce całkiem, nieznane czuwanie stężało niespodzianie we wszystkich przedmiotach.

Wzdłuż garnków, po nad piecem, na półce i pod oknem i wszędzie. Niby nic, a właściwie wszytko żelaznem światłem przeniknięte.

Supernaczka struchlała. Odpadło z niej już wszystko w tej leniwej słabości, — bo i co tam i gdzie i komu wreszcie? I wreszcie, wreszcie, — poco?

Poniosły ją malutkie prędkie płacze, — ciche, smutne i skąpe.

Najostrożniejsze.

I niech tam już!

I taki jakiś przeciąg straszliwy, świątobliwy i rzewny w którym zginęło wszystko.

Supernak stał na środku izby z oczyma świecącemi.

Uśmiechnęła się do owych oczu wszystkim ostatkiem życia, najrodzeńszą pokorą.

— Daj mężu, tego piwa — powiedziała z uśmiechem.

Zakrzątnął się skwapliwie. Zasiadł pod oknem, przy stole. Odkorkował.

Gdy piwo jęło chlupać z butelki, rozlał się po obliczu chorej błogi wyraz nadziei.

Supernak nalał pełną szklankę, zapieniło się, — wypił.

Nalał drugą — i wypił. Zapalił papierosa.

Otarł wargi i patrzył: Wyraźnie a zarazem, jak przez szkło.

— No, dajże mężu teraz piwa, — powtórzyła Supernaczka z uśmiechem wiernym, posłusznym i poddanym.

Otworzył drugą butelkę, wychylił szklankę do dna odstawił, podszedł blisko.

Chora uniosła głowę i wyciągnęła usta do napitku.

— Za dużo teraz wiesz — wyrzekł głośno Supernak, w żywe oczy.

I zaraz, zaraz, zaraz uderzył w skroń!

Upadła na poduszki.

Zwlókł pierzynę do pasa i bił spodem butelki po plecach.

W płuca!!

I znów bił i przydusił. I znów bił.

Aż odstąpił.

Leżała martwa.

W uszach brzęczało, — lecz przedmioty powróciły do zwyczajnej postawy. Baletniczka nad lampą w muzeju okopciła się od jednej strony. Świece zgorzały do połowy.

Pogasił. Poukładał. Pozamykał. Zdmuchnął też lampę ową z zielonym kloszem i czekał przy samym księżycu.

Znikąd żadnego głosu. Maszyny kopalniane tłukły równo powietrze, to znów z lokomotywy dalekich torów wyleciało dyszenie.

I nic, — choć jeszcze słuchał.

Podszedł, pociemku otworzył dużą szafę i spróbował w kieszeni surduta: Cygaro, wetknięte w kieszeń przez Coeura, sterczało po dawnemu.

Zamknął szafę. Wyszedł za dom, zapalić papierosa. Wypalił, wrócił, usiadł przy chorej. Czy też zmarłej?

Podniósł się. Porzuconą na ziemi butelkę postawił na stole. A z drugiej nalał jeszcze i niby, jako niedopitą postawił przy żonie. Poczem ujął tę żonę za rękę.

Stygła.

Przeciągnął się i zasnął. Obudził go przedziwny spokój. Chyba dniało?!

Supernak zerwał się i poleciał wzdłuż stawków, da-

lej, mimo koszarów pokozackich i krótszą drogą przez rozłogi Erazma w stronę wielkiego kościoła, co wznosił swoje mury czerwone nad sinemi padołami kopalni.

Na plebanji sen zdrowy, jabłkami napachniony i zapachem kadzidła. Zabrali się stąd z młodym wikarym, wstąpili po sakrament, potem zaś szli pośpiesznie z ministrantem.

Dzwonek rozlegał się pięknie, pierwsza zmiana na szóstą rano ściągająca ku Florze, przyklękała na bruku.

Supernak kroczył obok brząkającego dzwonka, przeliczał, czy też śladów jakichś wydatniejszych nie będzie w izbie, co kobiety zobaczyć mogą podczas mycia? Wiadomo przecie, że zawsze bijał żonę, — więc co?

Szedł skromnie i łzy ronił w dźwięku uroczystości.

Nie zastali już chorej przy życiu.

Gdy ministrant drzwi przed wikarym otwarł, wiadomo było odrazu dla ludzi z jaką taką praktyką:

Chora leżała na poduszkach, jak we śnie, lecz ranne słońce wskazywało, że takie tęskne oczy wpółotwarte i taki uśmiech szczerze rozgoryczony, — to już śmierć.

II

W DALEKĄ DROGĘ

1

NAD ZIMNEMI STAWAMI

Trzeba myć tę nieboszckę, — póki świeża i giętka! Któżby to zauważył tak szczerze?

Lenora.

We trzy tu były, z obowiązku, jako bliskie sąsiadki. Lenora, Martyzelka i stara Szymczykowa. Ale stara Szymczykowa taka głodna i w tylu różnych nieszczęściach zatracona! Nic z niej niema przy robocie. Tylko płacze i wypatruje z okna za Szymczykiem, który wygrzewa się nad stawami huty Katarzyny na suchych drewnianych pomostach.

Trzeba ją przecie umyć, tę naszą nieboszczkę, póki giętka i świeża. No, — moja droga pani! — Powiedziała to Lenora raz drugi tego rana, lecz tak samo cierpliwie, i z tym samym zapałem okrzyku.

Gdy tamte obie snuły się, jak muchy, Lenorce wszystko dźwięczało w rękach i miednica i wiadra blaszane i może nawet sama woda, przelewana zwysoka do kubłów głośnym chlustem.

Gdyż młodość nie rozumie śmierci i w poprzek śmierci nawet utwierdza swoje radosne niespodzianki.

Cóż? Lenora czekała, że jak umyją zmarłą i przeodzieną i złożą i zasłonią prześcieradłem i wszystko przyrychtują, — nadejdzie wreszcie Tadek. Z Tadkiem polecą zbierać w lasku jedlinę. Potem uwiją wieniec, w czasie którego wieńca, na przyzbie, czy też gdzie, czy choćby u Szymczyków będą się całowali.

Lecz gdy wzięły się nakoniec do tego mycia, pierwsza znów zapłakała Lenorka. Jakże tu patrzeć na takie biedne ciało?

Niema go prawie, a same tylko kości skołatane, obleczone wysuszoną skórą!

A przytem ślady: Smutna historja, — na ciele garbowana!

Czyż Martyzelka, albo nawet taki pędziwiatr, jak Lenora, nie dostrzegły krwawych zlepów we włosach nieboszczki? Nie dostrzegły wielkich, tłuczonych sińców?

Dostrzegły. Zawsze tak jest z kobietą, gdy umiera w Zagłębiu, a już zwłaszcza w Osadzie; takie to pożegnanie z doczesnem, ziemskiem życiem, — zapomocą siniaków i pobojów.

Więc cóż? Niech woda spływa przez to ciało nikomu już nie warte.

Tę wodę szarem mydłem zaciemnioną, wylewała Lenorka na kartoflisko, ztyłu domu, za płot.

No, — i tak: Kartofle ręką nieboszczki jeszcze posadzone, ale już nie zebrane tą ręką. I brzęk wesoły wiadra i chlust wody i strumyczki przez ziemię pochłonięte. I ręka żywych nad oczami od słonecznego blasku zimnej pogody dnia.

No, — i tak: W izbie smutno, a gdy wylewać z kubła, to znowu skądże nastaje tu wesołość?! Śmiech, westchnienie i ręka nad oczami od słońca — i więcej nic.

Rozgadały się powtórnie, gdy na zmarłej czystą koszulę zmieniły. Jak to będzie z pogrzebem, co znów Supernak teraz postanowi, którą klasę wyjedna w pogrzebie, do Rzymian pójdzie, czy też do księdza Kani, na co cała Osada czeka w ciekawości? Ile zapłaci, czy też nic może, bo za mocną protekcją wszystko darmo dostanie?!

O dzieciach, zostających sierotami. O wielkim majątku Supernaka, o muzeju. O sprawach wszelkich, jakoto w każdem życiu ludzkiem dosyć ważnych, — są bardzo, bardzo ważne, a ściekają, jak woda, — bez śladu.

Gadały tylko we dwie. Lenora z Szymczykową. Martyzelka — ani jednego słowa nie dodała.

Przez smutek, czy przez fumy?

Jadły chleb z smalcem, zapijając herbatą.

Martyzelka nic, — tylko się trzęsie w sobie, aż widać, jak jej dreszcz po ciele lata.

Dreszcz, nie dreszcz, — takie niby jakieś zamiary i zastanowienie i zamiary...

— A cóż, a mnie? — Lenora wyciągnęła się gibkim porywem ciała, po tej ciepłej herbatce. — A mnie? Jakby tak umrzeć przyszło, no, to co?

No, — i w śmiech! Szastnęła spódnicami.

Ile? Dwadzieścia minut, może trochę więcej przeprowadzała swoje rzeczy od portjerów do Szymczyków.

Taka tam przeprowadzka, — cygańska.

Jeden mały drewniany kuferek, jaki żołnierze mają, urlopnicy, na to zaś jeszcze zwierzchu trochę łachów, na to znów mały jeleń z ołowiu, lakierowany pięknie, na hałdzie znaleziony, pewno chyba po dzieciach zawiadowcy; i lusterko, z czerwonemi różami malowanemi żywcem przez ukruszone szkło.

Objawił się teraz od tego lusterka szybą odwróconego ku górze, jakoby duch na powale izby w postaci piętna tęczowego.

Może przyjazna dusza Supernaczki?

Szymczykowej wiadomem było, że nie słońce, lecz dusza zmarłej, uszczęśliwiona swobodą powietrza po takiem ciężkiem życiu.

Cóż może o tem wiedzieć taka tam — Lenora? Naszumiała, nahałasiła i już zebrała się rwać sośninę — a jakby się pytali o mnie, powiedzcieta, żem w lesie.

Martyzelka wyprawiła i Szymczykową, do nadzoru nad dziećmi. Z takich tylko obrywek mogły teraz żyć biedne Szymczyki. Dopiero w samotności przysiadła się Martyzelowa spokojnie do zmarłej.

Palą się dla tej śmierci dwie gromnice. Dobrze, — niech się tu palą. Cóż człowiek wie o śmierci, prócz, że z niej własne nadzieje w życie dalej wysnuwa! Myśli nikłe i usłużne do tych sprzętów tutejszych, czy też do chwil przywykłe, czy chociażby do drutów takiego oto radjo księdza Kani, przez sufit plecionego, myśli te udręczone wszelką sprawą, — zwodziły się przeróżnie.

Ostatni raz siedziała przy gromnicach nad swym synem nieprawym, któremu dał nazwisko mąż, starszy górnik Martyzel. I gdzież ów syn? Malutki, złoty ko-

smyczek włosów w czarnych toniach przerębli. I gdzież są chwile poczęcia tego syna i gdzież są wszystkie chwile i gdzież są wszystkie lata, pobyty i podróże i powroty?

Rozstępowała się w Martyzelce pustka, pustka ogromna, coraz suchsza i dalsza. Jedno o drugie zahaczone: i droga i zawody i znów droga — ileż tej drogi!?!

Ileż tej drogi w codziennem utrapieniu aż do słów strwożonych u granicy najtrudniejszego zamierzenia: Czemuż to nie rozumiesz, człowieku?!...

Kto jest ów człowiek, tego myśleć, czuć, wiedzieć nie potrzebowała, gdyż płynął w niej jej krwią! Po same brzegi skóry płomieniami obecny. Ustanowiony nagle i na zawsze pośród niedoli, głodów, zgryzów.

Zdało się Martyzelce, że teraz przy okazji tej śmierci zrozumie już ów człowiek. Nie będzie wiedział kiedy, ale otworzy ramiona szerokie, święte.

Do tych ramion wyciągała swe ręce nad trupem.

Czyż nie szaleństwo?

Ta izba, życie, czas, swój, nie swój i to ciało umarłe i to czekanie upragnione — i to czekanie wstrętne: Czekała tu na Kanię, — spodziewała się każdej chwili Supernaka.

By dopilnować, jak postąpił w sprawie pogrzebowych obrzędów.

Gdyż jeżeliby skrewił!

Wyobraziła sobie, jak portjer wracać będzie z Osady daleko, ponad migotem stawów huty Katarzyny. A może już powraca?

Burzyć się jęło, jedno z drugiem bobrować i przemykać i krążyć na myśl, że słychać kroki Supernaka, kulejące po mostkach. Aż nagle poderwało Martyzelkę jak poderwać może człowieka naprzeciw przeznaczeniu!

Wyleciała, drzwi nie zamykając, — niech ostaną — i pędzi i pośpiesza przez słońce, naprzód. Przez ów lasek szumiący taką pustką w zimowem słońcu nieba, — a niebo jest przeczyste, tak równo rozpostarte, że w własnej głębi widok swój zatraciło.

Przez lasek mimo koszar pokozackich, między stawy.

Nad zimnemi stawami — przez mostki, przez kładeczki.

Supernaka nie widać.

Rozpostarła się w piersiach Martyzelki cisza z przemożnym strachem pomieszana: Trzeba iść, spotkać — i za nic w świecie nie spotykać!!

Ileż to lat mieszkają tutaj ludzie? Całe życie. Któżby tu zamieszkiwał, by jeszcze kątów tych nie poznawał. Tymczasem ułożyły się dziś drogi i rozmaite przejścia, że Martyzelka zbłądziła widocznie. Gdzie miał most czekać, rzucone są przez błoto kamienie. Gdzie dawniej poręcz, — to znów dziś niema nic. Widoki pomylone, — gdzie przedtem zieleń uwiędniętych szuwarów, — teraz bieli się dom szeroką, mroźną ścianą.

Ale musieli się spotkać, — tędy, czy tamtędy.

Poznała go po czapce granatowej, z nowym daszkiem. I po czarnym paltocie odświętnym. Najpierwej zaś po chodzie!

Szedł, jak wahadło, od sztywnej nogi w obie strony rozkiwany.

Pobiegła mu naprzeciw, aż sina z ciemnych przeczuć. Podążała naprzeciw tego człowieka z jakąś takąś przyjaźnią i z jakąś takąś gościnnością, a tymczasem złamana w sobie, bezsilna, przejęta ciężką, leniwą nienawiścią.

Supernak też przyśpieszył kroku. Pot spływał mu z pod czapki, a oddech świstał przez wyjedzone zęby.

Nie przywitali się, rąk sobie nie podali, tylko stanęli naprzeciw ostrożnie.

Dopiero, gdy zdaleka od torów fuknęła wielkim raptem lokomotywa, rzekł portjer:

— Bóg zapłać.

Ruszyli prosto w stronę mieszkania. Martyzelowa pierwsza, portjer za nią.

Usłyszała wyraźnie stuk sztywnej nogi po pomostach. Teraz też spostrzegła, że wyleciała na dwór, — poco?! I bez narzutki, bez żadnego okrycia, bez chustki nawet?

Supernak kroczył ztyłu, pełen wielkiej radości. Przez pół dnia, — z samemi tylko władzami się uganiał. A to tu, — zaświadczenie od doktora, a to tu miara u stolarza na trumnę, wymierzył długość żony sznurkiem, a to tu, — po karawan kopalniany, — obiecali dwa konie, nie w jednego, — a to znów o sam pogrzeb, do kanonika.

Wszędzie podawał naprzód kartkę dyrektora Kostrynia, na hucie, rano, zawczasu wypłakaną.

A teraz znów migały Supernakowi przed oczami wyczyszczone starannie obcasy czarnych bucików Martyzelki, — z pod szarej spódnicy.

Szła, — dotąd zachowała z tych swoich dawnych

pierwszych dworskich czasów chód pański, fasonem tego chodu przejmowały się nawet fałdy jej spódnicy, spadając delikatnie. Jakby u Kostryniowej, czy jakiej innej dyrektorki.

Przez chrupienie przymrozka pletło się wciąż to samo w głowie Supernaka: Jest klas pogrzebu pięć, wiadomo dobrze. Piąta jest najbiedniejsza, pokropek wodą święconą, bez wprowadzenia ciała do kościoła i bez światła żadnego. Jest klasa czwarta, — pokropek i wyprowadzenie zwłok z kościoła, bez wprowadzenia i wszystkiego, — dwie świece; i klasa trzecia — pokropek z wprowadzeniem i wyprowadzeniem od drzwi do drzwi kościelnych, — a tymczasem u kanonika za słowa prawdy względem zamiarów Kani otrzymał portjer — klasę pierwszą: Zwłoki wyjdą z domu z księdzem i będzie dużo światła i uczestnicy dostaną światło do rąk w kościele i pokropek i znów z księdzem wikarym na cmentarz a tu nawet przemowa!

Pozostawała jeszcze sprawa miejsca: Nie udało się miejsca darmo zdobyć na cmentarzu, ale miejsce — jest ziemia; ziemia — jest nieruchomość; nieruchomość, — pieniądze.

Miejsce w końcu cmentarza, tuż przy parkanach Flory przy kolejce kopalnianej, — z wymówką lat dwudziestu.

Między błyskiem a błyskiem śpiesznych obcasów Martyzelowej pętało się, — owych dwadzieścia lat i wprowadzenie do kościoła i świece do rąk ważniejszym uczestnikom.

Supernak wszedł do izby pierwszy. U Szymczyków nikogo. Nie spotkali palacza przy stawach, ani tu. Pe-

wno polazł na stację, markować tam, czy po wagonach z węglem kraść, czy może na przeładunku dźwigać? Cóż ta Szymczyk udźwiga, gdy wodę ma pod dłonią i w palcach?

Gdy tylko weszli, Martyzelka spojrzała na portjera dosadnie, — że odrazu zrozumiał.

Czyli — o to pobicie.

Takie różności osobiste nie trzymały się obecnie głowy Supernaka. Obejrzał, jak się kobiety sprawiły przy nieboszczce, że są gromnice dwie i jak ubrana: W czarnej sukni, odświętnej a w bluzce lila, atłasowej. I podłogę zamiotły, wytarły i z mycia żadnych śladów.

Zdejmował płaszcz, a Martyzelka czeka w pośrodku izby.

— Nie będziem tutaj siedzieć, — zachrypiał Supernak. Choć w tak niewinnej chwili, — załamał mu się odrazu wszystek głos. — Nie będziem tutaj siedzieć, moi złoci.

Wydobył klucz roztropnie z pod podłogi i otworzył swój muzej. Drzwi muzeju otwierały się z trudem. Lepło tam coś przy listwach, czy może tylko wilgocią zanosiło.

Weszli, siedli w półcieniu. Uchylone okiennice tyle tylko puszczały słońca, ile trzeba, by przesuszać to miejsce.

Usiedli, — Martyzelka na kanapie z rzeźbionem oparciem, Supernak na metalowem łóżku białem, w niebieskie kwiaty i anioły.

— Już jest wiadomo temu, kto mył nieboszczkę, — rzekła Martyzelowa, — żeście jej na tamten świat pomogli trochę?

Pocóż miał odpowiadać?

Patrzył na Martyzelkę, jak się jej nogi pod suknią pięknie ładnie stuliły; że zawsze umie siąść dokładnie lekko, a przy brzegu. Słuchać począł, gdy po raz trzeci powtarzała to samo: Czego miał pełne uszy.

Głupota!

A — pogrzeb narodowy, a — uwiadomić Kanię, — taka wola nieboszczki, — święta. Dlaczego? Bo ostatnia i ludzie ludziom zawsze spełniają to na świecie.

Supernak słuchał, patrzał i choć już zdawna wiedział, co się wyrabia z tą kobietą w odniesieniu do Kani, to jednak dowiadywał się w tym względzie teraz wiele nowego. Aż mu od tej nowości za uszami łupało!

Siedzi sobie ta Martyzelka po pańsku, po swojemu, po dworsku, na brzegu rzeźbionej kanapy, lekko, sprężyny ani dźwiękną, rękami rozwodzi delikatnie, jakby je miała z lukru, ale czemu przy tych słowach oddechu jej nie staje? A w oczach kolor prośby, ciemny kolor, nabożny?...

Supernak nic nie odrzekł jeszcze.

Kobieta wstawia się za Kanią, czy niby za nieboszczką, — jaki ma być obrządek?

Umilkła, siedzi, patrzy i głęboko oddycha. Takiem wielkiem przejęciem zasłuchana, jakby tu wiatr przeganiał obok, czy krzyki obok szły, czy co?

Cisza.

Od takiej ciszy mrowić się jęło w Supernaku, mrowić i mrowić! Wstał pocichutku. — Rzekł:

— Zrobiłyście przy umarłej, jak należy, sam przy-

znaję. Ale w muzeju jeszcze lustra niezasłonięte. — Westchnął.

Nie mogły tak pozostać, gdyż nieboszczka powracać będzie i ukazywać się będzie w tych szybach...

Tak skręcił Supernak całą sprawę, na taki marny szczegół.

Martyzelka nie wierzyła w przesądy. Wierzyła w życie, gdy jest życie, a w śmierć, gdy śmierć nadchodzi, lecz wszyscy ludzie, gdy jest umarły w domu, zasłaniają swe lustra.

Rzekła więc, — dajcie co, — jako że przygotował już różne ciemne szmaty, — to wam lustra zasłonię.

Porozścielał papiery na meblach. Na pięknym morelowym taborecie, pod oknem, na kanapie. I znów czekał.

Gazety szeleściły pod stopami Martyzelki, aż w piersiach Supernaka zagrało, taboret morelowy jęknął, lusterko w mahoniowych ramkach potarło grzbietem ścianę.

Co potem?! — Wszystkie zapasy powietrza, śliny i krwi chlusnęły portjerowi do piersi.

Zakradł się ku kanapie i chwycił Martyzelkę za biodra. Jedyną swoją ręką i naciskiem ramienia, mocno, jakby miał wrosnąć w nią.

Zachwiała się.

Skomlił, skuczał przeciągle, nibyto żartobliwie i cicho, niewinnie. Nie widział nic a tylko czuł przepiękny zapach tej kobiety.

Coś, jakby kminku, — świeżutkiego kminku!

Wtedy to chwycił nagle pod odzieżą za nogi. W ła-

godne, miękkie, gołe ciało. Pod odzieżą, ruchome, — żywe!

Umotał się w spódnicach. Odtrąciła go, — upadł. Powstał, nie patrząc w tamtą stronę. Nie chciał nic widzieć, wiedzieć, — a tylko wierzyć, że Martyzelka stoi nadal na kanapie.

Stała, wsparta o ścianę, z czarną szmatą w wyciągniętych rękach.

Supernak począł krążyć dokoła muzeju i wołał i przemawiał i namawiał i zachęcał, przedkładał komu, — komu, niech będzie nikomu!

Niech będzie ciszy zmartwiałego powietrza: Że co tu jest, że wszystko, wszystko, a co chcesz, — twoje. Taka kanapa i te srebrne lichtarze, dwa, bo trzeci w naprawie i te lichtarze z bronzu i to lustro i tamto. I takie tutaj krzesełka bambusowe i to triumo z orzecha i krówka z alabastru i ta goła figura z wiśniami kamiennemi, taka lampa — i koce.

— Tyle koców — a jakie!

Kapy, kołdry i piękny stojak na laski, — Cieplik takiego nie ma — i ten stolik i jeszcze te krzesełka!

Dotykał tego, klepał, okurzał, pieścił, głaskał dłonią, ramieniem i wdzięcznie poczesywał znów inne z pod łóżka. W trzasku opornych szuflad latał z miejsca na miejsce i od ściany do ściany, niczem ćma, szara wielka, roztrzepana ćma.

Tylko, — aby nie patrzył w stronę Martyzelki: Przed siebie, wdół na ręce. Rozwiązywał pudełka jakieś, czy woreczki, palcami i zębami. Wysypał z tego wszystko na stół. Śmiał się do tego, kwilił.

W woreczkach najprawdziwszy dowód życia: Cztery złote pierścionki i duży ciężki sygnet z wylecianym kamieniem i przeróżne kolczyki i siedm kubków srebrnych i broszka z dużym, pięknym umarłym opalem.

— Dla kogo to, — ryknął nagle Supernak, — dla kogo?

Świeciło w mroku izby. Nie pochował, nie zgarnął nawet, przykuśtykał do kanapy, usiadł obok mięciutko i zaczekał.

Martyzełka — ani jednego ruchu.

Czuł już blisko jej ciepło, od którego porywy leciały tak szalone! Aż zaciężyły w piersiach.

Pełen przerażonej rozkoszy jął rozprzestrzeniać się i rozgałęziać, na ile tylko pozwoliło mu kalekie ciało. Natrafił tak, podstępnym znienackiem na brzeg odzieży Martyzełki, — na ciepło jej postaci — na miąższ ciała. Jęcząc, kwiląc, jazgocząc, porażony rozkoszą, skłonił głowę na piersi tej kobiety.

Na małe, dobre, jędrne, ciepłe piersi.

Zdało mu się, że nie ona przemawia w tej chwili, a już tylko jej ciało: O Kani i o Kani i o Kani.

Zaczął więc — że to się tak należy, postanowione w sprawie tego pogrzebu było już wiele wcześniej. Sprzeciwu zaś nie może być żadnego.

Samo jej ciało rzewnym głosem o Kani, — czego Supernak dłużej cierpieć nie mógł.

O Kani i o Kani. I o Kani.

Rozpoczął swoje wtręty, tłumaczenia i o tem wreszcie, że już dyrekcja pierwszą klasę pogrzebu u kanonika wyjednała.

Stało się w jednej chwili: Martyzelowa zaczęła bić. Na ślepo: Nic nie widząc. Tylko piętna czarniawe, — jak na ciele nieboszczki. Bić, szarpać, orać paznokciami przez szyję, — po policzkach.

Supernak miażdżył jej pierś w swoich czarnych pazurach.

— Pójdziesz, pójdziesz do Kani, — szeptała, bijąc, szczując, kopiąc.

— To dziedzic tak cię chował, to dziedzic tak cię uczył, — odszczekiwał Supernak.

Bili się, — darli za włosy. Supernak znosił razy cierpliwie a łapą penetrował po pożądanem ciele, penetrował, obity, pokopany.

Dopchała go pod samo okno i tak kopnęła w piersi że się zwalił. Zgarnęła złoto ze stołu, dała mu złotem w twarz, — niema tu już sprzeciwu! — krzyknęła przeraźliwie.

Leżał w kącie i chrypiał. Aż wreszcie wydyszał z siebie słowa, od których zerwała się uciekać.

— Zaczynałaś z dziedzicem, — charkał w kącie — a na mnie skończysz. Zobaczysz, — na mnie skończysz.

Gnało ją stąd i niosło ostatnie przerażenie.

Wszędzie, — na polach pajęczyną zasnutych i w lasku i w dalekim zwidzie zaropiałych hut, oczadziałych cynkowni i czarnych kłębów dymu, wszędzie, wszędzie na świecie, — przerażenie!

Wpadła do księdza ze słowami — ratunku!

Kania zerwał się z nad papierów.

Martyzelka chwyciła go za ręce i ręce te, dla duchowej ochłody na czole sobie położyła, — uśmiechnięta.

O taki tu ratunek chodziło: Za oknem płyną usiane równo grządki, wokół cisza, uczniowie poszli z ostatnim numerem gazetki księdza po wsiach. Za grządkami rozciąga się płot.

O taki to ratunek: By tu być, patrzeć. By ręce jego trzymać na przymkniętych powiekach.

To jest — cały ratunek! A inne wszystko, o Supernaku, zdradzie, pogrzebie, kanoniku, powiedziane zostało prawie, że mimochodem!

Ksiądz Kania trzymał się już temi czasy na ostatniej granicy miłosierdzia. Przeciw tylu pokusom i podstępom zmysłów. W pierwszych dniach poznania widział tu podobieństwo Martyzelki do swej matki. Niby młodszej, lecz tak samo posłusznej i pilnej, w rzeczach wiary. Potem, — charakter matki rozwiał się, — żona górnika przedzierzgła się, — niejako w siostrę.

W miłą, rówieśną siostrę. Z okresem choroby i śmierci Supernaczki — Kania nie śmiał już myśleć o tem co następuje. Trzeba tu było siły i wielkiego spokoju.

Nie lękał się powabów ciała. Od czasu wydarzenia z chininą, gdy uległ pewnej kobiecie niemłodej wcale, obojętnej i gdy kobieta owa, by przerwać płód zażyła chininy i zimna, zlana potem w pokoju na plebanji, omal ducha nie wyzionęła w torsjach — zahartowany już był na zawsze chyba przeciw kobiecemu ciału.

Lecz z żony górnika Martyzela przemawiały — ciemności. Tak sobie wyobrażał ksiądz Kania w ukrytych myślach. Jakieś ciemności życia, czyli też sił tajemnych czy też może żywiołów? Ciemności owe, lśniące w jej spojrzeniach, w jej słowach, nawet w ruchach — trzy-

mał dotąd na wodzy. Była to wielka rozkosz — takie przemaganie.

Tymczasem dziś, prawie że już zamykał tę kobietę w objęciach. A działo się z przyczyny śmierci Supernaczki. Śmierć zaś owa wskazywać winna raczej drogę obowiązku a obowiązek, — konieczność objawienia nowej wiary publicznie, w walce o jak najczulsze dobro biednego człowieka, czyli duszę. A znów jakże wystąpić przeciw materjalnej woli męża? A znów dalej, cóż przeciwstawić zakrzepłej powadze obrządku, — jak nie obrządek, czyli jeszcze raz nowe zasłony, — czyli między baranów iść w nowej wilczej skórze?

Doczesne, nędzne usidłanie, z którego Bóg, niczem woda nieogarniona, nieobjęta przez sieci wciąż przepływa i przecieka.

— Upadłam i zdaje się, poraniłam się.

Ciche, żałosne prawie słowa Martyzelki wyrwały księdza Kanię z jego bezsilnych myśli. Patrzył przed się — i czekał?

Rozpięła uważnie guziczki i z rozsuniętych brzegów szarego materjału ukazała swe ciało, nad obojczykiem poryte do krwi pazurami. Porwane w bitce z Supernakiem ramiączka rozsunęły się snadnie i oto ukazała się pierś piękna, biała, sklepiona, niby podatny owoc.

W oczach Martyzelki stanęły łzy, na policzkach rumieńce a na czole zbróżdżone ciemności.

— Upadłam i poraniłam się, — trzeba tu coś poradzić. — Wymówiwszy te słowa westchnęła, potem zaś, niby przez sen, zarzuciła temu człowiekowi ramiona na szyję, spokojnym, pewnym ruchem:

Jakby czekali na to oddawna, ona jedna wiedziała, iż czekają i teraz wreszcie spełnia zadawnioną prośbę.

— Tak być musi, — ty wiesz! — Słowa te pamiętała — chyba jeszcze z pałacu. Nigdy później wymówione nie były, aż teraz znów dopiero, przeciw najlepszej woli we wstydzie wielkim, poniżeniu i w najwyższej rozkoszy pojednania, którego niema nigdy nigdzie, nigdzie na świecie w rzeczach serca, nierozróżnionych a zawsze upatrzonych najszczęśliwszą ślepotą człowieka.

Nie zgadnie nikt podobnych myśli, — nikt nie zliczy. Jedne przy drugich splątanym motkiem ze wszystkich lat i czasów: Jak Martyzel nieprawemu synkowi dał nazwisko sumiennie, — i złoty kosmyk w czarnej śliskiej przerębli — i tamte dzieci później znów, Martyzela, obce kościste, cudze — i taka wielka wdzięczność, że nic karmienie piersiom nie zaszkodziło, — piersi są broń najlepsza i ozdoba — a tu znów życie przetyka się pasmami, — śmierć z ogniem połączona, — gdyż jedni umierają, by się drudzy kochali!

— Ty wiesz przecie! — Tyle było do wyrażenia, tak wiele, w jednej jedynej chwili, że Martyzelka prawić zaczęła w pośpiechu o tem, — co najmniej ważne: O pogrzebie, obrządku, które to sprawy załatwi się przez męża z Supernakiem.

Będziesz miał wszystko, jak będziesz chciał, — zaniosła się przelotnym, najłagodniejszym uśmiechem pobłażania. Aż dźwięcznym, aż różanym z litości nad sprawami takiemi.

Bo cóż to znaczy wobec ogromnej miłości? Nauki

i obrzędy i wszelakie zasłony i postacie rozmaite? I kazania, i proroctwa. Cóż to znaczy? Nie więcej, niż wymowa ludzka wobec rzetelnego szczęścia!

Stała przed księdzem, — niby przed ścianą, zaporą, zasłoną, która rozwiać, rozstąpić się musi. Jęła bić w niego dłońmi, odplątywać, domagać się, aż targnęło nią naprzód:

Z szumem, z chrzęstem żałosnym wtuliła się, — wszystkim rozmachem, skupieniem, najżywszą swoją wolą!

Teraz dopiero, — wreszcie, — poprzez omamy żądzy, zrozumiał Kania pierwsze, najgłówniejsze, występne: Że w nim proroka zapomniała!

Zbladł. Zęby wysunęły mu się z pod drżących warg nos zmarszczkami siności okrążony wydłużył się, jak dziób.

Ksiądz Kania na kilka sekund zaniewidział z gniewu. Porwał żonę górnika za przeguby, z okrzykiem, — ach, grzesznico, — cisnął na kolana. I doskoczył z pięściami. Byłby bił między te ciemne, rozstawione źrenice, lecz właśnie ciemność owych źrenic, lśniąca mokrym powabem, przywiodła Kanię do opamiętania.

Zmitygował się. Przyobiecał zapomnieć raz na zawsze o tym incydencie. Na ramię radził okład. Potem dopiero jął się rozwodzić nad sprawami ducha i ciała na ziemi.

Martyzelka słuchała w głębi izby, przepełniona bolesnym krzykiem, który był niemy, który już nie mógł znaczyć, a wszystkie słowa dławił.

Odeszła bez żadnego pożegnania. Do domu po-

wróciła umordowana! Wszystko jej z rąk leciało. Żadnego dozoru nad dziećmi i nad niczem.

Czekała tu w pośrodku izby — i na co? Na co czekać w trybach takiego życia?

U góry na piąterku bili się Widłakowie. Nie dziwota, gdy z czworgiem dzieci nie mają już co jeść. Na podwórzu Zbrożkowie darli się z właścicielką o sień.

Dzieci Zbrożków siedmioro, — wszędzie po podwórzu, razem z psem i z kozami. Od sąsiadów, zaraz tylko przez płot dochodziła muzyka. Grali na harmonijce. Kociemska matka z dwiema swemi córkami, u których lokowało się dziewięciu kwaterników, chłopców i górników — istne piekło nierządu na ziemi.

Tych spraw, warunków, hałasów i okrzyków pytała się Martyzelowa spłakanemi oczami, — co począć? Co dalej począć na tej ziemi, na której ludzi, ludzi i ludzi znajduje się bez miary?!

Martyzel wrócił z kopalni. Z głową, — jak oczadziałą. Smrody, gazy, czy dymy mieli już na filarze. Wracał z głową pijaną, bolącą. Numer górniczy był dobry i wydobycie dobre, gdyby nie owe smrody.

Radziła, by trzymał głowę nad rozpaloną blachą, nad kuchnią, — wtedy bóle odchodzą. Wszystkie żony górników tak radzą, jako iż to sprawy dawno wypróbowane.

Martyzel gardził temi sposobami. Umył się, zjadł i spoczął blisko okna, przy wybielonej wnęce.

Żona siadła naprzeciw i strumień łez popłynął jej z oczu. W sprawie pogrzebu biednej przyjaciółki, Supernaczki. Żeby mąż szedł, żeby się zmówił z Supernakiem, żeby mu przetłumaczył.

Na próg ze łzami w oczach wyprowadziła męża w tę drogę. Gdyby mógł wiedzieć o tych łzach! Chłodniejszemi były dla spraw małżeństwa, niż, martwe szkło.

Starszy górnik Martyzel rozumiał ciężką powagę swej misji: W sprawie praktycznego znaczenia, gdy oto teraz strejk tu idzie i głód — nic. Lecz — jest to symbol.

Symbol doniosłych aktów, — rozłamane tablice znaczenia. W marzeniu swem, popartem jakością tylu przeróżnych poglądów, czerpanych zawsze tylko z oryginału opowiadał się Martyzel wiernie za chemicznem rozwiązaniem sprawy ludzkiego życia.

Lecz wtedy gusłom braknie miejsca, a tu znów sami przecie uchwalili z delegatem okręgu, taką tam jakąś próbę, czy manifestację. Więc życie dalej porywa już tę śmierć, nie da jej chwili samotności i przenika, zapełnia, — jednych drugim zostawia — Martyzel zatrzymał się olśniony tak wielką mechaniką.

Odnalazł Supernaka łatwo, — u Szymczyków. Wyszli, — niby jako mający pewne organizacyjne sprawy na osobności.

Nie były ważne: O obrządek pogrzebu. Choć było to życzeniem nieboszczki, cóż znaczy dziś życzenie martwego prochu. A znów od drugiej strony ważne, gdyż nie byłby wyruszył starszy górnik z domu, gdyby nie to życzenie kobiecej szlachetności, wysłowionej ustami żony.

Szli w milczeniu.

Płakało wszystko w Supernaku, że nie wziął noża,

ani kastetu. Czy też choćby Szymczyka starego dla ochrony. Spodziewał się mocniejszej rozprawy, ale szedł. Parło go, aby iść, iść, chociażby łbami się trykać o babę!

Gdy stanęli nad stawem lśniącym od blasku księżyca, uznał Martyzel, że może rozpocząć przemowę: Jedna tafla błyszczała jasnością a drugą mroczył cień. Tu światło — a tu noc.

Tu dobro, a tu zło, — lecz wciąż ta sama woda, jeno odmianą światła odróżniona.

Zaczął od przebaczenia: — jak ta jasność i mrok, tak samo też są ludzie.

— Więc ty, — Supernak. Masz muzej, zbierany przez tyle długich lat. Masz ten muzej, — przedmioty wielorakie. A swój muzej, — Martyzel rzucił ramiona rozpacznie w obie strony, — noszę ja w mojej głowie.

Nie mógł dalej wyrazić swej myśli. Woda mu przeszkadzała, pluszcząca cicho pod nogami, czy też noc w owej wodzie odbita, czy też świadomość o muzejach wielorakich, dwojakich, smutniejsza nawet od tej nocy?!

Wisieli na sobie i pętali się wzdłuż tych pomostów i tak się popierali w krętaninie słów.

Zemsta, czy mordobicie, a na początek takie tylko siuchty? O Kanię — pewno!..

O Kani i o Kani!

Supernak kroczył lekko, jak kot. Całem ciałem przysłuchiwał się słowom. Liczyło mu się przytem: Same zemsty i tylko same zemsty. I sidła.

Wszelkie na tego Martyzela. Gdzieby tu, jak nareszcie pokończyć już z tym głupcem!

Po stawach przeleciała gładzizna mroźna, wiatr zmarszczył ją i znowu łagodnie rozprostował.

Szli przez długie pomosty nad zeschłym tatarakiem. I znów wiatr!

Przemykał poprzez ziele tak tkliwym głosem.

Przyszło Supernakowi z prawdziwej nienawiści, tym samym głosem suchych, uwiędłych szuwarów: Jął szemrać, — ty muzej i ja muzej! Snuć i rozpowiadać, — że takie porównanie jest we wszystkiem na świecie?!

Tchnął czarną gębą prosto w oczy Martyzela.

Woda sprzyjała temu, ślizgając się wzdłuż brzegów cieniutkiem ostrzem blasku.

I tak i tak i owak. I znów jeszcze inaczej. I muzej — dzieci — żona?

Teraz — nastawnikowi temu, — jak nożem. Zimnym nożem między żebra: O żonie, jak za księdzem przepada, — pogrzeby i obrządki wyprawia tylko dla niepoznaki!

O Kani — i o Kani — i o Kani!

A drugim nożem w drugie, lecz jeszcze świeższe miejsce: Względem tej genitury, czyli śmierci, czyli sposobów innych, — twoich!

— Powiedz, Martyzel, — no więc moja nie żyje, a znów twoja, — wiedział to od nieboszczki, teraz dopiero mówił, — pędem do Knote od twych sprawek przylata i krwią spływa! Od twoich sprawek, — czyli też może cudzych!?

O Kani — i o Kani — i o Kani!

Górnik porwał portjera, żeby zwalić do wody. Już niósł — przed siebie ku pomostom, przed największą

głębinę. I tylko huczał okropnym głuchym głosem — na dno, na dno, — na dno!

Trzymali się wzajemnie za szyję i tak charczeli przeciw sobie jadem, — lecz stało się, że inne dno odnalazł tu Martyzel, niżeli śmierć głębsze, — ogromnej swej miłości.

Postawił Supernaka na pomoście, zamyślony — aż do niewiadomego końca tych czynów ludzkiej krwi.

Woda szeptała, ciche wargi zwierając wedle brzegów a potem dalej rozesłana w głąb nocy równią nieskazitelną.

Wsparł czoło na kościstem ramieniu portjera i skruszył się tu starszy górnik Martyzel tak wielce, tak doszczętu, że oto jął tłumaczyć Supernakowi własne tajemne rzeczy — jakby rodzonemu bratu.

Rozeszli się ostrożnie.

Gdy powrócił do domu, dzieci dawno już spały.

Cóż są dzieci, cóż żona, cóż życie? Jakoweś inne prawdy wyrosły z za tych prawd, ścianami przeczystemi!

U Widłaków ucichło. Dzieci Zbrożków płakały jeszcze ciągle za ścianą. Kociemska zasłoniła nareszcie okna firankami.

Martyzelowa nadal pod lampą haftowała te narodowe stuły.

Usiadł naprzeciw żony; jak zawsze, przed spoczynkiem rozłożył gramatykę światowej mowy, którą sobie przyswajał, — pod nazwą esperanto. I znów pracował, rył się przez litery i znów przewracał stronice ku miejscom wyuczonym, wczoraj i przedwczoraj lecz, — cóż tu znaczy miejsce?

Zdało się dziś Martyzelowi, że od nauki tych łatwych słów powszechnej mowy świata rozpoczyna swą śmierć. Tam przędą się słowami nadzieje a tu już wschodzi śmierć.

Albowiem poprzez krzywdę obrazy tak straszliwej nie widział w sobie śladu zemsty, — lecz znów tę samą miłość.

2

KARJERA KOZY

Kiedy ten list przyniesiono, Koza nie pamiętał. Rzecz prosta, — wiedział, że stało się to rano. Przed południem. W godzinach urzędowych, w sekretarjacie Związku, na trzeciem piętrze. Przed południem.

Wiadomo też, kto ów list doręczył. Bardzo dobrze wiadomo. I niema w tem nic tajemniczego. Rzeczy doniosłe obywają się bez tajemnicy...

List ów przyniósł woźny Domu Ludowego, stary połamaniec, Żytko, który zawsze przynosił pocztę i wogóle był woźnym, a od czegoż wkońcu są woźni, na świecie, — chociażby nawet socjalistyczni, — jak nie od takich posług?

Wszystko to wiadome było i pamiętane, lecz pamiętane, jak przez wodę. Czy też opar, czy przez mgłę? W uczuciowej jednak pamięci (mimo, że się jest sekretarzem Związku można sobie chyba na odłam takiej pamięci pozwolić) pozostało tylko jedno:

Po pierwsze: Dotyk i chrzęst papieru listowego, podbitego subtelną bibułką.

Granatową, — och, — całe życie granatową!

Po drugie: Treść, mniej więcej w te słowa: „W sprawach żywo obchodzących“. — „Pragnęłabym pomówić z panem“. — „Dyskrecjonalnie“.

Po trzecie podpis: Ludzie nazywają to podpisem, ale właściwie — należałoby uklęknąć! Podpis: Zuzanna Kostr... — reszta liter nazwiska wypryśnięta nieczytelnym charakterem.

Po pierwsze, — drugie, — trzecie, po czwarte — wyliczanie takie, to na terenie Osady i tutejszej pracy organizacyjnej specjalność posła Drążka.

Po czwarte: Data podpisu na dole, — z czego wynika, że ludzie tej sfery daty stawiają na końcu listów.

Po piąte, — niewiadomo narazie. Koza mógłby sobie wyliczać — i wyliczał! Czekając na oznaczoną godzinę widzenia, nic innego nie robił. Wyliczał i wyliczał.

Niepotrzebnie! Wszystko mieściło się z pewnością bez reszty w chakterze tego pisma. Badał charakter tego pisma, ustawicznie wyciągając list z koperty. Czynił to tyle razy w ciągu tego jednego przedpołudnia, że rozerwane nieopatrznie kanty bibułki przyuczyły się już niejako: arkusz wjeżdżał w rozerwaną kopertę, jak po maśle.

Sekretarz Koza wyjmował i wkładał tyle razy, że nakoniec wystarczyło mu wsunąć dwa palce za bibułkę, by całą treść listu mieć — jak żywą przed oczami.

Gdyby nie to, że towarzysze, zwłaszcza ogół towarzyszy stał na takim niskim poziomie oświaty, gdyby nie to, że towarzysze w większości wypadków nie umieli pisać, lub też pozapominali przy tak ciężkiej pracy,

oraz w tak ustawicznych kryzysach głodowych, gdyby nie to, — dawno już, zaprowadziłby Koza w Głosie Osady — odpowiedzi grafologa.

Rubryki takie znajdują się stale w przeróżnych partyjnych i niepartyjnych tygodnikach. Niestety, — klasa robotnicza w Osadzie nie dorosła jeszcze do tego rodzaju zbytków. Gdyby istniał dział — *odpowiedzi grafologa*, — dałoby się pierwszych parę linij do zbadania. Przekalkowałoby się samemu i niech pan grafolog-specjalista wydaje wyrok co do właściwości tego charakteru.

Hamletyzm: Właściwości charakteru, gdy za parę minut ma się człowiek zjawić u Kostryniów, względnie nie obwijać takich rzeczy w bawełnę, — u panny Zuzanny Kostryniównej. Która trzęsie swymi rodzicami dowoli, która więc jest duszą całego kierunku, — nie można tego nazywać kierunkiem, — ale jest duszą i to bardzo dobrze wiadomo, — czego duszą!

Znajomość właściwości charakteru mogłaby w takiej chwili oddać nieocenione usługi. Wystarczyło przymknąć powieki a właściwości te zarysowywały się tak dobitnie, iż potem widziało się już je otwartemi oczami poprzez wszystko inne.

Poprzez cały świat zewnętrzny, — tak bezczelnie natrętny.

Widziało się to mózgiem, sercem i uczuciem: Pismo obliczone na nieposzanowanie papieru, pismo wielkie, piętrowe, z okrągłościami miękkiemi między jedną literą a drugą. Może między temi okrągłościami taiły się jakieś właściwości psychiczne?

Koza stwierdzał z całą pewnością: Pismo to stanowiło jakgdyby jakiś chód, krok gimnastyczny, jak się widzi na fotografjach pokazu rytmicznego Izadory Duncan (coraz ukazują się takie fota w prasie z powodu kultu człowieka).

Pismo to było taneczne. Biegło sobie wesoło ku brzegowi stronicy. Skutek? Nogi kobiece. Czy można pomyśleć, — nogi Zuzanny Kostryniówne!... — Och, istne szaleństwo!

Zegar jednak posuwa się naprzód. W danej chwili, — już tylko dziesięć minut do oznaczonego terminu wizyty.

Koza drżącemi rękoma zamknął biurko, zbiegł na dół, zapomniał coś, znów wrócił: Cztery minuty szło się z Domu Ludowego do mieszkania Kostryniów, przy hucie Katarzynie. Na nieobliczalne jakieś przeszkody doliczał Koza dwie minuty.

Cztery minuty, plus dwie, — razem sześć, pozostawały jeszcze cztery minuty, — zegarek był sprawdzony wczoraj według zegarów Erazma, — dom państwa Kostryniów nie posługuje się zapewne innym czasem od czasu huty i kopalni.

Koza westchnął głęboko, pełnią nienawiści klasowej: Muszą mieć czas ten sam, co na kopalni i w hucie, z tego żyją cholery!!!

Pozostawały cztery minuty, które należało zużyć umiejętnie na odpowiednie refleksje. Oraz, by skrócić czekanie do minimum.

Nagle, — okazało się, iż owych czterech minut nie starczy, że trzeba nawet zużyć dwie pozostałe rezer-

wowe, a może nawet, wypadnie uszczknąć z żelaznego kapitału czterech minut drogi: Sekretarz Koza zapomniał cukiereczków pachnących, które brał zawsze dla zapachu ust. Miał zdrowy żołądek, nie zionęło mu, jak innym. Wiedział jednak, że zwykły, zdrowy normalny oddech to mało w tak ważnym wypadku.

Tu trzeba czegoś delikatniejszego!

Puścił się biegiem, — cukierki te sprzedawano w jednej tylko aptece, daleko stąd.

Dorożki nigdzie żadnej.

Miał teraz wracać biegiem aż z pod kościoła, który wznosił swe triumfalne wieże nad rozkopanemi nizinami Erazma. Pozostawało wszystkiego trzy, cztery minuty najwyżej! Przez zapomnienie łyknął już trzecią pastylkę, którą w ustach trzymać należało, nie zaś łykać.

Koza prywatnie, nie w swej publicznej działalności, był od urodzenia antysemitą. Ale tu, — proszę próbować antysemityzmu: Położenie bez wyjścia. Nikt nie zdąży w ciągu czterech minut z pod kościoła aż do mieszkania Kostryniów.

Nikt!

Tymczasem z za zakrętu odludnej ulicy Błotnej wyłania się nagle z odpowiednim turkotem dorożka, — na niej siwy stary Żyd.

Koza wskoczył, kazał się wieźć, zlany potem opadł na poduszki z jedną piekielną a jednak pełną wdzięczności myślą w przemęczonem sercu: Żydzi zwyciężą świat!

— Zapłacę dwa złote. Obiecywał sobie, że zapłaci o całego złotego więcej ponad taksę, tem bardziej, że

przyjechać a przyjść to w takim wypadku nie jest bynajmniej jedno i to samo.

Gdy mijali szary długi mur huty Katarzyny nie mógł już opanować swoich myśli. Och tak, — ileż to jednak życia w takiej hucie!

Dał Żydowi złoty pięćdziesiąt, ale jak się potem stało, że zadzwonił, że wszedł? Kroczył spokojnie schodami, mimo, że wszystko nabierało szumu krzydeł niewidzialnych.

Zapamiętał przytem wyraźnie pewien charakterystyczny szczegół: poszczególne pokoje Kostryniów mieszkania pachniały odrębnie i osobliwie, zapachem drogich jedzeń.

Ależ tak!

Przedpokój trącił zapachem dziczyzny, — jadali taką dziczyznę co roku na Sylwestra u Cieplika, Koza, sztygarzy i wogóle wszyscy. Salon pachniał orzechowym tortem. Najwyraźniej! I tego może właśnie było już za dużo?

Za dużo! Koza przypomniał sobie oschle, kim jest: Żadne zapachy nie wywabią go za klasowe mury partji. Z przeświadczeniem tem stanął spokojnie na środku salonu Kostryniów, w obliczu fortepianu, przedziwnego parawanu z pierścionków od cygar, wypchanego biustu sarenki (skroń sarenki owej miała w sobie coś ze skroni Zuzanny), wyścielanych krzesełek, wszelakich pufów, jakichś jedwabnych atłasowych podściółek i haftów i obrazów i słonecznej przestrzeni pokoju.

Serce Kozy ścisnęło się boleśnie: Nie dlatego, że sam był synem ojca piekarza, mordownika i pijaka.

Nie dlatego nawet, że kiedyś, jako dziecko, darł krwawemi palcami włosie, a potem bili go po głowie i jako zapychacza nurzali w błocie.

Z nastaniem ery zajęcia biurowego minęły już te straszne prześladowania.

Serce sekretarza Kozy ścisnęło się tu, poniekąd filozoficznie, — nad sprawą podziału dóbr: Widział w swem życiu niejedno. Widział salon wojewody w Kielcach i w Katowicach. Chodził tam w delegacji, — jako obrażona praca. Był raz w swem życiu na Wawelu. Z prasy partyjnej a nawet niepartyjnej miał niejakie pojęcie o zagranicy: Można gdzieś nie być osobiście a jednak mieć pojęcie. Kiedyś dawno, pod wpływem kolorowych ilustracyj napisał nawet wiersz o Wenecji. Pił czarną kawę w hotelu Bristol w Warszawie. W hallu, wpobliżu windy, przyczem przechodnie uliczni zaglądając przez szklanne drzwi mogli byli myśleć, że jest takim samym dalekim, obcojęzycznym przejezdnym, jak tylu innych, do późna tu siedzących z rękoma w kieszeniach.

Nie imponował mu już chyba żaden zbytek. Ale, — żeby znów mieć taki zbytek wyłącznie dla siebie? Żeby sobie tak gdzieś wyłącznie dla kogoś dobrzały takie sprzęty i przedmioty w zapachu orzechowego tortu!

Żeby drzwi otwierała służąca, która śmiało mogłaby być siostrą sekretarza partyjnego?!

Żeby z tak niemoralnego zbytku mógł wystrzelić tak piękny właśnie kwiat jak panna Zuzanna!

Koza nie siadał. Stał, czekał, przejęty tragizmem sytuacji. Bo kwiat, mimo, że z błota zrodzony, był piękny!

Już szła...

Widział ją zbliżającą się ze stołowego pokoju. Odbijała się w lustrze salonu. Kozę też odbijało owe lustro, — martwe przedmioty nie zważają na różnice klasowe.

Szła w krótkiej sportowej sukience i w jakiejś bluzce zapewne, lecz Koza ani teraz, ani później przypomnieć sobie tej bluzki już nie mógł. Jedno pewne, iż przez lekki materjał przeświecały jej piersi.

Przeświecają mimowoli, — szarpnął się w Kozie nagły okrzyk niewinności. Gdzież mają się podziać?

Szła.

Patrzył w głąb lustra, spostrzegając tam rzecz nieoczekiwaną: W szklannej głębi ubywało towarzysza, sekretarza, redaktora, a przybywało zmieszanego młodzieńca.

Stało się, — Zuza podała mu rękę.

Sekretarz Koza myślał o jednem tylko w tej niepoczytalnej chwili: Jak szalonem szczęściem jest na świecie, że przez trzewiki nie widać dziur w skarpetkach.

Rozległ się głos Zuzy. Porównać tego nie można z niczem. Może tylko z obłokiem? Małym różanym obłoczkiem, jakie bywają w lecie na pogodnem niebie, wysoko i samotnie.

O co chodziło pannie Zuzannie Kostryniówniej, Koza w pierwszej chwili nie zrozumiał. Nie znał żadnych obcych języków a przecież, jakby polski pomylił się sekretarzowi z temi obcemi, nieznanemi językami.

Uchwycił tylko jedno słowo: *Dyskrecjonalnie.*

Zaprzysiągł pannie Zuzannie natychmiast absolutną dyskrecję. Na mur.

Słów tak twardych, określeń tak bardzo materjalnych, robotniczych należało zapewne unikać w tym wypadku; lecz Koza sadził właśnie temi określeniami, przejęty najgłębszą pogardą do samego siebie i wogóle do całego świata.

Przyszłej, zdrowej, oswobodzonej z przesądów ludzkości twarz Zuzy wiele pozostawiała do życzenia: Uczernione brwi, podmalowane usta, puder. Mimo całą tę niegodną sztukaterję rozścielał się na rysach dziewczęcych piękny uśmiech.

Uczynki ojca Zuzy, organizowanie przez niego Straży Narodowej łamistrejków, organizowanie drużyn ratowniczych, które są zwykłą ochraną przeciw robotnikom, bibljoteka dyrektorowej, — twierdza kłamliwego wstecznictwa, — wszystkie redukcje, ci wszyscy ludzie, którzy od tylu tygodni przechodzą przed sekretarskiem biurkiem i płacząc rozkładają ręce — czyżby to wszystko było niczem wobec jednego uśmiechu?!

Panna Kostryniówna wciągnęła nagle powietrze do płuc, z kryształowym szelestem. Zdawało się, że zacznie mówić, tymczasem nie: Założyła nogę na nogę, rąbek jedwabiu łysnął nad kolanem. Jeszcze raz wciągnęła powietrze, — teraz mówi.

Dyskrecjonalnie: O rzeczach partyjnych, robotniczych, kopalnianych.

Niech przepadają wszystkie sprawy robotnicze, — to pierwsza myśl Kozy. Myśl druga, — słuchać, uwa-

żać. Skądże wiedziała to wszystko? Skąd wiedziała rzeczy, nieznane jeszcze nawet w Domu Ludowym?

Uważać: Komuniści szykują wielką manifestację na pogrzebie jakiejś żony portjera. Ach tak, — niejakiego Supernaka. Wielką manifestację, wystąpienie, przemowy, próba sił, sztandary partyjne. Na tle jakiejś sprzeczki między księżmi, czy klerem, czy też jakiegoś księdza jakiejś nowej wiary. Chcą zgnębić socjalistów. Wiadomości są pewne.

Prosił ją wczoraj Coeur o tę małą intrygę. Pragnął przyśpieszyć pewne pociągnięcia, tem bardziej, że ustaliło się już przybycie kwartetu, a na później, po odciążeniu sytuacji, projektowano cały szereg przyjemności. Pan rozumie, co to znaczy przypadek? Można się czegoś czasem dowiedzieć całkiem przypadkowo. Wiem, że komuniści przygotowują się do tego wystąpienia w wielkiej tajemnicy.

— No, tak, — wykrzyknął Koza, — my nic nie wiemy jeszcze!

Całem sercem stał po stronie Zuzy.

Całem sercem leżał u jej stóp.

— To jedno, drogi panie redaktorze. A teraz druga sprawa. — Drobna twarzyczka Zuzy ściągnęła się tak lekko, delikatnie, że sekretarz aż zamarł z podziwu: Ile twarzyczek takich może być jeszcze na świecie, dziś w epoce przyśpieszonej amerykanizacji wszystkiego? Pięć, ośm — może mniej? Kino nie daje tego. Jakby emaljowane, — Koza miał parę twarzyczek takich, wyciętych z zagranicznej ilustracji z numeru o historji minjatury.

Cuda!

Druga sprawa miała związek, — Koza przestraszył się, — z Tadeuszem Mieniewskim.

— Tak, panie, tak, tym samym, synem posła. Niestety!

Jeżeli do tej chwili panna Zuzanna Kostryniówna była piękną, to teraz stała się jeszcze piękniejszą. W jej prześlicznej twarzy zaszło nagle coś takiego, że Koza zmrużył powieki, — by nie patrzeć. Względnie, jeżeli już patrzeć, to tylko ukradkiem.

— Nie wiecie również, — mówiła, — ręczę za autentyczność! Pan Mieniewski został, — oczywiście, — komunistą. Czy może był nim już dawniej, — prawda? Przebywa tu teraz w Osadzie pod zmienionem nazwiskiem. Niech pan tego nie pisze u siebie, — myślę o pańskim Głosie Osady. Czy pan wie, że nie mogę nie czytać tego pańskiego Głosu?

Koza złożył potulnie obie ręce na piersiach.

— Ale niech pan napisze w tym swoim „Głosie“, że tenże Mieniewski Tadeusz porozumiewał się tu z kapitalistami, pobrał nawet wysokie zaliczki na zaciąganie podłóg w Radzie Kopalń i Hut. Które to podłogi miał tutejszemu kapitałowi własnoręcznie zaciągać.

Położyła Kozie rękę na kolanie mimochodem: umrzeć tu w jej obliczu, na taboreciku — i niech potem piszą po gazetach partyjnych a nawet niepartyjnych, owszem proszę!

— Otóż to chciałam panu powiedzieć dla pańskiego organu. To trudno, — tego rodzaju praca, co pańska, nie przechodzi bez echa.

Wstała.

Usta jej drżały wzruszeniem.

Smutek, walka wewnętrzna — na pogodnem obliczu minjatury!

Koza podniósł się z krzesełka.

Za oknami słychać przejazd ciężkich wozów, trąbienie samochodu, od strony huty ciągłe cykanie żelastwa, martwe przedmioty wszystko mogą wytrzymać, — ale człowiek?

Martwe przedmioty nie znają niepewności!!

Zaśmiało się Kozie w piersiach uczucie nieznane, obce a tak upragnione. Powstrzymał oddech, spuścił oczy i wyrzekł nagle jednym tchem:

— Wiadomości są bardzo cenne, aczkolwiek tajemnicze. Nie dające się sprawdzić. Ale cenne. Tak, — dziękuję. Jednakże woli nas pani — od komunistów?

Zaśmiał się ironicznie i złowrogo.

— Tak, — skorzystamy. Owszem. To jedno. Teraz drugie, — pot zalewał mu oczy, — moja sprawa osobista.

Wymawiając słowo „osobista“, zwarł szczęki, zęby zderzyły mu się niewłaściwie, któraś z plomb musiała się ukruszyć, gdyż poczuł w ustach smak krwi, pomieszanej z cementem.

— To ja pisałem do pani, — anonimy. Te świstki biedne z nieszczęsnym podpisem — „biedne zwierzę domowe“, — czyli Koza. To moje... Panno Zuzanno! Pani! Pani, — pani, — pani!

Nie przypuszczał, że mogą dziać się w życiu człowieka takie cuda. Zuzanna znikła niejako. Na miejscu

jej — Koza przysiągłby, — że unosi się wcielone żywcem marzenie. Obłoczek biało-różowo-perlisty!

Chmurka, tchnąca zapachem wonności, z której lśnią oczy roziskrzone, jak najdroższe kamienie.

— Ja, proszę pani, — pocóż to mówił, poco, skoro czuł, że od samego brzmienia tych słów dreszcze lecą mu przez plecy, — wykonuję teraz może właśnie tragiczną ewolucję. My, ludzie pióra czujemy takie rzeczy odrębnie. Życiowa, tragiczna ewolucja ideałów za dozgonnemi murami partji. Och — tego może pani być pewna. za murami, — dozgonnemi! A jednak ewolucja: od czwartego pokładu na Florze, pani wie? Grubość pokładu siedmdziesiąt centymetrów, — dwanaście godzin na czworakach. Dwanaście godzin dziennie na czworakach — szedłem do stóp pani!

Słowa te wymawiał olśniony, z oczyma wpatrzonemi w sufit. Na suficie wymalowane były przeróżne liry i owoce. Wiedział już, że nigdy w życiu nie zapomni tych lir. Słowa o dwunastu godzinach wymawiał z przestankami, — najszczęśliwszemi może — w życiu całem: panna Kostryniówna bowiem raz po raz zasłaniała mu usta swemi uroczemi dłońmi.

Czyż to są dłonie?! Są to płatki podzwrotnikowych kwiatów!

Od każdego dotknięcia tych dłoni sekretarz Koza tracił oddech i zamykał oczy. Liry i owoce znikały, ukazywało się natomiast — samo szczęście.

Cóż więcej można wiedzieć o szczęściu?

Doszli tak we dwoje, do drzwi, łączących salon z przedpokojem.

Tu ujrzał sekretarz Koza jeszcze raz przytomnie oblicze panny Kostryniówny.

Śmiała się pobłażliwie w salonie. Nie przestała śmiać się w przedpokoju, napachnionym kosztowną zapewne wonią dziczyzny.

W podźwiękach śmiechu panny Zuzy jedno zdało się pewnem sekretarzowi: Że dziś jest święto. Jakieś — olbrzymie! Wobec takiego święta Pierwszy Maja pozostaje igraszką — mimo wierność partyjną.

Upuścił laskę, zmylił kapelusz, wdepnął w cudze kalosze, z literą „K“, ale znacznie lepsze.

Och — lepsze!

Koza i Kostryń zaczynają się na „K“.

Nie wypowiedział głośno tego świętokradztwa.

Wyszedł zwrócony przodem do pani tego domu. Gdyż ona była panią, ona, ona, — nie ci szmatławi rodzice. Matka? Tak, — piękność wzięła panna Zuzanna po matce. Lecz stary Kostryń nie mógł być przecie ojcem Zuzy. Stara na pewno zdradziła swego dyrektora — z jakimś księciem. Polskim, rosyjskim, czy francuskim, — rany boskie, przecież tu nie chodzi o narodowość!

Szedł prosto w kierunku Domu Ludowego, raz po raz powtarzając sobie głośno: — Bardzo dobrze zrobiła, że zdradziła, bardzo dobrze zrobiła.

W gruncie rzeczy nie myślał jednak o pani Kostryniowej, ani o jej mężu, ani nawet o tym cudzie marzenia, to jest o córce.

Myślał teraz — od zakrwawionych palców u starego żyda, od pokładu czwartego na Florze, przez całe

błogosławieństwo wszelkiej pracy biurowej — o jednem tylko: — Karjera!

Jedno słowo: karjera!!!

Zrobić byczą karjerę! Na szczycie fontanny jajko, w które nikt trafić nie może, choć strzelają tak pilnie. Karjera.

No, więc trudno, więc mimowoli wynieść już może nawet na swych barkach tego wałkonia Drążka. Trudno. Ale zato, — karjera!!!

A potem, — proszę bardzo: pan poseł Koza. Poseł Alojzy Koza. Pan — Mussolini-Bebel-Lassalle — (który też zginął w pojedynku o kobietę) Alojzy Koza.

Kryzys, — zwrot, — przesiodłanie Drążka w kierunku nieprzejednania, — nowe wiadomości dzięki rozmiękczeniu córki kapitału, osiągniętemu zapomocą Głosu Osady.

Prasa — mocarstwo świata, — trzecie, czy czwarte, wszystko jedno.

Rzucić się w aferę pogrzebu, — zwyciężyć. Przeleciał myślą wszystkie spisy bezrobotnych: wystarczy tego bractwa i obejdzie się doskonale bez pomocy Kapuścika. Podać teraz to wszystko w odpowiedni sposób idjocie Drążkowi, — niech wie, że się za niego myśli!

We wrotach Domu Ludowego zatrzymali Kozę bezrobotni. Gadali, czegoś chcieli — towarzysze czekajcie bo tu ważniejsze rzeczy — i hyc na górę. Pędził na trzecie piętro, do sekretarjatu, po pięć schodów naraz. Stłukł sobie wielki palec na ostatnim stopniu.

Poseł Drążek — siedział na szczęście w sekretarjacie.

Siedział za biurkiem Kozy, rozparty — i czekał. Gdy usłyszał charakterystyczny szelest gumowego płaszcza, odwrócił się ku oknu.

Gdy Koza wysapnął pierwsze zadyszane słowa: — Jakie to szczęście, pośle, że was tu zastaję — Drążek odszedł od biurka i zatrzymał się przed oknem. Odwrócony do Kozy plecami.

Nie było czasu na żadne polityki, wstępy, czy zwlekania. Wiadomo przecie, jak w takich sprawach trzeba być aktualnym.

Koza wygarnął wszystko odrazu, z miejsca: Gdzie był, u kogo, — zawezwany, — w dyskrecji, jako niby redaktor, niby że tajemnica redakcyjna, — o czem się dowiedział, — co ma się dziać — jakie to zamachy podstępne szykują komuniści na pogrzeb biednej Supernaczki — co to umarła wreszcie, — o czem wiecie.

Przerwał. Bo niby co ma znaczyć — te takie plecy tyłem odwrócone? Należałoby raczej podejść do gościa, chama takiego, tyłem odwróconego, wziąć go pod rękę i powiedzieć — słuchaj, uważnie!

Czego chce jeszcze? Jeszcze mu źle?

Skręca teraz taki cham kominka w robocie i wobec kapitału i w związkach, oczywiście za późno, — pomagasz jeszcze takiemu bydlęciu, które co do wartości niewiadomo na ile lepsze, albo też gorsze jest może od Kostrynia chociażby — i co?!

Obrobiwszy sprawę pogrzebu, przeszedł Koza na drugą nowinkę, co do Tadeusza Mieniewskiego. Gdy jednak padło nazwisko Mieniewskich, szerokie bary

posła Drążka drgnęły. Uniosły się wgórę i długą chwilę tak zostały.

— To wszystko, panie pośle, i takie sprawy kroją się tu teraz w zagłębiu. Rzecz w każdym razie pewna, że wiemy, o czem żadne jeszcze defensywy, czy inne Kapuściki nie wiedzą.

— Skończyłeś pan?

— No, chyba, towarzyszu pośle.

Drążek mówił przed siebie, tyłem do Kozy, przodem do widoku: pięć kominów, dziobate mury gimnazjum żeńskiego, suche drzewka podwórza, pod któremi młodociane uczennice przechodzą „na stronę“.

— Skończyłeś pan? To dobrze. — Głos posła Drążka brzmiał uroczyście. — W pogrzebie tym weźmiemy udział całą parą i się nie damy. To jest pewne. Dwa: O Tadeuszu Mieniewskim, czy jak mu tam na imię, — ani słowa nikomu. Czy siedzi u komunistów, czy u djabła samego, — milczeć. Czy pan wie, co to jest Mieniewski, nie jako syn, lecz jako ojciec, leader? Co pan wie o tem? No, — to jest dwa. A teraz idzie trzy.

Drążek odwrócił się od okna — straszny!...

Koza zbładł.

Twarz posła ciężka i kamienna, jakby się miała lada moment rozlecieć, rozkruszyć, rozbić na drobniutkie kawałki. Rysowało się na niej w tyle stron rozmaitych tyle zmarszczek i drgnień i taka wściekłość!

— A teraz idzie trzy! — Poseł przeszedł ku drzwiom, zamknął je na klucz. Klucz wyszarpnął z zamku i schował do kieszeni. Mówił od drzwi:

— Trzy, panie Koza. Kto to panu pozwolił bez mojej wiedzy, ani też przyzwolenia, ani co, w takich czasach, tak napiętych, — hę? Na własną rękę prowadzić jakieciś tam wywiady, konszachty i temu podobne?! Com panu mówił niedawno, panie towarzyszu Koza: że pan zęby w spluwaczce zostawi, jeżeli?! Że pan masz pod moją ręką uczyć się dopiero na człowieka i, co jest pod tem rozumiane, — dyscypliny partyjnej? Albo tak będzie, panie towarzyszu Koza, albo wcale nie będzie, gdyż u mnie połowiczności żadnej niema!

— Niema!!! — ryknął.

Spokojnie podszedł blisko i wyrznął Kozę w twarz potężnym rozmachem uwłosionej pięści. Z jednej strony a jęszcze dźwięk straszliwy nie przebrzmiał w lewem uchu Kozy, — gdy już znów z drugiej strony.

Krzyk i płacz.

— Nie bój się pan. Ja się wcale nie unoszę, — oczywiście, — znam granicę wszystkiemu. Jestem spokojny, a pan sobie możesz też obecnie pomyśleć, jak należy.

Runąwszy na biurko, Koza zlewał krwawemi łzami nowiutką, niebieską bibułę.

— Jak należy. — Poseł Drążek otwierał drzwi z klucza. Otworzył, ruszył klamką i wychodząc prawie, dodał:

— Za dużo mnie pan nerwów kosztuje, panie Koza, to jest fakt. Takie zabawy towarzyszu Koza nie na dzisiejsze czasy. Za dużo mnie pan nerwów kosztuje!

3

PIERWSZA KLASA

Wszystko wiedzieli, którzy tu szli, — różne, podziemne słuchy zapowiadały, że oprócz pogrzebu ma się na coś o wiele grubszego. Obecność licznych figur, w Osadzie znanych, sprawę tę stwierdzała.

Wiedzieli prawie wszystko, nikt jednak nie mógł się spodziewać, że portjer Erazma, taki właśnie połamaniec i inwalida, jak ten oto Supernak, wystąpi w tej okazji śmierci żoninej — z pierwszą klasą pogrzebu.

Zawstydzenie z tego na wszystkich spłynęło i, — bez przesady można powiedzieć, — zazdrość.

Ludzi ściągało — nielada! Nie znającym Zielonego ukazywała drogę czarna chorągiew, przed domem wystawiona, oraz wieko trumienne pod nią.

Bliskie sąsiedztwo: wieko trumienne, gdyby nie, iż na czarno malowane, jakże podobne jest do zwykłego koryta?! — Myśl o powyższem podobieństwie powziął Martyzel na znak przekory swego ducha, a także gwoli stwierdzenia innych, znacznie smutniejszych wniosków.

Nie wyraził tej myśli głośno, pogrążony w upartem milczeniu.

Ludzi przyszło, otwarcie mówiąc, — coniemiara!

Wpłynęły na tak liczne stawiennictwo: sprawy ukryte, ciekawość, zawsze czcza, w niejakiej też części sama pogoda popołudnia: zimno, lecz w miarę, wiatru tyle właśnie, iż trzeba dla rozpościerania się chorągwi, słońce pośród zniżonych chmur jasne i przytomne.

Słowem, jak być powinno: Odprowadzamy cię, nieszczęsna duszo ludzka, lecz nikt nie zatrzymuje.

Do izby z nieboszczką napchało się narodu zbyt wiele. Pętali się w niecierpliwości po całem obejściu, wchodzili, wychodzili, nasyciwszy się pokrótce widokiem zmarłej.

Leżała w bluzce lila między czterema świecami z uśmiechem, na jaki za życia nie mogłaby sobie przenigdy pozwolić: coś, jakby drwiny wkoło zaciśniętych ust, a znów z powodu chudości, jakoby odmłodniała mimo wszystko.

Obrażało to obecnych, szczerze żałujących, w pierwszym rzędzie kobiety.

Nikt tego nie wyraził głośno, tem bardziej, że już i tak powstała duchota i dość znaczny nastrój pogrzebowy, od czego wszyscy prawie mieli rumieńce na twarzach.

Nawet Supernak! Kto tam przejrzy tego starego czorta!

Zarzucić mu nie można nic. Stał w nogach zmarłej skromnie, odziany w szary surdut i we wszystko najlepsze, jak się należy w takiej chwili.

Pierwszą klasę postawił!

Czy modlił się, — ocenić ściśle nie zdołali. Wargami

poruszał, skubał, lepił, — jak podczas modlitwy. Pewne jest w każdym razie, że z pod nawisłych powiek wertował przychodzących bardzo, bardzo rozważnie. Lepiej od innych wiedział, na co się zanosi, skoro byli tu wszyscy najczynniejsi, albo też ich przedstawiciele uświadomieni.

Taki Duś! Stał między oknami nieporuszony, — martwy. Tenże sam Duś jednak sprawdzał surowym wzrokiem wszystkich wchodzących oraz wychodzących.

Czyli — szykuje się!

Taki Koza. Myszkował w sieni. Temu Kozie stało się coś, ból zębów, czy też na jakimś żywiołowym wiecu mordę mu rozbili towarzysze, gdyż podwiązaną miał szczękę białym włóczkowym szalem. Dziwny to dość ból zębów, od którego lewe oko jest rozsiniaczone i ciemną krwią nabrane.

Byli tu też i przyszli, których się znało, że na Pierwszego Maja i w podobnych okazjach pochody zamykają, pilnują, wytrawni rozbijacze Drążkowi, szczerze mówiąc milicja, a po prawdzie — bojówka.

Pocóż tu przyszli? Z czyjego poduszczenia?

Komuna też sprawiła swoje szyki dość pokaźnie, skoro, — nie przy nieboszczce, lecz przed domem, w przyzwoitem oddaleniu od trumiennego wieka, — stało wiele przeróżnych bezrobotnych a w tem kilku młodocianych żydków, dość powszechnie znanych już w Osadzie ze swej działalności.

Ksiądz Kania obecny był, nie we własnej postaci, lecz w postaci zastępu wyznawców i wyznawczyń z Zielonego, którym przewodził niedwuznacznie Pstrokoński.

Przez Pstrokońskiego wyznawcy owi najbardziej wyglądali na wojsko. Pstrokoński bowiem wystąpił dzisiaj w wielkich portkach ułańskich.

Pstrokoński w izbie a przed izbą — chociażby taki Machnik!

Machnika nie lubili ludzie, gdyż nim do Kani nastał, jako marynarz wojenny sukno po wsiach sprzedawał, niby z okrętów, — nić ze sztuki wyciągał, zapałkami przypalał, materję miął a nawet siadał na niej, — lecz potem zawsze okazywała się pokrzywa.

Czegóż tu we dwóch chcieli?!

Starszego górnika Martyzela aż zatychało: wychodził na podwórko, wracał, wyłamywał prochem postrzelane palce, przybliżał się do żony i oddalał i znów powracał: wszędzie złość i szyderstwo!

Uciekał do sąsiedniej izby Szymczyków, gdzie ludzi było mniej i Lenora siedziała z dziećmi. Wiadomo, że pędziwiatr, czy rozpustnica, czy od prostytucji tak zwanej, — niedaleko. Ale dzieci lubiły ją. Siedziała na zydelku między niemi, głowy szare i ciemne, jak brukwie, Szymczykowa z cierpliwym płaczem głaskała ich po włosach.

Dał się nareszcie słyszeć turkot dorożki na grudzie, któryś z chłopaków nadbiegł, wołając, że ksiądz jedzie, młody wikary, z kościelnym.

Przyjeżdżał w samą porę: już w powietrzu wisiało nieszczęście. Ktoś tam komuś miejsca w drzwiach nie ustąpił i już jedni na drugich i kto wie, czy nawet nie przyszłoby do nożów.

Zawstydzili się księdza. Czy też nie księdza, a tych szat, szat żałobnych, aksamitnych, srebrzonych?

Powiało z nich bogactwem i takiem jakiemś ustanowieniem rzeczy!

Po odprawionych modłach pierwszej klasy, gdy już zakryli wieko, — ruszył krzyż, czarna chorągiew z szarfami z bibułki i ksiądz w pięknych ornatach.

Ledwie tamci ruszyli a już się tu zaczęło: niby, — że kto poniesie trumnę? Karawan erazmowski, chociaż przyobiecany, spaźniał się. Gdyby nawet wydążył, było postanowione, że do kościoła poniosą na barkach, od kościoła pojedzie sobie zmarła karawanem, a przed cmentarzem znowu pójdzie na ramiona.

Gdy ksiądz ruszył, do trumny przyskoczyli nagle wszyscy, jakby ją chcieli na kawałki rozerwać. I ci i drudzy i trzeci, powstał tumult, roztrącili palacza Szymczyka, kobiet płaczących nie uszanowali, — trzydzieści rąk łapczywych, — szamotanie i burda!

Czasu na takie bójki wiele nie było: przejaśnili pokrótce rzecz ci, którzy innych prowadzili: we czterech przy nieboszczce, Duś, Pstrokoński, sekretarz Koza z podwiązanym pyskiem i jeden hutnik z kostryniowskiej Pracy Narodowej.

Stali naprzeciw siebie, dyszący nienawiścią. Odrazu spór i handel: który podźwiga w głowach, który bierze za nogi?

Klamerek taka trumna proletarjacka nie ma. Rękami — na ramiona. Tu znów jęli przymierzać się co do wzrostu, z uwagi, by nieboszczka w ostatniej drodze ziemskiej nowych jeszcze niewygód nie doznała.

Przymierzyli się, oni i następcy wyznaczeni. Ustanowili między sobą straż i kontrol czasu, tak, by wszystkie kierunki i odłamy obecne mogły położyć swoją rękę na trumnie. Z tem podnieśli ciężar na dobre — i ruszyli.

Krzyż, — za nim czarna trumna, jakoś-takoś obciosana, łyskająca przez światło dnia, niczem podługowaty okruch węgla, — dzieci Supernaka, — onże sam, portjer, — uczestnicy, — i wiatr, który prześcigał wszystkich kupą zwiędłego liścia.

Ci, którzy nieśli, szli niepewnemi krokami, — pod ciężarem, naprzód wyboistą ścieżką, do lasu, wytrzebionego przez ludność i przez zimę.

Tutaj właśnie, na samym zakręcie uśmiechnęła się do swoich myśli Lenora: niedaleko, wpobliżu był ów dół, w który spadli kiedyś z owym Tadkiem; nie dała mu się kochać i tu ich Buruś wynalazł, odeszli potem ku izbie, gdzie dzisiejsza nieboszczka tak wydatnie kaszlała i wtedy to przez księżyc rozsiany, wołał Tadek: — Chcę patrzeć przez okno, jak z za szafy wyjdziesz do mnie druga!

Szła sobie teraz z łaskawą ciszą w oczach, uszach, sercu, z twarzą ochotnie ku wiatrowi podaną, ze wzrokiem w wieniec jedliny utkwionym, — a nikt nie może wiedzieć o tym wieńcu, ile razy pomiędzy ostremi gałęziami spotykały się ręce, zarazem też i usta kochanków.

Orszak wyszedł za ciemne koszary pokozackie i zatrzymał się nagle przy długim skraju stawów zatęchłych.

Któż może wiedzieć, idący ztyłu, co znaczy takie zatrzymanie? Jedni i drudzy i ci i tamci zwolennicy poskoczyli do przodu zazdrośnie, czujni, łapczywi i srodzy.

Tak jest wciąż: podejdą, zatrzymają się, przy trumnie niosących wyręczają, a tamci znów nie wiedzą, lecą, śpieszą się z pałkami, z świstem i odrazu z zaczepką!

Kołowanie, krakanie, jak wyleniałe ptactwo, znów w gromadę skupieni — tak pilnują owego trupa rychłą swą nienawiścią, od której trumna zatrzymuje się, drga i znów rusza.

Myśli te, czy też inne, z powodu okolicy stawów, oraz utrwalonego tu wspomnienia rozmowy najstraszniejszej w życiu, z portjerem Supernakiem, — te myśli, czy też inne, — żadne?

Ciągnęło przez Martyzela zgryzem wszystkich jesieni i mrozem wszelkiej zimy. Szedł obok żony, trzymał ją za rękę, lecz jakby szedł przy nikim i nikogo za rękę nie trzymał.

Nie mówili ze sobą. Rozmowa wszelka urwała się pomiędzy nimi pamiętnego wieczora i już jakoby wyschła we wszystkich źródłach.

Martyzel patrzył na rzeczy, ludzi, miejsca, okolice, na tory małych kolejek, biegnące stąd ukosem w stronę lasu. Na gmachy hut, cynkowni, kopalni, zadymione, odległe, trwałe a tak wyraźne, niczem przerozmaite prawdy jedynego systemu.

Och — system!!

Starszy górnik Martyzel oddalał ów widok z przed swych oczu ciężkim wysiłkiem woli i oddalał zarazem

doplątane niespodzianie wspomnienie nocy małżeńskich, ostatnich: gdy przychodził, korzył się, pragnął, sycił, — jakoby ciało własnej żony samemu sobie kradł, wśród pieszczot uniżonych a bezzdarnych przepowiadał ubiegłe życie obojga, rozkopywał zapomniane porachunki od pierwszych czasów tego dziedzica jeszcze! Godził się, znów pomstował i znów pytał, — o prawdę, którą poznał z ust Supernaka — a w którą wierzył...

Cóż stało się takiego na pogrzebie, że przywarł nagle do ramienia żony?

Musiało stać się, wcześniej, czy też później: z za węgła ulicy połączył się z konduktem ksiądz Kania, obok niego zaś — Knote.

Martyzelowa patrzyła na nich ustawicznie. Mąż brzęczał jej nad uchem, szeptał, prosił, ludzie ją potrącali, Martyzelka zaś szła, nic nie widząc tu wkoło. W pustce głuchej, śmiertelnej, wpatrzona tylko bez przerwy pomiędzy głowy ludzi, gdzie wdzięczył się kapelusz Knote niebieską wstążką.

A nad nim kędzierzawa czupryna księdza Kani!

Poprzez kościelne zawodzenie, — bo szli z nabożną pieśnią, którą wiatr skręcał i rozganiał w stronę malutkich domków tej ulicy, — słyszała Martyzelka najdokładniej, co mąż mówi.

Pochylony, — jak żebrak.

Weszli już w gwarną część Osady Górniczej, wypadło zatrzymać się przed żeberkiem kolejowem między hutą a Erazmem.

Napór ludzi rozdzielił małżeństwo, zwolennicy i znów inni, wrogowie w te pędy poskoczyli naprzód, pilnować

trumny. Nikt o nikim nie wiedział, kiedy kto zacznie? Zrobił się z tego wszystkiego męt wielki, lecz szczęśliwie rozszedł się po kościach konduktu, — widać nie na tę chwilę było postanowione...

Z pod kantów poczernionej trumny ukazały się te same cztery gęby, zatchnięte od ciężaru, rozkazujące spokój przekrwionemi oczami: Pstrokoński, Duś, sekretarz Koza i ten tam blondyn, hutnik ogromny z kostryniowskiej Pracy Narodowej.

Lokomotywy śmignęły przez żeberko, wionęły gęstym dymem po orszaku, ruszyli naprzód, Martyzelowa znów odnalazła w tłumie niebieski kapelusik Knote, powyżej niego czupryna księdza Kani — i znów te same słowa męża nad uchem, błagające, spodlone, rozumne bardzo a tak nędzne.

Domagały się prawdy, — Boże-litości-Panie! Przykre, gorzkie, żałosne zwierały mu się w ustach, jakby rupieciem utłuczonem przemawiał, nie zaś wymową ludzką!

Nic nie odrzekła, zacięta w mrozie i w milczeniu i tak doszli do kościoła, który pogrążył ich w puszystych ciemnościach. Kroki orszaku tarły się po kamieniach szelestem papierowym, naprzeciw świec.

Kościół — jak kościół: podnieśli głowy wgórę na łuki, okna, światła. Kościół, jak kościół, — utwierdzone w kamieniu cierpienie, za twoje własne pieniądze tobie znów odsprzedane, człowieku biedny, za twój najkrwawszy grosz przeciwko tobie obrócone, — albowiem postawili ten kościół ze swych składek, takową twierdzę kanonika, który ich zawsze lżył.

Pokropek, światło, — wszystko wyrychtowane dziś na pierwszą klasę. Wśród zwolenników, czy też wrogów przeróżnych — zelżało. Sprawiał to też poczęści miły zaszczyt, jaki powstać musi z rozdania świec i dzierżenia zapalonych w ręku, co znów dostępne było jedynie najważniejszym uczestnikom.

Dostali świece: Pstrokoński, z obwiązaną gębą Koza, Duś i dryblas hutnik z Pracy Narodowej. Stali przy sobie blisko, na odległość łokci. Honor i władza złotawą łuną płonęła im na twarzach.

Dalej dzieci, pod skrzydłem opiekuńczem Lenory, dalej mąż, więc Supernak, a już znów dalej, — im głębiej w tłum, tem światła mniej. Pod filarami organów gęsta ciżba czekała czarną masą. A jeszcze dalej świat zgoła obojętny, mdłe tony dnia na szerokich kamieniach posadzki. Dopiero znów przy kropielnicy!...

Tu przytknęła Martyzelowa swe czoło w milczeniu, w takim szumie rozpaczy, w takim wstydzie upadku! Ze wszystkiego zdarła się przecie na ten obrządek narodowy, — w który któżby tam wierzył, nikt, jak w żaden nie wierzy. Lecz wierzyła w człowieka!

Szedł tutaj za pogrzebem, nieśmiały, przy boku swym miał Knote. Zmawiali się, radzili, Martyzelowa dyszała pragnieniem ucieczki, zapomnienia, zmiłowania, ucieczki i nicości.

Gdybyż to nie ów mąż!

Pełen poruchu myśli, dla których nie mógł znaleźć żadnego wyrazu.

Najtajniejszy i chyba ponad życie ukochany obowiązek prawdy, wobec kłamliwego kamienia świątyni,

poczętego z niekrwawych słów proroka, domagał się w Martyzelu głosu! Czyż przeczytani dokładnie prorocy, Budda, Konfutse, Chrystus i Mahomet nie byli tu pospołu okradzeni? Czyż kamień nie zwyciężał znów żywego słowa? Czyż, — na tę myśl rozpadało się wszystko w górniku z proroczej radości, — nie należało wystąpić i powiedzieć słów ludzkiego tragizmu, zamkniętych we współczesności dzisiejszego człowieka?

Dzieje się w tej chwili, co już od lat tysięcy, — gromada żywych wyprowadza z pośród siebie trupa, jak jest, jak było wszędzie, nad Nilem, nad Gangesem, w Peru, w Indjach, czy w Grecji, w Rzymie, czy na Polinezyjskich wyspach: u brzegów tego aktu krążą symbole, jakoby zwiędłe liście gonią za trwaniem życia, dalej zaś rozpościera się noc głębokiego milczenia. Pośród tej nocy, jedyny który pomyśleć byłby zdolen, on, Martyzel, kruszyna nieszczęsna, lecz człowiek wyzwolony, zapomina, — jak od wieków, od zawsze! Zapomniał tu o wszystkiem innem i na granicach jakowejś tam wieczności rozważa płochą, tkliwą tajemnicę kobiety.

Głaskał żonę po ramieniu, ostrożnie, czule, lekko, jakby już na granicach tej jakiejś tam wieczności, ze wszystkich nazwisk, uczynków i umów wypłókanej, czarnym litym pokładem przenikającej jaskrawą marność rzeczy, — gdy oto Martyzelka usunęła swe ramię i rozpoczęła nagle od słów:

— To szczęście twoje, że nie krzyczę! Nie wrzeszczę!!

Ileż trwała ta mowa? Sekundy.

Przy ołtarzu nie skończyli nawet okadzać umarłej. Martyzelowa wypowiedziała wszystko, — od czego wzajemne ich pożycie wstecz, za ubiegłe lata odęło się wstrętem i napełniło jadem! Że chce śmierci! — Prawda, prawda, — latam do Knote co pół roku, albo co trzy miesiące! I wszystko prawda i — żebyś już lazł za mną, jak za nią teraz lezie ten, — Supernak! Dom nie jest domem, i życie — a nie życie, i dzieci — a nie dzieci i ty z twemi mowami!!!

Zaniosła się poszeptem nienawiści: — Tamtego tylko człowieka kocham, jedynego na świecie.

Okazała mężowi twarz z nad kropielnicy: straszną, przeraźliwą, z wyszczerzonemi zębami, za któremi drżało bezsłowne, ciemne, czarne obrzydzenie.

Nie ostało się w tej chwili w Martyzelu jedno słowo, myśl żadna. Przywarł do boku żony, oczepił jął dotknięciem nagłem, bolesnem, jak tylko ciernie mogą uczepić się odzieży rozwianej.

Kondukt wychodził z kościoła, ludzie ich rozłączyli swą ciżbą gęstą, — za bramą drzewa suchej alei porwały głos nabożnej pieśni i z wiatrem zarzuciły daleko aż na sztywne rozłogi kopalni. Cień po nich latał, pomieszany już ze schyłkiem dnia, chmury płynęły nad drzewami w kierunku cmentarza.

Opuściwszy bramę kościelną, kondukt poruszał się bardzo nieufnie. Wdały się teraz, niespodzianie, znajome wszystkim typy szpiclów Kapuścika.

Ksiądz wikary pośpieszał pilnie, strzeżony przez te typy, oraz przez kostryniowskie postacie, zażywnie odkarmione. Ksiądz prawie biegł. Za nim karawan Erazma,

z woźnicą, twardym koniarzem kopalnianym, lecz ów karawan obstąpili szczelnie ludzie Dusia, komuniści. Na czole nic nie mieli wypisane, — kto znał tutejsze sprawy i stosunki, poznałby nawet w mroku — po zagryzionej ironji na ich twarzach.

Za nimi Koza, z podwiązaną gębą, lecz rozbijał po drodze wszystkich. Roztrącał członków rodziny, znajomych, uczestników, — nawet drepczące w wielkim strachu dzieci.

Gonili się, ścigali między sobą, noc zapadła prędko. Na zachodzie wyprostowały się ostatnie pasy sztywnej jasności złocistej, niewzruszone przeciągiem wiatru, który ze wszystkich stron napędzał coraz gęstsze ciemności.

Małe drzewka szumiały coraz silniej nad niskiemi dachami, w ubogo oświetlonych oknach ukazywały się głowy mieszkańców, okrągłe, niczem kule miedziane.

Gdy mijali te okna, spojrzenie Martyzelki biegło chyżo przez tłum, niby poprzez powierzchnię czarnej zmąconej toni. Gdy mijali narożną restaurację, okazało się, że masażystka idzie wciąż przy księdzu.

Niebiesko-złoty kapelusik przemykał w jasnem świetle, niczem jakowaś pstra kurka powietrzna.

Knote żywo poruszała rękoma. Szła w kapeluszu z złotemi galonami, w żakiecie przykrojonym mocno do figury, — odważnie od samego początku pogrzebu, lecz cóż jej zależało teraz na okazałości? Kroiły się ważniejsze rzeczy, — trzeba tu było podtrzymać przyjaciela.

Jak?!

Nowe buciki niszczą się na błocie, — to głupstwo. Jak podtrzymać, gdy w ciężkiej umysłowej trudności ziemia się przed człowiekiem rozstępuje i znów nic niewiadomo?!

Zdziałała tyle, że począł jej tłumaczyć coś takiego, od czego głowa pękała!

O formie.

Mocny Boże, — o formie. Mówił świętemi słowy, przytem trząsł się w miłosiernem natchnieniu. Bardzo cierpiał i bolał i srożył się, szczękając zębami, — że wiara zawsze wkońcu będzie walką o formę.

A niech sobie tam będzie!

Musi się wciąż objawiać na rachunek głównej praktyki przed ludem, czyli, że w zewnętrzności pozostaje, — zatem martwa. Wieczna, wieczna zasłona — nieznanego.

Ręce miał ksiądz zimne. Gdy własnemi dłońmi otarła się przypadkiem o te ręce, aż jej w piersiach zadrżało z przestrachu. Brała to wszystko kobiecem sercem, z własnego doświadczenia pierwszych początków w swym położniczym zawodzie:

Ksiądz Kania bał się chyba dzisiaj własnego wystąpienia?!

Odmachiwał się swą zimną dłonią, powtarzał o pokorze, Knote zaś, nie wiedząc już co robić, jedno jedyne tylko raz po raz wspominała:

— Ramiona świętości wiedzą same zawczasu, kiedy wyciągnąć się i co ujawnić mają, — jak u tej samej nieboszczki mnie kiedyś podtrzymały!

Knote brnęła przez błoto z jedną jedyną sprawą

w rozognionej głowie: Tu chodzi już o życie! O nowe życie, — że przy boku człowieka tego świętego, — pomyśleć jawnie nie śmiała. Przelewała się przez nią ta wiadomość raptownemi falami odwagi i przestrachu, jasności i ciemności.

Błoto, gruda i ziąb i, oczywiście — szkoda nowych bucików, żakiet zemnie się nanic w tak ustawicznym tłumie. Równocześnie zdało się masażystce, że los wynosi ją ponad ten tłum, ponad wszystkich obecnych, ponad Osadę Górniczą, — wynosi wgórę szczytnem błogosławieństwem.

Ileż chwil takich ma człowiek w swojem życiu?! Jedną, dwie, — trzy najwyżej?!

Ustawiczne przestanki, zatrzymywania się konduktu i znów ostry bieg naprzód, szarpanina i rwanie takie i szamotanie ciżby nie dawało podążać spokojnie.

Spychali panią Knote jacyś wyrostcy, którzy z niewiadomego poduszczenia wszczynali wciąż tumulty. Zatory powstawały w orszaku, przerwy, dziury i znów po kocich łbach ulicy pośpieszna bieganina. Jakgdyby cały kondukt i ludzie, konie i karawan dostawały raz po raz drgawek, spazmów nagłych, czy konwulsyj.

Knote walczyła przeciw tej fali motłochu samozwańczego, — nieustraszenie. Dreptała trwale naprzód, nie dając się zepchnąć, tem bardziej, że równocześnie składała księdzu wyznanie, niepotrzebne, nieważne a jednak łzami gorącemi poparte: o maszynie do szycia, zabranej Supernaczce w swoim czasie, kilka tygodni temu, kto mógł wtedy przypuszczać?!

Wyznanie niepotrzebne, a które przenikało panią

Knote wielkiem, straszliwem, niedoświadczanem dotąd szczęściem.

Aż tu nagle, — widać w świetle nikłego dnia, — krzyż na przodzie pochodu zachybotał się, ukłonił we dwie strony. Z boku z ulicy Błotnej (jechali widać bocznicami, aby zdążyć) wypadł powóz dyrekcji Erazma.

Zaprzężony w parę czarnych wałachów.

Wszyscy je znali tu w Osadzie i zdaleka witali ukłonem.

Trumna płynęła naprzód, wśród czarnych, pięknie toczonych filarków karawanu, lecz oto ztyłu nadbiegają wałachy, lampy powozu sieją blaskiem szczytnego bogactwa.

Na ciemnem tle powozu siedziały panie, dyrektorowa Kostryń i córka, Zuzanna, okryte śmietankowym kocyczkiem w piękne, lamparcie cętki. To one, — one, dyrektorowa z córką, — różowy puch za jasnemi woalkami.

Supernak puścił ramię którejś kumy i aż zatoczył się z tak wielkiego honoru. Teraz dopiero, — choć przecie czwartą żonę grzebał, — zaczął pochopnie płakać.

Ludzie zaś potracili głowy. Trumna, jak trumna pcha zawsze pogrzeb naprzód. Powóz atoli pociągał wszystkie spojrzenia wtył.

Oprócz najwybitniejszych wypadków nieszczęśliwych dyrekcja nie odprowadzała nikogo na cmentarz. Owszem, inżyniera, sztygara jeżeli bardzo wysłużony, dozorcę prawie nigdy, a już żeby górnika?! Do tego jeszcze teraz, gdy już Umowa dawno wymówiona, rokowania zerwane, przed Radą samochody stoją nieustannie...

Taki fakt! Fakt, manewr, czy znów podstęp?!

Sieroty nawet nie patrzyły za matką, lecz potykając się raz po raz, — na powóz i na powóz.

Śpiew ze swej strony, przygasł. Ludziom żal było śpiewać, gdyż słyszeć chcieli blisko siebie tupot koni, dzwonienie błyskającej uprzęży i chrzęst tego dostatku.

Prowodyrzy zaganiać musieli. Tak samo Duś, tak samo Koza i Pstrokoński i inni. Ów zaś dryblas, z kostryniowskiej Pracy, znalazł się, — tak sobie wymędrkował ściśle, — zaraz blisko powozu. Otrzymał polecenie od córki dyrektora wyszukać tu gdzieś Knote i przyprowadzić.

Wrył się co żywo w tłum a pani Kostryniowa powtórzyła raz jeszcze trwożną swoją refleksję:

— Taki żal, taka śmierć, — mogłoby ich to przecież trochę uspokoić. Dać trochę do myślenia.

Smętnym nastrojom pani Stanisławy starczyło tego jednego widoku do żałosnej ugody z życiem. O cóż walczyć, o cóż się męczyć? Zwłaszcza dziś, gdy otrzymała nareszcie bilecik od Coeura, w odpowiedzi na jej bilecik, iż pan dyrektor Coeur zjawi się w oznaczonem miejscu (w bibljotece Staszica) i chętnie służy.

Lepiej, czy gorzej żyje się na tym świecie, — nie w tem rzecz! Chodzi tu głównie chyba o zadowolenie z siebie samej, o poczucie spełnienia obowiązku!

Powóz stanął, na przedniej ławeczce usadowiła się skromnie masażystka.

— Będzie nam raźniej we trzy. — Pani Stanisława pragnęła z racji pogrzebu wyświadczyć ten dyskretny zaszczyt biednej Knoci. Niech ludzie przy okazji do-

wiedzą się i pamiętają, na kim opiera się tu biedna Knote.

Masażystka, — białe ognie troiły się jej w oczach! Służyć wciąż, całe życie, wciąż tylko oklepywać rozpieszczonych bogaczów, przerywać w środku słowa rozmowę, która o całem życiu decyduje! Dla jednego kaprysu! To Zuza ułożyła dziś przy masażu, że spotkają się na tym pogrzebie, — a ty mi Knociu pokażesz tam przy sposobności tę jakąś przyjaciółkę, tę robotnicę młodego Mieniewskiego. Jest to potrzebne komuś...

Komu, na co potrzebne, — Knote nie myślała ani przez chwilę. Jechała w tym powozie, jak na ścięcie. Gdyż nawet człowiek biedny gracujący może nagle pogardzić największem bogactwem! Gdyż nawet człowiek biedny może mieć nagle swoją własną duszę! Gdyż nawet człowiek biedny może chcieć nagle żyć swem własnem życiem!

Głaskała panią dyrektorową czule po rękach, ułożonych na śmietankowym kocu. Po rękach małych, lecz jakgdyby nieżywych, gdyż w nowych rękawiczkach. Głaskała swą pacjentkę ruchem oddanej czułości, — aby tylko nie mówić. Aby tylko móc trzymać szczelnie zaciśnięte zęby. Jeżeliby otwarła usta, jęłaby chyba krzyczeć, zgrzytać, piszczeć tak straszliwie!

Nie słyszeli jeszcze ci ludzie takiego krzyku!

Kondukt wyszedł z pomiędzy ulic i domostw. Brnął pustką podmiejską, bezpańską, nawskos od słupów telegraficznych, porośniętą dziwacznie gąszczem roślinek najnędzniejszych, z których kurzyło drobnem śmieciem.

Wiatr tu przeciągał mocniej, kołysał tę spleśniałą przestrzeń, ogrodzoną u granic światłami kopalń i hut. Od niedalekiej już Flory, bokami swemi rozłożonej przy cmentarzu, zalatywało kwaśnym smakiem węgla. Noc stamtąd szła. W nocy tej, naprzód idącej, widać było na czele ciemności poprzeczną grubą linję cmentarnej bramy.

Dojść do tej bramy, czy też wozem chociażby podjechać nie było łatwo, albowiem nad wyrwami po pracach ziemnych, nad bliznami po zdjętych już kolejkach kopalnianych przerzucone mostki, nie dawały pewności dostatecznej, jako zbutwiałe i wielekroć przegniłe.

Cóż dopiero, gdy jeszcze do tych spraw musiała się przyłączyć polityka: O kolejność przybycia na cmentarz poszczególnych odłamów, o miejsce, które potem przypadnie danym zwolennikom, czy też wrogom, nad trumną? Każdy tu chciał przemówić a pewno księża jeszcze przeciw sobie wyruszą, więc wikary ze strony rzymskiej, Kania ze strony narodowej.

Na trzysta kroków przed cmentarzem zaczęli znowu nieść. Prowodyrzy czuwali zboku, Koza, Duś, Pstrokoński i hutnik. Wyglądało, — jakgdyby cały kondukt dostał drgawek śmiertelnych. Kręcili i zakręcali ze wszech stron i tak się ustawiali, wikary śpieszył co duchu, a znów od boku zastawiali mu drogę wieńcem komuniści i niekomuniści — i tak na wszystkie strony.

A znowu przy nich Koza na czele swoich wiernych bezrobotnych i weteranów bojówkowych, znanych aż nadto dobrze.

Co trumna wyskoczyła z krętaniny, co naprzód pośpie-

szyła, — prowodyrzy niczem ogary rozjuszone ze wszystkich stron za nią. Droga niepewna, w pięć torów wyjeżdżona, czy może nawet w siedm rozjechana, a tam już w wodę wpadli, tam znowu mostek trzeszczy, o zmiłowanie woła i gwarancji nie daje. Tam znowu jakieś dzieci starasili, podczas kiedy ciemności nie czekają, lecz śpieszą i mimo latarń, czy też niesionych świec, — już całe niebo zawlekają.

Blisko cmentarza zaroiło się nadzwyczaj gęsto od typków pana Kapuścika. Z zabiegów takich, podstępów i pośpiechów utworzyła się sytuacja wiadoma już każdemu, jeżeli dotąd łudził się jeszcze trochę.

Do tego znowu ów powóz na dokładkę i te konie, wałachy złe!

Przed bramą cmentarną, po raz pierwszy, — omal nie rozbiło się wszystko! Czarna chorągiew wionęła w jedną stronę, zamiatając po głowach ponurem swojem skrzydłem. Za tą chorągwią jedni.

Krzyż w drugą stronę, — co widać jasno, dzięki białej komży starego kościelnego. Za tym krzyżem znów, — drudzy.

Ci, co nieboszczkę nieśli, mało jej przez pół nie rozdarli. Wlecieli zaraz prosto do głównej alei, tam pochłonął ich mrok i ukazali się aż gdzieś przy kolczastym drucie cmentarnego płotu nad jakowąś mogiłą, do rzeczy wcale tu nie należącą. Już bitka między nimi szła.

Ze wszech stron pośród ciemności skłóconej rozlegały się głosy szczujące.

W tym kierunku udali się inni uczestnicy, pośpiesznie, aż cały brzeg cmentarza okropił się połyskiem zapalonych świec, które na wietrze gasły, pomnażając ciemności.

Dzieci i jeszcze inni, stateczniejsi, niektóre kobiety pozostały przed bramą cmentarną, czekając wyjaśnienia. Skąd tu w tak dzikich gwałtach nadejdzie wyjaśnienie?

Konie powozu dyrektorskiego, odkarmione wałachy potrącił zabłąkany karawan. Karawan ten oddalił się co żywo, lecz znów teraz za późno: wałachy przepłoszyły się, gdy im przed nosem mignął i trzaskając złowrogo kopytami wdarły się nagle w tłum: tem niebezpieczniej, iż powóz był na gumach, więc wcale nie turkotał, więc gdzie, skąd, jak ma wiedzieć przechodzień, że mu nóg nie rozjeżdżają?!

Dzieci w płacz, Lenorka rzuciła się, by je uciszyć, czy też chociażby tylko zebrać razem. Czy mogła zauważyć? Wyłonił się w tym gruncie jakiś rowek, dół, lub może tylko znaczne zaklęknięcie, a tu już powóz przesuwa się bokiem, latarnie grają w oczy, nad niemi zaś głos Knote:

— Uważaj też Lenora!!

Stanęła na ten głos w zimnem świetle wyczyszczonej latarni, jak piorunem rażona.

Za późno! Konie biły o grudę, nie ruszając się z miejsca. Z poza czarnego lakieru wyłaniała się twarz Kostryniówny w czarnej połyskującej czapce.

Od tych koni, powozu, fartucha skórzanego, od obu

pań bił zapach obcy i dźwięk i niby wielka łagodność, a w rzeczy samej — zgroza.

Naprzeciw siebie: Lenora w rowie rozkopanym, zawinięta we fioletową chustkę Karolci Domagało, otoczona wyciągniętemi rączkami przestraszonych dzieci. Blada. Z twarzą, bez wszelkich, zda się, rysów, usta sine, jak zwiędłe kąkole. Tylko pod łukiem brwi wzbierało płynne światło, niespodziewanych łez.

Naprzeciw, z za woalki mocne, czerwone usta w zorzy łaskawego uśmiechu.

— Weźże to dla tych dzieci, — zawołały złocistym głosem malutkie usta przez woalkę.

Konie szarpnęły, woźnica podciął batem, ponad lakierowanym brzegiem powozu wionęła ręka w skórzanej rękawiczce — ugodził Lenorę w piersi chrzęszczący biały pocisk, — torebka z cukierkami.

Dusiówna nie podjęła torebki, porwała się uciekać, dzieci w płacz, uciekać i uciekać tchem przeczuć pomieszanych, prosto ku cmentarzowi, z ręką na piersiach, niby od rany śmiertelnej chroniącą.

Gdzież tu dogonić kogo na cmentarzu? Wszyscy się rozlecieli, — wilgoć lśniła na ścieżkach jasnemi listwami, zielsko szeleściło wśród nagrobków. Z uschłych drzew prządł się jęk, a wiatr zmarznięty przynosił echa głosów na zakręcie.

Wszyscy rwali przed siebie, w stronę Flory, daleko na sam koniec cmentarza ku dudniącym parkanom kolejki przejazdowej, jako że Flora ma pokłady płytkie, wpobliżu zabudowań kopalnianych dawno już wybrane i tak się dojazdami temi rozciągać teraz musi.

Do miejsca, czyli grobu kobietom ani dzieciom nie udało się docisnąć. Warowali tam, naprzeciw siebie jedni, drudzy i trzeci i wszyscy, przeciw sobie dyszący. Twarze im ledwie było widać, — jaśniejsze piętna w mroku, niby owoce duże, białe i wodniste.

Trumnę przynieśli sami prowodyrzy, a taka zmowa wyraźna szła już wśród uczestników, że nawet głośnych haseł i bezczelnych nawoływań wcale nie szczędzili.

Pierwszy miał zacząć przemowę ksiądz wikary, gdyż była pierwsza klasa pogrzebu, do czego należało przemówienie kapłana.

Po przemówieniu tem zawisa wszystko albo od siły zwolenników, albo od jakiejś skrytej prowokacji. Jak nikt, to nikt, — to dobrze. Ale niech tylko jedni zaczną, — taka była instrukcja posła Drążka dla Kozy, — drzeć się wszyscy do ostatniego, radykalnie, sztandary wrogie zerwać, zniszczyć; a jak bójka to prać, — ludzi masz swoich, lepszych w zagłębiu do tej rzeczy niema!

Koza czekał przy trumnie, zdecydowany na wszystko, a że czasem, dla ożywienia swych osobistych uczuć poprawił sobie bandaż na policzku, — to nikogo nie tyczy.

Już przepuszczali księdza, już uczestnicy, ściskając kije w rękach, czynili miejsce kapłanowi, — niechże wygada swoje, — gdy stała się rzecz wcale nieprzewidziana:

Starszy górnik Martyzel znalazł się nagle na kopczyku usypanej ziemi. Wyrzucił ręce ku chmurnemu niebu.

Starszy górnik Martyzel miał markę wyjątkowej powagi.

Uniósł ręce ku niebu, — widać było wyraźnie ramiona i dłonie, końce palców rozpływały się w mroku.

Zdobył uwagę wszystkich, gdyż od samego wstępu w słowa prawdy uderzył.

Tuż za parkanem cmentarnym dudnią wagoniki, gdy przejeżdżają ziemia się osypuje a trumna aż dygoce. Wieńcami tu obecnej jedliny wstrząsa dreszcz, — a wilk strejków westfalskich człek stary, mądry, osędziały woła ogromnym głosem słowa, których z ust Martyzela nie danem było nigdy słyszeć w konfliktach robotniczych.

— Ten trup, — wołał Martyzel, — to kamień z tysięcy miljonów kamieni, rzucony nam pod nogi, towarzysze, przez zorganizowany system władania klasą robotniczą!

Z rękami w czarne niebo utkwionemi i on nareszcie, mądry górnik Martyzel, głosił swym sądnym głosem nienawiść klasową.

— Każdy kartofel, co go do ust niesiesz, jest wyrazicielem, na ile chcą, by w tobie było siły i ani o jednego kartofla siły, czy też życia więcej! Każdy twój dzień powszedniej troski, — jest dniem zysku innych, tych, którym służysz. Nie dopuszczony do żadnej twórczej myśli, odsunięty od świętej tajemnicy produkcji drżysz nędzny robotniku, by nie utracić twej niewoli, twej pracy, a gdy ci wymawiają twoje miejsce —

Uderzył w sedno, najbardziej bolejące, choć bez związku ze zmarłą.

Otoczyli go pomrukiem, wszyscy w tym razie zgodni, ciężką, głodową zgodą nad zamiarami wszelkich prowodyrów wyjednaną, zakrzepłą oto tutaj w jeden oddech postaci, w jedno spojrzenie sinych, szukających oczu.

Pootwierały się w myślach Martyzela dawne zapomniane miejsca. A w piersiach zawołały odgłosy, krzyki i przemoce, którym od lat nie wierzył. Wymową młodocianych ideałów gardził już od tak dawna... Nad sztuką cyfr socjologicznych litował się natrętnie tyle już razy w życiu!

A oto wrzeszczał znów, przejęty dreszczem obrzydłej niewiary, wrzeszczał z dziką rozpaczą, sięgając do tych słów i wierzeń młodości. Zdało mu się, że temi jeszcze tylko słowy potrafi może znęcić i zmanić żonę. Niechżeby tylko zmanić, — zmanić, zmanić, obecną w tym tłumie. Temi słowy ją porwać jeszcze i nawrócić, czy zachęcić do gorzkiego braterstwa ze wspólnym losem biedy i nieszczęścia!

Krzyczał straszliwie w ciemność, zdołał przewrzeszczeć huk wózków Flory, obracał się dokoła, by wołać na wsze strony. Krzyczał, wrzeszczał, bił głosem w niebiosa a zarazem pomiatał sobą. Nie to przecie wnioskował z swych długich lat czytania! Wnioskował może rozpacz, — łagodną, beznadziejną, lecz prawą. A oto teraz wrzeszczał przeciw rozpaczy owej, słaniał się, wzywał na świadków kraje Europy i świata!

— Francja, Niemcy, Holandja, Anglja, Azja, Ameryka, Australja, Włochy, Bułgarja, Polska!!!

Nazwami temi przewiało pośród tłumu, niczem

straszną obrazą i najczarniejszą krzywdą, gdyż stron owych nie znali, — światy były im obce.

Martyzel wtopił twarde spojrzenie w przymknięte oczy Supernaka, który wyszedł z za trumny, posunął się na środek miejsca — i skuczał.

Ludzie najbliżsi słyszeli dowodnie i tak to wszyscy potem wiernie opowiadali: Supernak skuczał żałośnie, jako skrzywdzony pies.

Zatykała portjera wściekłość: shańbić tak podle pierwszą klasę pogrzebu! Tak zdradzić wszystkie plany umówione, gdy wszyscy tu czekali. Gdy już nawet widzieli rąbki narodowego haftu z pod brzegów płaszcza księdza Kani! Tak pchać się nawet za grób w jakieś cudze małżeństwo, które jest w wszystkich partjach sprawą osobistą! Takie ścierwo, taki nastawnik, ścierwo, którego żona podstawia się tymczasem pod Kanię.

Supernak skuczał i rwała się w nim czkawka.

Martyzel zaś, z rękami w ciemności wczepionemi — wciąż swoje! Wzywa świadków. Poprzez pogardę i tak nieszczęsną utratę całej swej filozofji wzywa:

— Francja, Anglja, Ameryka, Australja, Niemcy — wszystkie ludy i narody, świat cały pali tą naszą śmiercią w piecach swego obrotu, przemysłu, — całego życia swego. Śmierć nasza płynie ciepłem przez ich domy, śmierć nasza, — krzyczał, szczekał, żadnego wyjścia innego w tem życiu nie widzący!

Supernak skoczył pochyło na sztywnej kuternodze, chwycił za gardło Martyzela i plunął, charknął mu prosto w żywe oczy.

Tumult, krzyk, przerażenie i gwizdy nagłe i wołania

i łomot i potoczyło się obrzmiałym gułem nad wszystkiemi krzyżami. Runęli na siebie z trzaskiem, ze skowytem dwa czarne płoty ludzkie. Rozpoczęli hutnicy, — potem Duś, potem Koza ze swoimi.

Mogiłę doćna rozdeptali, krzyż nie wkopany jeszcze poleciał przez ciemności, księdza nie dopuścili, — nie czas było obecnie na księże faramuszki!

Jakby się tu rodziła w tym zgiełku, najwścieklejsza noc świata. Oraz wszystkie ciemności niezliczone, najgorsze. Oraz wszystkie rozpacze, — w tem cierpieniu! Oraz odmęty wszelkie!

Dzieci, kobiety rozprysły się, — jak błoto. Runęli kupą gęstych, przeplątanych ciał, zjeżonych pałą, pięścią, kijem. Nasunęli się żywcem na parkany, tu gnietli człowiek człowieka aż do utraty tchu, przez piersi i za gardło, — przez bebechy! I bili się po mordach, — między oczy, — po zębach, każdy z pyskiem krzyczącym nienawiścią.

Parkan zachwiał się pod nimi, trzasnął, aż nagle runął. Zaroili się na śliskich, oglinionych szynach, już w kilka sekund później ze wszystkich stron kopalni, budynków, placu, z wałów węglowych bryznęło czarnem śmieciem ludzkiem, co leciał ku temu parkanowi w stronę ciemnego cmentarza, leciał, wirował, krążył, niczem olbrzymie płaty rozwianej nagle sadzy.

Mąciło się, huczało, kołowało aż póki jedni przeciw drugim, znienacka, chyłkiem nie wyciągnęli swych sztandarów. Wtedy to z murów Zarządu Flory wyskoczył na czele swoich konnych granatowych gwardzistów wysrebrzony Kapuścik.

A tu znów z drugiej strony wyleciały po torach wagoniki kopalniane i drezyny, napchane ludźmi, którzy to ludzie powracali z jakichś robót powierzchni. Nie można było zatrzymać i stało się za późno i jedni zwalili się na drugich.

Ktoś wystrzelił z rewolweru.

Konie policji skoczyły naprzód, przez rozwalony parkan i dalej prosto w cmentarz. Nikt już nikogo nie widział, nie dopatrzył, pomyliły się partje i wszelkie stronnictwa i tylko białe szable policjantów śmigały pośród krzyżów niczem zimne, ukośne płomienie.

Wystrzałów przybywało i jęk począł wydzierać się z pomiędzy ludzi.

Trwało dość sporo czasu, nim oczyścili plac i strażą obstawili.

Pan porucznik Kapuścik urzędował formalnie, wedle litery prawa, — jedno w drugie. Do Kostrynia nie zdążył aż na dziesiątą wieczór. Umachany, zbłocony i blady.

Dyrektor Kostryń wiedział już o wypadku, nie znał jednak szczegółów. Służba opowiadała same tylko przesadne androny!

Gdy pan Kapuścik stanął w drzwiach gabinetu, wypadło dyrektorowi pióro z ręki.

Kapuścik biały z wrażenia, sztywny, oschły, natchniony szarżą, aresztowaniem, płazowaniem i biciem, — w czapce, — służbowo, — przy szabli.

— Po rycersku, — uśmiechnął się dyrektor Kostryń, — doprawdy wygląda pan, jak święty Jerzy, obrońca uciśnionych.

— Są ranni i zabici.

Kostryń siadł. — Niech pan spocznie panie porucczniku.

— Są ranni i zabici.

— Zabici? — Kostryń głaskał pośpiesznie, oburącz kolana granatowych breachesów. — Tak, twarda służba. W każdym razie, — pan wie, kochany poruczniku, — to miejsce, — ewentualnie, — to upatrzone miejsce, przy porcie, na naszym przeładunku, wedle naszej umowy zawsze na pana czeka, — prawda?...

Pan Kapuścik odchrząknął zdrowotnie.

Dyrektor Kostryń głaskał mu wciąż kolana lekko a zabiegliwie, jakby wygładzał i trzęsącemi się rękoma zacierał jakiś ślad.

4

SYRENA KOPALNIANA

Po wizycie Kapuścika dyrektor Kostryń wisiał przy telefonie do godziny pierwszej po północy. Pani Stanisława nie mogła usłyszeć przez drzwi gabinetu, z kim rozmawiał. Och, — na pewno denerwował się strasznie!

Bił widełkami telefonu, chodził koło aparatu tam i zpowrotem.

W normalnych czasach zostawiała mężowi w kancelarji sukna do podłóg. Telefonując, — przecierał suknami temi posadzkę. Trudno jednak w chwilach, podobnych do dzisiejszej myśleć o takich rzeczach.

Sukna leżały w przedpokoju i na nich to właśnie podsuwała się pani Stanisława pod drzwi gabinetu. Pełna niepokoju, trwogi i jak najgorszych domysłów. A zarazem poczucia siły i nadziei: gdy wszystko poczyna się chwiać, muszą niektórzy ludzie zdobywać się w nieszczęściu — na światło serca!

Pociecha, ukojenie w nieszczęściu — to rola kobiety. Światło dobroci. Byle tylko nie zgasło do jutra, — do godziny czwartej po południu.

Pani Stanisława wiedziała, że tylko takiem światłem wiary i nadziei pokonać będzie mogła jutro dyrektora Coeura. Wszystko, co działo się obecnie, — od czasu pierwszych wiadomości o awanturach na cmentarzu, o bójce, szarży policji, aresztowaniach, — wszystko to uważała za próbę, ćwiczenie.

Zuza powiedziałaby, — trening.

Trening dobroczynnego światła wewnętrznego.

Ze względu na ów trening moralny, bez mrugnięcia powieki, własnoręcznie wniosła mężowi koło północy herbatę z sandwiczami. Nie jadł przecież kolacji. Ze względu na ów trening poleciła stanowczo:

— Przestań już telefonować i zjedz coś. Z sił opadniesz.

Biegał dokoła aparatu, jakgdyby przywiązany do ściany za ucho, ciemnym sznurem słuchawki. Oczy miał zbrzęknięte, zalane czerwonemi łzami, uszy purpurowe, twarz ziemistą ze zdenerwowania.

Pani Stanisława powtórzyła mężnie:

— Zjedz coś, z sił opadniesz całkiem niepotrzebnie, a teraz właśnie i my i wszyscy bardzo potrzebujemy twoich sił.

Dziwne uczucie nadziei nie opuściło pani Kostryniowej nawet podczas rozmowy z córką. Stanęła na progu rzęsiście oświetlonego buduaru Zuzy i rzekła głosem spokojnym a jednak stanowczym:

— Mogłabyś zaniechać tej lektury (Zuza leżała z książką w ręku na pistacjowej kanapce) i pomyśleć nad tem, co się dzieje.

— A cóż komu z tego przyjdzie?!

— Wszystko jedno, co przyjdzie, zapewniam cię, że warto pomyśleć.

Pani Stanisława spała w nocy doskonale. Być może, iż do dobrego snu przyczyniła się wczorajsza przejażdżka na cmentarz za tym nieszczęsnym pogrzebem. Przebywało się tak długo na powietrzu. Zważywszy jednak dane okoliczności nieco uważniej, możnaby stwierdzić z całą pewnością, że to nie sprawa powietrza, — a duszy.

Duszy energicznej, zdrowej, — rzeczy takich nie wzywała pani Stanisława nigdy nadaremno, — energicznej, zdrowej duszy Prostkowskich. Przed wojną drukowała pani dyrektorowa zawsze na swym bilecie wizytowym: *Stanisława z Prostkowskich Kostryniowa.* Kto wie, ten wie, — kto nie wie, niech się dowie.

Kostryń, — szlachta o wiele mniejsza, — nie chciał mieć tych Prostkowskich na biletach, zwłaszcza po powrocie z Rosji i po wojnie.

Poco wyzywać, poco drażnić los?

Pani Stanisława zgodziła się Prostkowskich nie drukować, nikt jednak przecie, ani nawet posłuszeństwo małżeńskie nie mogło zabronić, by w chwilach tak ciężkich, jak dzisiejsza, nie powołała się przed sobą samą na tradycję rodzinną.

Wspomnienie tej tradycji chociażby nawet pobieżne, nikomu nie zwierzone, rano, wśród czterech ścian łazienki podczas ciepłej kąpieli przywołane, wzmagało siły. Siły, wiarę w samego siebie w dookolnem nieszczęściu.

Czy rzeczywiście — aż nieszczęściu?!

Zbyt dobrze znała życie kopalniane, tryb rzeczy i wy-

stąpień, by nie przeczuwać właściwych wydarzeń o właściwej porze... Zaczyna się zawsze mniej więcej tak: Jest sprawa, o którą kłócą się wszyscy, gdy nagle wybucha boczna historja, awantura, nieporozumienie, zupełnie niespodziewane. I już! I potem nie można nic poradzić.

W nadkaspijskich kopalniach, gdy męża pobili, tak samo było przecież! A przed wojną tu, w Zagłębiu na Klarysie gdy go taczkami wywieźli z kopalni?!

Sprawy te nie układały się wyraźnie w myślach pani Kostryniowej. O tem, co nadchodzi i zbliża się nieodwołalnie lepiej zaświadczyć mógł sam nastrój, kolejność codziennych czynności, niż dokładne myślenie. Czyż na Klarysie, lub też w nadkaspijskich kopalniach nie zerwała się tak samo pierwsza, wcześnie z rana? Czyż tak samo nie spakowała wtedy do malutkiego neseserku całej swej biżuterji?!

Nigdy jednak dotąd w podobnych chwilach, — a chwil takich dostarcza stanowisko dyrektora aż nadto dosyć, — nie czuła tego, co dziś: Wewnętrznej siły i oderwanej od wszystkiego szlachetności.

Przygotowując dla męża własnoręcznie śniadanie, nakrywając własnoręcznie do stołu, układając przy serwecie gazety (nie śmiała do nich zajrzeć, nie miałaby odwagi przeczytać, co wypisują o wczorajszych zajściach nieuczciwi krzykacze gazeciarscy), miała pani Stanisława wrażenie nieodparte a błogie, że robi to wszystko, jakgdyby przed podróżą daleką a ważną.

Jak wtedy, gdy musiała nagle opuścić swój dom i wyjechać do ciężko chorej matki.

I dziś starała się, by im tu na niczem nie zbywało.

Ućzucie smutnej, lecz dawno upragnionej dumy.

Pogoda nie sprzyjała stanom tak bardzo duchowym. Mleczne, brudne światło kłębiło się za oknami, równomierny odgłos huty tętnił wśród deszczu bardziej głucho, niż zwykle.

Panią Stanisławę cieszył dziś odgłos huty: Postrzelali się, pomordowali na cmentarzu a jednak pracują i będą pracowali, — czas leczy wszystkie rany.

Upłynęło go coprawda bardzo jeszcze niewiele. Kilka godzin. Niema nawet doby. Ale cóż, — czas? Sekundy, czy minuty, czy też godziny trwają zazwyczaj długo, miesiące i lata lecą tak strasznie szybko!

Czyż sama nie liczyła chwil, minut, sekund do tej godziny czwartej po południu? Potem? Chwila rozmowy przejdzie i minie, niewiadomo kiedy. Byle tylko do tego czasu dochować owe światło wewnętrzne, — spokoju i energji. Rozmówić się łagodnie z Coeurem przekonać go rozumnie, — o czem?

Nie trzeba o tem myśleć: — O tem, że chyba wkońcu trzeba żyć z ludźmi w zgodzie?!

Wystarczy przekonać Coeura w tej sprawie.

Obawy o spokój wewnętrzny przy każdej próbie dzisiejszej okazywały się zupełnie nieuzasadnione. Gdy mąż zrzucił gazety i wybałuszył straszne, czerwone spojrzenie, Stanisława gazety podniosła z uśmiechem.

Gdy miał jechać na kopalnię, pożegnała się z mężem najspokojniej w świecie.

Podczas obiadu, gdy mąż oświadczył, że dziś, jutro

ukażą się na bramach kopalni ogłoszenia wydalające wszystkich podejrzanych, powiedziała z uśmiechem:

— Ach, wszystko jeszcze będzie dobrze!

Światło energji i zgody zwyciężyło.

Gdy wymówiła słowa „wszystko jeszcze będzie dobrze“ — Kostryń utkwił w nią spłakane spojrzenie. Chciał zapewne bryznąć jakąś ironją, lecz wstrzymał się w połowie drogi. Pani Stanisława wydała mu się w tej chwili wyjątkowo bladą, z czarniawemi cieniami wokół rozszerzonych optymizmem nozdrzy, — tak doskonale, tak idjotycznie piękną iż spuścił oczy, znudzony żoną, jak nigdy chyba jeszcze.

Przeszedł do gabinetu. Jak zwykle, podczas przełomów, buntów, strejków i tym podobnych trudności zaczął grać na skrzypcach. Palcami na gryfie wybierał melodje, smykiem prawie nie ciągnąc.

Nienawidziły tej gry, bały się obie, matka z córką.

Zuza, mówiąc bez ogródek: — Ach Boże, co za muzyka, jakgdyby komar dostał pomieszania zmysłów, — wstała od stołu i zamknęła się w swoim pokoju.

Pani Stanistawie muzyka nie sprawiała dziś żadnej przykrości.

A niech tam sobie gra! — Stała przy oknie, zapatrzona w stalowe kształty huty i ognie, płonące w głębi ścian żelaznych za brudną mgłą, zaiste, — fatalnej pogody.

A niech tam sobie gra! Postanowiła, na wypadek szczęśliwego wyniku rozmowy z Coeurem, zwiedzić kiedyś nareszcie tę hutę. Nigdy jeszcze tam nie była.

Postanowienie to wzbudziło nieoczekiwany popłoch

w pani Stanisławie. Zapomniała o wszystkich argumentach i co ma mówić z Coeurem, dlaczego, o czem?!

O Zuzie, o posadzie, o mężu, — o strejku? O czem, — o czem?!!

Gdy w gabinecie, u siebie przejrzała się w lustrze, — utracone światło wewnętrzne natychmiast wróciło.

— Jesteś blada i smutna, z tem wszystkiem jednak bardzo chyba piękna! Biedny, biedny medaljon, — uśmiechnęła się do siebie żałośnie i wyszła z domu.

Do bibljoteki Staszica, — trzeba się było śpieszyć, — niedługo czwarta.

Na ulice Osady Górniczej patrzyła pani Stanisława okiem innem, niż zwykle: Jako na błahą znikomość. Zawsze tak stoją te domy, a dziś, — jakgdyby mogły każdej chwili zniknąć... Trzeba tylko, by pan Coeur nie unosił się, by przemówiono do niego ludzkim serdecznym językiem, by poproszono. By zrobił to ktoś bezinteresownie, kto nigdy dotąd i o nic nie prosił — i znów wszystko będzie dobrze.

Przybywszy do bibljoteki, zamknęła się na klucz. Nie wydawała dziś książek, — na drzwiach stało przecież wypisane:

Bibljoteka czynna w poniedziałki, środy, piątk i soboty.

Dziś — wtorek.

Ogarnął ją niesamowity przestrach.

Zapaliła światło w poczekalni, we właściwej bibljotece a nawet w trzecim nieurządzonym jeszcze pokoju, w tak zwanej rupieciarni. Stały tam meble wyścielane,

jeden na drugim, niestety nieobite jeszcze. Nie można więc było umieścić ich w czytelni.

Uciekła stąd. Numery na grzbietach książek przywróciły jej równowagę. Nic tak nie uspokaja, jak widok własnej pracy, — sama przecież wypisała numery te na grzbietach. Owego pamiętnego dnia, gdy mąż tu przyszedł i rzucił się i wydarł ją za włosy, — wtedy również zapaliwszy światła doznała takiej ulgi na widok dokładnie i porządnie powypisywanych cyfr.

Usiadła przed swym stolikiem i wydobywszy z torebki małą karteczkę, jeszcze raz odczytała s w e punkty. Obmyśliła je bardzo starannie i zapisała w kolejnem następstwie. Ach tak, — nie plątać! Wiedzieć, czego się chce i do czego się dąży.

Punkty: *Co się dzieje w Osadzie (niech wyjaśni, — uspokoić).*

Jak mu tu wszyscy w gruncie rzeczy sprzyjają.

Nędza ludu, — wystarczą jakieś niewielkie nawet pozory dla poprawy.

Odpowiedzialność i dobra wola męża: Tyle lat w tem samem towarzystwie.

Koniecznie — *Zuza!*

Odczytawszy karteczkę, usłyszała Stanisława wyraźnie słowa swych argumentów. Wewnętrzne duchowe światło własnej duszy dziedziczącej po Prostkowskich zabłysło łagodnie, rzewnie, — gdy rozległ się u wejścia dzwonek...

Nie należało drzwi na klucz zamykać, — może to znów wyglądać podejrzanie, — no, trudno, — zresztą

pali się przecież wszędzie elektryczność, — otwarła, — cofnęła się, — tak, — to był Coeur.

Chwilę czekała na progu między poczekalnią a czytelnią, — wieszał mokre skórzane palto na szaragach. Zasunął zasuwkę, roztarł w przedpokoju ręce z głośnym szelestem i wszedł.

Wysoki, ciemny, bronzowy, włosy czarne lśniły mu pod elektrycznym blaskiem jednolicie, niby czarna polewa. Mahoniowe źrenice drżały w niebieskich białkach niedostrzegalnie prawie.

Bolesne wrażenie sprawiły na pani Stanisławie usta Coeura: Sine, półrozchylone, rzekłbyś przed chwilą wypowiedziały słowo gorzkiej odmowy i nie zdążyły jeszcze domknąć się.

Gdyby nie wielki, wytężony wysiłek, wewnętrzny płomyk nadziei zgasłby był w Stanisławie. Wargi Coeura i zmarszczki, spadające od nosa ku dołowi rozszerzały się w przykrym uśmiechu, niejako bezszelestnie, — niczem na gumach ukrytych rozciągnięte nagle.

Nie poddawać się wrażeniom! Zatrzepotała powiekami, z okrzykiem, który ją samą przestraszył:

— Co się tu dzieje w Osadzie?! — Zawstydziła się. Jęła zamykać jakieś książki, rozłożone na stoliku, przekładać je i równać. Zapaliła też lampkę, stojącą na tym stole.

Wyciągnęła przed siebie blade, drżące ręce.

— Nic się nie dzieje nowego, — odpowiedział Coeur po francusku. Zaczął tosamo, co zawsze, co mawiał niejednokrotnie na kwartetach, co głosili stale dyrektorzy naczelni obcych towarzystw, pracujący w Osa-

dzie Górniczej. To samo mówili tu, to samo w Rosji przed przewrotem, w nadkaspijskich kopalniach.

Trudności, — same tylko trudności, — brak dozoru, — kradzieże, — niechęć do pracy, — nieumiejętność.

Dziwił się, że pani dyrektorowa stawia podobne pytania. Jeżeli o to tylko chodziło...

Gdyby nie tyloletnia rutyna, byłby odskoczył od Stanisławy, gdy zawołała — „co się dzieje w Osadzie".

Nie domyślała się chyba niczego?... Nikt nie mógł się domyślać. Szyfr otrzymany z Kolonji, drogą zręcznie łamaną, — o warunkach Westfalczyków, nie mógł być przez nikogo w Osadzie odszyfrowany... Kopalnia, cały Erazm we wszystkich działach pracował normalnie, — wczoraj właśnie, mimo awantur na cmentarzu szedł na trzy zmiany.

Rzecz w czasie tak ciężkiego kryzysu nader rzadka.

— Jeżeli ma to panią uspokoić, służę, — westchnął łagodnie, — każdą informacją. Co się w Osadzie dzieje? To, co wczoraj, na cmentarzu, niezależne jest przecież ode mnie. Niemniej przeto — dostaliście już państwo zaproszenie? Pojutrze — u mnie — na ten raut, — z kwartetem?

Słuchała zawstydzona. Lud nigdy nie znał w niczem miary. Bitki, awantury! Zapomniała całkowicie o długotrwałych pertraktacjach, zerwanej Umowie, nieustępliwości w sprawie podwyżki. Słuchała falsetu Coeura przymknąwszy powieki, z tkliwym rzewnym uśmiechem najlepszej nadziei. Nic większego nie działo się widać istotnie w Osadzie.

Mówił dosłownie to samo, co mówią zawsze wszyscy wielcy dyrektorzy zagraniczni.

Nie trzeba mu było dawać do poznania, iż uspokoiła się. I nawet wręcz przeciwnie: Na twarzy pani Stanisławy malowały się żal i oburzenie, że robotnicy kłócą się tu i biją, niepotrzebnie martwią zwierzchność, zamiast pilnie pracować.

Żal ów pomnażał, zwiększał światło wewnętrzne, które wytrwało dotąd i któremu wierzyła święcie. Poprosiła Francuza, by spoczął.

Podziękował, — lecz wolał stać.

Zrozumiała, że niecierpliwi się i nie chce przedłużać rozmowy. By nie dopuścić do tego, wypowiedziała nagle, bez związku drugi punkt swego karteluszka.

— Pan się zniechęca, panie dyrektorze, całkiem niepotrzebnie do tutejszych stosunków. A tymczasem stosunki tutejsze są inne, niż wszędzie, odrębne, inne, niż na całym świecie.

Kiwał pobłażliwie głową.

Gdy zabrnęła w to dziwne straszne zdanie, — „pana tu wszyscy tak lubią, cenią, panie dyrektorze“, — uśmiechnął się.

Zdanie to trzeba było podtrzymać, ogrzać, ożywić, za wszelką cenę uczynić podobnem do prawdy. Kostryniowa doznała bolesnego wrażenia, iż ożywia to zdanie własną krwią. Schyliwszy głowę, z twarzą w półcieniu ukrytą, jakby natchniona cierpieniem, uśmiechała się wstydliwie do swych słów.

Coeur usiadł. Usiadł nareszcie. Może nawet trochę niegrzecznie rozparł się na krześle. Ze swobodą postury

tej nie harmonizowała bynajmniej srogo ściągnięta, ciemna twarz dyrektora. Czarna brew, opuszczona nisko na lewe oko drgała szyderczem niedowierzaniem. Niedowierzanie to jest może tylko powłoką, starem przyzwyczajeniem, rutyną?...

Doświadczał tego właśnie teraz: Że ludzie kochają go tutaj, lubią, cenią. Przejmowało go to — oszałamiającą zgrozą. Oraz błogiem, a jednak potwornem doznaniem bezpieczeństwa. Gdyby był młodszym o dziesięć, czy piętnaście lat, — zanosiłby się ze śmiechu.

Cóż zdrowszego — od śmiechu?!

Kończył gładkie frazesy: Sympatji ludzkiej, niestety, nie odczuwa. Ponieważ od siebie nie zależy i zużył się już zapewne tutaj a na przywiązanie do miejsc czy krajów, czy nawet części świata pozwolić sobie w swem ciężkiem życiu nie może, — przeto chętnie, och, jakże chętnie przeniósłby się stąd gdziekolwiek indziej.

Wewnętrzne światło zalśniło w pani Stanisławie całą pełnią. Tak, tak, — pełnią wyższości. Nie dać tylko poznać po sobie, nie wspominać o skromnem ukochaniu swego kraju. Przeciwnie, podziwiać taki kosmopolityzm!

Rzekła więc, że doskonale rozumie wyższość ludzi wielkiej pracy organizacyjnej, którzy, oczywiście, poszukiwani są jako rzadkość na całym świecie i wogóle wszędzie.

Drżąc z tłumionego lęku, mówiła dalej: Ludzie o tak silnej woli i tak wielkim darze przewidywania! Ale nędza wszędzie jest ta sama, czy nie? Na wybitnym człowieku, — czemuż nie powiedzieć wszystkiego, — na człowieku wielkim spoczywa odpowiedzialność za do-

pomożenie tej nędzy. Mówi o tem nauka chrześcijańska. Tak, tak, — ileż to istnień chociażby tu w Osadzie Górniczej —

Wiedziała już napewno, że go przekona, doprowadzi do zgody, wewnętrzne światło płonęło radością:

— Ileż istnień chociażby tu zależy wyłącznie od pana, od jednego skinienia jego ręki. Bójki, przykrości, awantury, — tak, tak, życie w Osadzie Górniczej dla nikogo nie jest wysłane różami!

Niecierpliwił się.

— Dla nikogo nie jest wysłane różami, — mówiła z żarem, żalem, ze współczuciem o ludzie tutejszym. Zdawało się Stanisławie, że pomyliła porządek i następstwo dialogu. Czuła jednak, że kroczy drogą najlepszą, zapomocą ludu dojdzie najłatwiej i do spraw swego męża, biednego Feliksa.

Coeur wstał.

— Kto panią upoważnił właściwie —

Nie dała mu skończyć:

— Serce, moje własne serce upoważnia mnie do tego, co tu panu mówię. Serce matki, — spojrzała najgłębszym blaskiem swych bladych, niebieskawych oczu.

— Pani jest matką, — zachrypiał Coeur pośpiesznie, — lecz ja, cóż robić, — prawda? Nie byłem nigdy, nie jestem, nie będę niczyją matką!

Poczucie nadziei i zwycięstwa rozbłysło w pani Stanisławie do granic piekącego bólu.

— Jestem matką, jestem żoną... Pan nie zna niestety tych uczuć, chociaż należą się panu! Proste, zwykłe uczucia rodzinne, jako osłoda i ochłoda po tak ciężkiej pracy.

Czyż jako matka Zuzanny niedość jeszcze wyraźnie przemawiała?! Porwało ją nagle najszczersze uniesienie. Jęła prawić Coeurowi o wszystkiem naraz. O mężu, o córce, domu, o tak wielkiej odpowiedzialności Feliksa przez tyle lat ponoszonej, o jego przywiązaniu do pracy, — wspominała o tem we łzach, — o przywiązaniu do Towarzystwa, do kierowników!

— A jeszcze, prócz wszystkiego jest także na świecie i istnieje we wszystkiem, nawet w przemyśle, nawet chyba w przemyśle górniczym ten jakiś pierwiastek przywiązania do samej istoty rzeczy!

Mówiła po francusku, potem po polsku, blada, drżąca, z złotym płomieniem włosów rozsypanym nad czołem. Żarliwa i prosząca, zarazem pełna nagłych rozkazów, pilna i przestraszona, gdy słowa jej zahaczały o Zuzę, o dom, o byt tego domu. Drżąca wdziękiem najserdeczniejszej troski.

Coeur przestał myśleć o depeszach, szyfrze i Westfalczykach. I o koncernie paryskim. Nie myślał nawet o kopalni: miejsce, dziwne miejsce, które zdawało się gnić, to znów burzyć, niby złe kwasy; to miejsce, które tyle razy widział dookoła siebie w powietrzu i daleko, daleko, między zwojami własnego mózgu, — *wschodnie pole, pochylnia A, na ósmym chodniku,* — miejsce to zabliźniło się w tej chwili. Znikło!

Znikło — bez żadnego śladu.

Opanowała Coeur'a, wzamian, — lekka, wykwintna radość? Rozwijały się przed nim troski, boleści, obawy, których nigdy nie doznawał, które nie mogły nigdy w niego uderzyć; a jednak mógł patrzeć na nie dowoli,

sycić się niemi. Poczuł pełno śliny w ustach, jak człowiek spragniony owoców i już wyciągający po nie ręce z całą pewnością zadośćuczynienia.

Pani Stanisława nie mogła dłużej panować nad sobą. Olśniona najlepszą nadzieją, rozpłakała się, przypadłszy głową ku własnym rękom, złożonym na stoliku.

Płakać, płakać i płakać. W płaczu tym jakże łatwo i poprostu popłynęły jej słowa o wymawianiu miejsca mężowi, — o córce.

Coeur zbliżył się. W uszach dzwoniło mu drżenie, jakiego jeszcze nie zaznał w swojem życiu.

Płacz tej kobiety cichy, piękny, dyskretny napełniał dyrektora poczuciem władzy tak nagłem, tak rozkosznem! Należało iść już w poczuciu tem, do końca, do samego końca, zagłębić się, unurzać w tych tkliwych, rzewnych troskach.

Położył pani Stanisławie ciężką rękę na karku.

Widać było ów kark wpobliżu lampki elektrycznej: Biały, wątły z podebranemi wgórę puklami złotych włosów.

Dyrektor Coeur otoczył ów kark grubemi palcami nacisnął.

Pani Stanisława zerwała się. Łzy wciąż jeszcze płynęły jej z oczu.

Trzymał ją, wszystkiemi pięciu palcami wielkiej, rozłożystej dłoni.

Kostryniowa wyrwała się.

— Co pan robi, panie dyrektorze?!

Nie odpowiedział i nie powtórzył ruchu, lecz począł iść, prosto przed siebie, — na nią.

Jęła cofać się w głąb, do półek z książkami, wpatrzona w jego oczy.

Źrenice dyrektora Coeura utraciły już wszelki wyraz ludzki. Zionęła z nich czarnym, głuchym matem połyskująca, nieprzerwana noc.

— Ależ panie, ja chyba mam prawo, jako matka, — jako matka!

Kroczył naprzód coraz bliższy, jakby złośliwie uśmiechnięty do obojętnych myśli.

— Będę krzyczeć — zawołała.

Szedł prosto, chwytał ją za ręce, i znów puszczał i znów chwytał wydając z wysoko uniesionych piersi jęk dziki, obcy, przedziwny, — jakby wstrzymywanego płaczu.

Skoczyła do drzwi, by odsunąć zasuwkę, — uciec.

Zastąpił drogę.

Jęła przemykać szybko między nielicznemi meblami, — rzucił się, schwycił, skrępował ją i zawlókł do trzeciego pokoju między spiętrzone piramidy niepokrytych mebli.

Pragnęła bronić się, walczyła wszystką siłą naprężonych mięśni, a zarazem bała się krzyczeć, bała się bronić do ostatka.

Upadli między zakurzone rupiecie.

Dręczył ją niepomiernie. Łamał, ugniatał, ogarniał, żarł — i chłonął.

Sycił się, — pełen płaczliwego jęku.

Wgniatając ją między wystające sprężyny kanapy mlamlał wciąż i powtarzał:

— Tak, tak, tak, jako matka, — ach tak, jako matka!

Utrudzona potwornie, wyrywała się resztkami sił,

resztkami oddechu. Szczelnie zaciśnięte jej powieki raz wraz otwierał i roztapiał nienawistny oddech Coeura a wtedy, na jeden błysk sekundy ukazywało się przerażonym oczom Stanisławy sztywne, jaskrawe światło stęchłej rupieciarni.

Gdy wyszedł, pani Stanisława zerwała się, skoczyła na środek bibljoteki. Czekała drżąca, zimna, w poszarpanej sukni na jakiś znak, słowo, ruch, czy głos zmiłowania.

Nie uświadamiając sobie poco, dlaczego, — wzięła się do porządków.

Wszystko na miejsce, — krzesła, zydle, rupiecie. Dokonawszy tych prac, usiadła w środkowym pokoju, przed swym stolikiem, przy zapalonej lampie, nad książką abonentów. Otwarła ową księgę i jęła czytać uważnie nazwiska, poczynając od pierwszej litery, — *Adamowicz Bogusław, sztygar: Na kresach lasów — oddane. Pożyczone — Olbrachtowi rycerze.*

Adamowicz Bogusław, Artamowski Franciszek, — Ku czemu Polska szła — Borowski August —

Czytała wiele razy, coraz prędzej, od Adamowicza do Żetyckiego. Tam i napowrót, — coraz prędzej, a gdy poprzez nazwiska wpadać i wsączać się poczęły jakieś obrazy, myśli, wspomnienia, — jęła buczeć. Tym samym monotonnym głosem, do utraty oddechu — i jeszcze raz na nowo.

Buczeć, jak huczą telegraficzne słupy.

Wróciła do domu przed kolacją i zamknęła się u siebie na klucz. Niech przychodzą, niech chcą śniadania, kolacji, czy obiadu, — nie otworzy.

Do późnej nocy słyszała ten swój dom: szczęk naczyń w jadalnym pokoju, łażenie służącego, hałaśliwe zamykanie okiennic.

O godzinie dziesiątej wyrwał ją z odrętwienia ryk syren pobliskiego Erazma, dalekiej Flory, Paryża i Ireny. Pani Stanisława zerwała się z łóżka, wybiegła na środek pokoju i znów jęła tu czekać.

Na co?!! Wydało się jej, iż w głąb jej istoty wkracza już obce, straszne, nienawistne życie, — uczepione tajemnych brzegów ciała kobiecego.

Nie spała całą noc. Stojąc przy oknie, czekała na pewną myśl okropną, której nie śmiała sobie uświadomić.

Pani Knote zastała panią Stanisławę o zwykłej godzinie, to jest o dziesiątej, jak zawsze, w łóżku.

Przywitały się i masaż szedł normalnie, gdy nagle pani dyrektorowa wyrwała się, — niczem opętana! Ze słowami, którychby nikt nigdy nie mógł spodziewać się w jej ustach.

— Przysięgnij mi na Boga i na wszystko, moja Knociu!! Na życie, szczęście, wszystko! Jeżeli kochałaś kiedy, — przysięgnij na tę miłość. Knociu, Knociu!!!

Istne szaleństwo, pani dyrektorowa Kostryń okrywa pocałunkami zawazelinowane ręce biednej Knote!

— Siądź tutaj, blisko przy mnie. Nie masuj, czekaj, — usiądź. Słuchaj, — ale przysięgnij, że zrobisz, o co cię poproszę. Tak być musi, inaczej musiałabym się zabić, moja kochana, dobra, — święta.

Knote w białym szpitalnym fartuchu usiadła na krawędzi a pani Stanisława prześcieradłem zaledwie okryta, z głową do piersi Knote przytuloną, jęła szeptać:

— Znasz przecie nasze tajemnice. Tajemnice ciała. Choćby o tej mojej niebieskiej żyłce na nodze. Znasz tajemnice biednych ludzi w Osadzie. Domyślasz się już może?! Czy nie wiesz? Jeszcze nie wiesz?! — Szepnęła masażystce do ucha te obrzydliwe słowa: — Zrobisz mi poronienie.

Tracąc dech przy każdem niemal słowie, wyznała pani dyrektorowa, dlaczego wypadnie zrobić ten zabieg teraz...

— Teraz rozumiesz? Gdyż żyć tu inaczej nie będę, zabiję się!

Knote zbladła śmiertelnie. W swych pracujących rękach wszelką władzę straciła. W plecach, krzyżu, — cóż to, rozmiękły jej kości kręgosłupa, czy jak?!

Krew do głowy, tyle krwi, aż się powieki spociły. Zakręcił się odrazu cały pokój wraz z hutą, — a z ust idą słowa leciutkie:

— Dziękuję pani za taką tajemnicę, lecz pocóż tutaj operacje? Kiedy, — wiadomo chyba, — teraz i zawsze, zawsze było wiadomo — jakie przeróżne szprynce wyrabia z tym Francuzem nasza panna Zuzanna, no i nic i po krzyku i zawsze cicho, bez wszystkiego...

Nie należało może wymawiać słowa — „po krzyku?“

Pani Stanisława, jak leżała nago na pościeli, zerwała się i właśnie z krzykiem obłąkanym pędzi przed siebie prosto, na otwarte pokoje.

Niepodobna wyrabiać takich gwałtów za dnia. Pani Knote za panią Stanisławą z prześcieradłem rozwianem; dobrze, że pod tę porę nie było męża, ani nikogo z licznej służby.

Roznieśliby odrazu wszystko po całem mieście.

— Pani dyrektorowo, na litość jedynego Boga, — wołała Knote szumiąc za sobą białem prześcieradłem, — pani dyrektorowo moja!

Szaleństwo istne: goniły się, z łazienki do jadalni, z jadalni do salonu, a wciąż z tym pustym, dziwnie maszynowym krzykiem pani Kostryniowej.

Dopadła ją nareszcie masażystka, — gdzie?!

W miejscu zupełnie niewłaściwem, w salonie, blisko pieca, skuloną na podłodze, w kucki, na goło, — szczerze piękną, tego nikt nie zaprzeczy, — lecz w miejscu?

Za parawanem z pierścionków od cygar.

Tego było za dużo!

— Knociu, moja Knociu — buczała pani Stanisława nieprzytomnie, równym, jednostajnym tonem, niby syrena kopalniana.

Za dużo było tego pani Knote w tak dziwnem, przykrem miejscu. Miejsce to przypomniało pani Knote, — jak kiedyś, tak niedawno, akurat sama, w podobnym kącie podłogi, między piecem a kufrem, — jakie rzeczy znosiła?!

Przepadło!

Bijąc złożonem w dwójnasób prześcieradłem przed siebie i po plecach nagich, śnieżnobiałych i po biodrach, po głowie złocistej i po tych czułych piersiach, pani Knote poczęła na swoją stronę krzyczeć, z oczyma, z gardłem pełnem gorących łez:

— A ileż to lat ja?! Naprzykład — ja?! A ileż to lat? —

III

WYBUCH

1

MUZYKA KAMERALNA

Coeur wstał.

Czterej członkowie kwartetu podnieśli się z za stołu. Wykonali ów ruch sprawnie, równocześnie, jakby powstawali od pulpitów, by dziękować za oklaski.

Prawdziwe zadowolenie sprawiała dyrektorowi tak szczególna synchroniczność. Rozmawiał z jednym muzykiem, przeświadczony, że obdzielają się tem słowem wszyscy naraz. Uproszczenie towarzyskich zabiegów było nader wskazane:

Coeur nie miał dziś czasu na głupstwa.

Nie miał czasu, a jednak w każdej chwili zostawało tego czasu aż nadto.

Dyrektor nie pamiętał o gościach, zapominał o wszystkiem innem, myślał o czemś ważniejszem, wciąż jednak brakowało mu czegoś — i szukał.

Szukał nieustannie dokoła siebie papierośnicy, pipetki, zapałek, scyzoryka, chustki do nosa, portfelu. Wszystko to rozmieszczone było, jak zawsze, po kieszeniach, — a jednak szukał wciąż dokoła ciężkiemi ze znużenia rękoma.

Po obiedzie poprosił panów, — cały kwartet, — na górę, na czarną kawę i cygaro.

Zbliżała się już godzina rautu, to i owo musi jeszcze służba na dole poprawić. Na górze posiedzą spokojnie, — widok bardzo rozległy, jak w porcie, — będą mogli nacieszyć oczy. Coprawda niewiele zobaczą, — mrok tu zapada tak wcześnie. Zima polska nie może równać się z zimą na Uralu, jest jednak dosyć twarda.

Szedł pierwszy szerokiemi schodami na górę, po drodze mówił niedbale, sennie, jakby już tysiąc razy w swem życiu prowadził takich właśnie kwartecistów na pierwsze piętro swej willi.

Rzecz niepojęta: powtarzało się to, choć nigdy jeszcze nie zdarzyło się na jawie...

Muzycy kroczyli cicho i sprawnie, w przepisanem starszeństwie instrumentów. Pierwsze skrzypce, drugie, altówka, wiolonczela.

Na połowie piętra Coeur zatrzymał się i spojrzał poza siebie: wstępowały po stopniach cztery czarne smokingi, cztery twarze wygolone, — zdało mu się, — podobne do siebie, identyczne. Uśmiechnął się, jakby dodając im odwagi.

Odpowiedzieli, wszyscy czterej, takim samym uśmiechem.

Na widok tresury tak dokładnie działającej przypomniał sobie Coeur drobną przykrość, jedyną właściwie przykrość dnia dzisiejszego: jakże się to istotnie mogło stać, — że nie przysłano mu tu do willi żądanych telefonicznie Stanka i Frydrycha? Tych znakomitych drabów, którzy dyżurują stale w korytarzu zarządu kopalni.

Chciał ich dziś właśnie mieć pod ręką. Czy sztygar dyżurny nie zrozumiał rozkazu? Czy też może znów ten głupiec Kostryń pozmieniał dyspozycje?

— Bardzo piękna willa — rzekł pan Cremoix, pierwsze skrzypce i firma kwartetu.

— Trzeba przecież jakoś mieszkać — odpowiedział dyrektor.

Czarna kawa, przygotowana w gabinecie, sprawiła sławnym muzykom wielką, lecz pozorną tylko przyjemność. Obejrzeli dokładnie elektryczną maszynkę, nową, włoską, wszystkie przybory do gaszenia, podkręcania, regulowania, — kawy nie pili. Żaden nie zapalił cygara.

Wszyscy czterej siedzieli nad pełnemi filiżankami, każdy ze zgasłem cygarem w cienkich palcach. Wieczorem mieli grać, — nie można palić bezpośrednio przed produkcją.

Ani jeden nie wypowiedział tego głośno, Coeur jednak zauważył, iż wzajemnie powstrzymują się spojrzeniem lub krótkim gestem dłoni.

Czwarty, czy piąty już raz wypytywał ich, przez jakie kraje powędrują? Jaką mają umowę, jak się im taka podróż kalkuluje, kiedy wyjechali z Paryża a kiedy tam wrócą?

Odpowiadał za wszystkich cierpliwie i nader płynnie, pierwsze skrzypce, mistrz Cremoix.

Coeur słuchał z senną, rzewną rozkoszą: oto jawił mu się, wyrażony określonemi dokładnie datami inny, obojętny czas występów i przejazdów, — czas ustanowiony precyzyjnie, a w którym nic już nie da się przeinaczyć.

Pan Cremoix zagłębił powolnym ruchem rękę w boczną kieszeń smokinga.

Wydało się Coeurowi, że skrzypek działa przez sen, że towarzysze jego działają w półśnie. Wiolonczelista bowiem i drugie skrzypce sięgnęli również do swych kieszeni.

Cremoix otworzył notesik i uprzejmie pokazał na czterech małych, zadrukowanych tygodniami stroniczkach następstwo koncertów: datom odpowiadały wciąż nowe miasta, — Warszawa, Łódź, Kraków, Lwów, Czerniowce, Bukareszt. Mieli tego na dwa i pół miesiąca: — Bałkany, wybrzeżem morza Śródziemnego, przez Aleksandrję, Alger, Maroko, — Marsylja — i zpowrotem do Paryża.

Oznaczony w ten sposób, tak właśnie dziwnie ustanowiony czas chłodził, — studził Coeurowi skronie.

Pan Cremoix utknął wyślizganym od strun palcem w gwiazdkę, wyrysowaną przy ostatniej dacie czterech gęstych stroniczek. Gwiazda ta oznaczała powrót.

— Będzie to miły dla panów dzień, — rzekł Coeur obojętnie.

Po pewnej przerwie kwarteciści spytali, ile lat bawi już dyrektor poza Francją?

Machnął ręką niedbale. Zrozumieli to, jako ruch zniechęcenia, goryczy, tęsknoty może?

Pierwsze skrzypce, Cremoix, drugie André, altówka Roussels i wiolonczela Barron, jęli dyskretnie opowiadać o swej ojczyźnie. O wspólnej ojczyźnie.

Coeur słuchał bezmyślnie.

Monotonne słowa muzyków potrącały o pewne

wspomnienia dzieciństwa, czy młodości. Dyrektor Coeur nie znał swego ojca, — podobno Niemca, czy Szweda? Matkę pamiętał, jako żonę portjera, potem szynkarza, potem starą kobietę, żądającą nieustannie datków.

Co się z nią wkońcu stało, czy żyje, czy umarła, nie wiedział. Nigdy nie miał na to czasu. Kiedyś dawno, gdy leżał w strasznej malarji na Sumatrze, doszły go uroczyste listy od brata przyrodniego, — po którym mężu matki, pierwszym, drugim, — trzecim? Listy te darł ówczesny nafciarz Coeur, nie poznawszy ich treści. Darł je przez całe popołudnie na drobne kawałeczki, — na kosmaty proszek papierowy.

Od tego czasu zapomniał o rodzinie.

W sensie tradycjonalnych wzruszeń, z jakim mówili o Paryżu muzycy, zapomniał o Paryżu i o Francji. Nie miał czasu na takie humanistyczne wzruszenia.

Mistrz Cremoix opowiadał o drożyźnie, — przez myśli Coeura przechodziły poczciwe i niewinne słowa szyfru, otrzymanego łamaną drogą z Kolonji, od tamtejszego wtajemniczonego autochtona.

Niewinne słowa przeleciały nagle przez myśl dyrektora Coeura tłumem luźnych obrazów.

Przypatrywał się im obojętnie: wielkie biuro paryskie i pierwsze depesze o wypadku. Śledztwo tutaj, na miejscu, w Osadzie...

Śledztwo to w żadnej mierze nie może dotyczyć obcokrajowca. Przed prawem odpowiada Kostryń.

W Paryżu: przerażona gęba jednego z głównych akcjonarjuszów, gęba dyrektora Voquin.

Voquin, Voquin, — nazwisko, postać i wydarzenie rozluźniły się w dymie cygara.

Nie warto już pamiętać.

Z przedstawicielem westfalsko-alzackiego koncernu mieli umówione spotkanie w miesiąc później, w Londynie. Oznaczony czas, — hotel.

Dyrektor Coeur nie myślał, nie widział żadnych szczegółów tego spotkania, nie widział też żadnych szczegółów znanego sobie miasta Londynu, — a tylko szereg mknących szybko, czerwonych autobusów. Postrzegał je tak wyraźnie, że aż przymykał oczy, zdumiony, iż na piewszej ławce owych autobusów siedzą — kwarteciści?!...

O czem mówią?

Skupił się, począł słuchać.

Pan Cremoix opowiadał zagmatwaną historję o przygodzie jakiegoś wirtuoza, z powodu kradzieży skrzypiec w wagonie sypialnym. Skrzypce nadzwyczaj rzadkie, — zdrowy, niepodklejany dotąd wcale Stradivarius.

— Czyż rzeczywiście Stradivarius?! — Coeur przymknął ciężkie powieki i jął sumować w myśli rzecz prostą, znaną, matematycznie pewną! Wczoraj jeszcze przeglądał i zestawiał raporty wydobycia z Erazma. Z którego pola, poziomu, z których filarów i przzodków, ile tonn?

Wynikało z powyższego, iż przy tem samem obłożeniu robót ludźmi, — o ile nie zajdzie coś nieprzewidzianego, — będzie dziś wydobycie — na tych samych polach, mniej więcej takie same. Na tych samych polach, filarach, przzodkach, — a więc i na wschód od po-

chylni A, — na chodniku ósmym. A więc w myśl przesunięcia granicy pól ogniowych na planie — nastąpi tam przebitka do starych ogni, czyli prawdopodobnie, — pożar...

Coeur nie dokończył tej myśli.

Czy też myśl owa biegła dalej już sama, w głąb świadomości, — siłą własnego rozpędu.

Cztery smokingi, sztywno wyprostowane na oparciu krzeseł, czuwają.

Coeur odpowiedział im niespodzianie, — że dawno, dawno nie był już we Francji, że jednak teraz właśnie, niebawem, wybiera się na urlop i będzie między innemi w Paryżu. Oczywiście!

Urlop sześciomiesięczny: dyrektor Coeur przypomniał sobie z niebywałą ulgą, iż rzeczywiście za parę dni wyjedzie stąd. Odczeka kilka dni, dla przyzwoitości i wyjedzie.

Poraziła go bolesna troska: dokąd, — dokąd wyjechać?! Niewiadomo dokąd? Nigdzie!?...

Pot zrosił Coeurowi wypomadowane skronie: niepodobna zaiste wyjeżdżać, nie zmieniając jednego miejsca pobytu na drugie?!?

Żachnął się, uchylił wbok i utkwił spojrzeniem pomiędzy szeroką konstelacją świateł Erazma: wielka lampa łukowa nad podnośnikiem niedaleko bramy wjazdowej, nad szybem powietrznym, nad sortowniami, suchą i mokrą, najwyższe światło pod kołami linowemi szybu wyciągowego, — lampy te wyznaczały romboid, przesiany drobniejszemi światłami torów, szyn i czarnych zwałów węgla.

Wpobliżu gmachów zarządu ciągnęła się równa linja nikłych żarówek kotłowni.

Zatrzymał spojrzenie na znanej sobie tak dobrze konstelacji tych blasków, zdziwiony niepomiernie: wydało mu się, że stałość, równowaga, trwałość tego widoku jest tak dawna, stanowcza, niewzruszona!

Nigdy stąd nie wyjadę!...

O rzeczach takich dziesięć, piętnaście lat temu nie myślałby. Stanów, czy uczuć tego rodzaju dawniej nie doznawał.

Czemuż więc dziś? Czy nie jest to już starość?

Czarna chmura zleciała z nad kotłowni, okrywając ciągliwym, ziarnistym mrokiem pusty plac przed kopalnią. Po pierwszej chmurze druga, trzecia, czwarta. Cienie wzmacniały się, kształt murów, ścian, wagonów występował i znikał.

Motało się tu wciąż pośpieszne, sypkie życie zwiewnych ciemności. Dalej od gmachów, na powierzchni przeżyłowanej błyskami szyn, na rozległych koncesjach Erazma ciemności owe krzepły w zwartą jednolitą noc.

Wszędzie: — w stronę kościoła, ku cynkowniom, w stronę Flory i zapewne tak samo w miejscu tyle razy oglądanem na planie.

Miejscu temu, owemu trapezowi karminu, wrysowanemu tuż przy półkolu filaru oporowego odpowiada na powierzchni budka zwrotniczych.

Budki nie widać teraz.

Coeur ostatnim wysiłkiem woli podniósł do warg cygaro. Uczuł bowiem równocześnie, jak przez trzewia przechodzi mu żrący, straszliwy ogień.

Zgaga, — kwasota, — nadkwaśność?...

— Tak, drożyzna jest teraz wszędzie — uśmiechnął się do kwartecistów. Przymknął powieki.

W drzwiach gabinetu ukazał się i cofnął i znów naprzód wystąpił i już kroczył w żałosnych posuwistych odskokach geometra Falkiewicz.

Falkiewicz, geometra, specjalista, — wierny idjota, — oddany sługa, — ciężki, otyły emeryt, — czterdzieści lat Erazma w jednej, zbędnej osobie.

Ludzie tacy przybywają zawsze za wcześnie, nie wporę, niepotrzebnie, wejdą niewłaściwemi drzwiami, na niewłaściwe piętro.

Coeur planował inaczej: wspólny obiad z kwartetem, następnie o dziewiątej trzydzieści, punktualnie, — co było uwidocznione na wszystkich zaproszeniach, — początek rautu i audycja kwartetu Cremoix.

Jedynego właśnie Falkiewicza z pośród niższych władz i urzędników zaprosił, — dyrektor Coeur nie pomyślał dokładnie, dlaczego zaprosił Falkiewicza?!

Pewien egzotyzm: czterdzieści lat sumiennej, nienagannej służby.

Dyrektor pragnął mieć dziś geometrę u siebie. Obecność markszejdera napełniała Coeura szyderczą przyjemnością.

Geometra zauważył natychmiast pośród czterech smokingów kwartetu najszerszy smoking pryncypała. Przyczaił się usłużnie, pomniejszył w dwójnasób i jeszcze grubszy, bardziej zwarty, ubity, upchany w samym sobie, potoczył się przed fotel dyrektora.

Coeur przedstawił Falkiewicza kwartecistom. Chcąc

nawiązać rozmowę, w paru słowach określił muzykom funkcję takiego podziemnego geometry.

Nie mogli wyjść z podziwu, iż funkcja taka istnieje, oraz, że można tak dokładnie wymierzać pod ziemią.

— Można bardzo dokładnie — roześmiał się dyrektor Coeur.

Pan Falkiewicz, niestety, nie objaśnił należycie muzyków. Nie wytłumaczył, na czem polega istota tego rodzaju pracy. Zacierał ręce, niedyskretnie wyłamywał sobie grube, opuchłe palce, obciągał kamizelkę, jakgdyby końcami jej pragnął przykryć narośl jakąś, niespodzianie wynikłą.

Mlamlał wciąż jedno i to samo.

Lepiło się to w francuskiej wersji nader niezrozumiale. Jedno tylko wyraźniejsze słowo usłyszeć i zrozumieć można było jako tako: Voyager.

Usiadłszy na brzegu fotela balansował geometra opiekłym swym korpusem, składał głowę na własnem ramieniu, jak przechylają ją pływacy przeciw wezbranej fali i wciąż powtarzał:

— Voyager! — Zmieniać miejsce pobytu. Changer sa place. Toujours.

Wznosił spojrzenie ku Coeurowi z dołu do góry, jakoby z nizin, z studni wielce głębokiej, po której ścianach tyle razy spłoziło się, nim wreszcie powierzchni dopięło!

Coeur nie słuchał, — nie patrzył. Przepełniła go w tej chwili całkiem inna okazja, przygoda, — wydarzenie!

Czuł je w sobie, zastygające właśnie, już zakrzepłe:

na ósmym chodniku, na wschód od pochylni A. — Voyager, — Voyager, — changer sa place, — półmrok pokoju w Zarządzie kopalni Erazma, — twarz owego dzielnego górnika, pochylona tak blisko, połyskująca matowym krzyżem brwi i garbu nosa, — oddech tej twarzy: zapach drożdży, ludowy, czysty zapach. I wtedy, właśnie wtedy — najlepsza, bezgraniczna równowaga na myśl, — (nazywał się ten górnik Martyzel), — na myśl, że Martyzela trzeba na chodniku ósmym zatrzymać już do końca...

Dyrektor doznał namacalnie poczucia dyrektorskiej równowagi: paliły go od tego uszy i ogniem żrącym zalewało żołądek.

W drzwiach gabinetu stanął fagas w liberji. Niemiec, chłop barczysty. W szamerowanym fraku wyglądał wspaniale. Należało zejść co prędzej do gości. Zjeżdżali się już, — punktualnie.

— Poproszę panów później. — Coeur zbiegł szybko na parter. Zdziwił się obecnością tylu ludzi. Nie uważał jednak z kim się wita, komu podaje rękę, do kogo uśmiecha się.

Wszystko to traciło stopniowo rację bytu.

Rozpoczynał rozmowę, nie kończył, wracał, czekał, — nie patrząc nawet na zegarek. Pocóż patrzeć?

W związku z nieuniknioną katastrofą nie obmyślił, ani nie przygotował żadnych zarządzeń.

Żadnych. O tyle też rzecz sama wydawała się łatwiejszą. Uścisnąć nagle czyjąś rękę, westchnąć głośniej i wszystko zniknie samo: autochtoni we frakach, Francuzi, Niemcy, różnokolorowe panie.

Przyglądał się tym ludziom obojętnie, jakby wertował diarjusze zajęć, kalendarze zeszłoroczne, czy też pozycje bilansów, jeszcze z czasów inflacji, — nie odpowiadające dziś zgoła niczemu.

Dopiero wejście Kostryniów ożywiło Coeura.

A oto skutki czarnej kawy, cygar i zmęczenia: gdy zobaczył ją, panią Stanisławę, madame *Kostriniova*, doznał bólu w okolicy serca.

Uczucie bólu, oraz wizja, zaiste groteskowa: jakimże to sposobem poczuł się nie w smokingu i nie tu, u siebie, na raucie, — lecz na podszybiu, w rejonie filaru oporowego? W miłym przeciągu powietrza, płynącym przez ciepłe, zapocone stajnie? Ruch karku siwej, przemyślnej kobyły, co potrafiła mieć pod ziemią źrebię! Dalej zaś, nieco wskos, przy samym końcu żłobu — krwawe drgające futro, — przebity, szpicem laski zadziobany szczur. Raczej krwawiąca plama, widoczna tu w powietrzu, — między głowami gości, — nieco nawskos od ślicznych skroni pani Kostryniowej.

Egzotyczność tych zwidów ucieszyła Coeura różnorodnością życia na tym świecie, — och tak!...

Kosztowało to panią Kostryniową, — że przyszła!! Tyle wstydu, — tyle upokorzenia. Paliło ją tu każde miejsce ciała, stopy mdlały, — zdawało się, topnieją, rozpływają się w balowych pantofelkach, ona zaś traci równowagę, — i pada.

Pada, pada, — czemu nie runęła jeszcze na posadzkę?! Czemu nie leży już martwa?!

Zmrużywszy powieki posuwała się, wsparta na ramieniu męża, powoli przez tłum gości naprzód. Ostroż-

nie, mądrze, chytrze, każdym ruchem stroniąc od przypadkowych zetknięć z córką. Każde bowiem przypadkowe zderzenie z Zuzanną napełniało panią Kostryniową bezgranicznem upokorzeniem i rozpaczą.

Zuza przybiega tu zapewne, — na schadzki!...

Gdy Zuza przechyliwszy się wbok, rzekła półgłosem do rodziców: — Pan Coeur przepycha się do nas z tamtego salonu, — Stanisława zatrzymała się. Nie doznawała jeszcze dotąd w swem ciężkiem życiu uczuć tego rodzaju:

Pozdzierać z siebie wszystko, upaść, tłuc głową w ścianę i krzyczeć, krzyczeć, krzyczeć!

Głos obowiązku rozkazywał inaczej: powiedzieć temu strasznemu człowiekowi!...

Ułożyła to sobie w domu, wyraźnie i dokładnie, dobitnie: powiedzieć temu człowiekowi, — co? Niepodobna mówić przecież o córce. Nie, nie, nie, — za nic w świecie! O związku przyszłym, czy też wydaniu się Zuzanny za dyrektora, — nie, nie, nie, — za nic w świecie.!!!

Pani Stanisława po wstrętnem wydarzeniu zamknęła dobroczynną bibljotekę na cały tydzień, z głębokiem przeświadczeniem, że już nigdy więcej tam nie wróci.

Pozostawały do powiedzenia takie tylko słowa: Masz pan przestać bywać u nas.

Nie może przestać bywać, — nie może.

Możesz pan bywać rzadko, — ze względu na pozory. Masz się pan starać natomiast, by mój mąż, — aby mój mąż, moj dom nie doznał w sprawach tutejszych kopalnianych ani cienia przykrości. Przynajmniej to!

Wydało się pani Stanisławie — niskie, podłe, sprzedażne!

Coeur witał się już z nimi. Uśmiechnął się do Kostrynia, — kwartet, który zagrają goście, brzmieć będzie nieco lepiej chyba, niż kwartet grany u pewnego kochanego dyrektora w sąsiedztwie huty Katarzyny.

— A nie wyglądają na to ci panowie, prawda?

Instrumentaliści schodzili już z pierwszego piętra w ustalonym porządku, pierwszy, pan Cremoix, ostatni, wiolonczelista, pan Barron. Wszyscy czterej poważni, skupieni a zarazem, jakby nieco zaspani.

Towarzystwo przemieszało się, jęły powstawać w tłumie wyrwy, brózdy i skupiska, przez które przeciskali się służący w liberjach, niby złociste, prążkowane żuki.

Dlaczegoż Stanisława jęła szukać i tropić Coeura, wynajdywać, pilnować? Głos obowiązku nakazywał spojrzeć Francuzowi twardo w oczy i powiedzieć słowa jedyne, — czyli które?

Nie mogła w żadnych doszukać się właściwego znaczenia.

Przewinęła się jednak wzdłuż ścian, mimo kilku znajomych pań z najlepszym swym uśmiechem, — ach tak, — uśmiechem *medaljonu.* Naprzód, prędzej, co prędzej w stronę sali bilardowej.

Wychodzili już stamtąd w grupie znajomych dyrektorów cynkowni, — Coeur i Zuzanna.

Pani Stanisława oparła się o bilard, — półprzytomna. Spojrzawszy przed siebie zobaczyła się w lustrze. Piękna, piękna, — oczywiście.

Ujęła się za gardło, w którem mrowiły się piekące

łzy. Zaiste, ach zaiste — coś strasznego: błoto, ściek każdy, brud całej Osady Górniczej jest jeszcze rajem, szczęściem wobec tego:

Pościg, polowanie pomiędzy matką a córką.

Wymijały się, zastępowały sobie drogę, czyhały na okazję.

Podejść, podejść, powiedzieć nareszcie: Winien nas pan opuścić, panie dyrektorze — raz na zawsze!!!

Czy może to powiedzieć żona zależnego urzędnika? Nie może!

Pożerał Stanisławę wstyd, od którego drżała całą postacią, zimna, sina, zmartwiała.

Muzycy zaczęli stroić instrumenty. Przeleciało to przez gwarną salę, niby kilka cięć nagłych, skupionych; płytkich, — głębokich — i znów tak powierzchownych.

Nie wypadało teraz zmieniać miejsca. Stanisława zatrzymała się niedaleko okna.

Tuż za nią stał mąż.

— Co ty wyrabiasz? — szepnął.

Uśmiechnęła się do niego pokornie.

Muzycy grali już, Stanisława patrzyła na męża, uspokojona nagle i szczęśliwa: w miarę patrzenia na te rysy uwiędłe, znane, zżyte — ubywać z niej poczęło nieszczęście, zasklepiać się, pomniejszać, — w jeden jedyny wątek cichej uległej szarości.

Kostryń ruszał powiekami, jak sowa. Podnosił je i spuszczał tak szybko.

Muzyka sprawiała mu nieopisaną rozkosz. Rozkosz takiej czystości, takiego oddalenia i tak mądrej szczęśliwej swobody. Patrzył na twarze muzyków chłonące

tę swobodę z rozłożonych na pulpitach nut. Patrzył na twarze, na instrumenty, — ach Boże, instrumenty! Trochę przesuszonego drzewa, kilka baranich kiszek, odpowiednio skręconych i takie z tego szczęście, — niewinne szczęście.

Słuchał: istota muzyki rozrastała się w nim poniekąd samorodnie, dźwięcznemi cyframi najwyższej czystości dyrektorskiego życia: — cyframi oszczędzonych dolarów.

Rozwijały się, rosły, piętrzyły wciąż tą samą logiką następstwa miejsc i zer, — coraz pełniejsze, bogatsze, oplatając szeregami miesięcy i lat przedustawną niejako harmonję wszystkiego, co żyje i trwa na tym świecie.

Gdy nagle, — spruło się coś w cieńkim, nadludzko czystym systemie współdźwięków. Spruło się biegiem okrągłych ziarenek, które raz drugi, trzeci przesypały się obok w pokoju.

Telefon!

Muzyka wznosiła się wciąż wyżej. Mogło się było zdawać, że wydała już z boskiego swego kapitału wszystko i już nic nie zostaje. Lecz oto w nowym zbiegu harmonji wynurzały się nowe, świeże, dźwięczące oszczędności, czerpane, wydawane coraz hojniej!

Kostryń drgnął, — odwrócił się, — pani Kostryniowa zasłoniła twarz dłonią.

O jeden krok, ztyłu za nimi, — stał Coeur.

Bronzowa twarz Francuza uśmiechała się osobliwie, bezszelestnym uśmiechem, jakby na ukrytych gumach mechanicznie rozciąganym.

Francuz położył nagle rękę na ramieniu Kostrynia.

Kostryń podstawił ramię usłużnie, pod dłoń dyrektora administracyjnego i słuchał dalej muzyki.

Coeur nacisnął ramię Kostrynia mocniej, pociągnął ku sobie i, — dużą, czarną, kwadratową głową ukazał w stronę wyjścia.

Poszli na palcach, amfiladą jasno oświetlonych sal willi, do gabinetu Coeura, na drugi koniec domu. Widać stąd było jeszcze woddali, przez wszystkie drzwi naoścież otwarte, salę główną.

Muzyka dolatywała zgłuszona, — może jeszcze piękniejsza?

— Czy pan słyszał?

Kostryń spojrzał bezmyślnie na Coeura.

— Czy pan słyszał telefon?

— Tak, tak, prawda, — słyszałem.

— Wyłączam, gdyż będzie teraz dzwonić co minutę. — Coeur wyłączył aparat.

— Prześlicznie grają, — westchnął Kostryń, — no i sam kwartet! Ten Schumann!

Francuz chwycił nagle Kostrynia za ramię, ramię to ścisnął mocno i poniósł — jakby nie było częścią żywego organizmu, — powlókł ku oknu.

Gdy znaleźli się za framugą, Coeur puścił dyrektora i znów rozszerzył wargi w gumowym swym uśmiechu.

— Widzi pan? — wskazał blade księżycem oświetlone rozłogi Erazma. — Otóż, panie dyrektorze, ten telefon: jest wiadomość bardzo niewesoła: mamy ogień na Erazmie. Przebitka. Trzeci poziom na wschód od pochylni A, — na ósmym chodniku, — już są wypadki z ludźmi.

Kostryń spojrzał przez okno:

Nic, — żadnej zmiany, wszystko, — wszystko — normalnie.

Brylantowy romboid łukowych lamp?... Poniżej światła drobniejsze, między niemi szary, pusty plac kopalni...

Nie pusty, już nie pusty!!!

Latały po nim, jak zwykle o tej porze, jak zawsze, w dzień i w nocy, — ziarniste chmury dymu. Wiatr je porywał, unosił, upuszczał, znów rozwlekał, że prężyły się, ściągały, rozszerzały, niby skrzydła olbrzymie, czarne, żywe, nieogarnięte.

Z pod skrzydeł tych sypało teraz ziemią, grudą, szarym zmieszanym żwirem, — to ludzie, ludzie biegnący na wsze strony, — to górnicy!!!

Kostryń rzucił się Coeurowi na piersi. Wpił, wczepił się w Francuza całym sobą, skomląc: — Nasz Erazm!

— Musi pan jechać. Już są wypadki z ludźmi. Pan odpowiada tu za wszystko.

Kostryń nic nie rozumiał. Trząsł się, leciał przez ręce, dygotał, czarną odzieżą spływał na podłogę.

Dyrektor Coeur ujął go ściśle za ramiona, uniósł, obrównał szeregiem twardych, krótkich ruchów, jak obrównywa się odzież, składaną do pudła. W rozszerzone źrenice Kostrynia patrzył obojętnie, — niby w źrenice trupa.

Dyrektor Coeur rozumiał doskonale, iż w momencie tym raczej już chyba trupa, niż człowieka trzyma w swojem objęciu.

— Nasz Erazm, Erazm, Erazm, — kwilił Kostryń.

— Pan odpowiada tu za wszystko!! — Wypchnął Kostrynia, sprowadził ze schodów, wrzucił brutalnie do samochodu.

Wracając powoli na górę myślał Coeur po drodze: — córka, żona, — nieszczęśliwy autochton, — Erazm, — warto jeszcze pamiętać?

Muzyka drżała w powietrzu urokiem woni, zda się chyba nadziemskiej.

Coeur stanął w drzwiach rozległej amfilady: panie, panowie, fraki, smokingi, pstre jedwabie, ramiona gołe, ufryzowane głowy, — wydało mu się wszystko czemś obcem, dziwnem, niesamowitem, — niby flora cudaczna, nieznana nigdy, wyrastająca wgórę sztywno z połyskliwej podłogi.

2

RZETELNY SYGNALISTA

Kiedy rozpoczęło się to nieszczęście i jak wybuchło i kto je spowodował i kto pierwszy na uczynku złapał?!

Gdy sąd zjedzie, gdy porówna wszelakie dane z Urzędem Górniczym i zeznania obecnych świadków, — nietylko ma się rozumieć, samych dyrektorów, — gdy zjadą rzeczoznawcy na miejsce, rozmaici rzeczoznawcy od opowietrzania kopalni, materjałów wybuchowych, od regulaminów pracy z Urzędu Pracy i wszelcy profesorzy i zapłaceni suto geolodzy, — prawda wśród nich utonie!

Nie utrzyma się na takich głębinach i nikt jej nie odnajdzie.

A znów, gdyby iść zdarzenie po zdarzeniu, iść sobie tak, jak było, zdarzenie po zdarzeniu, minuta po minucie, godzina po godzinie, — niesposób palcem rzeczywistości ukazać sedna!

Powiadali później zgodnie wszyscy, iż starszy górnik Martyzel, mimo, że doświadczony, — co tu ma doświadczenie do tego?! Że dobił się do „pustki“, czyli zera, czyli z filarowego przodka swego, — ze ściany

węgla, którą się był posuwał, — wybrał już wszystko i dobił się do starych ogni.

Jakim sposobem mogło się stać, gdy na planach jest przecie wszystko dokładnie wyznaczone?

Dla zbadania takich wydarzeń górniczych trzeba iść krok za krokiem, a jakżeż kroki stawiać, gdy kręcielstwo kapitału daje się uczuć w zeznaniach, podczas gdy głównych aktorów wydarzenia ogień z sobą pochłonął?!

Gdyby iść krok za krokiem — biorąc od jakowegoś punktu, w którym dani ludzie znaleźli się pod ziemią, — wypadnie zatrzymać się na punkcie wyjścia. Na tym, — rzecz biorąc czasowo, — z którego rozpoczyna się zjazd. Zjazd tych właśnie górników, którym się takie straszne przygody wydarzyły.

O zjeździe tym powiedzieć można, co o wszystkich innych: że odbył się normalnie. Bez żadnych osobliwych okazyj.

Można powiedzieć znowu, nie z punktu czasowego, a z punktu widzenia wrzeń strejkowych i wspomnień pogrzebu Supernaczki i owych aresztowań licznych i represyj — iż zjazd nadół był wzburzony, — normalnie.

Nikt chyba nie chce i nie żąda, by klasa robotnicza prowokowana na każdym kroku, reagowała uśmiechem szczęścia przeciw kryminalnym zapędom?!

Nieszczęście wydarzyło się przy zmianie drugiej, która zjechała o godzinie czternastej. Zmiana ta pozostaje na dole od czternastej do godziny dwudziestej drugiej.

Nikt nie odważy się powiedzieć, że zachowaniem się swojem zmiana ta jakieś zbrodnicze zamiary okazała.

Cisnęli się do szybu, — prawda. Lecz cisnęli się, nie w nadziei katastrofy a posłuszni zasadzie przedstrejkowej na wszystkich kopalniach świata, wszędzie, podczas poruchów klasy robotniczej: szyb główna twierdza górnicza! Kto włada szybem w takie dnie kryzysu, włada całym ruchem.

Szyb główna twierdza robotnicza!

Pchał się tu każdy, zaglądał, węszył, czy ma jaki interes, czy też gdy nawet nie ma.

Na szybie, na nadszybiu na obydwu poziomach nadszybia, wedle tych krat, — wiadomo to każdemu, — wedle tych krat w pobladłych słupach pary, w mdłościach spracowanego powietrza przelatuje każda nowa wiadomość.

Tu, nie gdzie indziej kują się wszystkie przyszłe rezolucje i tu zapada każda odręczna dyrektywa.

Sygnaliści, obsługa nadszybia, a na podszybiach zapychacze, — można powiedzieć od żompienia aż po koła linowe, — na trzysta metrów głębokości rozciągnięta propaganda nastrojów klasy robotniczej.

Wszyscy pchali się tutaj: tacy, owacy, z wszelkich odłamów, kierunków. W dnie naprężenia przychodzili tu nawet różni, co nigdy na nadszybiu nie bywali. Nazwy i słowa właściwego niema dla nich, gdyż to są ludzie mniej znaczący, niż nic.

Co tu zbierają i czego się czepiają, niewiadomo. Kobiety i mężczyźni, — stare to, słabe, przemarznięte. odziane w szmaty.

Każdy portjer kopalniany wypędza tę biedotę, na kopalnię nie wpuszcza, lecz znów ludzie takowi nie pod-

padają pod punkty bezrobotnych, a są to dawni górnicy, robotnicy doszczętnie już zlikwidowani, — czyli niema takiego sumienia portjerskiego, żeby ich stąd wyrzucać.

Przychodzi toto na kopalnię nie bramą, lecz dziurami, przez płoty, snuje się całe dnie. Słów na nich ani nazwy wiadomej być nie może, — mgła, dym.

Niedawni towarzysze, odpadki i wypędki, czekają dziś przy skrzeczącym gryzaku, zalegną schodki podnośnika, coś tam niby przekładają stąd-owąd, a to znów jakieś wagony z własnej chęci suwają, — wszelakie tam Szymczyki, starość i nędza, niepotrzebna i sucha.

Jeżeli w takie dnie podobni ludzie pchali się w stronę szybu jawnie, to cóż dopiero mówić o innych, na kopalni zatrudnionych prawdziwie?

Dyżurny sztygar z powierzchni widział to, ale nie śmiał przeganiać nikogo.

Co tu robił naprzykład Supernak? Portjerzy mają inny dzień roboczy, niż górnicy. Dniówka jest dla nich dziesięć godzin, albo nawet dwanaście. Ale nie jest miejsce portjera przy szybie, lecz przy portjerce.

Supernak w budzie swojej zostawił jakieś stare popychadło, a sam warował tu, myszkował. Robił robotę swoją razem z Dusiem, gdy wespół walczyli, uporczywie naciskali, by uzyskać zmianę sygnalistów z podszybia. Nadszybie było w ręku komunistów, przez Dusia, — a podszybia dwóch ostatnich poziomów kopalni — socjaliści!

Jaka z tego może wychodzić propaganda?

Napozór niby wcale niezła, — poseł Drążek rwał teraz na czele radykalizmów programowych, strejkowych i wszelkich, że nawet komunistom dech zatykało w piersiach o ile chodzi o obiecanki dla przyszłości klasy pracującej.

Supernak garnął się, myszkował na podszybiu nietylko dla podsłuchu i różnych swoich celów ukrytych. Bał się samotności w swej budzie.

Sprawa z pogrzebem nie poszła znów tak gładko. Naród ucierpiał z różnych stron i już szemrał, — że skądże uwiadomiona była zawczasu policja i pan Kapuścik i wszystkie partje przeciw sobie?! Pytanie takie lęgło się dość powszechnie.

Duś nic, ale takowe sprawy mógł miarkować Martyzel.

Może już wpadł na jakieś tropy? Patrzył dziwnem spojrzeniem a ile razy oczy ich spotkały się, źrenice Martyzela ścinał mróz: brudnym nieprzenikliwym lodem patrzyły w oczy Supernaka.

Włóczyli się tak po nadszybiu, ten tu rozmawia a ten tam.

Portjer Supernak nie wiedział jeszcze, jakie tu ma alibi. Chował się wciąż za plecy sygnalisty Dusia. Za owemi plecami czekał bezpiecznie — ze wszystkiem. Nie będą to przelewki. Mało już trzeba, by kopalnia stanęła. Komitet strejkowy kopalniany mieli już na Erazmie. Na groźne telegramy Drążka do Warszawy ramionami wzruszali.

Zamyślali zamysły swe naprawdę, — Supernak znał się na tem nie od dziś, — gdyż do pracy górniczej

odnosili się jakoby z pożegnaniem. Tak żarliwie i grzecznie, na każdym kroku.

Supernak chował się za młode plecy Dusia i chodził za nim wszędzie między ludźmi, niby stary, zdradliwy rozum w osłonie młodej wiary.

Duś? Syczał, huczał ponętną srogą groźbą i tego jeszcze mało. Co mówił, — nie należy do rzeczy.

Wszyscy to samo mówią w takich walkach, — jeno na różne głosy. Nie o to!

O to, że biło z niego, jakby krwią gorącą. Gdyby słowo, jak pisze w ewangelji, mogło jawić się ciałem — ze słów Dusia tryskałaby obficie krew na każde miejsce.

Zagrzewał i buntował i tak mu się śpieszyło bardzo do strejkowego wystąpienia. Nawiązywał w swej mowie, do ostatnich wypadków, jako to: jednostka proletarjatu, choćby niewinna kobiecina, ofiara rodzinnego obowiązku umrzeć nawet bezkarnie nie może, lecz tylko w kleszczach policji kapitału.

Tak mówił, nędzną postać Supernaka biorąc słowom za świadka. Duś był najszczerzej za tem, by akcją kierować żywiołowo.

Rozpocząć zaraz, od dziś wielki strejk na Erazmie. Za Erazmem pójdą ochotnie Paryż, Irena, Flora, pokłady płytkie, głębokie, wszystkie inne. Ludzie musieli hamować sygnalistę, tak widział wszystkie sprawy solidarności robotniczej żywcem na różowo.

Widział, — szczerze. Duś Jan, sygnalista Erazma czuł ową solidarność spojrzeniem, krwią i każdem włóknem swego ciała, pomimo wszystkich rozłamów, Drążków, związków i różnych innych sekretarzy! Tak się

urodził i tak już czuł tę solidarność towarzyszy stąd, — aż po wszystkie krańce pracy ludzkiej na ziemi.

Dlatego też w gromadzie górników pod starą poharataną windą sejmujących, gdy go Martyzel jakowymś ruchem dłoni pomiernym wstrzymał nieco w spiskującej wymowie, — sygnalista zasyczał, niby blacha rozprażona pod działaniem kropel wody.

Wobec takich represyj kapitału niewinni ludzie, za to, że się na pogrzebie znaleźli, już na bramie kopalni pozostają nazwiskami wywieszeni?!

Starszy górnik Martyzel, — wobec własnej przemowy na onymże pogrzebie Supernaczki, — nie mógł działać dwuznacznie. Gdy już zpowrotem, po tylu latach stanął zpowrotem pod godłami nienawiści klasowej?!

Jednego tylko nie mógł znieść nawet teraz w wymowie zawróconych ideałów młodocianych: widoku Supernaka.

Widoku Supernaka nie mógł znieść z powodu podejrzenia o prowokację. Tak to, — nic nie zmieniło się w dziedzinie młodocianych ideałów. Tu ideały podniebne a tu zawsze ta sama podziemna prowokacja. Jedno ciągłe zwątpienie co do wszystkich wartości!

Buczki oddały bukiem swoim godzinę drugą, Martyzel szczęśliwy był, gdy nareszcie zjechali do pracy.

Zjechali zaś — normalnie.

Sztygarzy ludzi na pola rozdzielili, na pola, na pochylnie, stąd każdy ze swoimi w swą drogę, pod obchodem dozorców, Martyzel jako starszy górnik ze swoimi, więc w pięciu: starszy górnik, pomocnik, nazwiskiem Marzec, dwóch ładowaczy i jeden, nito pomoc,

na ładowacza jeszcze nie przyuczony, co do którego, że byli swoi ludzie, więc milczeli, — syn posła i leadera, — konspiracja.

Pracował za dowodem fałszywym na wymyślone swe nazwisko — Mieniuk.

Wiadomo — gębę na kłódkę i dość.

Zebrali się na trzecim poziomie. Ruszyli naprzód, wielką pochylnią A, wschodnim chodnikiem trepowym, przez trepy nadwątlone, wodą mocno ociekłe, mając po lewej stronie grubą linę pochylni, na której zjeżdżał i wyjeżdżał pomost, z desek szczerbatych żelazem lamowanych, przysposobiony na cztery wagoniki węgla, — czyli dwie tonny.

Przybyli na swój przodek w chodniku ósmym.

Jeżeli była tu jaka nienormalność, to jedna tylko: Martyzel przez całą długą drogę z nikim słowa nie zamienił. Nikt sobie jednak rościć pretensyj nie może do zbyt częstej wymiany słów z górnikiem, gdy jest w przodku, przy robocie.

Przy robocie, górnik jest władza wielka i odpowiedzialność. Gdy nie mówi, — więc myśli. A myśleć może o czem zawsze: gdyż górnik tylko ma przeczucie wszystkich spraw pokładu, tąpania, rabowania się węgla, odbudowy wszelakiej i jak dziury do strzału założyć i co do puchów, gazów, smrodów. Przeczucie nieuczone, lecz długiem życiem pracy wystarane.

Przyszli w łuszczącą się noc do tego przodka i potonęli w niej, — normalnie.

Martyzel stanął przy wiertarce, to jest świdrze, którym obraca sprężone powietrze. Pomocnik drzewo odbudo-

wy, ociosywał, — tu olunek wyrobić, tam nacechować, obciosać kapy, stemple. Ładowacze zaś bili o druty przy pochylni, wydzwaniali sygnały, że mało wagoników i niema w co ładować.

Teraz — praca!

Już słychać głos wiertarki kamienny i żelazny, uparty, zindyczony, — jak skubie, gryzie, strzępi żywą skałę. Już łopaty za głosem sprężonego powietrza drą szybko spodek czarnego filara węglowego, już wnętrze wózków oszalało, huczy swym pustym głosem, ludzie skałę zrzucają oburącz, a światło karbidówek samotne tutaj, samo jedno, jedyne, — modli się swym promykiem.

Cóż jest ta praca? Sen człowieka w kamieniu, bo jak ten utwór ziemny z życia bujnej rośliny i z czasów przedpotopu kamieniem stał się wreszcie, — tak czyn tej ludzkiej jawy znów się we snach rozwieje.

Przed czarną ścianą pot bieży ciałem Martyzela, — oto jest ludzka siła nieporadna, lecz gdy jest sercem bijącem poruszana, od wszystkich sił ważniejsza!

Przebić w pokładzie dziurę, wybrać wszelaki proch, pozakładać materjał wybuchowy, ubić znów dobrze glinę drewnianem kopytkiem, ludzi obesłać z hasłem, że strzał idzie.

Po strzale pierwszy znów wyjdzie Martyzel, ostuka piętro, a nie ma na to wiedzy, prócz rozumu samej pracy: bez tej wiedzy zabije węgiel każdego innego.

Z sufitu, czyli piętra lecą rozpryski deszczem, gradem połyskliwym, skruszonym meteorem, — Martyzel posród nich, pomiędzy twardą, szeleszczącą śmiercią uczynny, gospodarny, gdy po spodku chodnika łopaty

już szurają, ciągną, już zda się żreją ów węgiel, tłamszą go, zmordowaną skałę gromadzą znów do wózków.

I cóż to jest?! Jeden, ten samy pochód życia ziemskiego z ubiegłych lat tysięcy w nowe szumy tysięcy obrotów, jedno to same ciepło skamieniałe, rozwiane, skamieniałe i znów w przeróżnych strugach wiatru przelatujące.

I cóż tu ludzkie myśli w rozmaitej przygodzie wszelkiego bezustanku tych przemian? Ludzkie myśli, — tu skała złomem czarnym przed oczami zlatuje, a tam gdzieś dzieci twoje, już w niedostępnej tobie przyszłości zanurzone!

Tu łuszczy się nad tobą piętro, czarne, pogruchotane żebra pryskają z pod kilofa a tam znów, zaraz blisko, pod ciepłą piersią sprawa twojej miłości!

Myślało się to wszystko Martyzelowi, jakoby samo przez się. Przez owe deszcze węgla, porywy roztrąconej skały, przez owe jęki i tąpania czarnej nocy pokładu, — o owej mowie esperanto i o dzieciach i o żonie, jak za nią w świat wyjechał, za tem marzeniem szczęścia i wrócił i żył tutaj i utracił i oto teraz otruty, niewierzący, przeciwko własnej prawdzie goryczą oblężony!

Praca szła wciąż normalnie. Zakładali w tym węglu dziury, strzelali, ładowali i wieźli pędem do pochylni, — z dostawą wagoników żadnej przerwy nie było.

Węglowy filar na chodniku ósmym trzeciego poziomu, na wschód od pochylni A, dawał dziś doskonale!

Raz wraz przecie lecieli do pochylni z wagonami,

pchający głową, ramieniem, plecyma, przez rozmaite błoto, wśród nikłych szyn, Tadeusz z czołem na waginiku wspartem, — dumny!

Cóż to mu pozostało z owych podróży rozmaitych, z owej odskoczni w świat, z wszelakich planów, zabaw, włazolinów, komedyj i tych innych rozkoszy na pistacjowej kanapce niedawno wyczynianych?! Gdzież to tu jesteś miły bracie Stanisławie po tym obiedzie w borysławskiej knajpce a co tam znowu ojciec wyczynia, dziedzic szanowny, papa, leader pośród zaufanych programów partyjnych?

Cóż mogło tutaj znaczyć? Znaczyć mogła Lenora, gdzieś trzysta metrów wyżej na powierzchni przez bono skacząca. Mogła tu znaczyć matka, choć stara i nieznośna. Śmiech powiedzieć — ile z tego czułości.

Wojna tu mogła znaczyć i prawda najgrubsza, tępa silna, — że każdym rzutem łopaty zgartujesz i sposobisz zapasy takie i zasoby, — czego, naco? I komu?

Prawda zdrętwiałych rąk, dymiących pleców, żył na skroni, jak basy napiętych, prawda od mózgu aż do głębi obolałego brzucha.

Strzelili i znów w pięciu siedzieli w wyłomie korytarza, niedaleko pochylni A. W oczekiwaniu aż dymy po strzale rozejdą się. Tadeusz z ramionami na ramionach ładowaczy, we trzech, mokrzy od potu, Martyzel, w głębi przy skale.

Od tej chwili, — wedle zeznań późniejszych przed sądem, — uczuli pierwsze kroki nieszczęścia. Dymy po strzale ostatnim nie rozeszły się wcale. Czekali dziesięć minut.

Martyzel wstał, poszedł ósmym chodnikiem do przodka, — dymy w przodku wciąż stoją, gęste, siwe, jak mleko. Zawrócił i znów usiadł, — przeczekać.

Starszy ładowacz Krupa powiadał o swej żonie, która leży paraliżem tknięta od lat pięciu, ale apetyt ma cholerny i jedzenie kradnie mężowi z pod ręki, — a kto żywi rodzinę, ja — czy też jej paraliż?

Tadeusz przypominał o wojnie światowej, — gdy oto starszy, górnik Martyzel zabrał głos niespodzianie, o swym śnie.

Sen znany wśród górników, wielce niedobry: śnili się dziś Martyzelowi — ojcowie. Jacy ojcowie niewiadomo, — określićby nie umiał. Jedno pewne, — ojcowie. Niby jakaś rodzina dość bliska, choć nieznana, — ojcowie. Jak szli, siwi już, bardzo starzy, biedni, — po prawdzie mówiąc, — chłopi. Niosło zaś od nich rolą, ziemią, czyli też tylko przypomnieniem tych rzeczy? Pytali się przechodząc mimo: — Co sprawiłeś w swem życiu? Cóżeś naprzód posunął?

Gdy starszy górnik wypowiedział te słowa, poczuli wszyscy pięciu, — na sądzie zeznawali to zgodnie, — wielką ciszę kopalni, przez wszystkie upadowe spływającą i przez pochylnie i poprzez wszystkie pola górnicze, wschodnie i zachodnie. Jak powstrzymała swój bieg świegotliwy.

Wówczas patrzyli w głąb swego chodnika ku przodkowi.

Ujrzeli w białem mleku dymów, — jakby bramy ciemniejsze, wrota, czy też wielkie łuki świątalne.

Zerwali się na równe nogi. Posunęli się naprzód

w stronę rzeczonego przodka, — weszli w głąb. Szły dymy, smrody wielkie, lecz nie były to dymy od założonych strzałów, — całkiem inne!

— Produkty dystylacji węgla, — powiedział był Martyzel.

Od wyrzeczenia owych słów, jakoby zaszumiało jedno i to samo skrzydło przeraźliwego jęku i ten sam dziwny mąt myśli, rzeczy, zdarzeń.

Zabrali z sobą sprzęt górniczy, — w porządku. Zabrali w skrzynkę kluski miedziankitu i zeszli z przodka.

Starszy górnik meldował dozorcy, jako się stało i chyba jest przebitka już do starych ogni?! Tamę trzeba postawić na ósmym.

W załomie rozjazdu przy wymijaniu wózków dziobali w jeden i ten sam kawałek planu, starszy górnik z dozorcą, niby dwa czarne rozsierdzone kruki, a dozorca wciąż swoje: Plan opiewa odmiennie, przebitki tutaj niema tak blisko, granica jest inaczej, — nie wyczyniać popłochu.

Wyjechali na powierzchnię.

Jak się rozeszło, którędy i przez kogo, że Martyzel dostał dymy w ósmym chodniku?

Sztygarzy poklekotali w Zarządzie nad wielkiemi planami pospołu z zawiadowcą i wyszedł rozkaz, — że trzecia zmiana zjeżdża. Na ten sam wieczór wypadała kontrol szybu.

Obmacali już cały baldach podwójnej windy, pokręcili sumiennie przy obchwytach, cieśle zjechali cicho, sprawdzać dębowe kierowniki.

Bezdenna japa czeluści szybowej dymiła głuchą,

kwaśną pustką, przy kratach japy stał Duś, spocony ciemny, jakoby z świeżej miedzi odlany.

Przerabiał też tę trzecią zmianę, — wielce buntował!

Na górze w samym szczycie wieży wyciągowej w obrocie kół linowych przeciągały się cienie pośpieszne, — a ludzie, — powolni jak to ludzie.

Duś szemrze, — nie jechać, rzucać pracę, przystępować do strajku, od dzisiaj i od zaraz.

A ludzie, jak to ludzie, — chcą pracować, by jeść! Jeszcze przy takim adwokacie, skoro Duś sam z innymi podany do redukcji?!

Podarli się przy tej okazji, Mieniewski z sygnalistą. Gdyż jest słowo i słowo. Tadeusz nie dopuszczał do słów, z których przekleństwo szło. Że niby wieszać się, gdyż nic lepszego tutaj niema!

Ze słów Dusia wionęło przekleństwo, — na wszystko tu obecne aż do samego dna.

Pocięli się wieczną swoją obrazą wzajemną.

A na sądzie mówił Tadeusz o tym samym Dusiu: Niema w nikim miłości, jak właśnie w tym człowieku, który jest bohaterem.

Ostatnią klatką drugiej zmiany zjechał Tadeusz na dół. Zpowrotem na ów trzeci poziom. Wytłumaczenia na to nie miał żadnego, któreby ludzie spokojni pojąć mogli normalnie.

Zjechał naprzekór słowom Dusia, iż Zarząd ludzkiem życiem ryzykuje, iż wszystko jest na pas-walat poprowadzone.

Naprzekór, oraz z starej ciekawości wojskowej. Je-

żeli jest niebezpieczeństwo, — jakieżby było bez udziału byłego porucznika wielkiej wojny światowej?!

Gdy zjechali, — na trzecim poziomie wszystko jeszcze po dawnemu. Na czarnem piętrze pokładu lśniło, wymalowane pięknemi literami, — *Szczęść Boże*, — na lewo końskie stajnie chrzęszczące błogim poruchem chrupanego siania, na prawo, idąc głównym przewozowym, — za pięknemi sztachetami kapliczka.

Nie mógłby sobie Tadeusz przypomnieć i na rozprawie sądowej nie zdołał, — co robił od chwili zjazdu aż do właściwych wypadków.

Na podszybiu trzeciego poziomu dowiedział się, że ludzie z trzeciej zmiany poszli z felami, belkami, z wapnem do rapowania stawiać tamę na ósmym chodniku. Siedział w stajniach u koni i palił papierosa. Kopalnia gazów żadnych nie miała, więc wolno było palić wszędzie.

Gdzie go spotkała i kiedy ogarnęła panika, — nie pamiętał. Nie na kwerszlagu. Gdzieś, w okolicy samej pochylni A. Zatrucia nie czuł żadnego. Powietrze, jakoby bardziej gęstsze, czy też rzadsze, bardziej sine niż zwykle i brudne, a może i to przywidzenie?

Przy trepowych chodnikach pochylni, gdzie jest piach rozsypany i ściana rozwalona, minęli się z dozorcą.

Widać stąd, zawsze z tego miejsca potężną stację pomp elektrycznych, dosadnie oświetloną. Cienie obsługi kręcą się w wyprężonej jasności.

Dziś żadnych ruchów cieni, — jasność nad połyskliwym kadłubem pomp — martwa.

Tadeusz minął pompy, jął wznosić się trepowym ku

górze, w piachu, wilgoci, naprzeciw wodzie ściekającej po kamykach chodnikowego spodu.

Trzymał przecie w ręku karbidówkę, więc widział: uderzyło go kontrastem barw, — kolonje białych grzybków pod drewnianemi listwami pochylni i plamy czerwonego okru na płaskich, zmytych wodą kamieniach.

Zaskoczyło go, — czego nawet w wielkiej wojnie światowej nigdy nie doświadczył: głos osobliwy, mamrotający w pustce, głos pochodzący nie z człowieka, nie wydany przez tarcie, rzucanie, czy posuwanie przedmiotów: kopalnia idzie dalej własnym trybem, słychać w bezmiarach podziemnych łaskotliwe łuszczenie się ściskanych bezmiernie pokładów... Czy też sapanie bezgranicznych ciemności. Czy też jęk ustawiczny, przewlekany na strudze powietrza z komory do komory, z filaru do filaru i z poziomu na poziom.

Lecz prócz zwykłych przecieków, szelestów, spływów, zgrzytów i rozgłosów wiertarek i siekier, obciosujących drzewo, wynosi się — głos inny wyższy, sroższy, wszelakich spraw czynności ludzkiej pozbawiony, rosnący pośród pustki, odrębny, — głos przecknionych podziemi?!

Tadeusz minął chodnik piąty, wznosząc się dalej wgórę trepowym, musiałby jeszcze minąć szósty i siódmy, by dotrzeć do ósmego.

Tymczasem!... Pamiętał to, pamiętać będzie zawsze, chyba do samej śmierci — z przed szóstego chodnika, z zakrętu, czyli też może z pochylni, czy z szlamu, z wody z błota, — podnieśli się dwaj ludzie, biegnąc, tocząc się prosto na światło lampki.

Nie widział takich twarzy w swojem życiu: zjawy, maszkary, sama potworność strachu w lica człowiecze przeistoczona. Dwie gęby wykrzywione, patrzące śluzem mętnym. Postacie zaś bezkształtne, świszczące sykiem szalonego pośpiechu.

Lecieli wdół przez wodę, piachy, przez kamienie. Za nimi nowi czterej i znów jeszcze i jeszcze, od pochylni. Wyglądało, — jakby kamienie, glina z piachem ożyły, oszalały i żywcem toczyć się jęły wdół. Ze śliskim gwizdem ku głównemu chodnikowi przewozowemu.

Piachy, kamienie, błoto, piaskowiec, glina, ił.

Co dalej — Tadeusz nie pamiętał. Brakowało tu kilku, czy też może kilkunastu chwil? Jakaś pustka, niczem nie wypełniona — i nagle straszny dygot alarmowy dzwonów, dzwonków, sygnałów wszelkich, drutów, rundajsów przy hasplach, windach, przy wszystkich kołowrotach, stacjach, pompach, poziomach, pochylniach, upadowych!!

Ryk ciemności wstrząsany twardym dygotem strachu.

Ludzie biegli w tym głosie, — jak cienie.

Jak znalazł się Tadeusz na głównym przewozowym, pośród tłumu rozbitków, osłabłych, wyjących, — zwichrzonych, mokrych śmieci ludzkich, chlupoczących piskliwym płaczem, — zaprawdę nie pamiętał. Pamiętał jedno w pierwszym porywie tych chwil: jakoby czarna piła, krata: Przerywał mu się przez mózg i łączył i przecinał całe ciało — plan chodników kopalni.

Czy biegli we właściwym kierunku, w stronę szybu? Czy wydążą?

Wiedział, — co mówiono na wiecach wśród górników o wadliwem opowietrzaniu kopalni. Szyb zjazdowy, zamiast tłoczyć, wyciąga powietrze, — na wypadek wybuchu, pożaru, ucieczki z robót, — gazy gnać będą za ludźmi i zawsze ich dogonią.

Ze słów strzępionych, przerywanych popłochem, zrozumiał tu Tadeusz, że gazy wiecznych ogni, dzięki przebitce odwróciły się nagle, — ludzie mieli stawiać tamy, nie doszli do przodka — i ogarnęły ich ognie, na ósmym chodniku.

Na ósmym chodniku trzeciego poziomu, — na wschód od pochylni A.

Aż tu znów od pochylni B, bliższej wyjazdowego szybu sypie się nowa gromada górników, cieśli i wszelakiej pomocy. Gmatwanina piekielna i to gdzie, — na rozjeździe!

Jedni wbili się pomiędzy wózki, stojące tutaj w długich rzędach, drudzy wpadli w bocznicę, po kolana do błota. Wmięsili się tu, wtarli, przemieszali...

Którzy wpadli w to błoto, wyszli obronną ręką. Tyle, że się napili i odrapali, czy potłukli na rozkręconych szynach.

Tamci zaś, którzy runęli pomiędzy wagoniki i tam się przycisnęli, — niech ręka boska broni! Gdzież głowy, a gdzie nogi, — kto wpadł do wózka, po tym lecieli, deptali inni przez brzuch, przez plecy, — jak przez gnój.

Na to znów ztyłu, z innych pól kopalnianych korytarzy i bocznic dopadły konie pod swymi woźnicami. Rozegnane, gorące, szalone w tym popłochu.

Konie wskoczyły z rozpędu na wózki — i tu się zaczął koniec świata! W ciemnej odnodze rozjazdu jeden mąt, jeden zgiełk i śmierć straszna, ta sama wszędzie od kopyt, gniotu, rozmachu i ciężaru.

Tu dopiero wysforował się Mieniewski: oba konie postrzelał. Jak ich dopadł, jak wskoczył szczęśliwie między uprzęże, łby, kopyta, że przytem życia własnego nie utracił?

Tymże samym browningiem tłukł zaraz ludzi po głowach, lufę pod nos podstawiał i krzyczał honorowo:

— Hańba, hańba, hańba wam, górnicy!!!

Górników, — trzeba mówić sprawiedliwie, — było tu już niewielu. Którzy zginęli przy stawianiu tamy, w przodku pozostali, tu zaś więcej pomocy, oraz przygotowawczych fachów trzeciej zmiany leciało.

— Hańba, hańba wam, górnicy!!! — wołał Mieniewski tak strasznie honorowo, że się w nich serca i umysły cokolwiek ujęły.

Tadeusz wołał, — wedle zeznań starego cieśli, co tam z innymi biegł i choć półślepy wszystko w te chwile widział, — niczem srogi anioł Gabrjel z raju.

Gdyby nie ów Mieniewski, czyli też Mieniuk, — jak zeznawali później na rozprawie wszyscy wyratowani, — byłaby żywa noga głównym szybem nie wyjechała na powierzchnię. Albowiem, — mimo wszystko, — zaraz z tego impetu zwalili się na sygnalistę, Dusia, który się zjawił tu na ochotnika po swej dniówce właściwej, — z nadszybia.

Dlaczego z nadszybia, gdy na podszybiu pełnił tu

przecie służbę inny sygnalista? Gdyż ów poprzedni sygnalista, — niosło się to wśród ludzi i zaraz wiedzieli, — uciekł stąd! Wydawał ludzi na powierzchnię solidnie, ale go kierownictwo zluzować nie umiało.

Należy się luzować co pięć minut na taką pracę odpowiedzialną przy wybuchu, — na podszybiu. Przy takiej wentylacji fałszywej?! Gdzie gazy ludzi gonią i prześcigają do szybu, — luzować co pięć minut!

Dyrekcja, jak dyrekcja: alarmu wporę nie zarządziła, — aby ludzi nie straszyć a nuż się jakoś uda przyklajstrować? Teraz nic pod ręką nie miała: ani górników na miejscu, ani pomocy, ani sanitarjuszów, a cóż dopiero mówić sygnalistów?!

Ów poprzedni wydawał ludzi, przybywać wreszcie poniekąd zaprzestali, — skąd miał wiedzieć, czy jeszcze jacy wrócą, — gdy markownia i oddawanie znaczków nie było wprowadzone przez dyrekcję przy zjeździe?!

Śmierci miał tutaj czekać? Odbił — i z tymi co jeszcze jakoś się przywlekli, — wyjechał.

Wtedy to zjechał z powierzchni Duś Jan, na ochotnika i słusznie, skoro się okazało, że teraz dopiero nadbiegają, co zostali na trzecim poziomie.

Ludzie z trzeciego, jak każdzi wiedzieli, co się święci: luzować — dyrekcja tak znów rączo sygnalisty bynajmniej nie zluzuje a taki jeden sygnalista niech zasłabnie, omdleje od tych gazów, czy padnie?!

Darli się między sobą spłakani, półprzytomni, aby tylko do krat szybu!

Jedni zdrowi, drudzy słabnący już, że nogami tylko

po ziemi turlają, a inni jeszcze poranieni, — cóż wiele mówić! Lejący się przez ręce, bez siły żadnej, — tyle tylko, że łachman.

Do tego jazgot, płacz i żale, rozpacz za serce chwytająca, a do tego stuk koni. Jedne tu pozostały przy żłobach, drugie zaś koniuchowie rozpuścili. Latały w ciemnię głównego chodnika i wybiegały znowu stamtąd spłoszone, ogłupiałe.

Sygnalista Duś wydał stąd wszystkich ludzi w trzech nawrotach. Utkało się to, pełne jęku, płaczu, zgrozy i skamłania w obydwu piętrach klaty.

Szyb działał sprawnie, rzutko, od maszyny wyciągowej aż tu.

Duś dostał, — odbił znaki — i znów winda zjechała, — czekać na nowych ludzi.

Nikogo.

Z pod wyrazistych liter na głównym przewozowym, — SZCZĘŚĆ BOŻE, — zionęła mętna pustka.

Konie z niej wypadały przerażone, z wilgotnemi błyszczącemi grzywami.

Za temi końmi, — w czarnej pustce zbliżająca się śmierć.

Tadeusz siedział na ławeczce przy szybie, zakrwawiony, rozbity.

W czeluściach kopalni łamało się, kłębiło okiem ludzkiem niezgłębione nieszczęście. Tąpania szły, szelesty, szumy, zlewy, gwałty powietrza i znów rzewliwe płacze wody i znów cisza.

W ciszy tej słychać było z głównego chodnika przewozowego głos prosty, miły, znany na tej kopalni

zawsze a teraz dziwnie straszny, — cykanie świerszczów w wielkich głębiach pokładu.

— Jedź teraz, — może to już ostatnia klatka?

Doszły Mieniewskiego te słowa, jakoby z za tysiąca gór...

— Jedź teraz, jedź, — dwutlenek węgla, — wiesz? Ostatnia klatka, — jedź już!

I znów cisza głosami świerszczów szeleszcząca.

— Nie jadę, — rzekł Tadeusz. — Jeżeli, — to wyjedziemy razem.

Przycichli wespół, znów przeleciały z głębin huki, gruchoty, łomotania i znów niedziela owa, polna, srebrna niedziela w drobiącym głosie świerszczów.

Duś oparł się o kraty. Oczy wlepił w omdlałe ciemności.

Stali w świetle elektrycznem wszystkich złocistych lampek wyraźnych, równych, trzeźwych, — o trzydzieści kroków dalej ciągnęła się już noc śmiertelna.

Duś, jako sygnalista, — rzeczy tutejszych nader dobrze świadomy, powtarzał szeptem:

— Nie zluzują mnie zaraz, — markownia znaczków wcale nie wydaje, — takie to drańcie, — dyrektory, urządzenia! — Niewiadomo, kto wrócił, — a którzy się zostali, — jedź pan, panie Mieniewski...

— Jedź ty. Bo cóż ty myślisz? Ty myślisz — że tu jest na kogoś może strach?!

Przyskoczyli do siebie, czy też razem przywlekli się, ściągnęli, nasunęli przed kraty. Spojrzeli sobie w oczy, — jak w zwierciadła.

— Ty myślisz, — uśmiechał się Tadeusz twarzą

piękną — ty myślisz, że to niby ja, ten taki żołnierz co tak ma stąd ustąpić?!

Napadli znów na siebie, rzucili się, choć obaj sił nie mieli. Była to raczej walka o prawdę, o doniosłość jakiegoś najszczerszego gestu.

Ileż trwała, — w czasie nieobliczona?

Upadli na podłogę windy, — woda spływała z kamiennych ścian szybu tkliwym miękkim płaczem. Wyżej, ponad zmaganiem się tych obu chłopców nad baldachem, nad stalowemi obchwytami windy wznosił się wgórę szum wolnej przestrzeni, — stąd, aż ku czystym gwiazdom na niedościgłem niebie.

— Ty przecież wiesz, tyś jest mój brat, — szarpał Tadeusz Dusia za ramiona — jedź ty! Jedź ty, — sam przecież wiesz...

Zapragnął rzucić Dusia na podłogę szybu, zasunąć szybko kraty i odbić sygnał.

Duś nie bronił się a objął przeciwnika ramionami.

Okazało się, że obaj płaczą, lecz nie łzami: potokiem światła. Potokiem zaszczytnej ludzkiej prawdy.

— Taka miłość bliźniego, — wydrwiwał wciąż Tadeusz, — taka miłość bliźniego!

Usta przy ustach, oddech z oddechem, to samo drżenie utrudzonych piersi, ta sama, jedna, czysta, żałosna wola. Głaskali się po twarzach rękami poratunku, łudzili się wzajemnie najlepszem męstwem!

— Tyś jest Mieniewski, syn posła, — szepnął Duś, — muszą się bać, wiesz sam, — krzycz tam na górze, — będzie prędzej, — na przodkach ludzie jeszcze zostali, — drużynę ratowniczą prędzej zsyłać, — przez filar opo-

rowy, chodnikiem powietrznym ogień dojdzie do szybu i cały Erazm z ogniem! Tyś jest Mieniewski — syn posła, — jedź, — nie jest przywilej wcale, — na przodkach ludzie zostali! Pamiętaj, siostra moja — Lenorka!... Pamiętaj, ta kobieta — która nie była ze mną nigdy, — Martyzelka!...

Ten oto Duś miedziany zawsze, kamienny, żelazny i stalowy: stopiło się w nim wszelkie żelazo i wszystkie najtwardsze metale! Z gardła wyleciał okrzyk, — tysiąc okrzyków w takiem jednem wołaniu, oblicze zaś, — oblicze świecącego miedziaka, — całe zgasło w miłości.

Zahuczał sygnał, klatka drgnęła, trzymali się za ręce, — opuściła się wdół, pomknęła wgórę.

Mieniewski widział jeszcze, Jak Duś, sygnalista Erazma, Duś Janek zsunął się wzdłuż krat na wyślizgane bono.

Ostatniego obrazu z wydarzeń na podszybiu to jest wyjazdu wgórę — Tadeusz nie pamiętał.

Zimno, — pierwszy blask, ciemno-lśniącej nocy świata i tłum i dojmujące zimno.

Nieśli go, czy też może tylko okrywali? Wtedy dopiero wyrwał się, krzyczeć począł w gęstym tłumie, spadł ze schodów nadszybia i znów wywlókł się wgórę.

Wrzeszczał: — Tam został człowiek sygnalista, — tam został człowiek, — sygnalista, — ja to mówię — Mieniewski, — syn posła!!!

Schwycili go ze wszystkich stron.

Ludzie w aparatach ratowniczych, niby nurkowie mijali właśnie obok.

— Warjat, warjat, — krzyknął starszy sztygar Stasiak. Machnął Tadeuszem pod światło w stronę korytarza, łączącego nadszybie z szklannym korytarzem sortowni.

Coś tam radzili, próbowali, — ileż trwało?

Zahuczał sygnał od maszyny, koła linowe przeplotły swoje cienie nad rozprażonem światłem wieży wyciągowej, szyb świsnął głośnym pędem, sklepiony baldach strząsnął już z siebie wodę, — śmignęło jedno piętro windy, — puste, — na drugiem zaś leżała przy szarej ludzkiej głowie kupeczka łachmanów: tułów, z którego zwieszały się ponad przepaścią szybu nadmiernie długie nogi.

Zmiażdżone, na sznureczkach bielizny trzymające się jeszcze, nogi sygnalisty Dusia.

3

CZARNE SKRZYDŁA

Los sprzyjał sztygarowi Stasiakowi: Gdy ludzie na nadszybiu zobaczyli przeciętego trupa sygnalisty, byliby... Czy można wiedzieć, co w takiej chwili przyjdzie ludziom do głowy, choć zwyczajnym tych spraw? Choć górnikom, choć otrzaskanym z takiemi przygodami!

Sztygar Stasiak miał jednak szczęście: wyjazd klaty szybowej ze zmiażdżonym Dusiem nastąpił w chwili, w której huknęła trąbka erazmowskiego auta. Sygnał ten znali wszyscy.

Światła wozu przeleciały oślepiającą jasnością po śniegach dookolnych.

Fakt wiadomy niezbicie, — nadjeżdża ktoś z dyrekcji!

Sypnęli się, od szybu w stronę wielkich lamp acetylenu. Droga dla aut mogła być tylko jedna, — główną bramą, przez zwały węgla mimo oświetlonego wyraźnie podnośnika, mimo szybu powietrznego, wzdłuż gmachu łaźni a stąd prosto na plac, do Zarządu.

Ludzie rwali naprzełaj, gdzie kto mógł jak najprę-

dzej, co w takich chwilach zupełnie nie uwłacza postawie klasy robotniczej: nienawiść klasowa pozostaje nienawiścią klasową, lecz gdy idzie o los, o całe może istnienie kopalni na długie, liczne miesiące, występują do gry inne atuty i kto ma wiedzieć, poczuwać się tu wszystkiego, jeśli nie ten, co rządzi?!

Lecieli ż wszystkich stron przez śniegi. Widzieli, jak osoba dyrekcji pochyliła się naprzód ku szoferowi.

Przepłoszyło Kostrynia nie to nawet, że od zwałów nadszybia i podnośnika pędzili za nim. Lecz, że zastępowali drogę.

Opadli go przy bramie, z pierwszego rzutu oka poznał, co są za jedni. Przestraszył się. Była to bowiem najlichsza stara biedota kopalniana, łazęgi i wypędki, włóczące się po urządzeniach, torach i gmachach kopalni.

Wyległo ich! Byli przy bramie, lecieli tuż za wozem, zastępowali drogę około podnośnika i przy szybie powietrznym. Szofer musiał wciąż trąbić, a tym sposobem sygnalizował mimowoli przyjazd dyrektorskiego auta, gdyż sygnał znali wszyscy.

Na jakichś pięćset kroków od Zarządu Erazma trzeba było bieg maszyny zwolnić, — ludzie nie ustępowali z drogi.

Szofer trąbił, jak opętany.

Kostryń pochylił się i zakazał tego idjotycznego trąbienia.

Wóz sunął naprzód wolno, ogarnięty biedotą kopalnianą i szumem jej żałosnym. Nie słychać było słów

tych ludzi, lecz raczej jęk, zrzadka przetykany wyraźniejszemi zdaniami.

Zdaniom tym, wszelakim wiadomościom podawanym w ciżbie Kostryń nie dowierzał. Niemniej, dosłyszane cyfry poranionych, zagazowanych, odniesionych do izby zbornej, tam znów umierających, sprawiły, — iż postawił futrzany kołnierz.

Kostryń stracił się tak zupełnie, iż nie mógł uporządkować myśli. Pamiętał doskonale słowa Coeura, — trzeci poziom na wschód od pochylni A, — na ósmym chodniku. Nie rozumiał jednak teraz tych określeń, nie wierzył im.

Wymienione przez Coeura miejsce trwało w rysunkach planu jak żywe:

U góry planu czarnemi literami, — ZROBY DAWNEJ RZĄDOWEJ KOPALNI ERAZM, — poniżej szyb wentylacyjny i zamułkowy, dalej poprzez krateczkę chodników, wszystko, co w danym wypadku ze względu na przebitkę, mogło tu wchodzić w grę: spadająca nadół kiszeczka chodnika powietrznego, nawskos od niego cały kompleks pochylni A, chodniki piąty, szósty, siódmy, ósmy, przecięte czarną punktacją, puszczoną wpoprzek rysunku, z napisem, — WYCHÓD POKŁADU NADREDEN.

Przy wylocie ósmego chodnika obok karminowego trapezu starych ogni, wgórę — przecinka wentylacyjna, zastawiona w okolicy szybu wywozowego kreseczkami głuchej tamy regulacyjnej. Zboku napisy: WYCHÓD II-GO POKŁADU NADREDEN I SZYB ERAZM.

Kostryń widział wyraźnie napisy, rozróżniał w myśli

wszystkie linje planu, natomiast sensu tych linij nie rozumiał. Plotły się wśród nich prześliczne melodje kwartetu Schumanna.

Wysiadł już przed gmachem Zarządu. Nie przed samym gmachem, — więcej na prawo: przed klombikiem ośnieżonym, nieco bliżej kotłowni.

Tu dopiero dopadł Kostrynia jęk ludzki, wstrętny, żałosny, wynikający z za tyłów gmachu:

Więc tyle tu już mają wypadków...

W drzwiach Zarządu, na schodach kamiennych, porządnie ze śniegu omiecionych, stał właśnie zawiadowca Erazma. Inżynier. Biały jak płótno.

Kostryń nie widział całej postaci inżyniera, choć przecież oczy miał doskonałe. Widział tylko tę twarz, zupełnie białą.

Po bokach Frydrych i Stanek. Bez czapek. Nie zjechali z drużyną ratowniczą, — doskonale!

Światło nad szyldem Zarządu oblewało golone przy skórze głowy obu woźnych, nadając im lśnienie metalowego połysku.

Droga od auta do Zarządu zdała się Kostryniowi tak daleką! Zakutał się szczelnie futrem. Cylinder pozostawił w samochodzie. Lepiej iść z odkrytą głową. Ale jak schować lakierki frakowe?

Śnieg nie był na szczęście udeptany wszędzie, Kostryń poszedł bokiem, brnąc dość głęboko. Znacznie powyżej kostek.

Widać, — że w takich chwilach dyrekcja też nie myśli o swej własnej wygodzie.

Idąc po schodach — było ich sześć, — zauwa-

żył, że patrzy na niego zewsząd rozległe blade audytorjum.

Ze wszystkich stron, od krępych cieniów kotłowni, z pod szarej pręgi olbrzymiego komina maszyny parowej, z za klombu, nawet z za węgłów gmachu, — zewsząd patrzyły te blade wydłużone okrągłe zera twarzy ludzkich.

Niestety, — nie udało się dyrektorowi przywitać spokojnie z zawiadowcą.

Kostryń zachwiał się na nogach, pochylił nadmiernie naprzód całą postacią. Jak małe dzieci, gdy z rozbiegu radośnie dopadają starszych.

Chciał jak najprędzej dostać się do środka budynku.

Zawiadowca powstrzymał na sobie ciężar dyrektora. Stanek i Frydrych, łysnąwszy kolistemi głowami poskoczyli naprzód, rozpędzać gapiów, tałałajstwo kopalniane a głównie owych bezrobotnych staruszków, których nawiało tu dziś niewiadomo skąd i pchali się bezczelnie aż ku schodkom.

— Postójmy chwilę, — szepnął śpiesznie zawiadowca.

Kostryń rozumiał: lepiej było postać.

Żadnej paniki, — spokój.

Zakutany w obszerne, czarne futro, słuchał raz jeszcze wszystkiego, co wiedział już od Coeura:

Zmiana trzecia zjechała normalnie, — ze względu na tłum zawiadowca pewne części raportu swego karcące, czy uspokajające wybijał głośniej.

Powietrze okazało się już zatrute. Częściowa panika ludzi z trzeciego poziomu. Dało się to jednak bardzo

dobrze i szybko opanować. Częściowo bez większych, bardziej nieszczęśliwych wypadków. Oczywiście, — zatrucia. Zmieniono sygnalistę, — zginął później, — nazwisko jeszcze nie ustalone, — mają niebawem ustalić. Zdaje się Duś Jan, sygnalista z nadszybia. Akcję ratunkową zorganizowano już. Celem zatrzymania ognia, oraz wydawania ludzi z pól. Pierwsza drużyna ratownicza —

O tem, iż zginęła na ósmym chodniku, lub na drodze powrotnej zagazowana została, — doniósł pan zawiadowca szeptem. Nie potrzebował wyszukiwać zbyt czułych odcieniów, gdyż obaj woźni, Stanek i Frydrych tak odpychali, tak odganiali ludzi, że wszczął się znaczny hałas.

Chorzy do izby zbornej, — jest przepełniona, — oczywiście aparaty ratownicze, pulmotor, inhalator. Felczerzy już na miejscu, posłano po doktora kopalni, a także i drugiego z huty Katarzyny. Wezwano do pomocy cały dozór kopalniany.

— Czy da się zlikwidować te ognie we własnym zakresie, zdecyduje pan dyrektor sam. Narazie innych kopalń o pomoc nie alarmowano.

— Druga drużyna ratownicza pod sztygarem Stasiakiem, — zawiadowca zmarszczył się złowrogo.

Nogi ugięły się pod Kostryniem.

— Druga drużyna ratownicza, — owszem, — niestety, — znaczne niedokładności w aparatach.

Zawiadowca dał do zrozumienia, że o tych niedokładnościach pomówi później.

Druga drużyna ratownicza zjechała już szybem po-

wietrznym, dwunastu ludzi, mają z sobą wszystko. Będą próbowali stawiać tamy na ósmym, ewentualnie przy początku chodnika ósmego i na siódmym. Nie można przecież pozwolić na zagazowanie całego pola na wschód i zachód od pochylni A. Teraz idą tam dymy, daleko w głąb aż do samego głównego chodnika przewozowego.

Groziło to utratą wielkiej części Erazma na kilka długich tygodni, — może nawet miesięcy?!

— Zjadę sam! — krzyknął Kostryń tak głośno, że słychać było na całym placu kopalnianym aż po wieżę wyciągową. — Zjadę sam, sam zobaczę!

Wiedział na pewno, że nie zjedzie! Główne kierownictwo kopalni, w myśl wiążących przepisów w wypadkach podobnych pozostaje na powierzchni i stąd kieruje akcją.

Wiedział, że nie zjedzie za żadne — żadne — żadne skarby świata.

Wykrzyknął tylko, aby zyskać na czasie i zjednać sobie ludzi. Niech gadają pomiędzy sobą, że zjeżdża sam dyrektor Kostryń.

— Panie Stanek, proszę ze mną! — Wskazał głową kierunek w stronę łaźni. Podał rękę zawiadowcy, powtarzając raz jeszcze, bardzo głośno: — Zobaczę sam na miejscu.

Wziął Stanka ze sobą, — jako eskortę. Nic nigdy niewiadomo z takim tłumem. W drzwiach łaźni krzyknął: Stanek, wracać natychmiast zpowrotem!

Gdy Stanek odszedł już kilkadziesiąt kroków, dyrektor Kostryń skoczył za szklanne drzwi. Nie było się

gdzie schować w korytarzu, by straszliwe wrażenia odczekać!

Od drugiej strony pluskającego wodą budynku podniósł się stuk i szelest. Wybiegł stamtąd pośpiesznie Supernak.

Dawno, dawno nie dostał stary portjer tak mocnej wciery!

Dlaczego łaźnia stoi otwarta, dlaczego nikt tu nie pilnuje?

— Wylecisz na cztery wiatry, głupie, leniwe bydlę! Kostryń krzyczał, aż echa łamały się po korytarzu, szarpał portjera, ciągnął boleśnie za uszy, kosmate małżowiny wykręcał, ściskał w palcach, — gdy nagle stała się rzecz, — zaiste nigdy chyba ściany te rzeczy takiej nie widziały!

Supernak wywinął się, odmachnął, warknąwszy krótko: — Niby co?!

Stanęli naprzeciw siebie, obaj — przerażeni...

W rozumie starego portjera Supernaka pewne było jedno: za wypadki wszelkie odpowiada wyłącznie Kostryń. Kostryń o niczem nie wie, skoro się tak szarpie i hałasi. Cała ta galimatja spada dyrektorowi na głowę całkiem niespodziewanie. Nie może jednak być, by o takiej galimatji nie wiedział nic dyrektor Coeur. By prawdziwy dyrektor, Coeur nie zamaczał w tym interesie palców...

Znali go przecież ludzie a ze świata słuchy też dochodziły, a sprawa z tym pogrzebem i z Kanią i te rozruchy takie, tak chytrze podegrzane?! — Więc może szykowano właśnie naprzeciw Kostryniowi?

— Poco bić! Bić starego portjera?! Nieszczęśliwego kalekę?! — Supernak otwarł drzwi do łazienki dyrektorskiej, wywalił z półek kopalnianą bieliznę Kostrynia, z szafy całe ubranie górnicze. Dolewając wody do wanny, płakał wciąż — bić starego portjera bez ręki, kalekę?!

Kostryń, skulony na zydelku, jęczał, bojąc się spojrzeć przed siebie. Przez dolne matowe szyby widać nie było nic, przez górne wyższe zobaczyć można było wszystko: tyły izby zbornej, szopę z przyrządami stacji ratunkowej, całe to miejsce, pełne dziś nieszczęśliwych ludzi.

Miał nadzieję, że Supernak zacznie mu zdejmować trzewiki, pomoże przy zmianie odzieży, jak zwykle. Miał zamiar spytać podczas zabiegów portjera, ilu tam odwieziono już i w jakim stanie?...

Supernak mieszał wodę w wannie termometrem, bezczelnie płakał, maleńką kroplę krwi z ucha rozmazywał sobie po całym policzku, lecz nie pomagał przy zmianie trzewików.

Kostryń zerwał się z zydla i zacisnąwszy pięście, poskoczył drobnym kroczkiem do portjera, krzycząc piskliwie: — Precz!!

Supernak uciekł.

Schować się — i odczekać, — gdzie?!

Nigdzie.

Odczekać dwie minuty w cieniu, w ciemności, w ciszy...

Nigdzie!

Mimo bulgotu wody we wszystkich rurach partero-

wego domu, słychać było przez szyby: — maszyna wyciągowa nie pracowała prawie.

Czyż główny szyb wywozowy był już zagazowany?!

Słowa te huśtały się w myślach Kostrynia, niby oślepiające, wielkie, luzem puszczone światła.

Aż tu donosi się stukot pulmotorów.

Ratowanie nieszczęśliwych ludzi.

Kochany felczer Śliwa.

Pulmotor Draegera napełnia płuco ludzkie tlenem cztery razy na minutę...

Kostryń jął zrywać z siebie białą krawatkę, kołnierzyk, frak, szarpał sztywny gors koszuli i wreszcie, — wskoczył do wanny. W gorącej wodzie skurczył się, zwinął: Nic nie widzieć, odczekać, schować się!!

Ileż razy symulował w ten sposób, — że już wraca, że był na dole, — już właśnie kąpie się i płócze z kurzu węglowego.

Dziś wskoczył w nadziei, — iż, — być może, — przegrzeje się, zaziębi, nie wytrzyma, dostanie bronchitu a może nawet silnego zapalenia płuc?!

Zamarł w wodzie, bez ruchu: przypomniały mu się niespodzianie słowa raportu zawiadowcy o drugiej drużynie ratowniczej, która zjechała pod kierunkiem sztygara Stasiaka.

Posuwają się chodnikiem powietrznym, idą w strumieniu czystego powietrza, — może skręcili w prawo już na pochylnię A? Lepiej byłoby pochylnią, potem w lewo, drugą przecinką i jeszcze raz w lewo, — minąwszy wschodni schodowy?! Już są może na ósmym chodniku?...

Jeżeli postawią tutaj tamę, uratują całe zachodnie pole trzeciego poziomu!...

Kostryń, 'chlusnąwszy wodą, skulił się w nogach wanny.

Trzeba ustalić, — myślał, — czy zginął górnik, który dokonał przebitki do starych ogni? Jeżeli zginął, — dobrze. Jeżeli żyje, — kto odpowiada — za błąd w planie?

Dyrektor Feliks Kostryń wyskoczył nagi na rogożę przy wannie. Podkradł się boso ku zamalowanym szybom okna, wspiął się na palcach, — musiał wreszcie zobaczyć!

Zobaczył — i natychmiast przycupnął do podłogi. Minęło kilka chwil, nim ośmielił się podnieść i znów patrzeć: przed izbą zborną na małych noszach górniczych, wszędzie wkoło, leżeli ludzie. Pozakrywani łachmanami, trzęsący się z mrozu i zatrucia.

Jakby z izby zbornej wypełzły na śnieg szare, obrzękłe glizdy, o nazbyt ciężkich, ludzkich głowach.

Felczer Śliwa stał w drzwiach otwartych i kijem wyganiał jeszcze innych, nowych. Wyganiał, cóż, — poprostu bił kijem, wyrzucał na śnieg, skrzecząc:

— Pozdychacie przy piecach głupcy, marsz na śnieg!

Drugi felczer, — Kostryń nie mógł sobie przypomnieć w tej chwili nazwiska, — pracował właśnie na śniegu pomiędzy izbą zborną a krzywą szopą drużyny ratowniczej, przy jakimś świeżo zniesionym, oczadziałym. Błyszczącemi szczypcami wyciągał mu język, wyciągnąwszy, zakładał na usta gumowy, gruby ryj, umocowany na wężowym przewodzie pulmotora.

I tu i tam i dalej, wszędzie pod ścianami skurczone ciała ludzkie, falujące grupkami mięśni, niby w strasznych płochliwych łaskotach rozedrgane.

Kostryń trząsł się, woda z niego ściekała, szczypał sobie brodawki owłosionych piersi, — nie mogąc krzyczeć.

Żarł rozgłośnie powietrze. Haustami, — aż mu szczęki dzwoniły. Żarł haustami powietrze i lepił co najprędzej myśl o własnym ratunku. Nietrudna, prosta, ludzka: ratować nieszczęśliwych tu, przed izbą zborną, — oddać się temu całkowicie.

W jednej osobie dyrektor — i samarytanin...

Niech radzi zawiadowca, inżynierzy, niech radzą wszyscy inni, — Kostryń samarytanin!

Nie śmiał myśleć, co przez ten czas stanie się z Erazmem? Niech się z Erazmem robi samo, — to już sam Bóg, kochany, dobry, — kompetentny... Ratować ludzi, biedne ciało człowieka i dostać przytem szczęśliwie jakiegoś zapalenia płuc!

Po placu zawinęło nowym jakimś porywem. Ludzie pędzili naprzeciw wielkich świateł samochodu, Kostryń oburącz pochwycił się za uszy, — to Coeur nadjeżdżał.

Latarnie uderzyły prosto w szyby łazienki. Od tej jasności Kostryń struchlał: powinien był być przecie teraz w lokalach Zarządu. On, Kostryń powinien stamtąd oddawna kierować całą akcją. Ludzie widzieli go już dość dawno. Coeur sam wysłał go tu?!

Nie ocierając się już nawet, mokry, rozprażony i pół przytomny jął odziewać się, — ściągać na sobie sznurki gatek górniczych.

Rozchełstany, w łachudrach kopalnianych, w hełmie górniczym nabakier, wyskoczył na korytarz.

W całym lokalu, wyraźnie oświetlonym, — nikogo. Supernaka nie było.

Wejściowe drzwi zamknięte, — Kostryń zapomniał kluczy. Zapomniał je przełożyć do fraka. Otworzył okno parterowych wychodków, wyskoczył i począł biec do Zarządu drogą okólną.

Byle tylko nie patrzeć wbok, nie patrzeć wtył, nie patrzeć w stronę szybu zjazdowego, który już stał nieczynny.

Kostryń biegł dookoła tyłami wielkiej suchej sortowni, terenem pociętym przez szyny, dalej zaś gęsto przeżyłowanym rurami. To tu, to tam kurzyły z pod ziemi puszyste kity pary.

Za płóczką przydarzyła mu się rzecz może najstraszniejsza tej nocy: wpadł do jakiegoś dołu i jakgdyby rozdeptał pęcherz, — nadęty ludzkim krzykiem!...

Wpadł na jakiegoś śpiącego tu człowieka, ów zaś zerwawszy się chwycił Kostrynia za gardło, wrzeszcząc:

— Odprawcie mnie już, odeślijcie do Miechowa!

Warjat, czy pijak?!

Szamotali się. Kostryń pluł mu w oczy, bił pięścią w nos, kopał w słabiznę.

Warjat nie bronił się. Niby automat, czy sobowtór straszliwy naśladował wiernie napastnika. Pluł w oczy, bił Kostrynia pięścią w nos, kopał w słabiznę.

Udało się nareszcie dyrektorowi wyrwać. Uciekał, — warjat za nim, za warjatem cały ów, tu obecny dziś wszędzie śmieć kopalniany, pył, jałowy przerost, odpadki,

starość śmierdząca, bezrobotni, — pędziło toto wszystko smugą nędznego poratunku.

Gdyby nie Stanek i Frydrych, nie dostałby się dyrektor Kostryń do biur swego Zarządu.

Stanek, Frydrych załatwiali takie sprawy jednem kopnięciem w brzuch.

— Odprawcie mnie, już odeślijcie do Miechowa! — ryczał bity po pysku przez obu woźnych opętaniec przed oknami, gdy Kostryń dopadał drugiej kancelarji Zarządu, gdzie stał tyłem do map, na środku, a jednak w cieniu niskiej zielonej lampy — Coeur.

W palcach prawej ręki trzymał spalone do połowy cygaro.

W smokingu, w czarnym krawacie. Na wypukłym, glansowanym gorsie ślizgało się zakosem światło placu kopalni.

Zapach cygara omal nie zwalił z nóg Kostrynia. Cygaro, połączone z twardą cierpką perfumą, — charakterystyczna woń Coeura.

Kostryń uczuł a raczej doznał tej woni, jak się doznaje zapachów podczas długiej gorączki, gdy powonienie jest tak czułe!

Zapach ten rozniósł przez myśli Kostrynia wizję niespodziewaną: wizję sali okręgowego sądu, mieszczącego się w dawnym pałacu możnej, sławnej tu rodziny kapitalistów Niemców. Sala piękną ozdobą drzewa wykładana, przez pół dzielona zręcznemi sztachetkami. Na głównej ścianie godło państwa, na suficie zaś, dotąd jeszcze niezamalowana, nimfa wodna.

Wspomnienie owej nimfy splątało wszystkie myśli

Kostrynia. Pobity, roztargany stał naprzeciw Coeura, nie mogąc zdobyć się na żadne słowo.

— Czy story są spuszczone? — spytał bezmyślnie Francuza i sam spojrzał w okna.

Story lokalów Zarządu były spuszczone. Donosił się jednak i przez nie tumult kopalnianego placu, bieganina, stuk ciężkich, kutych butów, głośny, nierówny oddech skłębionej ciżby.

Oddech ów zdał się Kostryniowi miłym, pięknym, przecudnym wobec twardego zgrzytu pulmotorów Draegera.

— Gdzież zawiadowca, wysłał go pan? Pana też niema na miejscu! Nikogo nie zastałem, — skrzeczał Coeur niskim, zachrypniętym głosem. — Sztygarzy wszystkiem kierują, czy jak? Wydałem w pańskiem imieniu polecenie, by jak najprędzej otwarto głuchą tamę regulacyjną!

Coeur przeszedł cicho ku stołowi planów i płaskim paznokciem wskazał na niebieskiej mapie miejsce: tamę która oddziela chodnik powietrzny od szybu.

— To tu. Inaczej zagazujemy całe pole zachodnie.

Kostryń zachwiał się, skręcił nagle, upadł przed Coeurem na kolana:

— Tam są ludzie!!!

Otwarcie głuchej tamy regulacyjnej, łączącej dany chodnik powietrzny z głównym szybem odprowadzało coprawda z pochylni A, oraz z innych pochylni produkty destylacji węgla, odciążało nawet główny chodnik przewozowy, ratowało być może Erazma od wielkich strat materjalnych: lecz zamknąć mogło drużynę

ratowniczą sztygara Stasiaka między chodnikiem powietrznym a innemi, bitemi ku starym ogniom. Ludzie Stasiaka mogli się znaleźć w jednym pierścieniu gazów, — bez żadnego wyjścia. O ile nie zdążyli jeszcze postawić tamy na chodniku ósmym — byli zgubieni. Otwarcie tamy głuchej wentylacyjnej mogło zagrozić ogniem głównemu szybowi Erazma.

Coeur wydał rozkaz poprostu machinalnie. Przeciętny szablon działań domagał się w pierwszej linji odgazowania, ratowania pól kopalnianych, na których prowadzono roboty. Czy są tam ludzie, jacy, gdzie, — nie pamiętał narazie tak drobnych szczegółów.

— Ludzie mają z sobą aparaty — odpowiedział, nie patrząc na Kostrynia.

— Cztery z tych aparatów okazały się niezdolne do żadnego użytku. — Kostryń złożył ręce jak do kornej modlitwy i jął piszczącym spłakanym głosem wyliczać wszystkie grzechy, braki w technicznem urządzeniu i przygotowaniu kopalni: aparaty, dzwonki sygnałowe, benzynówki na dole, starego wadliwego systemu, wadliwa wentylacja kopalni, najwadliwsza ze wszystkich, liny stalowe stare, zawsze, — zawsze niepewne!

— Teraz się pan o tem dowiaduje? Pierwszy dzień jesteś pan dyrektorem Erazma? — Coeur wzruszył ramionami.

— Tak, wiem, pokrywam to wszystko wiernie tyle lat. Dlatego, że pokrywam, — mogą inni rządzić, ciągnąć zyski. Ratujże mnie pan teraz, panie Coeur. — Kostryń zawył rozgłośnie i oburącz zatkał sobie usta.

Przecież ja tu, — rzęził cicho, — ja tu odpowiadam za wszystko!

— Cóż z tego? — Coeur machnął ręką niedbale. — Widocznie były jakieś błędy w planach.

— Nie było żadnych, sam podpisywałem — z pańską parafą przecież.

— Parafa moja nie ma żadnego oficjalnego znaczenia.

— Błędy są, — niema, — były, — wszystko jedno, — nie parafa, — Falkiewicz doskonały geometra!?

— Widzi pan, jaki doskonały!

Kostryń przyskoczył do Coeura. Blady, roztrzęsiony chwycił Francuza za ręce, za ramiona. Obejmował przez piersi, skubał w uda, zagiętemi palcami pukał pośpiesznie w biały gors, niczem w bramę zamkniętą. Łasił się, tulił, prosił.

— Ja odpowiadam za wszystko, — oczywiście! Za to mi płaci Towarzystwo, z tego żyję! Ale *słuchajcie!* — Kostryń szeptał te słowa po polsku, porażony nagle błogą pewnością, iż „wy“ społeczne przekona, zmiękczy francuza.

— Słuchajcie, tu nie o to chodzi! Trzeba poprostu, jak zawsze, — robiliśmy to przecie nieraz! Skoro już wiemy wszystko, trzeba wymyśleć, stworzyć jakąś dobrą historję. Ci, co zginęli dzisiaj, świadczyć już nie będą. Można śmiało wymyśleć coś takiego, — innego!... Razem we dwóch — tak łatwo!

Coeur usuwał się z objęć Kostrynia coraz niecierpliwiej. Przyjechał tu, ze względu na swych gości. Nie wypadało dalej prowadzić rautu. Zjawił się, — dla alibi.

Oraz, — by się utwierdzić w tej samej linji: poprzez analogiczne incydenty w Rumunji, Belgji, na Sumatrze, teraz tu, w tej Osadzie Górniczej.

Stanowczym ruchem ramion strząsnął z siebie Kostrynia, mówiąc mu prosto w oczy:

— Czy pan wciąż jeszcze nie rozumie, że po tem wszystkiem, co się tutaj stało, — pan nie istnieje już?!

Nie spodziewał się dyrektor Coeur takiego zakończenia sprawy: że marny, roztrzęsiony człeczyna, taki chudziutki Kostryń rozporządzać może taką siłą.

— Puść mnie pan, — dość już tego!

— Nigdy! — Kostryń wczepił się w Coeura. Oplótł się dookoła potężnej postaci dyrektora administracyjnego, przywarł do niej, — nie puszczał.

Odepchnięty od ramion, czepiał się nóg.

Gdy Coeurowi udało się wyzwolić nogi, Kostryń łapał za biodra i znów za ramiona.

Doszło do bójki na pięście.

Dla Coeura nader łatwej w pierwszych chwilach.

Kilku ciosami odsunął od siebie Kostrynia, — ruszył ku drzwiom.

Jak długo mogło to było trwać? Stracili wszelką rachubę czasu.

Coeur ruszył naprzód, lecz na drzwiach rozkrzyżował się Kostryń, ze słowami: — Nie puszczę!!! — Czerwone jego oczy świeciły purpurą.

— Bij pan, a ja nie puszczę!

Tak czekał dyrektor odpowiedzialny Erazma, Feliks Kostryń, wytrzymały na wszystkie ciosy, nieustępliwy, — wierny.

Coeur zmitygował się. Wdział futro, stanął naprzeciw, w cylindrze, z rękami wspartemi na biodrach, powtarzając cierpliwie:

— Pan nie istnieje już, — czy pan tego nie rozumie? Autochoton, dziki, głupi autochton!

— Autochton?... — powtarzał Kostryń z przekornym jękiem w piersiach.

Z placu kopalnianego wzbił się krzyk tak potężny, że Kostryń odskoczył od drzwi, a Coeura poniosło aż do okna.

Krzyk ów zdawał się być powietrzem samem, wirującem od ziemi aż do nieba.

Pod sześć okien parterowego Zarządu z pod długiej pręgi komina maszyny wyciągowej, od kotłowni, od strony łaźni, od nadszybia, od czarnych zwałów węgla i ogrodzeń Erazma, z płuczki suchej i mokrej, z podnośnika, ze wszech stron pędzili ludzie, grubą miazgą toczący się po wysmolonych śniegach.

— Szyb się pali, — wrzeszczeli, — pali się szyb Erazma!!!

W kancelarji Zarządu nie było słychać słów, jeno zgłuszony łomot, rozpęd masy ludzkiej i świst biegu przez śniegi.

Słuchy i wiadomości o wybuchu na Erazmie musiały były daleko już przeniknąć po za ogrodzenie kopalni, gdyż wśród biegnących do Zarządu znalazły się kobiety.

Poznać je można było zdaleka po roztrzepotanych chustach.

Od nadszybia przed Zarząd miała ta ciżba do przebiegnięcia dwieście pięćdziesiąt kroków najwyżej.

Coeur postanowił wyjść. Co prędzej! Korzystać z każdej chwili. Wiedział, że ani jednej nie ma obecnie do stracenia.

Rzucili się do drzwi we dwóch, dyrektor odpowiedzialny i dyrektor właściwy.

Drzwi były zamknięte, Kostryń zdążył zamknąć je uprzednio.

Coeur porwał przeciwnika za piersi, grzmotnął przed siebie, prosto, — drzwi ustąpiły.

Dyrektor Kostryń runął na korytarz.

Coeur wyminął go jednym długim skokiem, otworzył szklanne drzwi, stanął na terasie, spokojnie zszedł po kamiennych stopniach Zarządu. Wracał wydeptaną ścieżką do swego samochodu.

Już niedaleko, — kroków czterdzieści, — sześćdziesiąt najwyżej.

Stąd jednak właśnie wysunęła się naprzeciw dyrektora Coeura owa mgła, puchy, nicość i starość kopalniana, nędzny zakalec ludzki — w postaci bezrobotnych, zredukowanych, starych niedołęgów.

Trudno rzec, iż mu drogę zabiegli. Nic podobnego!

Rozprzędli się, rozścielili nad śniegiem, niby jakowaś pajęczyna brudna, gęsta, omszała, rozsnuli się i tak go w szarym odmęcie żałosnych swych postaci zpowrotem na klomb przed Zarząd odrzucili.

Zderzyły się tu obie fale, tych, co pędzili od szybu, i tych oto starych niedołęgów. Gdy okazało się, że mają francuza pośród siebie, wybuchli nowym rozpaczliwym gwałtem:

— Szyb się pali, główny szyb wywozowy!!!

Rozstrzygało to o obrotach i losach kopalni na przeciąg wielu dni, może nawet tygodni, — może nawet miesięcy?!

Rozpacz rwała się w okrzykach ludzkich, tak żywa, wielka, iż jakby do bezmiernej miłości podobna.

Coeur nie ugiął się. Odsunął ręką jednego, drugiego zamulacza, woziwodę, czy cieślę. Wiśniowe źrenice dyrektora utwierdzone tak sztywno w niebieskich, połyskliwych białkach, umiały nawet w tej okropnej chwili wybierać ludzi słabych i najsłabszych.

Kroczył naprzód spokojnie, może nawet z uśmiechem, tak właśnie, jakby myślał o czemś innem. Odsunął zamulacza, woźnicę, dwie stare, pochylone baby i już robiła się tu przed nim wolna przestrzeń, żłobiła się przestronna ścieżka właściwego szacunku, gdy na ścieżkę tę wystąpił z tłumu jęczący tobół szmat zgarbionych i łatanych.

Palacz Szymczyk!

Szedł z głową pochyloną naprzód, nie patrzący przed siebie, zjeżony, ciemny, pstre łaty kubraka marszczyły mu się na grzbiecie w czarne pręgi.

Szedł, mruczał i powtarzał: — My ludzie biedni. — Huczało mu w rozdętych płucach od tych słów!

Ręce szmatami owinięte trzymał przy ustach, jakoby sobie szare palce agrestowe nagrzewał oddechem.

Coeur cofnął się o parę kroków, dla nabrania rozpędu. Znów ruszył naprzód, z ręką już wyciągniętą, by odsunąć starego na bok.

Tuż przy zakręcie ośnieżonego klombu, przy malutkich sztachetkach żelaznych spojrzeli sobie w oczy.

— My ludzie biedni, — rzęził jeszcze stary palacz Szymczyk, gdy oto sprawna ręka Coeura upadła mu na ramię.

Wtedy to stało się, czegoby nikt nigdy nie mógł żadną miarą przewidzieć:

Taki zbłocony śmieć, taki wiecheć bezpański, jak Szymczyk!

Odsunął się, na rozdeptanych buciskach swych uskoczył wbok i runął, raczej potoczył się naprzód z jednem, niebardzo nawet głośnem zawołaniem, które jednak w tym rozgardjaszu wszyscy zaraz słyszeli:

— Do szybu z nim!!!

Palacz Szymczyk wyskoczył na ścieżkę, dostał po uchu od Coeura, raz, drugi — cóż mogło znaczyć silnemu człowiekowi powalenie niemrawego starowiny?!

Mniej, niż nic.

Dostał po uchu, po głowie raz i drugi, lecz dalej pchał się naprzód. Tak się pchał, nastawiał, cisnął aż się w tym tłumie widzów krzyczących dopchał znowu do samego dyrektora!

Nie uderzył. Nie dosięgnął, — nie trafił? Motało się to, wywijało, kręciło dziwnie, aż z rzutu jedynego rękę swoją szmatami owiniętą, jakoby pakuł związany, — wraził dyrektorowi Coeurowi do gęby.

Wraził, — wrzasnął straszliwie i począł machać oną ręką ugryzioną, z której bluzgała krew.

Krew z końca odgryzionych palców.

Ludzie wszyscy skoczyli.

Byliby koło owego klombu pokończyli już z Coeurem, gdyż sprawki jego znali ze słychu, z doświad-

czenia, ze świata — więc, jak wybuch, — kto ma być winien?!

Byliby go tam na miejscu rozdarli, lecz właśnie w tym momencie znalazło się blisko postaci Coeura coś takiego strasznego, że niczem wściekły pies...

Rzuciło się to, — tłuc łbem, bóść, rozbijać dokoła poczęło, oszalałe, kwiczące, siwe, straszne, — Supernak!

Niedarmo mu kapitał wszystkie kości gruchotał czterdzieści lat. I ręce poobcinał i z nóg kikuty sprawił!

Zastawiał się Supernak, piersią własną Francuza zasłaniał i pianę z pyska toczył w obronie, — lecz za późno.

Wszyscy czuli w swych piersiach, kościach, w oddechu, w oczach, — bezrobotni, robotni, zamułka, wierzch i dół, którzy tu jako tako przy zdrowiu pozostali, jak jeden mąż wołali w beznadziei ostatniej, gdy ta kopalnia, jeżeli zła, lecz matka żywicielka z pod nóg się już usuwa:

— Do szybu z nim, — do szybu!

Oblepli go, łotrowskiego swego dyrektora, chwycili, przymusili, dobrze że tu zawczasu na śniegu, żywcem ze skóry nie odarli.

Szyb huczał ku nim coraz groźniej. Z trzystumetrowej głębi wylatał słup przeciągu, pary, gazu, zionął i dunął rykiem prosto w rozwartą noc.

Widać już ogień leciał kierownikami dębowemi pod górę. Przeleciał tu po budowie, przez wszelkie drzewo dołu, po kapach, stemplach, chodnikach, otwartą tamą rezerwową dostał się na podszybie, stąd zapasowem wyjściem przez kierowniki i drewniane drabiny urósł słupem strasznego rozgłosu.

Słyszeli pożar ów, lecz nie widzieli.

Nie było do widzenia nic, prócz, że raz po raz, pod zgasłą lampą kół linowych pomiędzy stalowemi belkami wieży wyciągowej, wysoko, tuż pod niebem, niby w stalowej klatce duch jakiś uwięziony, złowrogi, pokazywał się strzęp ogromniasty, złoto-sino-niebieski i znów gasł.

Przepadał, znów wykwitał, a gdy znikł wiewiały po nim długo ciężkim rozmachem czarne skrzydła dymu.

Ku źródłu tych płomieni strzępionych, wzniesionych aż nad wieżę, ku tej mocy z pod trzystu metrów podziemia buchającej zawlekli Coeura i z trzaskiem w czeluść straszliwą wrzucili.

4

NOWY KAPITAŁ

Kostryń stał w szklanych drzwiach Erazma, patrzył na wleczonego po śniegu Coeura i własnym oczom nie wierzył: zamykał je, otwierał na sekundę, zamykał:

Trudno było odróżnić poszczególne głosy: jakoby zgiełk kilkunastu ognisk, syconych mroźnym wichrem. W zgiełku tym ciężka, drgająca postać Coeura, w czarnem futrze wleczona przez śniegi, posuwała się ku płonącemu szybowi, niby lalka olbrzymia, — śmieszna!

Ręce i nogi prężące się w obronie, twarz okrwawiona, ciemna, rozbita na miazgę, gors frakowej koszuli, lakiery połyskliwe!

Kostryń śmiał się...

Piał przyśpieszonym oddechem, zanosił się, jak małe dzieci w przystępach kokluszu.

Im bliżej szybu znajdował się cały ów tobół ludzki, wiejący łachmanami, tem trudniej było dyrektorowi Kostryniowi złapać oddech.

Przed samemi wrotami nadszybia — ugrzęźli. Lecz parli, pchali się dalej, jakby mieli przeniknąć naprzód,

przez martwą ścianę. Uczynił się tam w cieniu wieży olbrzymi guz, pakuł potężny, z którego nikt już nie mógł się wyplątać.

Biedota kopalniana usiłowała pakuł ów wepchać do wieży szybowej: nie dawał się, spadał z progu, toczył się wtył, zawracał i znów rozpędzał się ku drzwiom.

Głos spłoszonego chichotu oberwał się w Kostryniu: stało się pewnem, że to śmierć broni się tam i drga na rozdeptanym śniegu.

Kostryń łapał ustami powietrze, czując nieodwołalnie, że wraz z tą śmiercią rzucony może być do szybu, w trzystumetrową rozpłomienioną przepaść los rodziny Kostryniów, posada, miejsce, dolary w starem pudełku po pudrze, los Zuzy, Stanisławy, — wszystko!

Ratować!

Pomoc była możliwa jeszcze. Tuż obok szklanych drzwi stali spokojnie obaj dyżurni woźni. Stanek, Frydrych.

Chłopy, jak dęby, — siłacze pierwszorzędni.

Kostryń chwycił ich ręce, począł głaskać wielkie zimne pięście, chwytał ich za ramiona, pieszczotliwie pociągał za kurty.

— Ratujcie pana dyrektora! — piszczał.

Wzruszali ramionami, sapiąc leniwie.

Frydrych wyciągnął się, aż mu kości w stawach zatrzeszczały i rzekł: — Zapóźno.

Było zapóźno: Nad kratami szybu śmignęła hebanowa głowa Coeura, rozkrzyżowały się w powietrzu czarne rękawy smokinga, — tłum odskoczył od krat szybowych z przerażeniem.

Byliby zaraz stąd uciekali, dalej lecieli i łamali i wywracali na swej drodze wszystko, gdyby nie głos, ryczący niespodzianie, — głos Falkiewicza.

Nikt nie pamiętał jak i kiedy, znalazł się tu Falkiewicz.

Markszejder!

Nikt nie mógł przypuszczać, że ów stary, tłustością zapłynięty człowiek rozporządza jeszcze tak potężnym głosem.

Falkiewicz pędził od strony Zarządu ku wieży wyciągowej, toczył się na swych krótkich nóżkach i ryczał, — jak zarzynana świnia.

Nikt jeszcze na kopalni Erazma nie widział Falkiewicza w takim stanie. Geometra rozpostarł ramiona i starając się zatrzymać ludzi, wrzeszczał wciąż jedno:

— To ja! To ja! To ja!!

Tyle tylko usłyszeć można było wyraźnie.

Lał mu się z ust nieskładny bełkot, mlamlanie nieprzytomne, oślinione i wstrętne.

Mlamlał tak, czego zrozumieć nie mogli, jedno przez drugie i piąte przez dziesiąte, — znów o ósmym chodniku, wiecznych ogniach, — dwóch czy trzech jakichś milimetrach, — podpisach, planach?!

Ostatnia para z niego wychodziła, — straszliwym świńskim rykiem:

— To ja! To ja! To ja!!!

Gdy ludzie zatrzymali się przed nim, upadł na kolana, tu, na śniegach, niby w jakimś kościele i bijąc się po pysku, po głowie, ryczał znów, — że to on, wszystko on, — na zakończenie, — po czterdziestu latach pracy...

Śmiali się, uciekali dalej, do ważniejszych interesów tej nocy, niż jakieś tam wyznania zbłąkanego inteligenta. On zaś czołgał się za nimi po śniegu. Lapał za portki, ba, — rozdzierał nawet, — gdyż ludzie tu nie mieli mocnego przyodziewku. Łapał baby za spódnice, chwytał za nogi, ręce i wrzeszczał, opowiadał dyszący, iż to on sam te plany tak wykierował.

Śmiali się, jak z warjata, na łeb mu pluli, — gdyż takie przedstawienie i brewerje dawać w podobnej chwili!?!

Byłoby się skończyło z Falkiewiczem tej nocy strasznej niewiadomo może nawet jak, gdyby nie władza.

Dyrektor Kostryń wsłuchał się w słowa Falkiewicza, zbladł, mrozem przywarł do kamieni przedsionka i drgnąć nie śmiał.

— Po sto złotych wam daję, — warknął do swych woźnych, — sprzątnijcie mi natychmiast z placu tego warjata.

Za takie głupstwo, w tym czasie tak trudnego kryzysu — po sto złotych!

Stanek, Frydrych skoczyli naprzód i bić poczęli w tłustą, zapłakaną kufę starego pracownika kopalnianej inteligencji zawodowej, aż gwizdało!

Byliby go chyba na murowanych kilka miesięcy leżenia w łóżku urządzili, gdyby nie pan Kapuścik.

Czas już był najistotniejszy na państwowe czynniki, chociażby nawet tylko policyjne. Działo się dotąd na Erazmie, jak samo tylko chciało, — ani umrzyków od zaczadziałych i zagazowanych odróżnić, ani jakiegoś

ustalenia faktów, nie mówiąc wcale o ratunku kopalni, który był prowadzony, — jak się to mówi, — na „ałum pas“!

Przybywały nareszcie władze, z łóżek powstałe, od snu obrzękłe, z oczami zaspanemi.

Pierwszy znalazł się na placu Kapuścik. Przyznać mu trzeba, — odrazu we wszystkich swoich srebrach i porządkach.

Najwyższy czas!

Kapuścik dopiero wyratował i z rąk woźnych wydobył Falkiewicza, bądź co bądź prawie starca, chociaż w smokingu i usztywnionej koszuli.

Bez wszelkiej przydługiej filozofji określił pan Kapuścik położenie geometry jednem słowem:

— Jesteś pan w sztok pijany, rozumiesz pan?

Falkiewicz dalej swoje i wspina się do piersi policji i znów powtarza, wyjąc przytem bezwstydnie:

— Nawet tej strasznej prawdy do wiadomości swojej ode mnie nie przyjęli!!!

Wspina się tak, bełkoce, leje łzy.

Pan Kapuścik miał chyba ważniejsze zadania, niż z panem markszejderem? Rypnął go pięścią w piersi, że pomylony geometra stoczył się wbok, do rowu.

Zadania Kapuścika, — jak oceniali to nawet po wypadkach bezstronnie wszyscy, — były rzeczywiście nielada i przerastały siły policyne jednej Osady Górniczej.

Wydzielić kogoś do pilnowania placu przed izbą zborną i wszędzie tam, wokoło, gdzie ludzie trzęśli się wśród śniegu na noszach, niby galareta, — po tak do-

sadnem zatruciu. Niebardzo było wiadomo, mimo pracy felczerów a nawet już doktorów, kto wraca tu do życia, a kto się z niem rozstaje.

Obstawić plac, obstawić szyb, — przyjechali do tego strażacy. Cała straż ogniowa, — dwie stare sikawki, kilka drabin i tyle tylko, że ludzie jako tako przyuczeni. Jak im przykazać gdzie, — to stoją.

Wyłonić czujne straże, — a na to nic już teraz dozór kopalniany chociaż alarmowany, nie mógłby poradzić, — wokół całego Erazma.

Nie chodzi tu o pilnowanie węgla na zwałach! Wielka to komu strata tych parę korcy, gdy z ogniem idzie główny szyb wywozowy tak potężnej kopalni?!

Niech kradną!

Powyłazili jednak wszędzie na płoty i parkany wszyscy, którzy o nieszczęściu już wiedzieli, — a zwiedziało się, naturalnie, całe miasto.

Naród wisiał na płotach, przeginał się, uciskał, straszne tumulty wyprawiał, zwłaszcza gdy się rozniosło, że owe stare zroby, gdzie wypadła nieszczęsna przebitka do ognia, — ciągną się właśnie aż pod kościół, za robotnicze pieniądze ze składek wieloletnich zbudowany, a który teraz na znak kary Bożej, oraz z tejże ogniowej przyczyny, to jest fizycznej, — wyleci może w powietrze?

Takie brednie!

Najpierwej winien był działać pan Kapuścik w promieniu swojej obecności. O! Gdzie zwrócił się, spojrzał, gdzie popatrzył, — zakłady, gmachy, budy, szopy i tory kolejowe, żeberka i kolejki i budki pomoc-

nicze wszelakie, — wszędzie tu jakby szarzyzną porosło!

Stara biedota kopalniana i rozbitki buszowali i nypało to bractwo, myszkowało, — coniemiara. Wpadli nawet do lokalu Zarządu, wielką rozgłośną trąbą śmiecia, kurzu i miału i zgryzu.

Policja musi tu działać, w tejże samej minucie, — albo „szabasz“ — i jedno nieprzejrzane zamieszanie.

Pan Kapuścik ruszył się przedewszystkiem w tamtą stronę, z okrzykiem, jaki tylko on umiał wydać w podobnej chwili:

— Precz stamtąd, — wszyscy precz!!!

Okrzyk ten w ustach pana Kapuścika, poparty, karabinami, niewiele różnił się od wystrzału.

Oczyściwszy takim sposobem Zarząd, zeszpecony wywalonemi bezwstydnie drzwiami, posunął pan Kapuścik swych ludzi w stronę placu izby zbornej. Tu znów ich wstrzymał rozumnie na samych brzegach placu, — miejsca niedoli ludzkiej.

Powiedzieć można bez przesady, — miejsca dantejskiego, gdyż była to niedola krew w żyłach ścinająca.

Choć władza, jako i sprawiedliwość, wszędzie ślepo występuje, — musiał tu pan Kapuścik odczekać, aż się żywi z umarłymi poodnajdują wreszcie.

Zapalił papierosa i w drugiej kancelarji Zarządu nawiązał jakie takie porozumienie z dyrektorem Kostryniem.

Nie mogli sklecić tego porozumienia.

Czy dlatego, że w górniczych łachudrach, bez koł-

nierzyka, pobity, obszarpany, dyrektor nie wyglądał już na dyrektora? Czy dlatego, że Kapuścik urzędowo, w białych rękawiczkach, we wszystkiem srebrze, przy szabli, przy browningu, nie mógł odnaleźć zwykłej swobody słowa?

Czy dlatego, że w czarnych skrzydłach z szybu powiewających unosiła się zbrodnia nader jawna i wielka?

Po pierwszem zapytaniu Kapuścika, złożonem tylko z dwóch liter, które brzmiało, — „no?“, — dyrektor Kostryń zmieszał się, uciekł za szafę, zakrył się wiszącym tam ręcznikiem i jął płakać.

— Coeur nie żyje, — powtarzał odpowiedzialny dyrektor, Feliks Kostryń, — nie żyje nasz dyrektor Coeur.

— No tak, — siepnął się co żywo Kapuścik, — aresztowałem już prowodyrów.

Kostryń płakał we framudze, z głową przykrytą brudnym, kopalnianym ręcznikiem.

Słychać było wyraźnie ten płacz, zgiełk tłumu gonionego przez policję, dzwonienie sznurów oficerskich Kapuścika i coś najstraszniejszego tej nocy, czego, kto w życiu swojem nie słyszał, — nie wie, jak rozpacz ludzka beczy: jakoby rzewne cierpienie samego powietrza!

Z takim właśnie rozgłosem żałosnym, mdłym, pochylały się kobiety, żony, córki, wszelakie stare matki górników, aby rozpoznać synów swoich, braci, mężów i żywicieli.

Inne znów krewne tych, którzy nie okazali się na tem miejscu, szukały ostrożnie rękoma pośród zgubio-

nych rzeczy, aby, jeżeli coś zostało, naprzykład czapka, poznać stratę żałosną, chociażby po tej czapce.

Światła wszędzie niewiele: z otwartej izby zbornej białe, mleczne, a tylko z ostatniego okna czerwona lampka od stóp świętej figury krwawą czerwienią przez twarze łyskająca.

Przesuwały się kobiety, jak cienie w smutnych szmatach opowite, nieśmiałe, ciągnące się potulnie za felczerem Śliwą, i za drugim felczerem, za doktorem, który brał ręce górników do swych rąk, naciskał, mierzył pulsy i puszczał, jak łodygi odcięte i odchodził.

Pośród tych kobiet ostatnia snuła się Martyzelka z Lenorą Duś, we dwie.

Obudziło dziś Martyzelkę, — nie żaden człowiek z trzeciej zmiany, czy też z drugiej, już jako tako obznajomiony z tem, co się przydarzyło na ósmym chodniku. Jakie tam ognie dostali i co.

Ludzi tych kopalnia nie chciała wypuścić, zatrzymywała, aby ukryć wiadomość o wypadkach. Lecz oni sami wymknęli się do swoich, dotarli i tak straszliwych nowin rodzinom udzielili.

Nie żaden człowiek, ani żadna wiadomość zbudziły dziś Martyzelową, ani, że mąż tak długo nie przybywał, — cóż miała z męża?! Zbudziły Martyzelkę jej własne słowa, z któremi zerwała się z pościeli, wołając do swych śpiących dzieci: — Dzieci, gdzież ojciec nasz?!...

Słowa te niosła w sobie aż tu.

Na drodze przy cynkowni zdybał ją i przewąchał zaraz Buruś, za Burusiem pędziła Lenora, taka

tu teraz głośna w tej nocy na ulicy Błotnej, zdyszana i zgoniona.

Postanowiły razem dłużej na Szymczykową nie czekać, — no, bo i gdzież?!

Leciały dalej, prosto ulicą Błotną, minąwszy stawy ciemne, zmętniałe, minąwszy lasek żałosny.

Z ulic, wszędzie od płotów, ode drzwi, za szybkami przerośniętemi gałązką pelargonji, od drobnych dzieci skrzeczących pośród mroku naftowej lampki, wyrywały się tak samo wszelkie matki, żony, siostry, córki, — tu, na Zielonem, wpobliżu cynkowni, mimo kościoła.

Można powiedzieć trafnie, iż uliczkami temi gnała jedna, jedyna, wspólna, bolesna troska — rozwianą szmatą.

Gdy dopadły Erazma, jego płotów i bramy wjazdowej i wejść pobocznych, mniejszych, stali tu już portjerzy i inni ludzie twardzi, z dozoru kopalni i różne zaufańsze psy ludzkie kapitału, zawsze wtajemniczone, a potem znów policja granatowa, przy pasach, w karabinkach.

Cóż tutaj takie psy i broń i karabinki i dozór, pięści i ciągnienie za włosy i, że stróż uderzy cię w piersi, nie wpuści, nie pozwoli?!

Cóż tutaj przy wydarzeniu takiej groźnej boleści stanowić może siła?

Nic.

Pomógł im poseł Drążek, z Kozą. Pomógł swym wzrostem, postawą, sumieniem mocno grzmiącem i jeszcze raz w tem życiu osadnickiem, — potęgą swego głosu.

Jak huknął, jak zawinął: — Wy psie krwie, niedość, że ludzi mordujecie, jeszcze matek i żon do rannych nie puszczacie?!

Nastawił się na miejscu, dzikim Rejtanem, strasznym!

Policja zmiękła, gęby pootwierawszy.

Kobiety wpadły przez bramę, inne lazły płotami, Buruś sam wiedział zawczasu już, gdzie, co.

Sam, pierwszy biegł do izby zbornej w widocznem zmartwieniu.

Szukała tu Martyzelowa męża, szła tu, jak cień, przejęta żalem niewysłowionym: nie o śmierć, — jeżeli będzie śmierć; i wcale nie o życie, czy też rany, — jeżeli będą rany. Przejęta żalem niewysłowionym o to, iż sama wszystko naprzód w umyśle swym przeczuła, — może postanowiła?!...

Zerwała się w godzinie straszliwego wypadku, — *dzieci, gdzież ojciec nasz?* — jakoby tajną, własną wolą sama męża swego zasądziła?

Nie było go tu nigdzie pośród ludzi rozłożonych, zębami szczękających, wpatrzonych takiem spojrzeniem w nocny świat, jakby go po raz pierwszy w swem życiu oglądali.

Ani tu, ani nigdzie, a ci, co byli żywi, leżeli i nic już więcej nie pamiętali.

Ale Buruś! Oderwał się od kobiet, zakręcił i powrócił śpiesznie, łapkami wskoczył ku biodrom Lenory.

On to właśnie, ten piesek górniczy, sprowadził bratu siostrę.

Poprowadził Lenorkę za tyły izby zbornej, — gdzie umieszczone były wszystkie nazbierane trupy.

Lenora?!

Bywa tak właśnie w życiu: ostatnie pomylenie i gdzież stąd i jak dalej? Ramiona swe rozwarła, niby-to z powitaniem, potem zaś twarz zakryła i postrzelona, prędka w dziwnym omocie słów, oddechów, westchnień, — jęła podchodzić z bolesnym płaczem.

Widok ją czekał tu za ścianami izby zbornej!

Na narach leżał Duś Jan, brat ukochany, dzielny, — lecz może to nie on, gdyż raglanem nakryty, raglanem Mieniewskiego?!...

Czy też może to Tadek leżał pod murem, jej Tadek ukochany nad życie, a zaś brat siedział przy nim, dziwnie tylko do Tadka podobny?!

Który jest z dwóch, poznała w krótkiej sekundzie, — w ramionach swego chłopca żywych i nieprzytomnych: że to jej Tadek stróżuje, a tamten leży cicho i na wieki.

— Toś ty mu dał ten raglan swój, — szeptała, przysiadając tuż obok i gładząc jedynego brata poprzez rękaw piękny i włochaty.

Wszystko miał ów brat, Duś Jan, za swoje w swojem życiu.

Patrzył przed siebie w niebo czarne tej nocy twarzą prostą, surową, nieruchomem, miedzianem obliczem pieniądza ludzi biednych.

— Toś ty mu dał ten raglan swój, — szeptała Lenora, spłoszona, blada, z czołem wysoko lśniącem nad ciemnemi oczami.

Jakże mężnie walczyła, by nie spływały łzy?!

Tadeusz objął, okrył ją swą kapotą górniczą, tulił i głaskał, nieludzko przerażony: była podobna do brata w owym właśnie spokoju śmiertelnym, w nieruchomości rysów tak ogromnie pokrewna, iż żalem nagłym szarpnięty, przeczuciem tego, jakby wieszczego podobieństwa, — ściągnął ją ku sobie, rękoma porywczemi schwycił.

Ona zaś, ta Lenorka tak dzielna, — rozpłynęła się w takiem objęciu od swych ogromnych łez.

— Ty nie myśl, — wicher miotał Tadeuszem i mróz i jakby skrzydło zemsty tłukło mu się przez piersi, — że ja to tak zostawię! Cóż mi śmierć?! Patrzyłem na nią! Na śmierć oddawna gwiżdżę. Ale tu, — bohaterstwo!

Opowiadał nieskładnie, jak trwali na podszybiu, drożyli się i żaden o własnem ocaleniu nie myślał a — szło tylko o ludzi! Śmierć nie jest niczem, ale gdy wchodzi w taką grę bohaterstwo!

Co chciał powiedzieć temi słowy, — nie pamiętał. Nie wiedział, — mimo łez, które tu z nią przelewał, z tą dziewczyną najtkliwszą. Czuł tylko, iż ogarniają go ognie straszliwe, wieczyste ognie srogiej sprawiedliwości, od których tracił dech!!

Czy też to tylko miłość?...

Objęci i stuleni z sobą, wnikali poprzez słowa oderwane w uczucia, — jakoby kamień w kamień, kruszec w kruszec, — ta sama woda z dalekich stron przeciwnych.

Tadeusz wydobywał te określenia, okrzyki, jęki

twardem, dzikiem ramieniem, Lenora znów myliła żałością niepomierną.

Dziwne, nader bolesne w tej osobliwej chwili, iż co Tadek wydobył, wykazał, — rozpływało się w smutku dziewczyny, w łzach najobfitszych, płynących z pod jej powiek leciutko, jak z pod kamyków szarych, — bez zatrzymania i żadnego końca.

Usunęli się razem z innymi, którzy tu dotąd kryjomo płakali, — wystraszył wszystkich Kostryń, jawiący się na czele pachołków szpitalnianych.

W białych kitlach, jak smutna służba sanitarna przy różnych epidemjach, czy też tyfusach plamistych, weszli pomiędzy trupy i rozłożyli ręce bezsilnie, — gdzież składać tylu umrzyków?!

Żadna kostnica miejska nie jest na to obliczona i nie pomieści tylu trupów! Nie można ich zostawić na kopalni?! Szpitale ich nie zmieszczą!

Kostryń zbliżył się na palcach i popłakując czerwonym ciurkiem, spytał:

— Więc, gdzie ich pomieścimy? — wlepił w sługę spojrzenie pełne „samarytaństwa“.

Starszy z obsługi wzruszył pokątnie ramionami, gdy rozległy się wszystkie buczki, wszystkie syreny wszystkich kopalń Osady Górniczej.

Erazm alarmował już jawnie i oficjalnie o pomoc i ratunek.

Straszno to było słuchać: z oddali huczał szyb. Potworną trzystametrową gardzielą zionął, a tu znów nad głowami ludzkiemi, nad całym placem jakoby czarne sklepienie nocy rozdzierać się poczęło, rozpękać, łamać, kruszyć.

W huku tym zjawił się sekretarz Koza z pośpiesznym jakimś interesem do dyrektora Kostrynia.

Ten Koza już, a nie ten: — biała twarz w czarne rysy, — gumowy płaszcz chrzęszczący na wietrze szorstko i bez ogródek.

Koza krzyczał do ucha Kostryniowi rozkazy posła Drążka, — aby uzgodnić akcję wobec tłumu, gdyż niema jednej chwili do stracenia, jeżeli zaś policja zacznie serjo odganiać ludzi, — biada!

W ryku kilkudziesięciu syren kopalnianych, rozdzierających czarne niebo Osady Górniczej, wrzeszczał sekretarz sądnym głosem prosto w ucho dyrektorskie, — biada, biada, biada!

Polecieli na miejsce we dwóch: Koza, jak anioł mściciel z włosami rozwianemi, z powichrzonym rozdziałkiem i Kostryń, bluzgający swym płaczem miłosierdzia.

W kierunku szybu powietrznego, gdzie stał sztab najważniejszy wszystkich władz i zarządu i nawet sam starosta.

Stamtąd pod rozkazami zawiadowcy prowadzono akcję ratowniczą.

Kostryń biegł za Kozą, wpatrzony w pomykające szybko plecy sekretarza. Gdyż za największe skarby nie spojrzałby na boki: jak okiem sięgnąć, wzdłuż ogrodzeń Erazma wgórę, aż za cynkownię, aż po puste rozłogi wielkich kamieniołomów, na ogrodzeniach, płotach wysokich i parkanach wisieli ludzie kupami, twarz przy twarzy, pośród gałęzi nagich drzew.

Twarze te raz wraz zsypywały się nadół, bójka tam powstawała, zaganianie! Mimo dozoru kopalni, mimo

wszystkich policjantów Kapuścika, niewiele brakowało, by pospólstwo spadło już na kopalnię.

Kostryń biegł, dyszał, z świstem dopadł wreszcie przy szybie powietrznym do sztabu wszystkich, obecnych tu już władz.

Trzęsły się z zimna i wnętrznego przerażenia. Dreptały z miejsca na miejsce gęstą kupą, w zażywnych futrach, grubych paltach, okrągłe, tłuste, szanownie chrząkające w obliczu tego tam pierścienia szarej nędzy górniczej, odgrodzonego od szybu hełmami strażaków.

Kilka króciutkich spojrzeń i zadyszany Kostryń wiedział wszystko:

Starosta wyczekuje przezornie, inżynier z Urzędu Górniczego sroży się, jak zawsze na początku podobnych wypadków, burmistrz nic nie rozumie, doktorzy w podniesionych kołnierzach wzruszają ramionami na znak, iż nic tu dla nich niema do roboty, kilku sąsiednich inżynierów i dyrektorów wyczekuje dalszych wydarzeń.

Oczekiwano właściwie na wojsko, na dwie kompanje, pół bataljonu, bez czego nastąpić mogą jeszcze gorsze rzeczy?!

Starosta wszystkich zapewniał, że wojsko wyjechało z koszar, że podesłano im tam nawet samochodowe lory.

Władze dreptały trwożnie, — kiedy powietrznym szybem wyjadą pierwsze ofiary?

Starosta sam zatrzymał to „wydobycie“, — gdyż bez asysty wojska? Lepiej nie drażnić tłumu.

Inną decyzję przepychał pan Drążek: wyciągać trupy

nawierzch, ludzi wojskiem nie drażnić, — nie igrać tak z nerwami robotnika!

Przemawiał w duchu powyższym pośród stada władz tłustych, — całą inicjatywę duchową tej chwili ujął w swoje ręce.

Niedowiarki a nawet zwolennicy nie spodziewali się, iż z taką siłą wystąpi poseł Drążek.

Przed Kostryniem wyrzucił słowa: — Pan odpowie przed sądem!

Słowa nic nie znaczące, — wszystkim ulgę przyniosły.

Szło posłowi, — jakby na zamówienie. Przed kordon strażaków wyrwał się znów ten jakiś warjat opłakany z okrzykiem: — Odeślijcie mnie już do Miechowa!!

Warjata, na śniegu przy szybie powietrznym w obliczu wszystkich władz gwałtownie przerażonych przytulił poseł Drążek do szerokiej piersi i dał za wzór słabości umysłowej, wyniesionej z tak strasznych wypadków. Trzymając tego warjata pod rękę, ruszył przed tłum spłakanych rodzin, szarzejący poza połyskiem białych strażackich hełmów.

Uderzał tutaj poseł Drążek w surmę bezwzględnej prawdy, której trzeba spozierać do dna, — co tylko w dzisiejszym świecie spełniać może, — jedyna klasa robotnicza.

Szedł tak przed parkanami, obwieszonemi narodem! huczał bardzo rozgłośnie i szczerze.

Ludzie odkrywali głowy.

Poseł Drążek wypowiadał kazanie żałobne, w imię

honoru klasy robotniczej domagając się niesprowadzania wojska. Kończył okrzykiem:

— Życie wam zabierają, a sercom nie ufają!!

Przy wjazdowej bramie odciągnął w stronę sekretarza Kozę. Rzekł mu:

— Nauczyłeś się już chyba, — gadaj dalej. — Popchnął go pięścią, a sam z dwoma przybocznymi towarzyszami powrócił znów na miejsce sztabu szanownych władz. Stanął w pośrodku, ruchem sobie właściwym założył rękę za guzik skórzanej kurty budowlanej i krzyknął:

— Czemuż nie ruszają się ci ludzie, panie inżynierze?

Zaczęli więc powoli ciągnąć owe — wydobycie śmiertelne.

Patrzyły na to sztywne światła elektryczne wielkiego podnośnika, patrzyły oczy ludzkie krwawemi łzami.

Drążek czekał najbliżej szybu, pan całej sytuacji.

Gdy zaczynali na dobre już majstrować przy szybie powietrznym, Drążek podsunął się zręcznie do Kostrynia — i cap — za rękaw. Trzymał dyrektora przy sobie, na chwilę nie odpuszczał i sączył w uszy drewnianym szeptem, od którego martwiało w Kostryniu:

— Naliczysz, mój kochany, samych już tylko trupów ze czterdzieści, — jak obszył... Dodaj do tego rannych i zagazowanych, potłuczonych. Dodaj do tego takich, co jeszcze zemrą jutro, albo pojutrze...

Pan poseł tykał teraz dyrektora, — może wobec wypadków takich miał mówić: — panie hrabio?!

— Ubranie dla tych trupów pośmiertne musi mi być porządne! Nie masz ich gdzie pomieścić, — no, bo gdzie?! Pomyć ich trzeba! Podwójną dniówkę za to mycie zapłacisz. Nie będziesz woził takich utapranych! Poszkodowane rodziny tych ludzi, — co?! Kobiety! Przez miasto nie przejedziesz swobodnie, — stary hyclu, kobiety nie przepuszczą!

Tak mówił poseł Drążek szeptem, bynajmniej nie żądając odpowiedzi.

Poco?

Trzymał sobie Kostrynia za ramię, ciepło, blisko, sypał mu takie prawdy kostropate, nie patrząc nawet w oczy, jakby mówił w powietrze, do biernego przeznaczenia.

Gdy oto z czarnych kręgów szybu zaczęli już wyjeżdżać...

Z tamtej strony Głównego Zjazdowego wiewały im na powitanie wciąż nowe, — od nocy nawet czarniejsze, — skrzydła wiecznych ogni.

Tu, — ukazała się drabina w wielkim kiblu na materjały, sztorcem postawiona, — światło ciche spływało po szczeblach.

— Ciągnijcież ludzie wyżej!

Do drabiny z obu stron tyłem do siebie uwiązani, — dwaj. Pierwszy, — przyjemnie uśmiechnięty, jak żywy, z ręką za pas wetkniętą, — sztygar Stasiak.

Gdy kibel w chybotach przy wyjeździe okręcił się, drugą stronę medalu okazał: tu Stasiak, sztygar wesoło uśmiechnięty, plecyma zaś do niego, pierwszy pomocnik górnika, mąż żony paraliżem od pięciu lat tknię-

tej, — górnikiem miał pozostać na świętą Barbarę, czyli czwartego grudnia, — Marzec Adolf, — ogromnie straszny.

Ręce rozkrzyżowane, białka całe na wierzchu, konwulsyjnie do wszystkich widzów wyszczerzony.

Przez tłum poleciał jęk, jakby kobietom w piersiach czułe struny pękały.

Strażacy pilniej baczenie dają, policja nasrożona, Kapuścik tylko łypie oczami, kogo tu ma przydusić!

Wybierali ich z owego kibla, biedaków tych i na bok odkładali i dalej wieźli, rodziny rwały naprzód, policja nie dawała, interwenjował znowu Drążek, a tak grzmiał swym stentorem, że wszyscy cichli.

Płomienne gniewy proletarjackie szalały w słowach i wypowiedziach posła!

— Cześć poległemu oddajcie, a nie tu wadzić się! — wołał podniośle i robiło się zaraz coś takiegoś-jakiegoś, podobnego do mszy świętej.

Ludziska odkrywali głowy, opiekły sztab spasionych władz uchylał kapeluszy. Porucznik Kapuścik przestawał dzwonić srebrnemi bąblami swych adjutanckich sznurków i przykładał dwa palce do brzegów srebrzonego daszka.

Wydawała ta ziemia marne ofiary swe w kiblu. Wyjeżdżali przez pierwsze, siwe blaski dnia do drabiny uwiązani sztygar Stasiak, Marzec, Dudało, Heniek Niestój, Sikora, co był jeszcze niedawno delegatem w Radzie Kopalń i Hut, — aż znowu wyrwał się skądś Falkiewicz w smokingu, postać żałosna, wyjąca głosem spowiedzi, że sam głos taki wszystkich ludzi obrażał.

Jedni wrzeszczeli z tłumu: — Niech gada! — inni znów: — Precz z nim! — on zaś już wysforował się przed szyb powietrzny.

A tu pan poseł Drążek ze swą inicjatywą!

— Nie hańbić tego miejsca, obrzydliwy pijaku, — krzyknął i zaraz zdzielił geometrę między oczy, tak zdzielił, iż ów inteligencki pracownik kopalniany krwią się doszczętnie zalał.

Wtajemniczeni zwolennicy Drążka, prawdę mówiąc bojowcy, na rozkaz posła do geometry chyżo doskoczyli i sprzątnęli tę postać rozgrajdaną, z przed wszystkich ludzkich oczu.

Dobrze, iż uwinęli się tak szybko z incydentem, gdyż w tejże samej chwili wyjeżdżał z dołu kibel.

Mówiono, — przedostatni, — czyli, więcej ofiar na dole nie zostaje.

Znów światło elektryczne cichym spływem potoczyło się szczeblami drabiny, — jakoby duch oświetlający tę sprawę swem lśnieniem wiekuistem.

A tu już głowa, — a tu już stoi cały człowiek w kiblu, — górnik, z jedną ręką za pasek założoną, — druga ku sztabowi władz dobrotliwie wyciągnięta, palcem wyprostowanym dokładnie wskazująca, — starszy górnik Martyzel!...

Towarzysze, którzy tak wielkie mieli zaufanie do wąskiej smugi światła na wywyższonem przez rozmaitą wiedzę czole górnika Martyzela, ujrzeli dziś o świcie smugę takową po raz ostatni.

Martyzelka? Teraz dopiero, w stosunku do człowieka tego przeniknęło ją pytanie tak wielkie, osobliwe,

niespodziane? Stała bez ruchu na brzegach tłumu, siłą strasznego podziwu obezwładniona.

Podniósł się zewsząd jęk, — gdy widzą filozofa swego i krzewiciela tylu różnych mądrości, jak od drabiny śmiertelnej wyciąga rękę nieżywą i palcem ukazuje.

Mogło dojść do nadmiernych ekscesów, gdyby znowuż, — nie Drążek! Ten zaś parlamentarnym stentorem, jak nie huknie wszemobec:

— Oddajcie cześć zmarłemu bohaterowi pracy!

Czemuż to właśnie na widok Martyzela zachwiała się Lenorka? Czemuż to nogi jej podcięło? Czemuż to przełamało, że ani mówić, ani płakać?

Tadeusz ugłaskał ją, zagadał i odprowadzał, chociaż płynęła mu przez ręce, jakby kości nie miała i samem tylko wiotkiem ciepłem trzymała się w sobie.

Odeszli stąd, okryci w górnicze szmaty i poszli w zimno wstającego poranka.

Przez te łzy taki okrzyk Lenory:

— Oddałeś raglan, lecz raglan pójdzie w ziemię, a czemże się okryjesz?

Tadeusz na to — nic w słownej odpowiedzi, tylko objął dziewczyną przez pół i jeszcze silniej, wyżej uniósł ku sobie i tak szli, osłabieni przedziwnie, czarną ścieżką, wydeptaną wśród biednych kopalnianych śniegów.

Nie widzący przed sobą żadnego już kierunku. Byle dalej od ludzi, — ku jakiejś osobności, jeżeli nie jest wszędzie na świecie dla uczestników takiej nocy dozgonnie już stracona.

Co prowadziło ich tą drogą nijaką?

Nic, prócz wspomnienia.

Szli we dwoje, poza gmachy Zarządu, za czarne kichy i żebra wielkiej, ciemnej sortowni, sinym torem kolejki zawianej, gdyż nikt tu nie pilnował obecnie, a wszyscy trwali tam, przy wielkiem nieszczęściu.

Szli sobie owym torem i znów do budki małej opuszczonej, z za której ukazały się kiedyś Mieniewskiemu owe rozdroża stromych kamieniołomów.

Ku owej budzie, z za której ukazały się wózki, przy nich dziewczęta pod skałą, — i Marjan Kurek ze swoją złotą trąbką.

Naprzeciwko rysował się kościół w niebieskosinych, pierwszych rozbiegach poranka, dalej cynkownia krwawemi swemi żebrami jady ostre ziönąca, stare hałdy i usypisko, z którego ongiś gwizdnął woźnica, poganiający starego perszerona.

Gwizdnął, — że na kopalni kochać się nie wolno.

Tu kiedyś, tak niedawno, w słońcu ostatnich, ciepłych dni jesieni dojrzał Duś czułą parę, Tadeusza z Lenorą, przy ujściu wiecznych ogni.

Lenora zatrzymała się teraz, — jak trup blada. Już nie Lenora, nie człowiek, nie dziewczyna, czy też choćby osoba: ofiarowanie losu, jeden powiew żałosny, — westchnienie!

Westchnienie, — w jakimż celu poprzez ten świat żenione?!

— Widzisz, Stasiak, ten uśmiechnięty, sztygar — rzekła, wstrząśnięta okropnym strachem jedynej w życiu człowieka, bolesnej, świętej prawdy. — Widzisz,

taki Martyzel mądry wszystko, ma się rozumieć, wiedział....

Szli dalej, wgórę, ku ciemnym zwałom węgla, przez nikogo teraz nie strzeżonym.

Lenora znów zacichła i tak przybyli na zwał, wysoko, między węgiel, skąd rozciągał się widok na ulicę Sienkiewicza, biegnącą pod parkanami Erazma i dalej na przygarbione dachy, kryte śniegiem, roztoczone stąd prosto i pokornie aż pod zastawę pięciu kominów huty Katarzyny.

Dopiero tu w tym węglu, gdy zasiedli, wybuchła najgorętszemi łzami Lenora! Iż życie wobec tej śmierci jest już chyba skończone?! Iż Stasiak?! Cóż to znaczy, tyle samo, co nic. Bo cóż marna dziewczyna znaczy, o której zawsze powiedzieć można wszystko?!

Jęła trząść się najczulszem drżeniem, czystym omotem ostatniej konieczności.

Zeznała tu Tadeuszowi, do złomów węgla strachliwie przytulona, swoją najgorszą rzecz: iż go zdradziła, tak sobie, byle jak, z takim oto sztygarem Stasiakiem, który już dziś nie żyje. W niedzielę, na sortowni, — potem ten list od ojca twego pod domem Kostryniów oddałam.

— Takie to jest to wszystko, taka śmierć, takie życie i tyle właśnie z tego, — tyle!

Jakim człowiek jest podły!

Jakim jest nieszczęśliwy!

Zdawało się Lenorce, że Tadeusz oszalał. Na tę wiadomość pierwszą tak przecie ponurą, — jakoby śpiewać zaczął. Wydzierał mu się z piersi głos, niegłośny,

a przecież tak ogromny w swej treści, jakieś wołanie i takie namawianie tego świata!

— Ach, Lenora — zakrzyknął Tadek. Zakrzyknął, przyciągał ją rękami tak mocno, że jakby bił, przyciągał i odpychał i wołał coś do świata w pierwszych brzaskach i tak się to ważyło boleśnie, strasznie i tak się to słaniało, okropnym żalem bezporadnym, — aż nagle!...

Objęli się pośród szeleszczących złomów.

— Powiedz, powiedz, Lenorka — wołał Tadek, — nikt się nie dowie, gdy te kawały węgla do pieca kiedyś wrzucać będzie, jakie tu prawdy toczyły się wśród nich. Powiedz tylko, Lenorka!

Zaczem znów on, jej Tadek w obliczu takiej śmierci i zniszczenia, — skoro chcesz, — wydał wszystko o pannie Kostryniównie.

Lenora ręce do nieba wznosiła i na kolana Tadka głową smutną upadła, doszczętnie struta bólem, podniesiona boleścią tak wielką, że drżeniem ciała jej trącony węgiel sypał się, usypywał, szeleścił, niby jakowyś potok czarnej rozpaczy zpod stóp wypływający.

Męczyli się, — cierpieli, — cierpieniem tem cieszyli. Gdyż po takich przepaściach i dołach musi nadzieja wrócić, nadejść i znowu życie przyozdobić.

Ręce sobie podawali, jakby w nich kwiaty mieli.

— Nieszczęście, głód i rozpacz i znów szczęście, — opieka. Opieka, która z wypadków tych wyrasta, moja będzie nad tobą, — za brata. — Tadeusz wyrzekł te słowa tak szczerze, do dna, do dna żołnierskich trybów swojej duszy, iż nagle bryznął łzami niezłomnego męstwa.

— Tak to jest między nami, Lenorka!

Płakali tu, ramieniem jednem ogarnięci, radzili, nogi przez nogi szczelnie przeplecione. Błogosławili, ukochany świat cały kołysali w ramionach krzywdy swojej utrudzonej.

Gdy nagle turkot zawarkotał od bramy, ze strony wejścia na Erazm z boków cynkowni.

Któż teraz może jechać i gdzież wraca?

Ustąpili się, ukryli głębiej wśród zwału.

Jechała obszarpana dorożka i właśnie tu stanęła. Woźnica w grubym kożuchu zeskoczywszy z kozła, jął wracać na piechotę po przejechanej drodze. Szukał czegoś na bruku, pośród błota.

— Widać zgubił biczysko — szepnął Tadeusz. — Albo może podkowę?

Słychać było podkówki na bruku, daleki rozgwar wciąż jeszcze na Erazmie i szczelną ciszę zimowego poranka.

Rozległy się w tej ciszy nagle, grube, oporne słowa:

— Ty, głupi ośle, — Koza!

Poseł Drążek rozwalił się donośnie na sprężynach roztrzęsionej dorożki.

— Halo, — sekretarz Koza! Nie spać mi do cholery! Ucz się durniu od starszych! Czterdzieści jeden trupów, — rozumiesz, bracie?... I my teraz nareszcie mamy jakiś kapitał!...

Rzekłszy to, Drążek poprawił się, potężną dłonią uderzył Falkiewicza w czoło, zgrabnie przychwycił za kołnierz, by geometra nie wypadł z pojazdu, do Kozy

wrzasnął znowu: — Trzymaj tam swego warjata, by ci pod Miechów nie drapnął, — gdy zaś woźnica z biczyskiem wygramolił się na kozioł, z szerokiej piersi posła Drążka huknęły jeszcze następujące słowa w skromną ciszę poranka:

— Cztery takie osoby za dużo dla tej szkapy. To nic — jedź bracie po kawalersku. Już dzień, dostaniesz nocny kurs. Pan poseł Drążek płaci!

IV

TWOJA CÓRKA

1

ZA DRZWIAMI GABINETU

Poseł Drążek zamykał jedną ręką drzwi swego gabinetu na klucz, w drugiej trzymał mokry jeszcze arkusz zeznań markszajdera Falkiewicza.

Zamknąwszy drzwi wpuścił klucz do kieszeni budowlanej kurty, poczem zapatrzywszy się w szary półmrok salonu, machał cierpliwie arkuszem.

Świtało już.

Lepiej pomachać, żeby atrament wysechł dokładnie. Jeżeli akt, — to akt, — każde słowo musi tu być wyraźne, — murowane.

Wiewający w grubych palcach papier łamał się i szeleścił. Taka dola papieru: zgina się odpowiednio i mięty — szeleści.

Poseł Drążek machał arkuszem, uśmiechał i dech w piersiach wstrzymywał. W szeleście bowiem napisanych zeznań biednego, starego służbisty kapitału, przedstawiciela bezpartyjnej inteligencji kopalnianej Falkiewicza, murowały się niejako wszystkie piętra Domu Ludowego aż do końca! Zaprowadzało się, — niejako samo przez się, centralne ogrzewanie, kanalizacja ba!

wykończenie każdej najdrobniejszej „szczegóły“, wyasfaltowanie całego podwórza, wyzłocenie wielkich słupów z dorytu — i wszystko!

Cóż pan na to, panie leaderze Mieniewski?!...

Poseł Drążek, zasłuchany w swe szczęście, w prosty, — a niechta, niechta gadają, — chamski rozum, wahał się: czy iść przez pokój stołowy, obudzić żonę? Powiedzieć, jak się stało? Jak z tego wypadku, — wypadek jest coprawda nieszczęśliwy, dwóch zdań o tem niema, — wynika, słyszysz, żono? Asekuracja całego życia naszego?! Tyś sobie zaraz tu obok najspokojniej spała i nic nie wiesz, a ja zaraz przez ścianę, wycyckałem wszystko z geometry?!... Takie oto zeznanie na piśmie,— że teraz całą Radę Kopalń i Hut mamy prawie w kieszeni!

Przeleciała przez posła ogromna wdzięczność dla samego siebie: tam świat się wali, kopalnia cała płonie, miljony złotych lecą z wiatrem w powietrze, — tu żona z dziećmi śpi zdrowotnym snem rodziny.

Pomyślał — i zasępił się: z powodu ideałów. Czy z nich jakaś niebezpieczna obraza nie wyniknie?! Falkiewicz, choć pobity po mordzie dzisiejszej nocy na kopalni, właśnie z powodu ideałów tak płakał, jęczał i miotał się przed chwilą?! Z powodu ideałów zasypał na erazmowskich placach Kostrynia!...

Poseł Drążek raz jeszcze odczytał wyznanie, wiarogodne, podpisane przez geometrę imieniem i nazwiskiem, jakoto, że:

Granica starych ogni została przesunięta, — cofniono ją na nowych planach. Omawiane to było w dyskusji

z dyrektorem Coeurem, — data, godzina, miejsce. — W willi tegoż dyrektora Coeura, dziś już nie żyjącego. Wspomniany geometra w poczuciu rzeczywistej swej odpowiedzialności udał się do odpowiedzialnego dyrektora Feliksa Kostrynia i tam sprawę wyraźnie poruszył, używając nawet słów tak dosadnych, jak określenie: — świnie. Sprawa ta nie znalazła jednak żadnego oddźwięku.

Podpisane:

Bronisław Falkiewicz, przysięgły geometra, po 40 latach nienagannej pracy na kopalni Erazm, Towarzystwa Feniks w Osadzie Górniczej,

Poseł Drążek zamyślił się raz jeszcze nad całą sprawą — niejako od początku:

Ba, — Kostryń widział przecie, jak Koza taszczył z towarzyszami do poselskiej dorożki Falkiewicza. Kostryń słyszał, tak samo, jak inni, najbliżsi, co Falkiewicz wykrzykiwał przy szybie powietrznym?! Kostryń dobrze chyba rozumiał, że pięść poselska zamykająca w danej chwili gębę geometry, ratowała dyrektorskie życie?!...

Żono, żono!!!, — zachciało się posłowi Drążkowi wrzasnąć na całe mieszkanie.

Pomitygował się. Nie trzeba krzyczeć. Cicho. Rzecz przeprowadzić w dyskrecji, zbędną reklamą takiej sprawy nie rozdymać.

Napisał kartę następującą:

W moim gabinecie śpi poszkodowany przy wypadku. Nie budzić. Zamknąłem na klucz, gdyż ma nerwowe wstrząsy.

Złożywszy kartkę w sypialni żony na szklance z wodą,

ruszył poseł do przedpokoju, zamknął ostrożnie drzwi i w sieni dopiero westchnął głośno. Mimo że na duchowe oprawiny po spisaniu zeznania wypili z rozklejonym Falkiewiczem całą butelkę wódki, — Drążek czuł się przytomnie. Klatka schodowa wirowała mu nieco w oczach, ale to detal: wiadomem było mimo wszystko, co dalej czynić.

Urzędować, — psiakrew!!! Urzędować nieubłaganie do samego końca!

Wraz z klatką schodową wirowały w oczach posła różne przedmioty żałobne, wszelkie ozdoby pogrzebowe, ceremonja nie byle jaka, która musi być wyciągnięta wspaniale, na ostatni guzik, żeby wszystkim w zagłębiu górniczem oko zbielało.

Skoczył na górę do sekretajatu Związku, na trzecie piętro, gdzie zostawił był Kozę i czekać kazał w sprawie dalszych rozkazów.

Koza miał przez ten czas umieścić na dole w magazynku niedoszłej kooperatywy spożywczej owego warjata, gwałtem chcącego wracać do Miechowa.

Poco wieziemy z sobą tę ofiarę? — pytał niezdarny Koza, gdy przyjechali z Erazma do Domu Ludowego.

— Po to, — odpowiedział był wówczas łagodnie poseł Drążek, — by się głupi mieli o co pytać.

Nie spodziewał się jednak nigdy poseł Drążek, iż sekretarz Koza jest głupi tak do gruntu, jak się to okazało.

Cóż robił ów sekretarz, taki rzekomo chytry w normalnym czasie pertraktacyj, cóż robił teraz w decydującej chwili?!...

Czy przygotował naprzykład jakowyś plan działania? Czy obmyślił coś właściwego ze względu na ustosunkowanie się masy robotniczej do wypadku? Czy pomyślał o jakichś korzyściach, któreby teraz właśnie powinna wydębić klasa robotnicza ze zbrodniczego kapitału?!

Nic podobnego,

Gdy poseł Drążek otwarł zwycięsko drzwi sekretarjatu Związków, — Koza płakał.

Siedział za biurkiem na swym żółtym krążku, czy tam podściółce wojłokowej i w mglistym brzasku dnia lirycznie płakał.

— Co beczysz, durniu? — huknął Drążek.

Mówić do niedołęgi, to jakby wcale do nikogo nie mówić: Koza patrzył przed siebie czerwonemi oczyma i beczał, że aż żal.

— Tyle ludzi znajomych, tyle dobrych zginęło przez jedną głupią noc, na rany boskie, — ślimaczył się sekretarz.

— Ideały uderzyły ci do nosa, — zawołał poseł Drążek, swym stentorem. — Wiercą ci w nosie, ciemięgo, jak woda sodowa. Nie nato chyba trzymam cię tu za sekretarza!

Koza podniósł się z krzesła.

— Pocóż ty mi tu, Koza, — huczał poseł Drążek, — bibułę tę zalewasz?! Lejesz a nic nie widzisz. Tak rozumiesz swoją obecnie pracę biurową, czy co?

W kurcie budowlanej, srogi, wielki, dyszący wódką, szeroki i barczysty stał poseł Drążek oko w oko ze swoim sekretarzem.

— Praca biurowa jest wedle mego zdania, — myśleć, przewidywać! Słyszysz?! Cóżeś mi tu przewidział, gamoniu? Patrzcie go?! Jeszcze, głupia cholera, telefon mi wyłącza dla żałoby! Włącz mi zaraz telefon... No, — tu masz w ścianie pępek. Dalej, — co? Jaka teraz rzecz pierwsza? Jaka?!

Koza patrzył na Drążka z podziwem przerażenia.

— Jaka teraz rzecz pierwsza? Pierwsza będzie żałoba, idjoto!! Żałoba, więc chorągiew krepowa, żeby na dom zawiesić. Niema takiej chorągwi na strychu. Więc, — zamówiłeś? Pobudzić wszystkie sklepy, — żałoba robotnicza, niech szykują chorągiew, niech dranie wiedzą, że dbamy o to, że już zamówiliśmy odrazu, o świcie! Pomyślałeś przynajmniej o tem? Nie! Telefonuj mi na Erazma w sprawie akcji ratowniczej. Ilu ludzi zostało pod ziemią? To jest, myślę oczywiście trupów. Jak zamułka pójdzie, to ludzi tych zamulić muszą, — nie wydobędą zamulonych umarlaków wcześniej, niż za parę miesięcy, albo też może później?! Tu — *Głos Osady*, ciemięgo! Dodatek nadzwyczajny bić mi zaraz w żałobnych obwódkach o wszystkiem! I podciągaj w opinji tych zamulonych! To — raz. Dwa:

— Tytuł dodatku największym szryftem:

NASZ POSEŁ DRĄŻEK USPOKAJA ROZDRAŻNIONE TŁUMY!

Słowo ROZDRAŻNIONE — zastąpić naturalnie jakiemś innem, o wiele lepszem.

— Dodatek *Głosu Osady* napiszesz mi dziś siarką i fosforem!

— Coś dalej jeszcze wymyślił o pogrzebie?! Ty jesteś ścierwo, nie sekretarz, — rozumiesz? Czterdzieści

jeden trupów, no, gdzie ich kto tu weźmie na przechowanie? Muszą przecież gdzieś swoje odleżeć?! No, — gdzie?! W szpitalu, — nie! Więc gdzie?!!

— O to niema kłopotu, — krzyknął płaczliwie Koza, — my biednych naszych bohaterów i towarzyszy, takie tragiczne ofiary kapitału pomieścimy tu w Domu Ludowym, tu, w naszym własnym domu!!! Przybierze się sośniną salę, gdzie teraz nocują murarze —

Poseł Drążek położył olbrzymią dłoń na głowie sekretarza i rzekł poważnie:

— A tak naprzykład w mordę nie łaska? Czyś pan z byka spadł, panie Koza?! Warjat, — jesteś pan warjat z mokrą głową!

Koza drżał z przerażenia, gdyż wszystkie te wyzwiska leciały dziś posłowi z ust, jak nigdy dotąd, — pełne złowróżbnej wesołości.

— Niewykończony Dom Ludowy będę trupami zapeszał od początku?! Tak? Żebyście potem wszyscy bali się tego domu? Nie, głupi Kozo! Ta śmierć czterdziestu jedniu towarzyszy będzie b e z d o m n a! Rozumiesz to? Czy nie rozumiesz?... Rozumiesz ty, odrodku, co to jest dla nas za kapitał? Śmierć naszych towarzyszy będzie bezdomna, póki za odpowiednie ustępstwa wszelkich Kostryniów nie wynajdziemy dla niej schronienia, jakie sami uznamy!

Rozpoczęło się coś, jakby półpijana zabawa, od której sekretarzowi Kozie serce do gardła podchodziło.

Poseł klepał sekretarza po plecach, wesoło czochrał łapskami po rozdziałku, walił w piersi, potrząsał, trzepał, jak się trzepie materace.

Koza, wstrząsany energicznie, kropił łzami, głęboko przerażony nową straszliwą prawdą takiej pracy biurowej.

— Teraz rozumiem, towarzyszu pośle, — powtarzał jąkając się, choć naogół nigdy się nie jąkał. — Macie rację, biedny człowiek nie może sobie pozwalać na cukierki sentymentu. Wy, towarzyszu pośle, postanawiacie obecnie śmierć naszych bohaterskich towarzyszów puścić w ruch!?!

— A tyś myślał, że co? — mówił Drążek mierzwiąc sekretarzowi dobrotliwie czuprynę. — Będą nam teraz płacili za wszystko, psiakrew, rozumiesz tę naukę? My teraz siądziem spokojnie i tylko te odsetki, bracie, odcinać teraz, — ciach, a ciach!

Nigdy nie spodziewałby się Koza po sobie tego, co nastąpi! Nie przypuszczałby w najdziwniejszych swych myślach, że taka rzecz przytrafi się tu w sekretarjacie na tle wspólnej pracy: Przełamało go, jakby przenicowało całą podszewką nawierzch.

Zmiękł, załamał się w sobie, zapłakał jakąś nadzieją, bardzo marną, lecz błogą: Tylko z Drążkiem dochodzi się do czegoś w takiem nędznem życiu. Tylko Drążek zdoła utrzymać człowieka przy pracy biurowej.

Koza ręce wyrzucił w powietrze, oblał się cały przedziwnym wstydem purpurowym i przylgnął głową do szerokiej budowlanej piersi posła, powtarzając raz po raz ze łzami w głosie:

— Ja za murami partji, towarzyszu pośle, pozostanę do śmierci, — na życie własne przysięgam wam solennie!

Po przemowie tego rodzaju, — praca!

Pan poseł Drążek przekonał się nareszcie, że Koza chwyta naukę i kroczy odpowiednią drogą.

Wszystko trzymał w pamięci teraz ów Koza, — wychodziło, jak z płatka. Tu, chorągiew kirowa, — telefon na miasto, — telefon do Erazma, pełnym głosem nienawiści klasowej: Hal-l-l-lo! Tu mówi Dom Ludowy!!!

Telefonować na Erazma znaczyło dla Kozy prawie to samo, co drzewo szczęścia własnego ostrą piłą podrzynać. Bo jeżeli odpowie ojciec Zuzanny, Kostryń?!...

Dziś rano, teraz po rozmowie z Drążkiem marzył Koza, aby odezwał się właśnie nie kto inny. Niech będzie już ten Kostryń i niech wszystkie nadzieje *tamte* wymarzną już na pniu.

Niestety! Odpowiedział i zdał sprawę Domowi Ludowemu zawiadowca kopalni. Cztery trupy zostały zamulone, identyczność nie ustalona jeszcze.

Dalej: telefon do starostwa o tych czterech z uważnem ostrzeżeniem. Gdyż jeżeli ci czterej zostają zamuleni to czterdziestu jedniu spoczywa w izbie Zbornej i niema ich gdzie złożyć na terenie Osady Górniczej, niech to cokolwiek dłużej potrwa, — Dom Ludowy nie weźmie żadnej odpowiedzialności za postawę klasy robotniczej!

Gdyby ciała bohaterskich towarzyszy miały się po rynsztokach poniewierać?!...

Ze starostwa — buch, — telefonem do samego wojewody, — wszystko odrabiał Koza.

Drążek siedział tylko na wyprzałej sofie sekreta-

rjatu, grzebał w kieszonkach ciepłej kamizelki, — furt jeno przypominał, gdzie dzwonić i do kogo.

Sekretarzyna dzwonił, bębnił, szturgał, straszył, a gdy już złapał wreszcie połączenie, to je znów sam przerywał — dla większego znaczenia całej sprawy.

Dzień już był, około ósmej rano. Na ulicach pewno już ruch codzienny. Z okna widać między drzewami podwórka gimnazjalnego stare kuchty. Zamiotły podwórko do połowy.

Drążek patrzył na scenę ową, dłubał zapałką w zębach i cieszył się, że Kostryń jest nieuchwytny w telefonie. Nie-do-zastania.

— Boi się stary drań, — mówił poseł do Kozy, — to jeszcze lepiej!

Skutek wszystkich wysiłków taki: w podwórzu Domu Ludowego zbierają się pierwsze, nieśmiałe grupki bezrobotnych. Wiedzą, że coś się kroi i czekają...

Dwa: z domu, od żony wciąż jeszcze ani słychu, czyli rodzina śpi, o niczem nie wie, — niech se ta śpi.

Trzy: Dodatek *Głosu Osady* w pierwszej szczotkowej odbitce, — jedyne słabe miejsce posła Drążka: nie dał po sobie poznać, ale jak tylko z wydarzeń życiowych przenosić trzeba coś do druku, — poseł zatracał głowę. Tak źle — i tak niedobrze: sam wypadek opisany przez Kozę — sprawiedliwie. Ale nagłówek, tytuł?!

POSEŁ DRĄŻEK USPOKAJA ROZGORYCZONE TŁUMY!!!

Ani nie „uspokaja" — pocóż takie wstecznicze określenia, — ani „rozgoryczone".

— Musisz tu znaleźć Koza o wiele lepsze wyrażenia.

Jakie?

Zapadła długa cisza namysłu.

W ciszy tej skrzypnęły drzwi, posunęły się naprzód, wstrzymały i znów naprzód leciutko wionęły, — w drzwiach ukazał się Kostryń.

Chwila ta była ostatnią próbą wytrzymałości dla sekretarza Kozy. Ukłonić się przynajmniej, czy choćby szurnąć nogą?!...

W takich krajach, jak Osada Górnicza, ludzie z mlekiem matki wyssali, co się zawsze dyrektorom należy, pod względami szacunku.

Coprawda Kostryń wyglądał, — jak swoja własna śmierć. Twarz miał zastygłą, martwą, a tylko w oczodołach poruszały się czerwone źrenice, niby otwarte rany, wciąż świeżą krwią wezbrane. Dolna warga dyrektora, drżała nieustannie.

Ubrany! W łachudrach kopalnianych, posiniaczony, zwywożony, — na to zaś, — pyszne futro dyrektorskie!

Widok takiego stanu mocodawcy kapitału wytrzymał Koza w swojej linji aż do ostatnich granic. Rozdarło się uczucie, — prawda! Żałosne jakieś perfumy przeleciały przez piersi, coś jak spojrzenie Zuzy, pełne niebiańskich czarów. Lecz zgasło to odrazu:

Koza dalej robił korektę nadzwyczajnego dodatku, jakby był sam w pokoju. Jakby tu nikt nie wchodził. Jakby nikt w drzwiach nie czekał z kłapiącą cicho gębą.

Poseł Drążek — inaczej: przekręcił się na sofie wygodniej, — wcale jednak nie powstał. Rzucił ogarek papierosa pod nogi Kostryniowi i rzekł wesoło:

— A cóżto, dyrektorze, piechotką? Macie takie obłocone buciska...

Strasznie wypadły pierwsze chwile przywitania.

Dyrektor Kostryń skierował kroki swoje ku Drążkowi, podał mu rękę, musiał chwilę zaczekać na rękę gospodarza. Z tą samą kwestą poszedł później do Kozy, poczem w ciszy okrążył pokój, — zgoła bez celu.

Okrążywszy siadł obok posła Drążka na kanapie.

Milczeli.

Milczeli tak głęboko.

Aż tu wybucha Drążek: — Towarzyszu Koza, sprowadźcie kawę od Cieplika i zostawcie nas samych.

Nim zjawiła się kawa, — milczeli, — bardzo uciążliwie.

Drążek jakby w sen zapadł. Zwalista kupa mięsa, — ani drgnął. Sapał tylko pomiernie.

Kostryń czuwał: przerzucał w sobie tysiączne sposoby. Zaczynały się wszystkie od rzeczy bardzo prostej. Już chciał ją wypowiedzieć, — lecz nie mógł ust otworzyć. Durzyło go potworne ciepło postaci Drążka, — coś niby zapach jatki.

Wspomnienia strasznej nocy krzyżowały wszelki porządek sposobów wyjścia z sytuacji.

Drążek, — wciąż nic. Sapał cierpliwie i wygodnie.

Gdy oto nagle, gdzieś z parterowych okien wyrwał się krzyk ostry i nieprzytomny:

— Odeślijcie mnie stąd — do Miechowa!!!

Kostryń skulił się.

Wtedy to poseł Drążek z rozgłośnym chrzęstem sprężyn przechylił się znienacka na kanapie, wielkim gru-

bym ciężarem ciała zwalił się na Kostrynia i tłamsząc dyrektora powtarzał z głośnym śmiechem, prosto w ucho:

— To dopiero historja!! Co, — nie?

Wrzasnął tak mocno, że Kostryniowi zadzwoniło w uszach.

Służący przyniósł kawę, poseł zręcznie odskoczył.

— Wypijemy przy oknie?

Pili w milczeniu. Kostryń łykał z trudnością. Słuchał, jak Drążek żre, jak żłopie, syrpie owe kawsko, jak ciamka zdrowo, miętosząc szczękami świeże kęsy bułki.

Mdlało wszystko w dyrektorze ze wstrętu, gdy właśnie, — grube, twarde, wyliczające paluchy posła znalazły się przed nosem dyrektora.

— Raz, — żadnego przenoszenia podatków! Dwa, — nie przeszkadzać mi przy budowie mego domu w województwie. Trzy, — wynająć tu lokale, które wskażę, nie zajmować jednak takowych, wystawiwszy odpowiednie weksle gwarancyjne. Raz, — dwa, — trzy, a teraz idzie cztery: Po uspokojeniu się opinji podjąć z powrotem rokowania ze strony Rady Kopalń i Hut. Które to rokowania zakończymy ostatecznie dziesięcioprocentową zwyżką wszystkich stawek robotniczych. Zgoda?! Ja nie jestem idealista, romantyk, lecz realista oraz lojalista, — wiem, czego żądać mogę!! Zgoda?

Był to jedyny moment, w którym popatrzyli sobie w oczy.

Drążek śmiał się szeroko, dobrodusznie, Kostryniowi wydzierało się z ust zaciśniętych żałosne skomlenie.

Dyrektor opanował się i rzekł:

— Jesteśmy chyba obaj — chrześcijanami! „Grzebcie wasze umarłe“. Zacznijmy więc po ludzku, — od pogrzebu.

Drążek rozwalił się zpowrotem na kanapie.

Kostryń począł wyliczać koszty, straty, olbrzymie straty na kopalni, wielkie koszta pogrzebu, ewentualne koszta doraźnego zaopatrzenia rodzin.

Drążek zaś wciąż to samo słowo z swej kanapy:

— Tere fere!

— Od omówienia szczegółów, panie pośle, przyszlibyśmy później może do spraw zasadniczych...

— Tere fere! — wrzasnął Drążek potężnie.

Kostryń strzyknął łezkami i uciekł. Drżało w nim ze strachu, lecz nie mógł ustępować odrazu. Wybuch Erazma spadał coprawda na dyrekcję, lecz nie pomnażał znów chyba tak dalece autorytetu posła, ani innych działaczów?!...

Należało kunktować, targować się, — nie można dać odrazu pełnej ceny!

Dyrektor, zdjęty strachem, opuszczony przez Coeura zagrożony nieuchronnem dochodzeniem sądowem, nie mógł, pomimo wszystko, zaniechać rozumnego targu. Nie mógł, — nie wypadało, — nie trzeba, — przyzwyczajenie, — dobra stara metoda!

Leżał u siebie w gabinecie, na klucz zamknięty. Gdy żona stukała, ba, — nawet córka, porywał się z kanapy, przybiegał do drzwi wołał:

— Nie przeszkadzać!! Wynosić się do wszystkich djabłów!

Wiedziały już o wszystkiem, nawet o śmierci Coeura.

Rzecz zaiste przedziwna: śmierć Coeura, tu w domu, wobec kobiet dodawała Kostryniowi pewności wystąpienia, odwagi i tupetu?!

— Wszystko tu teraz na mojej głowie, — krzyczał żonie i córce przez drzwi zamknięte, — nie przeszkadzać do wszystkich djabłów!!

Wisiał przy telefonach, wewnętrznym z hutą, wewnętrznym Erazma i miejskim.

Sypały się ustawicznie dzwonki, długie, — tak przeraźliwie ostre!

— Ja nie śpię — skrzeczał do telefonistki, — proszę dzwonić krócej. Podam skargę na panią.

Dzwoniła krócej: właśnie wtedy postanowił Kostryń oszukać czas i ludzi i wszystko!

Robił tak nieraz dawniej, podczas nieprzyjemnych wydarzeń urzędowania. Dziś mógł sobie na to pozwolić tem bardziej, iż nie miał już nad sobą żadnego zwierzchnika.

Coeur leży na dnie szybu, — kawałek zwęglonego mięsa w rzesztkach paryskiego smokinga, — oto Coeur!..

Oszukać czas i ludzi: Kostryń jął porządkować bibljotekę i tajne skrytki biurka. Telefon dzwonił, — a dzwoń sobie, — my tymczasem porządkujemy biurko.

Zeszyty Zuzy z pierwszych lat dzieciństwa, rachunki domu jeszcze z czasów pobytu w Rosji, dwa pudełka po pudrze dziecinnym, — obecnie z dolarami.

Przekładał to bez celu z miejsca w miejsce, utykał, chował w głębi bocznej szuflady biurka, przypominał sobie jeszcze raz szczegółowo wysłane dziś depesze.

Dwie: jedna do Paryża, druga do biura Towarzystwa w Warszawie.

Po którymś krótkim dzwonku telefonicznym Kostryń zakwiczał, — i znów uchwycił słuchawkę.

Wiadomości fatalne: trupy pozostawały wciąż jeszcze w izbie zbornej. Wynajęci do umycia tych trupów żądali podwójnej dniówki. Wypłacono im po niezmiernie długich kancelaryjnych trudnościach. Poczem cała akcja stanęła, — nie było w co przebrać umytych. Leżą nadzy, poprzykrywani kocami. Czy ma się ich ubierać zpowrotem w łachudry kopalniane?! A najważniejsze, — gdzie ich zwieźć?!

Wojsko już pilnuje kopalni, jeżeli jednak nie zrobi się porządku z trupami, trudno za cośkolwiek ręczyć.

Kostryń rzucił słuchawkę tego aparatu, gdyż drugi znów telefon, miejski, warczał natarczywie.

Kapuścik!

Głos pana Kapuścika nie mówił nic dobrego, „Hallo“, — rzucone było tak piskliwie — policyjnym dyszkantem, że pod Kostryniem nogi się ugięły.

Kapuścik żądał ostatecznego „umiejscowienia“ trupów górniczych, ze swej strony oznajmiał, iż starostwo oddało jedno auto do dyspozycji posła Drążka, by ten ze względu na spokój publiczny mógł mieć swobodę ruchów. Na mieście wyszedł drugi dodatek nadzwyczajny, — który właśnie ulega konfiskacie. Poza tem województwo rozmawia obecnie z Warszawą, telefonicznie.

Kostryniowi włosy zjeżyły się z przerażenia. Czuł aż nadto dobrze chytrą, bezczelną robotę posła Drążka!

A druga rzecz, ohydna — straszna: Kostryń — żałował śmierci Coeura. Płakał łzami bezsilnej wściekłości, że nie może schować się teraz za plecy Francuza.

Wytelefonował co prędzej z Zarządu limuzynę, przykazując, by w wozie zasunięto szczelnie wszystkie firanki.

Trzeba jechać na miejsce wypadku, pokazać się ludziom, interwenjować.

Samemu chodzić po placu kopalni, samemu z izby zbornej iść trzysta kroków do Zarządu Erazma?!

Wytelefonował z Rady Kopalń i Hut pana Skierskiego.

Skierski, — Skierski, — leciało przez myśl Kostrynia bezustanku, — taki ładny mężczyzna!

Kostryń polecił telefonicznie Skierskiemu czekać na siebie przed domem w owej limuzynie.

Podjechali nareszcie! Ukryty za szybą swego gabinetu zazdrościł dyrektor szoferowi w skórzanej czapce i kubraku. Mocny Boże, — być takiem bydlęciem pociągowem, takim zwykłym człowiekiem, — co za szczęście!!

Kostryń wyszedł, — w długim pustym przedpokoju było prawie ciemno.

Kładł już rękę na klamce, gdy od wiszących na szaragach płaszczów oderwała się jakaś postać, — ma się rozumieć, — piękna, tragiczna żona!

— Słuchaj, Feliksie!

Chwycił ją paznokciami za ramię i trzymał tak, trzęsący się z rozpaczy. Do krwi chyba zaciskał?!

Przez plac kopalni poszli we dwóch pan Skierski od strony tłumu.

Auto starostwa czekało wpobliżu izby zbornej.

Tu właśnie, przed kordonem policji trwał Koza, — bez kapelusza, na znak czci dla poległych. Pocieszał zgromadzone pospólstwo: takim głosem i w takim duchu, że policjantom miny rzedły a tłum przemarznięty drżał jeszcze więcej, — z nienawiści i zgrozy.

Dowiedział się tu dyrektor Kostryń, że Drążek znajduje się w Zarządzie.

Rozmowa, jaką tam mieli, we dwóch, dobiła Kostrynia. Dogadali się tu prawie do wszystkich ustępstw. W kwestji przeniesienia podatków do Warszawy, co do punktu intryg w województwie, — nawet w materji podnajęcia lokalów w Domu Ludowym i weksli gwarancyjnych.

Co do dziesięcioprocentowej podwyżki stawek górniczych — dogadać się nie mogli!

Kostryń ustępował zwolna, nie odrazu, — w miarę. Gdy mu Drążek cisnął pod nogi próbkę trzewików papierowych, — wstrętny demagog wyrwał to z izby zbornej, jeden gotowy komplet trumienny, — gdy szmyrnął dyrektorowi pod nogi te „parszywe“ drelichy, jakie kopalnia zamawia da umrzyków, oraz próbkę tekturowych napisów, pod jakiemi, z łaski kopalni spoczywać mają bohaterowie pracy, — odpowiedział Kostryń, iż nie rozumie właściwie o co chodzi?...

— Chodzi o to, — ryczał Drążek, — że jeżeli całe życie dreptali przez was, zawsze w podartych butach, to niechże przynajmniej na swoją wieczną drogę mają buty porządne, a nie znów oszukane, papierowe, — o to chodzi!

Mówił na „ty“, skrzeczał „ty“ odpowiedzialnemu dyrektorowi kopalni w samym Zarządzie!

— Chodzi o to, mój panie, że jeżeli taki erazmowski górnik chodził całe życie wiatrem podszyty, niechże raz na tym świecie, choć po śmierci, ma ciepłe odzienie! Chodzi o to, że mu się krzyż należy nie z papieru, — bo nie papierową robotę dawali ci tu za życia!

Od słowa, aż do słowa — i znów! A tu wciąż telefony z województwa, — co się dzieje z trupami?

— O żywych nie dbali, — trupy im zawadzają, — cóż ma z sobą poczynać robotnik?! — ryczy Drążek.

W nawiasach tej rozmowy i kłótni o komplety trumienne doszli do gwarancyjnych weksli za lokale w Domu Ludowym, poczem znów przerwa nastąpiła przykra bardzo.

Drążek przemówił własnym a nie wiecowym głosem:

— Siadaj pan, — rzekł, bo teraz na „pan“ wrócił, — i czekaj dyrektorze.

Co rzekłszy chwyta za telefon: z Erazma do centrali miejskiej, — z centrali do Warszawy, — rozmowa jest służbowa, psiakrew! W Warszawie, — Ministerstwo Ochrony Pracy. Niema pana ministra?! Jakto niema? Musi być, — czterdzieści jeden trupów górników tu na ulicy?! — Przepraszam, — moje uszanowanie, — sługa pana ministra! — Tak jest, panie ministrze! — tu poseł na Sejm Drążek, — panie ministrze, — nie mamy dla nich pomieszczenia, — kopalnia? Nie! Nic podobnego, — ludzie gotowi rozbić wszystko! — Jakiś lokal właściwy, tak, powaga państwowa, — chyba Szkoła Sztygarów, panie ministrze?

Do Ministerstwa Oświaty? Tak, tak, panie ministrze, — tu czekam odpowiedzi!!

Drążek odjął od ucha słuchawkę, psyknął ostro na Kostrynia, podchodzącego chwycił za kamizelkę i warknął:

— Wiesz, — com dla ciebie zrobił, czy wciąż jeszcze nie wiesz?!

Czekali odpowiedzi.

Drążek ze słuchawką przy uchu wymagał teraz nieustannej obsługi. A to, — papierośnicę mu otwórz, a to znów papierosa do ust wetknij, a to mu teraz zapal.

Buchnął nagle Kostrynia olbrzymią pięścią w piersi, z okrzykiem:

— Słucham pana ministra! A więc, Szkoła Sztygarów?! Tak jest, panie ministrze, — dziękuję, — naturalnie! Tak, tak, — dla uniknięcia, ma się rozumieć, lokal państwowy, — otóż to! Moje uszanowanie panu ministrowi, — czołem!

— Dają Szkołę Sztygarów!!

Dyrektor uśmiechnął się dziękczynnie, Drążek przerwał:

— Co się zaś tyczy dziesięciu procent w umowie, wiesz? Ja jestem realista a zarazem także i lojalista! Ja — rzeczy niemożliwych bynajmniej nie wymagam. Powąchaj to! — Pokazał dyrektorowi z kieszeni swej budowlanej kurty wydobyte zeznanie Falkiewicza.

— Powąchaj to i melduj się u mnie około ósmej wieczór. Masz czas do pomyślenia, — prawda?...

Poseł Drążek wyszedł. Nie obejrzał się, nie splunął nawet poza siebie. Można było dobijać tego targu na miejscu, — poco? Niech się Kostryń pomęczy, niech posmakuje i rozważy.

Należały się też wszystkim biednym ludziom te zdobycze, które już wywalczone zostały. Jako to: poseł Drążek odrzucił oszukańcze buty papierowe. Ubrania będą dla zmarłych, — że nawet żywi mogą pozazdrościć. A trumny?! Jakie do tego krzyże!

Normalnie sprawy biorąc mogła kopalnia nic wcale nie płacić, — funkcjonują od tego wszelkie kasy. Nie należało zatem teroru przeciągać zbyt usilnie.

Trzeba dać odpoczynek umysłom, tem bardziej, że nad wieczorem przewożono zmarłych, wszystkich czterdziestu jedniu z Erazma do Szkoły Sztygarów.

Ceremonję tę powierzył poseł Drążek Kozie:

— Masz, rób i pokaż się i niech cię widzą, zapapamiętają, zaskarbisz sobie ludzi jak nigdy, — zobaczysz!

Koza załatwiał ceremonję lokalną, Drążek zaś wszystko, co się tyczy z władzami, oraz wszelakie kondolencje, oraz co się już tyczy wielkiej ceremonji pogrzebu.

Warjat wykrzykujący na dole, iż chce się dostać do Miechowa, — okazał się zbyteczny. Wspaniały obrót katastrofy przybrał tak wielki rozmach pośród ludności, że nie potrzeba było rozmowy takiego oto, biednego warjata!

Poseł Drążek zlikwidował szaleńca, przekazując go co rychlej magistratowi. W izdebce po warjacie założył

biuro informacyjne dla rozmaitych delegacyj, przybywających względem pogrzebu.

Jak się odbędzie wszystko, kiedy, w jakiej porze, czy w odpowiednim porządku?!

Informował uspokajał, oświecał, dał się wymęczyć dowoli, — przerwał nagle to wszystko i skoczył do mieszkania, — do siebie.

Na głowach tam już chodzili ze strachu z powodu nieszczęsnego Falkiewicza, który, — jak się okazało przez dziurkę od klucza, — spał snem kamiennym.

Dzieci z kuchtą nie odchodziły od drzwi, za któremi spał Falkiewicz.

A żona?

W kuchni.

— Żono!!!

Pani Drążkowa wciskała gorset, jęła się wtłaczać obcesem w tę gumową maszynę, podczas gdy poseł sypał, jak z rękawa:

— Nie muruj się, nie buduj, nie sztafirkuj, głupia. Bierz z sobą dzieci, auto na ciebie czeka! Na dole. Oraz słuchaj, czego od ciebie wymagam dziś, obecnie: żadnego kosmetyku, żadnych zakręcań włosów. Pojedziesz tak, jak jesteś, samochodem. Zabierz tam, co jest w domu gdzie, z jakiej starej zimowej bielizny, dziecinnej, czy dorosłej. Pojedziesz na ulicę Błotną. Poodwiedzasz mi kobiety, rodziny, które postradały w wybuchu. Zorganizujesz mi je, spiszesz na arkuszu.

Mówił, — żona trzaskała szufladami.

— Niech widzą że ich wciągasz na papier, zapisujesz wszystko i ilość dzieci i miejsce urodzenia,

nawet nazwiska rodziców nieżyjących, aby wyglądało prawnie!

Wydawszy te rozkazy poleciał poseł Drążek do sekretarjatu.

Na biurku — kupa depesz!

W przedpokoju kupa delegatów, różnych, przeróżnych ideowców nawet z sąsiednich kopalń.

Poprostu, — imieniny — djabli wiedzą!

Drążek wyjrzał przez okno: rany boskie!! Podwórze Domu Ludowego zapchane ludźmi.

Ulica Przemysłowa między Radą Kopalń i Hut a Domem Ludowym, wgórę aż po Szkołę Sztygarów wybrukowana była głowami.

Poseł Drążek nie wytrzymał i musiał sobie powiedzieć prawie głośno: — Jestem solenizant!...

Urzędowania na każdą chwilę coniemiara: — a tu wychodzą od erazmowskiego żeberka, wpłynęli już w ulicę Przemysłową — cały, kondukt. Biała linja, czterdzieści jeden trumien, oświecona płonącemi pochodniami.

Tłum cały zacichł i zaniemówił w lodowatem milczeniu. Słychać było skrzyp wozów, krok ludzi, nawet syki płonącego łuczywa.

Rodzin nie dopuszczono do poszczególnych trumien, gdyż identyczność ofiar nie dała się ustalić jeszcze ostatecznie. Rodziny wszystkie postępowały w jednej łącznej gromadzie, a byli też i tacy, co tu kroczyli, nie wiedząc jeszcze, czy mają zaginionych, zamulonych, czy poległych w wypadku?...

Płaczów zbytnich nie wyprawiali. Tylko szli za ol-

brzymią listwą trumien jakby mając obolałe wnętrzności: ciągłe, głuche, przytłumione rzężenie.

Kto rzecz tę słyszał w świetle, w obliczu latarń, tłumów, — w godzinę śmierci własnej nie zapomni!

Przechodzili właśnie pod Domem Ludowym i towarzysze z okien a nawet z bramy sypnęli na tłum paczkami nadzwyczajnych dodatków, które prawie jak ptactwo szeleściły w powietrzu.

Tak uroczystą chwilę przerwała znów posłowi delegacja.

— Czego?! Czego chcecie konkretnie?!

Krzyczał srogo, — w głębi serca domyślał się, czego od niego chcieli delegaci z samego Erazma.

Zapchali postaciami swemi pół sekretarjatu a w sieni też, mrowiło się nielada!

Nie potrzebowali wcale zabierać tu głosu, poseł nie dopuścił do tego. Machnął ręką, wszelkie wstępy czynił krótko, jak nożem.

— No i cóż towarzysze, — rzekł, — wiem wszystko, co powiecie. Wam też wiadomo chyba, co się dzieje w mem sercu?! Com tylko mógł, — tom już wyjednał. I cóż myślicie, że taka śmierć górnicza jest znów tak bardzo droga? I wiele wartająca?

Przemówiwszy w te słowa dla wstępu, dał im, czego pragnęli: wielkie łzy i płacz męski.

Poseł Osady Górniczej wyprostowany za biurkiem stał w swej okazałości barczystej i płakał. Najszczersze łzy żłobiły mu się przez ciemne grube fałdy niewyspanej twarzy.

Nie ścierał owych łez. Zwisały z nosa, płynęły wdół przez szorstką budowlaną kamizelkę, a on zaś powtarzał tylko to jedno właśnie: Nawet śmierć żołnierza pracy nie jest wiele wartająca.

Zapłakali z nim razem — ogromnie, — z czego będzie rezerwa spokoju, — myślał poseł, śpiesząc bocznemi drogami do Szkoły Sztygarów.

Za najważniejsze uważał, by w spokoju przetrwali przez wszystkie pogrzebowe ceremonje.

W Szkole Sztygarów pedagogowie czynili różne wstręty, że im młodzież odstręczać będzie wspomnienie poległych.

Poseł Drążek nie spojrzał nawet, w stronę pedagogów, — ale Koza?!

Sekretarz znowu znalazł się jakoby na granicy ostatecznego rozklejenia. Stało się to na widok trupów.

Widok czterdziestu jeden trumien ustawionych w wielkim przedsionku gmachu był zaiste ponury. A gdy na pierwszem piętrze rozmieszczać jęli kozły i stojaki, w trzech salach, jakoby stół biesiadny, — pod owe biedne mięso górnicze...

Na szczęście działacze klasy robotniczej zwróceni mają być ku życiu, — nie ku śmierci!

Poseł Drążek przychwycił swego sekretarza i do muru ukradkiem docisnął ze słowami:

— Słuchaj mnie, Koza, ślimaku ty płaksiwy! Nasz Dom Ludowy, gdzie ty jesteś sekretarzem, teraz dopiero stanie na kościach tych biedaków. Czy chcesz być sekretarzem, — czy nie możesz?

Koza bełkotać począł bez związku.

— Jak się należy wszystko, tak ma tu być! — huknął poseł Drążek i skacząc prawie poprzez nakryte wezgłowia wrócił do Ludowego Domu.

Była akurat ósma.

Nie zdążył zrzucić swej budowlanej kurty w przedpokoju, gdy znów telefon w gabinecie. Żony w domu niema, wszędzie ciemno. Wywracając po drodze meble dopadł poseł słuchawki...

Kostryń!

Kostryń telefonował z domu, czy może przyjść? Czy przedostanie się przez tłum?

Naturalnie, — teraz, teraz najlepiej, wszyscy stoją przed Szkołą Sztygarów. Tu jest obecnie pusto.

Dyrektor Kostryń stał już we futrze. Dawał znaki Zuzannie, by mu nie przeszkadzała.

Weszła tu bez pytania.

Skończył rozmowę z Drążkiem i odłożył słuchawkę.

— Wiesz wszystko? — spytał.

— Wszyscy przecież już wiedzą.

Jak zawsze tak i dziś była stosownie ubrana, ciemno, godnie, nad wyraz harmonijnie.

— Pomyślże, tylu ludzi i nasz Coeur z nimi. — Kostryń zapłakał.

— No tak, ojcze. Jak się z kimś tyle lat razem pracuje, — cóż dziwnego?

Kostryń udarł się nagle na całe gardło.

— Czemu krzyczysz?! — Zakryła mu twarz dłonią.

— Pomyśl, że niewiadomo nawet, jak chować tego Coeura. Istny rostbef w smokingu, — straszne!!!

Popatrzyła ojcu w oczy, daleko i głęboko, przedziwnem spojrzeniem odległości, jakby w głąb prostych torów kolejowych.

— Musisz lepiej panować nad sobą, — dodała. — Coeur trzymałby się w takim wypadku doskonale, — zapewniam cię.

Kostryń ocierał łzy.

Zuza uśmiechnęła się pobłażliwie, mówiąc jakgdyby na pociechę:

— Podobno zginął tam też, na tym ósmym chodniku, młody Mieniewski?...

Kostryń zatoczył się pod szaragi przedpokoju.

— Jeżeli zginął Mieniewski, — szepnął, — to jesteśmy ze wszystkich stron otoczeni. Nie może być, nie zginął!

Zuza uśmiechała się łagodnie i cierpliwie:

— Musisz to stwierdzić dokładnie a wogóle musisz się uspokoić. Źle robisz, — nie zamykaj się przed nami a przynajmniej przede mną. Jesteś sam teraz, nie masz żadnego pomocnika, — Coeur dziś za ciebie rządzić już nie może, radź się chociażby ze mną.

Dyrektor Kostryń uścisnął córkę, zbiegł cicho po czerwonym dywanie, wymknął się z drzwi, poczem biegł pod murami, ukradkiem do Domu Ludowego z jednem postanowieniem, — zgody.

Czemuż nie otwierali?

Zadzwonił po raz drugi. Stał tutaj w sieni, jak na rozżarzonych węglach, — niech się zjawią przypadkiem jacy bezrobotni?!...

Zadzwonił po raz trzeci.

Rozległy się nakoniec kroki, ciężkie, wstrętne, — jakby ktoś wodę z wiadra wychlustywał na ziemię. W uchylonych drzwiach ukazała się kamienna gęba posła Drążka — i łapy!

Wielkie, czerwone łapy schwyciły dyrektora, wciągnęły do środka w półmrok przedpokoju, założonego worami, sprzętami.

Stąd dalej, przez pokoje, — jeden, czy dwa, — powlókłszy przez podłogę rzuciły na kanapę, przygniotły, skrępowały, — i:

— Gadaj, stary trutniu, mokra świnio, puszczaj tu zaraz farbę, — albo jutro jestem w sądzie!

Kostryń wykręcał się, aż przyduszony do oparcia kanapy wyjąkał wszystko...

Cały swój plan!

Przebitka, — rzecz normalna — pożar właściwy powstał tylko z tego powodu, że pierwsza drużyna, która zginęła cała na ósmym chodniku — lała wodę na ogień, dzięki temu zaś — para wodna — oczywiście, — zwiększyła proces spalania się węgla. Oto właściwa przyczyna ognia, — zwykła nieumiejętność, — poza tem nader późno przedsięwzięte środki ratownicze przez zawiadowcę... — Wszystko razem nie ma nic wspólnego z planami...

Potężne łapy posła Drążka nie wypuściły jeszcze karku dyrektora.

— Zgadzam się, — jęknął wreszcie dyrektor, — na dziesięcioprocentową zwyżkę stawek. Przeprowadzimy...

Drążek puścił Kostrynia, wskazał mu boczne drzwi i rzekł:

— Możesz iść do Falkiewicza.

Gdy Kostryń wszedł do geometry, Drążek przyskoczył do dziurki od klucza.

Patrzył uważnie, mocno, aż mu się gruby kark fałdował na kołnierzu. To znów otrząsał się przed drzwiami, jak pies z wody, i znów patrzył:

Scena była potworna.

Geometra spoczywał na kanapie. Kostryń, pochylony nad uchem markszejdera, zdawałoby się, — sączył w to ucho, — czy też ssał z niego, — obrzydłą jakąś treść. W miarę owego ssania, geometra poczynał mięknąć, wić się, kurczyć, sztywnieć. Poczem znów się rozkręcał.

W miarę żałosnych poruchów Falkiewicza, oczy Kostrynia, jakoby nasycone i obrzękłe już wyssaną treścią wlepiły się bezmyślnie w jasną przestrzeń pokoju.

— A to cholera, ścierwo, — powtarzał poseł Drążek, skrobiąc się po głowie.

Nagle, — Falkiewicz począł płakać swą startą, tłustą gębą.

Kostryń głaskał go cierpliwie po opiekłych plecach, ukazywał na serce, zapewniał o czemś. Ze łzami w oczach padli sobie w objęcia, geometra Falkiewicz zsunął się na kolana, — Kostryń rozgrzeszał go, — żałośnie uśmiechnięty.

— A to cholera, ścierwo, — mruczał Drążek przy drzwiach.

Poczem przepili, — poczem Kostryń ułożył Falkiewicza na kanapie i wyszedł.

Nie zamienili z Drążkiem jednego słowa; dopiero w przedpokoju.

Schwyciwszy dyrektora za ramię, rzekł poseł:

— Ale ci aktu zeznania Falkiewicza, draniu, nie oddam, póki zwyżki nie podpiszecie formalnie w Radzie Kopalń i Hut. Teraz ja mam na ciebie kapitał!...

2

SERCA UCZESTNIKÓW

Zamknąwszy drzwi za dyrektorem, huknął Drążek rozgłośnie: — Żono!!

Nie powróciła jeszcze starościńskim samochodem z ulicy Błotnej.

Poszedł do Falkiewicza, czy aby nie potrzebuje czegoś jeszcze?

— Nie? No, to wynosić mi się, — żadna gościna nie może trwać wiecznie!

Wylawszy Falkiewicza, oddał się poseł Drążek całkowicie sprawom uroczystości. Dwa razy był jeszcze w nocy u umrzyków, w Szkole Sztygarów. Czy kozły pod nimi dobrze są rozstawione, czy nie okradli zwłok jacyś łobuzi?

Takie to rzeczy, oraz takim podobne. Leciał z nóg, lecz pracował, mając teraz prawdziwą wyrękę — w Kozie.

Po kilku przełomach z ostatnich godzin nazbierało się w sekretarzu odpowiedniej godności, szacunku i wszystkiego!

Czyto przy delegacjach, które przez cały dzień na-

stępny od rana przybywały, czy przy rozpoznawaniu zaczadzonych i innych rozmiażdżonych, Koza stał — rzeczywiście na właściwej wysokości.

Rozpoznawanie ofiar było obrzędem strasznym. Trzeba tu nerwów nielada! Ci ludzie, naprzykład, co ich konie podczas popłochu pokopały i zmiażdżyły — pozmieniani do niepoznaki!

Kobiety mdlały w wielkich salach szkoły sztygarskiej, od jednego wezgłowia biegły do drugiego, że to ten znów, — nie ten, — albo znów może ten?!?

Mdlały w ramionach Kozy. On je cucił, on do rozumu zpowrotem przyprowadzał, dzieciom cukierki do ust wtykał, starszych zaś napominał: — Nie traćcież ducha, rozpoznajcie, — może po ręce, a może jaką bliznę pamiętacie, czy jaki inny znak?

Trzeba to było uzgodnić i ustalić, tem bardziej, że Koza powołany był przez Drążka, gdy jutro ruszać będzie kondukt, — do ogłaszania nazwisk danych rodzin, by rodziny owe za własnym nieboszczykiem kroczyć mogły.

Mieli z tem okropnego mętu na pół dnia, nim wreszcie wszystkie tabliczki do trumien przybili.

A tu znów delegacje partyjne — niepartyjne! Rozdęła się ta uroczystość, — nie spodziewali się tak szerokich rozmiarów.

U Cieplika tłum nieustanny. Żadnych rozmów, polityk, a tylko o pogrzebie. Gdy Koza z Drążkiem weszli do restauracji, milczenie poleciało przez stoliki, — jakby dyrektor generalny wielkiego Towarzystwa wstąpił tu do tej knajpy.

To samo na ulicy, — ukłony! Nawet samemu Kozie, bez posła Drążka, — też ukłony!

Sekretarz zbierał wciąż telegramy i ogłaszał liczbę delegacyj, — nie mówiąc już o tem, że kiru w całej Osadzie zabrakło, tyle spotrzebowali.

Delegacje przeliczał Koza, stawiając bały na boczku arkusza, potem rękawy musiał poprostu zakasać, włożył czarne ochraniacze pracy biurowej na ręce i liczył na liczydle.

— Bo to widzicie, towarzyszu, — mówił świeżo przybyłym z Katowic, — jest zjazd, jutro tu będzie chyba z dwieście tysięcy ludzi na pogrzebie.

Liczył ich, jak pieniądze, — czy co? I czem raz kartkę z wynikami posyłał za Drążkiem, na miasto, czy też do magistratu, czy na inne posiedzenie.

Potem znów trzeba było ceremonjał uzgadniać z władzami. Czyli z panem Kapuścikiem. No, — bo z kim?

Pan Kapuścik? Nie ten! Co dwa słowa powtarza: — Tak jest, panie sekretarzu. — Albo też nawet: — Tak jest, panie *kolego*. — Albo też nawet, — stosuje „wy“ społeczne. Czy też wojskowe „wy“?!

Wobec powagi chwili, — jakże przeczyć? Kolega, czy też „wy“ w takim bólu, żałobie ogólno-ludzkiej, — wszyscy porobili się kolegami z tej i z tamtej strony barykady.

Sprawy ceremonjału i jeszcze sprawy z klerem!

Dom Ludowy pieniędzy dać na kler, — ani dość miał, ani się zbytnio rwał do tego.

Poszły więc pertraktacje z kapitałem, który sypnął tak szczodrze, że miało być tych księży zatrzęsienie

z najstarszym kanonikiem Osady Górniczej Wyrobkiem na czele.

Wieść o Wyrobku wstrząsnęła bezrobotnych. Kanonik znany był przecie szeroko, jako burbon i piłat, — a tu prowadzi kondukt?!

Wszyscy drżeli nakoniec, czy pogoda dopisze? Rzecz taka do uroku obrzędów przyczynia się niemało.

Koza uprosił posła Drążka pod koniec nocy, w samą wigilję pogrzebu, by już dłużej na pogodę nie czekał.

— Ze wschodu słońca nic jeszcze nie poznacie, pośle. Przyłóżcie choć na trochę głowę do poduszki.

Sam pozostał na dole, w izdebce po warjacie, czyli w magazynie zbankrutowanej kooperatywy i tu, sam dyżurował.

Było czego pilnować: pogody, oraz dzwonili ze Starostwa i z miasta w sprawie mostku.

Na tym mostku wisiała teraz cała kwestja pogrzebu i w dziurach tego mostu mało nie potonęła.

Jest ten most przy kopalni Flora, gdy się schodzi z głównej ulicy na bok, w stronę cmentarza. Poharatany, dawno zgniły, niewiadomo też, komu właściwe podległy i kto ma reparować?

Takich spraw rozmaitych bezliku ciągle, — a tu już świt.

Z pośród mgieł spadających podnosi się strzelista ściana Szkoły Sztygarów, — lecz wszędzie jeszcze cisza...

Któraż godzina? Piąta czterdzieści.

Obok stukają jeszcze towarzyszki przy sztandarach, przybijają do drzewców.

Koza pochylił głowę, spocone czoło oparł o brzeg

kałamarza: w nocznej cichości przychodzą myśli, jakieby nigdy za dnia jawić się nie śmiały.

Już po raz trzeci zaczęła plątać się pod piórem sekretarza panna Zuzanna Kostryń. Jakoby w nocnych jedwabiach, czy kaszmirach szła z tacą w ręku, — na tacy kieliszeczki z szampanem. Jęczał pod tym urokiem Koza, — skoro w obliczu kapitału drogę odwrotu wszelkiego na zawsze już sam przeciął.

Zapalił papierosa, spłunął na znak, iż uważał wizję za rozproszoną i znów pisał artykuł do prasy partyjnej. Rył przez kalkę ołówkiem, u góry stronicy nęciło wzrok grubemi literami wypisane:

ALOJZY KOZA: PO KATASTROFIE NA KOPALNI ERAZM.

Która to już godzina?

Utkwił wzrok w zakratowanem okienku, — gdy nagle ryk straszliwy rozdarł całe powietrze.

Ryk potężny, przemożny, jakby się całe niebo waliło na kawały:

Wszystkie buczki, wszystkie syreny, wszystkich hut, wszystkich kopalń całego okręgu węglowego Osady Górniczej dawały światu znak, iż rozpoczyna się dzień pogrzebu ofiar erazmowskiej katastrofy.

Koza zerwał się na równe nogi, krzesło pod nim upadło, jął krzyczeć, wrzeszczeć, płakać, a w tym płaczu powtarzał nieprzytomnie:

— Ja za murami partji! Ja za murami partji! — aż chrypł tak wrzeszczał.

Poczem, niby po jakiemś morderstwie runął na rozścieloną bibułę biurka i tak, siedząco, ze łzami w oczach usnął.

Przebudziło go słońce i kołatanie do drzwi i stukotanie w szyby.

Jakże, — ósma godzina!

Słońce wielkim promieniem przecinało wskroś pokój, za oknem mnóstwo ludzi i rąk wyciągniętych. Koza otworzył delegatom, po swojemu wyrzucił opaski milicjantów, po swojemu nakrzyczał.

Przy obecnych umył się swobodnie do pasa, — widzicie tu przynajmniej na przykładzie towarzysze, co to znaczy taka praca redakcyjna.

Mył się w pośpiechu, lecz zarazem z niewysłowioną rozkoszą, że nawet jego, małego człowieczynę tak czasy naciskają, iż prawie na podobieństwo samego leadara — myje się i obrządza przy asyście towarzyszy.

Wyszedł z Domu Ludowego nie w takiem towarzystwie, lecz jeszcze lepszem!

Jako sekretarz ze starszyzną partyjną, z towarzyszami posłami na Sejm i do Senatu.

Zjechało ich! Na nocleg narzekali, na brak hotelu, czy też stosownego pomieszczenia.

Ruszyli przez szpalery milicji i policji i różnych straży ogniowych i rozmaitych organizacyj do Szkoły Sztygarów.

Niech se tam będą organizacje, jakie tylko chcą same! Chociażby z racji utoczonej robotnikowi krwi, poddawać się musiały wszystkie teraz pod komendę robotniczą, — rozważał poseł Drążek.

Strażacy plac przed Szkołą zdobili jaśniejącemi w słońcu szeregami metalowych hełmów.

Bardzo pięknie.

Dalej, według programu, przeróżne szkoły. Niech młodzież wie, niech widzi!

Dalej fachy górnickie z czarnemi sztandarami.

— Powiedzcie mi też, towarzyszu, — zagadnął Drążek senatora Michcika, gdy się na placu znaleźli, — co też to jest w sztandarze takim? Gdyż ja uważam sobie, że to jest skrzydło wielkiej rzeczy!

Tak umiał poseł Drążek stawiać sprawy drażliwe.

Orkiestr i muzyk rozmaitych! I trąb wielkich, błyszczących, poprostu jerychońskich, — jak Osada Górnicza Osadą, — nigdy tylu na jednem miejscu naraz ludzie nie widzieli.

A narodu!

Cóż mówić o tłumie? Z góry nadół, od szkoły aż za erazmowskie tory kolejowe aż poza hutę Katarzynę i za cynkownię jedną, drugą — morze szare, rozlane nisko pod niebem aksamitnem, aż po krańce widoku i chyba nawet dalej.

Na najwyższem wzniesieniu, przed oknami poległych całe klomby sztandarów. Górniczych — czarne, strażackich, — rozmaite, z Florjanem świętym, lub Józefem, i tych socjalistycznych, czerwonych, — co-nie-miara!

Kiedy rozpoczęła się właściwa uroczystość, nikt później nie pamiętał.

Pewne jest, że o godzinie dziewiątej minut czterdzieści pięć, rozległy się po raz wtóry na znak uroczystości wszystkie buczki Osady Górniczej. Głos darł się poprzez pogodne niebo, przeniknął rykiem swoim przeraźliwym, — gdzie?

Trudno ogarnąć myślą. Trudno pojąć rozpaczą.

Po ryku owym przyszła kolej na sekretarza Kozę. Na kamiennej terasie szkoły sztygarskiej wyliczał teraz kolejno rodziny, aby wychodziły z tłumu, stawać przy „swoich“ zwłokach i już ich nie opuszczać — kroczyć we właściwym porządku.

Rodzina taka to a taka, — poległego na polu pracy, — Sikory, — czy Dudało, — czy Zbrożka, — czy też Hebdy!

Najprzód sztygarska, potem starszych górników, potem pomocy, — każda szła za porządkiem. Gdy występować poczęli i iść schodami ku szklannym wrotom szkoły, w płaczu, w boleści swojej strasznej aż ślepi, poprzez spojrzenia tłumów, z dziećmi swemi drobnemi, z trojgiem, czworgiem, siedmiorgiem, — pouginały się wszystkie serca uczestników pogrzebu.

— Idzie żona Dudały z dzieciną swą przy piersi, i pani Stasiakowa z czworgiem i czarna w swej rozpaczy Martyzelka ze synkiem i córeczką. Tak znikła w drzwiach Lenora Duś, we dwoje z Tadeuszem, lecz skąd miał wiedzieć ogół, że to syn Mieniewskiego?

Znikali w rozłożystych wrotach gmachu Szkoły, — jakoby z tego życia i z tej ziemi szli już sami za wrota łączyć się z śmiercią swoją i zatratą.

A na to kler dopiero, jak znów rozpocznie swoje?!

Przeliczyć, — było ich tu chyba z kilkudziesięciu, kanonik zaś na czele. Kanonik w swych fioletach, opuchły, wielki, ślepiami ciskający.

Przeszedł sale, zatrzymał się przy pierwszej trumnie, ludzie go obstąpili.

Zerwało się tam pomiędzy księżmi, jakoby ugniatanie dziwne, czy przewlekanie...

Zwłoka!

I znów głos kanonika, bardzo srogo rozdarty.

Na to, — wyskoczył szybko po schodach poseł Drążek.

Rzecz działa się w otwartych wrotach Szkoły, cały lud widział kłótnię i dech w piersiach zatrzymał.

Sprawa była widoczna dla każdego, skoro kanonik Wyrobek ryknął coś ciężkim, „mięsnym“ swoim głosem, ukazując zarazem palcami na czerwone sztandary socjalistów...

Przemowy nie słyszeli zdaleka, lecz słowo jedno, — precz! — poleciało dokoła placu, krótko, ostro, — jak z bata.

Poczem sczepili się, czy też blisko przyłożyli we dwóch: poseł Drążek z kanonikiem.

Okrył ich smagłym cieniem wielki ganek Szkoły.

Mimo to widać było, — śnieg odbijał wyraźnie każdą linję poruchu:

Poseł Drążek traktował z kanonikiem.

Traktował najcierpliwiej, poufnie, w zrozumieniu, że na włosku wisiała znów cała uroczystość.

Pot spływał panu posłowi Drążkowi ze skroni, gdy podał ostatnie możliwe rozwiązanie:

— Jak nie chcecie prowadzić konduktu z powodu obecności czerwonych sztandarów, postawimy na czele strażackie?!... Macie tam tylu świętych! Będzie krzyż, potem będą strażackie sztandary, ze świętymi, potem pójdą górnicze, czarne, — potem nasze...

Ksiądz kanonik Wyrobek obu rękami przekreślił posła Drążka, za posłem całe słoneczne powietrze i poszedł już napowrót. Już w bramę Szkoły zmierzał, obwieszczając dookoła mocnym i „mięsnym“ głosem: — Precz! Precz z czerwonemi sztandarami, inaczej nie pójdziemy za pogrzebem!!!

Wytrząchał wciąż, czerwony, na swem tłustem obliczu czerwieńszy od fioletów. Olbrzymie usta księdza, rozpadające się raz po raz w gwałtownych okrzykach, ukazywały obecnym ogromną, straszną czarność w pośrodku.

Gdy oto nagle kanonik przestał machać rękami, inni ku niemu zbiegli, ze wszystkich stron, przeróżni księża i klerycy: w olbrzymią postać dostojnika duchownego jakoby piorun trzasnął, — tak stężała straszliwie.

Stała się rzecz okropna, z powodu której doszłoby już do pohańbienia śmierci, rozgromu, czy innego, jeszcze większego nieszczęścia.

Naprzeciw kanonika pojawił się ksiądz Kania. W sutannie kroju rzymskiego, czarnej, po kostki, w białej komży po wierzchu, lecz z szarfami i dziwną przyozdobą, biało-amarantową, tego jakiegoś swego, narodowego obrządku.

Kania blady, jak śmierć.

Gdy zjawił się, — po tłumach przeleciało zadziwienie, aż śpiewne, tak wezbrane.

Zaczął mówić!

Ręce w stronę ludu rozpostarł, znów wyrzucił w powietrze i głosił, co słyszeli od niego tyle razy.

O swym Chrystusie pracy!

O krzyżu, który jest niczem innem, jak wyobrażeniem słonecznej drogi świata. A znów ten lud roboczy, w ofiarach swoich tu widomych i wszędzie na tym świecie w szlachetnej krwi broczących, — który jest niczem innem, jak tylko właśnie figurą, podobizną, zasłoną, — więc postacią jedynej prawdy Boga, Boga-Prawdy w cierpieniu, czyli Chrystusa, czyli Syna Bożego.

Ujrzeli nagle rzecz stokroć jeszcze od poprzednich straszliwszą:

Tu rwie się z rąk asysty księżej dziki straszny kanonik, rozwiewają się na nim spódnice w szumie głośnym, przerywa Kani, ryczy szalonym głosem.... Tu Kania modli się do nieszczęsnego ludu, — tu nadbiega Kapuścik — wywraca się znienacka, zaraz na pierwszym schodzie o swą szablę, a tu znów babsko jakieś — czy kto?!

To Knote w modro-złotym kapeluszu, we wszystkich swych wydatnych obfitościach...

Kanonik wyrwał się wkońcu, zaryczał, suknią machnął, już doskoczył do Kani, — dał mu w twarz, aż plasnęło.

Przez cały plac — bolesnem echem!

Ksiądz Kania nie oddaje, nie broni się i dalej słowa swoje głosi, a tamten raz i raz, — po twarzy głośno, — i między oczy, — głośno —

Kani łzy z oczu lecą, — łzy męczennika ludu. Lecz wciąż stoi na miejscu, w pokorze, a tamten bac go jeszcze w zęby i — krzyczy:

— Duchowieństwo, — odchodzić stąd, — precz od sztandarów djabła, — nie idziemy w kondukcie!!!

Na to zaś, jakby warem poleciało po ziemi, od bia-

łych śniegów: pomieszały się różne połyski hełmów i skłębiła milicja i już rozprysło w wszystkie kąty ciemne bractwo dostojnych posłów Sejmu i Senatu i sztandary przynikły i już rozfuknąć miały w rozsypkę, — gdy właśnie Knote!!...

Biała na twarzy, jak sam śnieg, z oczyma w środku ciemnemi, niczem zimowe błoto... Głosem wcale nieludzkim i wcale niekobiecym woła:

— My biedni, podli, których poniewierają! Których biją i kopią! My biedni, podli sami poniesiemy nasz krzyż!

Nieszczęśliwa kobieta, głupia masażystka Knote z temi słowy wydarła kościelnemu krzyż, ruszyła naprzód pierwsza, — za nią lasy sztandarów, czerwonych, czarnych i z świętymi strażackie, za nią czterdzieścijeden trumien, przy każdej trumnie drobna grudka tłumu, — czyli rodzina poszczególnej ofiary wybuchu.

Pan poseł Drążek rozkazał grać orkiestrom.

Huknęło z wszystkich trąb, zapiszczało we wszystkich dudkach, bębniarze też nie żałowali swoich pałek. Wzbił się z tego wszystkiego głos wielce straszliwy i tak podniosły, — że prawie zapomniano o pierwszych incydentach pogrzebu.

Gdy z placu w skręt ulicy Przemysłowej spływał ów szereg trumien, Koza w budce specjalnie wzniesionej, coś jakoby z trybuny powtarzał jeszcze nazwiska przechodzących rodzin.

Wykrzykiwał je głosem wspaniałym a tak zaszczytnie, że gdyby nie to iż śmierć jest sprawą bezpowrotną, ten i ów chętnieby poddał się tej śmierci, aby dostąpić tak wielkiego zaszczytu.

Zaszczyt ów sprawiał, że rodzinom poległych niebardzo też starczyło miejsca i czasu na żałobę. Trzeba się było trzymać tutaj w obliczu tylu świadków, trza było pokazać się nielada!

Wdowy czuwać musiały nad dziećmi, by szły składnie i grzecznie. Doprawdy, — więcej tu czasem musiało być poprawiania krawatek, kapeluszy, wstążeczek w warkoczykach, niż żałoby.

Towarzysze i wszyscy poszczególni komitetowi i sam komitet ścisły ceremonji bardzo byli zadowoleni z postawy osierociałych rodzin. Tak wdów, jako też dzieci.

U niektórych wdów do tego nawet dochodziło, iż poprawność żałobna graniczyła poniekąd z obojętnością.

— Nie jest to obojętność, towarzyszu senatorze, — tłumaczył Drążek senatorom partyjnym z Warszawy na pogrzeb przybyłym, — lecz taka właśnie zakamieniałość bólu.

Jako wzór takiej właśnie głębokiej, ale w środku tylko kipiącej łzami zakamieniałości, pokazywał Drążek posłom bardziej czułym — Martyzelową.

Wdowę po starszym górniku: Martyzelu. — Słyszeliście zapewne, to taki nasz uczony filozof robotniczy.

Martyzelowa szła równo, spokojnie, uważnie, jakby naprzykład, nie przez drogę wydeptaną, lecz po linie, czy drucie?!

Do dzieci — ani słowa, ani też do nikogo.

Szła tak, jakby się działo w pustce, poza wszelkim nawiasem obecnego świata. Tu muzyka wybucha, trąby grzeją rozgłośnie, tu ktoś środkiem ulicy przebiega, to znów zatrzymuje się nagle cały kondukt i oto biedna

wdowa utyka prosto własną twarzą, na pół łokcia od blaszanej tablicy w nogi trumny, z wypisaniem:

†
MARTYZEL JÓZEF
STARSZY GÓRNIK

Martyzelka szła cicho, równo, albowiem zgodzić się w niej nie mogły myśli i rozdzierały ją boleśnie, na dnie okazują rzecz tak niespodzianą, iż mróz leciał przez kości, — w ten dzień straszliwy jakowąś radość okazując!!

Tyle przeróżnych faktów i tak strasznych. Tyle przeróżnych wspomnień — na zawsze bezpowrotnych. Tyle chwil, tyle czasów, które już nie zgonią się nigdy, nie spotkają, nie sczepią!

A tu jeszcze do tego fakty najistotniejsze: jak stała tam za trumną w Szkole, a ów kanonik bił po twarzy Kanię.

A tu znów dzieci kroczą, — dziś już wieczne sieroty! A tu znów nad twą głową i wszędzie, zawsze dla ciebie wdowo, troska twoja najcięższa, jakże tu je wyżywić, odziać, obuć, — uczyć?!...

Lecz nie — i nie: jakgdyby pospadały z niej twarde więzy mężowskie, jakgdyby innym rachunkiem pełniło się, że Martyzel nie żyje, a znów innym, że ona tędy kroczy i jest na świecie wolna.

Zdawało się chwilami Martyzelce, a zwłaszcza gdy mijali wielki kościół przy Erazmie, w którym kościele tak twardo rozmówiła się z mężem, — że chyba odejść jej wypadnie z konduktu, dzieci tu pozostawić, niechże idą przykładnie jak muszą, jak powinny.

Jakby ją teraz dopiero w ciężkiem życiu miał czekać lepszy, życzliwszy świat.

Gdy z wielkiej drogi skręcili na prawo, wzdłuż zabudowań Flory, prosto ku cmentarzowi, a tu po bokach wszędzie tylu ludzi, tyle sztandarów muzyk, pieśni i zaszczytów, takie kroczenie równe i bardzo honorowe a wokół śniegi roziskrzone, — nad sosnami cmentarza czarne wrony pod niebem, — niebo niebieskie a znów przy brzegach za miastem i od drugiej strony, za Florą, pomarańczowe chyba od mroźnego powietrza, — przejęło Martyzelkę coś takiego, od czego zasnąć można z radości i ze wstydu, ze szczęścia i z podłości i z tego przedewszystkiem, że się człek nigdy nie spodziewa, — jakim jest!...

Gdyż uśmiech na nią zleciał, — tak odczuła, — tak było. Więc jest to może obłąkanie?! Uśmiech cichy, radosny, w którym wszystka żałoba topiła się, jak śnieg.

Dla kogo uśmiech ów przemijał tak szczęśliwie, wiedziała od początku. Dla poniżenia księdza Kani, dla tego poniżenia strasznego, któremu trza okazać tyle dobrej pociechy.

Martyzelowa słuchała wszystkich mów, — było ich zaś bez końca na cmentarzu. Dzielnie żył mąż i zginął — więc już wcale nie cierpiał. Pozostawił sieroty, lecz wszyscy ludzie z sierot tu wyrastają, nigdy nie jest inaczej.

Spadają obowiązki nowe, ciężkie — bo cóż kasa wypłaci za śmierć i jeszcze po procesie a jak takim procesem obrócą tam na sądzie, w którą stronę, nikt nie wie.

To wszystko prawda!

Lecz pod spodem tej prawdy przemyka inna, żywsza, gorętsza, stokroć czulsza... Od której tu, nad grobem rozkopanym, przy dzieciach, w obliczu wielkiego zgromadzenia i trąb i płaczów i przemów uroczystych kluczyło w Martyzelce, spierało się, burzyło, — jak chyba tylko w owocu, gdy dojrzewa.

Pożegnała się z mężem przytomnie, z cmentarza zeszła i do domu wróciła spokojnie.

Dom — jak dom.

Żaden to przecie dom. Tyle, że dzieciom oszczędzili pierwszych chwil i z cukierkami je oddali na noc do Szymczykowej.

Co miała stara Szymczykowa teraz innego na głowie, skoro palacza Kapuścik już zamknął, — do sprawy z Coeurem zatrzymają nieboraka w więzieniu.

Rozsiedli się w tym domu za stołem Lenora i Tadeusz i Karolcia Domagało i najbliżsi sąsiedzi z ulicy Błotnej i Supernak.

Wypili!

Należało się przecież po takim wielkim dniu zjeść i wypić, tem bardziej, że pogrzeb trwał bez przerwy od rana aż do czwartej po południu.

Pili i jedli.

Lenora z Tadeuszem — nie. Ach tak, — wolała siedzieć z nim po tamtej stronie przepierzenia, w dawnej izbie Dusia, przy oknie. I tu we dwoje patrzeć na rozmiękłe podwórze, w stronę płotu, oraz na ośnieżony, pusty już gołębnik, — na miejsce to ukochane niedawno, — gdyż tu witali się owego szczęśliwego ranka,

miejsce dziś opuszczone z dawnego szczęścia i tak bardzo samotne.

Gołębnik był już pusty, Martyzelka na pierwsze koszta, i aby jakoś przetrwać pierwsze ciężkie godziny, posprzedawała sąsiadom bardzo tanio gołębie.

Na książki po ś. p. mężu amatora nie było. Koza tylko obiecał mimochodem, że książki wszystkie nabędzie Dom Ludowy do swojej bibljoteki.

Tu gołębie, tam książki, Supernak znów przymawiał się o paradne ubranie.

Rzecz prosta — za pieniądze!

Za pieniądze portjera Supernaka szedł dzisiaj poczęstunek. Pieniądze, — jako forszus. Kapelusz, spodnie, buty i piękny czarny surdut po górniku starczy na znacznie więcej.

Było wiele gadania o tem, o lampce po górniku, o sprzedaży, mieszkaniu, — na pokój Dusia kroił teraz Tadeusz, lecz gdy się rozkonspirował podczas awantur na Erazmie, — czekali, że go policja weźmie.

Czy też ojciec zabierze do Warszawy?

Czem będzie płacił Tadeusz Mieniewski? Główną swą rzecz, ów raglan oddał przecie Dusiowi do grobu i nic już nie miał.

Po Dusiu nic nie było do sprzedania, — zegarek, co miał zawsze przy sobie jako sygnalista, ukradli mu tam zaraz w izbie zbornej.

Bardzo gęsta szła rozmowa o tem, ile nakradli z trupów i z zaczadzonych. Z zaczadzonych przeszli znów wszyscy na temat Erazma.

Erazm, — gość osobliwy, tajemniczy biesiadnik wszyst-

kich rozmów na Błotnej, na Zielonej, na Przemysłowej i na Trzeciego Maja i wszędzie w okolicy. Gość dziwny rzeczywistem swem ciałem tak skąpo tu obecny, a w słowach ludzkich zawsze tak boleśnie przytomny.

Jeszcze tam nie dogasło chyba na podszybiu, — jeszcze zamulać chyba nie skończyli na ósmym i na trzecim poziomie. A tu rajcował każdy, niby o wielkiem szczęściu, tak pilnie wyglądanem: jakiego ześle teraz Towarzystwo nowego dyrektora, Francuza, jak proces poprowadzi od siebie cały Urząd Górniczy, jaką teraz okaże znów postawę Kostryń?...

Wszyscy widzieli dyrektora obficie płaczącego za pogrzebem swych ofiar. Kopalnia wieńce dała.

Supernak twierdził między jednym kieliszkiem a drugim, że teraz Kostryń pójdzie wgórę, gdyż, — jak się okazało, — nie jest wina kopalni, lecz wody. Wodę lali na ósmym, z pifli na ogień, a lali niedość, mało, — wiadomo, co jest woda w takich razach: para wodna!

Powtarzał — para wodna, — i nabożnie zamykał omszałe swe powieki i czekał, co powiedzą biesiadnicy?

Milczeli. Cóż ta komu z tego, czy woda, pifle, czy zarządzenie? Umarłym życia nie przywróci!

Supernak mówił i przecierał wszędzie pośród obecnych, co powiedział w noc, zawezwawszy portjera do siebie dyrektor Kostryń, gdy po przedwstępnych targach, pełnych skruchy i płaczu, na klucz tajnie zamknięci, rzucili się sobie w ramiona.

Woda wodą, proces procesem, — wszystko nic wobec Drążka! Ten zbił wielki kapitał na wybuchu Erazma!

Znowu wszyscy przez wszystkich, jako to Drążek wyszedł obecnie na ojca górniczego, jak to się teraz nosi, jak wszystko takim pogrzebem zatłamsił dookoła — gdzież są któreś przeciętne odłamy partyjne i gdzie sprawa strejkowa, gdy szyb sam zastrejkował, — niema go po pożarze!

Pani Drążkowa jeździ samochodami, organizuje, — klabzdra, — komitety, ludzie zaś pamiętają, jak jeszcze praczką była a potem w sklepie podawała.

Takie to dzieje, — poczem wszyscy, nakoniec, — żeby było ostrożnie, by w kwestji religijnej nikogo nie urazić, — o Kani...

O Kani i o Kani, — rechotał portjer, trzęsąc się swą kaleką figurą.

A znów Knote, — cholera baba, na mózg jej uderzyło i patrzcie taka masażystka-osiłek wyrywa krzyż dziadowi!

Supernak znów o Kani z pobożnym żalem, — chociaż Kania skończony teraz chyba między ludźmi?... Czy miał się bronić, czy policzki nadstawiać, niby ten Jezus narodowy?

Jedni — tak; drudzy — nie.

Supernak w śmiech i znowu szczuje, — trzeba było bić w zęby kanonika, pokazać honor narodowy.

Byliby się pobili o to z bardzo wielką łatwością. Gdyby znów nie Supernak.

Portjer, — że teraz Erazm stanie na miesiące, nie jeden i nie dwa, — czyli, że bezrobocie powiększy się i nic tu nie pomogą komitety pod wodzą pani dyrektorowej Kostryń, — wobec czego należy ogon podwi-

nąć pod siebie z wszystkiemi żądaniami klasy robotniczej.

Martyzelowa wyszła z izby, gdy się o Kanię pobić zamierzali. Spojrzała oknem do własnego mieszkania, — jak tam gęsto i gwarno i dymno, jak tam wrzeszczą!

Nogi ją same niosły przed się, gdyż myślami była już tam, — na miejscu...

Zaczęła biec. Z ulicy Błotnej wypadła między popielate śniegi, na torach kolejowych za stacją. Stąd przez wał kolejowy i znów polami a potem będą hałdy, w kotlinie czarne, zaśnieżone na szczytach, potem zaś dróżka, dawno już wydeptana, — potem zaś małe, czworogranne okna izby pod Opatrznością.

Nie ośmielała się pomyśleć dalej...

Kwiaty szaleństwa na rozpruszonym śniegu. — I niby dzwonki złociste w drżącym mroku.

Po dniu suchym, słonecznym, w późnych otchłaniach wieczora ścigał się wiatr, piszczał w rudawym gąszczu, przepadał poprzez drogę w głębinie nieba, pod samotnym szczerbionym księżycem. Nisko zaś ten sam wiatr w szczelinach zamarzniętych syczał sucho i twardo.

Sycz sobie, — Martyzelowa zatrzymała się w mętnej ciszy, wielce straszliwej, w której wypoczywało wszelkie powietrze i wszelki śmieć tych kątów.

Na znak żałoby bezczynne wszystkie huty, kopalnie i cynkownie i prace i zawody.

Blask ślizgał się po śniegach, cieniem spadał pod chaty dalekie.

— Ty wiesz, mężu, — rzekła głośno Martyzelka, — dokąd ja idę teraz!

Słowa umknęły z wiatrem, poderwała się za niemi Martyzelka, prosto, — mimo kontyny starej, ku zagrodzie księdza Kani.

Dojście tu było widne, — na lewo.

Wzięła się w prawo, aby nie iść przez światło księżyca. Bała się uczniów, choć przecie pewno włóczyli się daleko, po mieście.

Nietylko uczniów: bała się pustki, świata, księżyca, ciszy, nadewszystko zaś własnego wstydu.

Sumienia?!

Cóż tu sumienie!

Bała się swej odwagi.

Gdy weszła w cień, za niski płot, pomiędzy grządki,— wyciągnęła przed siebie ręce. Niech tak będą zawczasu i niech już wiedzą swoje!...

Tak szła, tak przekradała się, pół na pół ze strachem i z radością.

Zatknęło ją przy oświetlonem oknie, z izb bowiem przenikały na pole głosy — dwa...

Raz męski, — raz kobiecy.

Martyzelowa przycupła do ziemi, nie śmiąc wejrzeć do środka. Aż oto popatrzyła przez drobne szybki:

Tyłem do okna widać było wyślizgane podeszwy bucików: klęczała masażystka Knote. Ksiądz Kania stał poodal, przy szafie, z podwiązanym policzkiem pod portretami rodziców swych. Patrzył w przestrzeń czarnemi oczyma, szeroko rozwartemi.

Cofnął się nagle wtył!

Knote pełzać poczęła za nim na kolanach. Z wyciągniętemi przed się błagalnie ramionami spowiadała

się z krzykiem, z szumem, że aż tu słychać było wszystkie słowa na wietrze.

Twarz masażystki błyszczała złotym połyskiem naftowej lampki, ustawionej na biurku. Z oczu spływały łzy. Ksiądz Kania cofał się, to znów przybliżał, składał swe białe dłonie na fryzowanej głowie masażystki.

Dotknięta ręką, Knote kurczyła się i czołem przypadała do podłogi, nieomal do stóp księdza. Z okrzykiem:

— To nie jest jeszcze cała prawda!!

Ksiądz Kania płakał.

— Mnie całe życie tak biją, a ja im służę i nogi im rozcieram i coraz mniej i jeszcze za to coraz mniej litości u Boga zasługuję. I wkońcu nie wiem nawet, gdzie jest ten Bóg, jeśli Jego kapłana tak samo biją!...

Upadła do stóp księdza. Podnosił ją i głaskał, — podtrzymywał.

Podtrzymywał z fałszywem spojrzeniem, tak bardzo ckliwem. Aż oto mówić zaczął to samo, znów to samo, co zawsze. Ukazywał do góry, po składzie jego ust poznała Martyzelka, że wciąż wymawia słowo „Bóg“, oraz „zasłony“. Wieczne, wieczne, choć coraz bliższe coraz dalszego Boga.

Krew ścięła się w żyłach Martyzelowej.

Wyciągała przed siebie ręce do tego jedynego na całym świecie człowieka, a w piersiach, w sercu, w samem wnętrzu istoty burzyło się, łamało od gniewu i pogardy.

Przycupnąwszy do śniegów nisko, kryła się popod ramą okna i płakała strasznemi łzami utraty wielkich ostatnich nadziei.

Ksiądz Kania wznosił dłonie do góry, wygłaszał próżne swe kazanie, — Martyzelowa gryzła dłonie do do krwi, — gdy oto szurnęło coś wśród grządek.

— Kusz, — kusz, — kusz, — ludzkim głosem zawołało.

Ksiądz Kania wlepił pilne spojrzenie w szyby.

Martyzelowa wbok, — za węgieł, — pełzając przez ogródek zamarznięty, przez krzewinę i głogi suche. Ogromna postać czyjaś za nią, — klaskającą rękami.

Martyzelowa podarła się na płocie, lecz przehycnęła prędko — i w nogi!

Od strony parowu zabiegł jej jednak drogę drugi,— podobny cień.

— Łapaj, — trzymaj!

Pobiegła wgórę, ku rozwalonej szopie, można stąd uciec między hałdy i już dalej, ku miastu!

Przy szopie ją złapali we dwóch, — Pstrokoński, Machnik. Obaj pijani w sztok.

— Mateczka podsłuchuje, — to ładnie podpatrywać księdza!

Wyrwała się, dognali na ścieżce, skoczyła wgórę, wisieli jej na karku, poślizgła się, runęli na nią we dwóch.

Krzyczeć?! — nikt nie usłyszy.

Wrzasła rozgłośnie, — echo tylko zadźwiękło po mrozie, zatkali usta szmatą łachmanem i tak wlekli.

Przez hałdę do kontyny.

Wyrywała się, kopała, biła,— bili dwa razy mocniej.

Tak upadli za próg owej kontyny.

— Mateczka, — syczał w uszy Martyzelki Pstrokoński i smalił ją oddechem, szarpał, cmokał.

Broniła się.

Przez błyski szalonej pamięci motało się w wspomnieniu Martyzelki, iż rzecz dzieje się pod ścianą szarych desek, gdzie tak niedawno zwierzała się księdzu, a potem stąd uciekła, — nadejściem masażystki wypłoszona. Przez jakiś skręt szalonych obrazów krwawem obliczem przebłyskiwał kanonik, jak tłukł po twarzy Kanię, — a ów płakał.

Broniła się zębami, paznokciami, gryzła, że w własnych ustach słono miała od krwi.

Porwali ją nakoniec, zgnębili, — kopnęli i uciekli.

Została długi czas, w milczeniu strasznem.

Po drodze ku domowi śmiech ją porwał, ostatni, tajemniczy a pusty: że teraz właśnie przyjdzie już czas na wiarę?...

Na Błotnej, w oknach ciemno. W obu izbach nikogo. Wszedłszy, nie zaświeciła, byle przylgnąć do łóżka. Trwały w mieszkaniu mocne opary wódki, tytoniu i zaduchu.

Zasnęła.

Nad ranem, — później, — zdało się Martyzelce, że to był tylko sen, czy też majak ohydny, nie zaś prawda minionej nocy: jako, że nagle zbudziła się w posłaniu z Supernakiem!

— Byłaś u Kani a na noc nie zostałaś?! Wygnał cię święty człowiek!

Supernak szarpał się i dopominał, otłukła go po kościach nędznych, szamotał się, korzystał nikczemnie z tak ogromnej niemocy, — aż go Martyzelowa za drzwi wygnała, — jak psa.

3

MAŁE BUCIKI DZIECINNE

Martyzelowa sprzątała od rana, bez przerwy, — jak maszyna.

Myśli nikogo nie obchodzą, — a tylko jest na świecie, co zrobione. Tylko to jest na świecie!

Porała się z brudem i śmieciem, wczoraj naniesionym. W pustych ścianach rozlegał się trzask kubłów, szumiała szczotka ryżowa.

Tyle człowiek dziś ma, co gdy robi, — a jutro!? Gdzież na to bezrobocie teraz iść? I z czem? Stać przy gryzaku za dwa złote dzień cały? Przerost wybierać na sortowni? Po takiej pracy u Kani krzyżem leżeć?

Wśród listw i sęków mytej śpiesznie podłogi, jakoby szło, spływało, pospołu z brudną wodą życie najbliższe i najdalsze, jednakie już do końca?!

Cóż znaczy kobieta w Zagłębiu, — skoro ją mąż odumarł? Tyle, co pies bezpański. Dadzą rentę, więcej żebyś umarła, za mało, aby żyć. I przepychaj się sama.

Obliczyć? Wypada z takiej renty pomieszkanie

i pierwszych ośm dni miesiąca z dziećmi, — potem zaś choć się powieś.

Martyzelowa dokładnie spakowała rzeczy wszystkie po mężu.

Książki mogą zaczekać na półce.

Fotografje wszelakie, zjazdowe, czy z kongresów ułożyła do swego kuferka, żeby było dla syna. Niech ma taką pamiątkę po ojcu. I tak, w czasie porządków tych, poczęła zupełnie niespodzianie tłuc głową o ścianę.

Na wspomnienie wczorajszych okropności, wobec takiego odwrócenia się życiowej karty.

Zapłaćcie mi, — jęczała do własnej hańby, — zapłaćcie mi!

Ile z książek odbierze od Kozy, ile za rzeczy męża nazbiera, ile wyniesie renta, w jak wysokim procencie od pobieranej przez nieboszczyka płacy? Nie szło to wszystko przez głowę Martyzelki wyraźnemi myślami. Jawiło się podmuchem gorzkim, wypomnieniem przyszłości, która wcale nie stała się jeszcze, — a już przybywa na zawsze odrobiona.

Spowiadać się u Kani, fałszerstwem żyć, stać przy gryzaku z twarzą do krwi zadartą, — na sortowni wybierać przerost!...

A tu znów dzieci: buty, szkoła, — ubranie, — a tu bielizna!

Węgla wcale nie dali, kartofle nie spłacone...

Zapłaćcie mi! — głos ów przeważał ciągle w myślach Martyzelki, choć nic nie znaczył i kogoż miał się tyczyć?

W piersiach ciężkie gorycze. Straszności dzikie jasne

przez oczy przelatują, stanąć tylko na placu i przed policją, ludźmi przed wszystkimi wołać bez zatrzymania: — Zapłaćcie mi! !!

Tak się odwraca karta, w życiu takiem.

Usiadła w oknie z jedną edyną myślą: Tak się odwraca karta i to jest biedne życie wdowy, czyli głód omaszczony poniewierką.

Martyzel, albo też taki Duś, czy Kania, wszyscy oni — warjaci. Za jedynego opiekuna pozostał w tem życiu — nędzny portjer Supernak.

Taki to będzie teraz opiekun i przyjaciel.

Cisza zapadła w Martyzelowej, pozamykało się głuchą obojętnością.

Taki los wdowy z dziećmi.

Wiadomy.

Przykładów dość, — wspominać nie potrzeba.

Napiła się wódki i ogarnąwszy się, w swoim żakiecie szarym wyszła po dzieci, na Zielone do starej Szymczykowej. Sprowadzić je do domu wreszcie, po tych strasznych wypadkach.

Cóż miał tu świat do powiedzenia? Nic. Możesz leżeć pod płotem, napadnięta przez zbójów, u Kani znowu Knote leżeć będzie krzyżem a świat codziennie swoje!

Przypytały się oto do wdowy, właśnie tu, wpoprzek torów kolejki, z których koliby, pełne piachu zamułkowego pędziły prosto w stronę kopalni Irena, — przemądre bardzo okrzyki mężowskie z pogrzebu Supernaczki. Tu im do twarzy było teraz, w taki dzień szary, pusty i głuchy.

Martyzelka myślała o mężu: myśli nikogo nie obchodzą a jest na świecie tylko, — co zrobione.

Przybyła do Szymczyków mroczna, ciemna z namysłu.

Supernak czekał w odświętnym swym surducie. Napalone miał w obu izbach ciepło.

Patrzył? Powiedzieć trzeba, — modlił się, ślinił spojrzeniem upragnienia. Uprzejmy, chętny, skory.

Zdjęła Martyzelową zimna i twarda srogość. Odprawił Szymczykową z dziećmi, — cóż tam ta Szymczykowa, gdy starego trzymają w więzieniu, — mniej dzisiaj znaczy, niźli zmarznięty wróbel!

Portjer drzwi pozamykał i jął świecić. Rzęsiście w swym muzeju: więc lampę z baletnicą i wszystkie kandelabry i lichtarze. Zwijał się koło tego z cichym, skromnym pomrukiem.

Martyzelowa stała pobok, pogrążona w bolesnej rozwadze o tym czasie człowieczym, jak mija, samego siebie zastępuje wciąż inny, — wciąż ten sam.

Nad głową zaraz, w tej oto kuchni sprężyny tu przechodzą, te druty aparatów radjowych księdza Kani. Poodal zaś jest łóżko na którem Supernaczka konała, posiniaczona do krwi przez tegoto człowieka. Parę dni temu, jak układały we dwie chrzest i wszystko, z czego mgła nie została nawet, i wszystko rozproszone jest we wszystkie strony.

Supernak chodził po muzeju, coś niby sprzątał, poprawiał i prostował i znów krążył wśród mebli, jak przepłoszony zwierz.

Głos mu wylatał z ust, wołanie, raz po raz prze-

gryzione. Znów do szafy zaglądał, przekładał tam — i wracał.

Jak się stało, że przestał krążyć i przystanął w Martyzelkę wlepiony?

Zamachał ręką, głowę ukrył w łopatkach i zacisnąwszy powieki, krzyknął:

— Bijesz mnie! Bijesz, — beczał, nieszczęsny, uparty na tem samem miejscu podłogi, jakby zewsząd dokoła przepaścią otoczony.

Z tego mętu i wstrząsu wyrwało się Supernakowi:

— Gdyż wdowa pozostaje u nas, jak kaleka!... — Wyrzekłszy takie słowa, głaskał wszystkie przedmioty, pufy rozlicznych fotelików, bambusy i poręcze.

— A cóż z tego naprzykład? — Martyzelowa usiadła przy drzwiach muzeju. Wpatrzona ostrem spojrzeniem w nikłe oczy portjera.

Rozpłakał się.

— To wszystko twoje — płakał. I powtarzał, jakby samemu w głowie pomieścić się nie mogło. — To wszystko twoje!

Żądze go znowu przypaliły: zaniósł się śmiechem nagłym i skrzeczącym. Zawinęło nim! Zwalił się do nóg Martyzelce, nic więcej nie mówiący, — tylko jęk, tylko grzechot ochrypłych zawołań.

Siedziała na krzesełku, wpatrzona w Supernaka najzimniejszym rozumem: wyrachowania.

Poczęła nagle mówić, przed siebie, w oświetloną głębię muzeju, jakby z kulek błyszczących na meblach z blasku i politury zgadywała swą prawdę:

— Jesteś kłamca, morderca, złodziej i szpion do tego.

Supernak przylgnął do podłogi. Grzbiet mu się sklepił wgórę i wygiął, jak psu.

— I szpion i prowokator — wołał, przejęty tak bezczelną radością! — I niech do tego będzie jeszcze morderca. Wszystko! Czemu nie?

Cóż mówił wyraźnego? Nic. Lecz przędły się ze słów jego i spojrzeń białe, zimne płomienie, rozpacz i łzy gryzące i zgrzyt całego wnętrza i piekło okropności!

— Szpion oraz prowokator, — dodaj jeszcze kaleka! Zapomniałaś: kaleka!!

Zacięty, siny z czarną żyłą na skroni wpośród błysków muzeju, jakoby z hałdy rzucony tutaj żużel, obijał się o sprzęty, stukał, zgrzytał.

Martyzelowa schwyciła go za ramię, krzycząc:

— Zapłacisz mi za wszystko!

Przypadł do niej, łasił się i wołał:

— A wdowa wszędzie u nas w Osadzie liczy się, jak kaleka! — Kłapał szczękami, cieszył się, znów bełkotał.

Przez twarz Martyzelowej jakoby wiatr przelatał mroźny, ostrzący rysy.

— Zapłacisz mi za wszystko, — teraz ty będziesz płacił, — wrzeszczała wniebogłosy, — teraz ty będziesz płacił, stary portjer Supernak, — morderca, szpion!!!

Pochylił się, wydobył portfel i niby liczyć z niego zaczął, — pięć złotych, — dziesięć, — do dwudziestu, — trzydziestu.

Wyrwała mu pulares, wyflaczyła wszystkie skrytki, wydobyła pieniądze.

Ręce jej drżały.

Supernak przerażony odskoczył pod ścianę.

Martyzelka porwała z kanapy alabastrową, białą krówkę — i chrast w Supernaka. Ledwo się biały marmur rozprysnąć zdążył, gdy znów chrast! inną rzeźbą, — cyganką z wisienkami. Potem murzyn gipsowy poleciał, potem szklanne lichtarze.

Krzycząc — będziesz mi płacił! — biła w portjera skarbami temi.

Pieniądze, — wydać, — przejeść, — trucizna i zaraza!

Wykręciła od domu Supernaka wkoło, nad stawami, gdzie restauracja. Zdało się tutaj wdowie po zarysie na szybach, że siedzą tam we dwóch, — Pstrokoński i Machnik.

Wejść, łby im poroztrącać i oddać się policji i tak z tem wszystkiem skończyć.

W restauracyjce było pusto, przepiła, — sama do samej siebie. Nabrała stąd jedzenia: kaszanej kiszki, krwawej, salcesonu i czego jeszcze? Chleba, bułek, wszystkiego dużo za gotówkę. Z jedzeniem tem do domu poleciała, a tu widać zdaleka, jeszcze z pomiędzy drzewek, jakoby się tam stało coś, — tak wielki natłok, że podwórze zapchane ludźmi!

Kto? Z ulicy Błotnej, sąsiadki — nie sąsiadki, różne wdowy, sieroty, sami poszkodowani!

Pomieszczkanki ulicy Błotnej zwiedziały się, że młodzian z Lenorką, co się tu ma wprowadzić, jest prawowiernym synem ojca, leadera, pana posła Mieniewskiego.

Do kogo z swą krzywdą, jeśli nie do tych ludzi?

Tadeusz stał pod ścianą, w pierwszej izbie, blady, lecz uśmiechnięty. Nie patrzył przed się, owszem palił ubocznie papierosa, zaciągał się rzadziutkim dymem i tylko, gdy przegarniał uczesanie, ręce mu drżały lekko.

Lenora zaś świadczyła stronom. Dosyć się nasiedziała już nad grobem brata. Świadczyła cicho, uprzejmie, przytwierdzając skinieniem w obliczu Tadka swego, jak przed władzą. Skinieniem ręki, ruchem głowy, to znów czułym okrzykiem, — naprzykład:

— Znają was przecie, moja pani Wiórowa, w jakim jesteście stanie!

Na to Wiórowa w płacz, gdyż stała pierwsza, wydęta, już trzy pary bliźniaków rodziła, teraz znów była w ciąży i znów pewno bliźniaki.

Wiórowa w płacz, Lenora zaś uśmiechem prawdy i czułego dowodu patrzy na swego Tadka.

Po Wiórowej zaczęły śmielej wszystkie spowiadać swoje żale. Podniosło się to w izbie jednym rozgłośnym razem, — z tego krzyk!

Stało tych wdów tu w izbie, chyba że ze trzydzieści. Każda z licznem maleństwem. Każda chce mówić, każda musi powiedzieć, a jakże dojść do słowa?

Tadeusz oparł się o ścianę, uśmiechnięty, wykrzywił wargi, coś jakby w żalu i w najczulszej pogardzie. Rzecz wynikała z tego osobliwa na twarzy młodzieńczej, mianowicie, — zdziwienie.

Jakoby się wydziwić nie mógł! Nawet macał rękami po ścianie na ów znak podziwienia, potem ręce spadały mu same.

Wdowy nastawały w dwójnasób.

O to, że w Komitecie Pomocy Ofiarom, niektórzy kupcy, — Komitet teraz właśnie ma swe zebranie w magistracie, — zdeklarowali już pokaźne ilości! Dwadzieścia cztery pary bucików dziecinnych i ubranka tam są i ciepłą bieliznę przewozili dorożką, — Niestojowa widziała na własne oczy. Pieniądze są zdeklarowane także z różnych stron, w gazetach wciąż podaje telegramy o tych pieniądzach dla nas, — a cóż tam o nas wiedzą w Komitecie!

Wcale nic nie pytają! Pozdychamy, nim co udzielą, dzieci boso biegają po śniegu!

Inne matki żywiej usposobione, w obliczu syna poselskiego wypchnęły naprzód swe maleństwa, — niechta świadczą golizną swą i nędzą.

Dzieci znów w płacz przed Tadeuszem z samego strachu. I tak już w głąb przez izbę aż do sieni jeden poruch tych oto zajdów ludzkich, krzyczących cienkim głosem swojej krzywdy.

— Oni tam posiedzenie mają w magistracie, a nam tu tyle z tego, że tylko droga jest przed nami! Nikt się za nas nie utarł!

— Na wojnie cztery lata był i przyjść potrafił, a tu takiego człowieka zaraz mi zmarnowali!

— Węgla wcale nie dają!

— Żałobę taką wciąż w zimnie obchodzimy!

Uwił się z tego jeden rozgłos mętny, — gdy nagle przycichł.

Tadeusz zbladł. Stały przed nim kobiety drżące, z rękami na głowach dzieci, przerażone, spłakane, blaskiem naftowej lampy naukos oświetlone.

— Rzecz jest niezmiernie prosta — wyrzucił to zasięgiem głosu ojca, szerokim chwytem oratorskim. — Rzecz jest niezmiernie prosta, musimy pójść, nie czekać wcale, — musimy sobie pójść do magistratu. Nie czekać tylko, moi ludzie, aż organizować zaczną! Nic wtedy nie dostaniesz jedna z drugą! Dostanie sztygar, dozorca, no, — może starszy górnik, — wy nic! Nie macie głosu żadnego nigdzie, nie macie głowy, — wam nic nie dadzą, gdy już zorganizują!

Wsparty o ścianę uśmiechał się uprzejmie wypróbowaną uprzejmością ojca, z oczu łzy mu płynęły, usta z trudem otwierał.

— Musimy, — wzdychał, — iść stąd do magistratu, musimy się pokazać. Przytomnie i rozsądnie. Pokazać się minutę, — dwie, — no, trzy! Rozumiecie: Tak wyglądamy i tacy tu jesteśmy. Inaczej zaś przepadnie wszystko. No, — więc chodźcie! Nie bójcie się!

Gorąco zrobiło się od skarg nabrzmiałych, oraz od wiadomości na temat Komitetu. Co tam jest już złożone, — wczoraj dzieci dozorców, co ich zaledwie trochę poturbowało, — nowe buciki dostały z komitetu.

A jak to zaraz po pogrzebie urwało się odrazu wszystko, skoro tylko pomiarkowali, że jest przebieg spokojny?

A jakże tu śmierć ofiar rozruchami hańbić i taką po swych ojcach dzieciom pamiątkę zostawiać?!

A jak tam z mąką kręcić będą?!

A zaś, co do pieniędzy to jest wiadoma gospodarka, bynajmniej nie od dziś!

Szli w głąb ulicy Błotnej, przez twardą grudę, matki otoczone dziećmi.

Lenora z szczęściem najdziwniejszego wstydu w piersiach, dreptała za swym Tadkiem, pośród kobiet nieco młodszych, dumna, że doradziła wszystkim.

Kobiety młodsze wciąż tylko o bogactwach, co je Komitet ma, lecz nie udziela. Starsze zaś przezorniejsze zaraz pieśń intonują.

„Kto się w opiekę“: z czystości serca i przez rozum, — bo niech będzie policja, niech nie zechcą przepuścić, — procesję zawsze puszczą.

Zrobił się z tego pochód cały. Od rogu Błotnej ulicy, gdy mijali pod wielkiem światłem Urzędu Górniczego, doliczyć się już wszystkich uczestników nie mogli.

Przybrało się też sporo mężczyzn i biedy z wszelkich kątów miasta natrzęsionej.

Pod światłami Szkoły Sztygarów tłum zwinął się raz jeszcze. Kobiety bały się schodzić jawnie przez magistrat.

Jechał konny policjant, wzmocniły śpiew i wreszcie pociągnęły za dziećmi.

Magistrat położony był tak samo na ulicy Przemysłowej. Pierwszy jest Dom Ludowy, naprzeciw Rada, potem idzie Magistrat.

Zaprzestały swej pieśni.

Wszystkich pięć okien magistratu na pierwszem piętrze w pełnem elektrycznem świetle...

Wiórowa drzwi otwarła pierwsza.

Chlusnęło światłem w ulicę i na tłum.

Za drzwiami sień obszerna, — niema chyba człowieka w Osadzie, by w swem życiu nie biegał tu po „zaspomogi“.

Jakby wiatr nagły począł tu wpychać ludzi.

A znów dzieci, — którędy?!

A tu znów obcasami, ci co szli wpodle kobiet, — mężczyźni.

Wir z tego powstał, łomotanie i zgiełk. Jednych i drugich niosło wzburzonym strumieniem, tymczasem już zbiegają pachołcy magistraccy. Nie mówią nic, tylko zaraz do pięści!

Powiedziano ze strony delegacji, — wdowy chcą mówić z Komitetem dla ofiar katastrofy na Erazmie!

Niema tu żadnych wdów — i straszny łomot. Czterech było tych woźnych, ludzie tutejsi, znani w Osadzie każdemu. Lecz kto rządzi, ten zawsze chętnie odrazu bije! Bili przez piersi nawet, nie patrząc, czy jest która w takim stanie, czy starsza, czy też z dziećmi.

Cały przedsionek magistratu zapiszczał wielkim gwałtem. Nie był to męski krzyk, lecz jakby kto wiklinę targał, krzaki jakieś przegarniał: szum wysoki, piskliwy, prawie szklanny.

Matki najlepiej wiedzą, co się której należy!

Ogólne zawołanie wszystkich kobiet: — Niech matki idą pierwsze!!!

Chciały się piąć po schodach, lecz woźni nie dawali.

Na końcu schodów widać olejne drzwi.

Dostać się do tych schodów!

Otwarły się znienacka, tłum kobiet jakby osiadł.

W drzwiach stała panna Zuzanna Kostryniówna, zaczesana, błyszcząca, wystrojona, jak z igły. Włosy nad czołem ślkące, usta wymalowane na czerwono, — serduszko istne. W sukience czarnej, pończoszki jedwabiste, pantofeleczki czarne z iskierkami oświetlenia na pięknych szpicach.

Mrużyła oczy, srogo spozierając ku sieni.

Kobiety, które były najbliżej, z rozpaczy, czy też w postawę klasy robotniczej nie wciągnięte, czy może z troski samej, ujrzawszy tę osobę tak mocno wtartą w różne sprawy Erazma, — jęły z pierwszego rzutu błagalnie wyciągać ramiona. Z prośbą o zmiłowanie: że tu je woźni rozbijają, że z dziećmi tu przybyły, które są głodne, bose.

Woźny stojący w środku, pośród czterech, — znali go wszyscy, — na imię było mu Piotr, nazwiskiem Derka, — ugiął się nagle... Odrzuciło go i już przez niego naprzód, po schodach rozeschniętych skakał, po trzy, po cztery — Tadeusz.

Przed nim Buruś, — skąd się tu wziął ten pies? Brudny, kudłaty Buruś.

Tadeusz skacze schodami a tam na dole gada znów całe mrowie. Ci, co stali na dworze jeszcze, tak teraz nacisnęli, że znów weszło do środka parę osób, wcisnęło się do sieni. Nie mogli już drzwi zamknąć. Leciał tamtędy śnieg, nad głowami ludzkiemi, wśród płaczu przyduszonych dzieci.

Tadeusz pędził wgórę, z wyciągniętemi naprzód rękoma, jakby w nich trzymał co najmniej serce całej

sprawy. Po drodze śmiał się najlepszą swą dobrocią, zdyszany, skory, szybki, tak szczęśliwy, z tego spotkania wreszcie!

Nie mówił „ty“, — broń Boże, — znów mówił jej na „pani“ zadyszanym półszeptem.

Zuzanna patrzyła w oczy z głową wbok przechyloną, twardem, bystrem spojrzeniem z pomiędzy ścisłych powiek.

— Rzecz jest prosta, — nastawał Tadeusz, chwytając ją za końce palców, — rzecz jest prosta, nie trzy minuty nawet, jakież tam trzy minuty? Trzy sekundy! Te kobiety, pani rozumie, chcą tam wejść, — poskarżyć się, — rozumie pani?! Gadajcie z niemi, rozdajcie im, co macie, — poproście siedzieć!

Stracił wątek. Serce waliło mu straszliwie, jak nigdy jeszcze w żadnym szturmie najtrudniejszych okresów wielkiej, światowej wojny.

— Niech pani nic nie myśli, — tak zrobić, jak mówiłem, zawołajcie je zaraz!

Chwytając ją za rękę, odwrócił się ku schodom, gdy oto uczuł równocześnie, że ręka ta, tak delikatna, wyrwała się brutalnie z objęcia.

Wytrysnął głos Zuzanny:

— Woźni zostać na dole, — nie wpuszczać!!! Komitet dziś nikogo nie przyjmuje!

Zuza znikła, drzwi zawarły się z głuchym poszumem, Buruś odskoczył wtył, wielce przestraszony, w sieni zakotłowało.

Kiedy woźnych odepchnięto, że cały tłum jedynym susem poskoczył już na górę, — niewiadomo.

Tadeusz pierwszy! Woźni za nim, uwiesili się we

dwóch, dwa ciężkie karmne muły, nie wiedział nawet kiedy ich poroztrącał, tylko mu guzik z suknem granatowem został w okrwawionej pięści.

Kobiety, — nie patrzące na nic, kopane przez pachołków magistrackich, spocone i spłakane, poobwieszane dziećmi, — stugłowa zmora jęku.

Drzwi rozpękły naścieżaj.

Gdy później, ach, — o wiele później na sądzie stawał i sprawę z tego zdawał, jeszcze nawet i wtedy, nie mógł Tadeusz skrócić tego obrazu w swych słowach: żywe ciało, szarpane, wielkim jękiem płaczące!

Wstrzymała je posadzka sali. Tak bardzo czysta, błyszcząca! Niczem tafla wyślizganego złota, na którą kobiety bały się wejść, nie śmiały stąpać.

Naprzeciw pod oknami stół długi, zielonem suknem obciągnięty, dzwonek i co tam jeszcze? Ołówki i papiery. Za stołem, — ośmnaście, dwadzieścia, — jak wyciągnięte z sztywnej lakierowanej blachy, — panie komitetowe.

Zapiszczały!! Pisk osobliwy grzeczny, lecz nader przejmujący.

Byli tu i panowie. Był też Kostryń.

Wyskoczył naprzód z krzykiem: — Precz! Nic nie dostaniecie!!

I zaraz bieganina: panie komitetowe, łydki błyszczące, szklanne biegające dookoła w popłochu.

Prowokacji nie było żadnej, — to nieprawda.

Wiórowa, wszystkie inne, Niestojowa, Dudało, Martyzelka, wszystkie kobiety zaczęły się w głos skarżyć. Na to, co było szczerą prawdą: z głodu zdychają a dzieci marzną.

Ze skargami sunęły w stronę stołu, pod wielkie okna sali.

Po lewej stronie, między ścianą a stołem leżały owe rzeczy, — zebrane dary Komitetu.

Było tego nic prawie i jeśli się choć trochę zna potrzeby ludzkie, to to, co tam zebrane leżało, nie obdzieliłoby dwudziestu rodzin.

Poszkodowane wszystkie ciągnęły w tamtą stronę, ku tym przedmiotom, ciepłym ubrankom, bucikom, czapkom wełnianym, rękawiczkom.

Lenora pierwsza, pochyliwszy się nieco uniosła parę żółtych bucików i z radosnym okrzykiem zawołała:

— Pani Wiórowa, — cztery pareczki takie, jakby w sam raz dla pani!

Komitetowe damy blaszane stropiły się. Wtedy kobiety z Błotnej poczęły zaraz chwytać poszczególne przedmioty, ta to, a tamta owo, a już trzecia ubranko, a tamta znów śniegowce maluteczkie.

Panna Zuzanna Kostryń nie pozwala.

Już wydarła buciki z ręki Eleonory. Wydarła je z słowami:

— Wracaj do swych murarzy. Ty! Wracaj do swych murarzy, — prostytutko!!!

Lenora Duś zakryła sobie twarz owemi dziecinnemi trzewikami, wydawszy przytem okrzyk, przeraźliwie żałosny:

— Nie jestem prostytutką, — wcale!!

Skoczyły inne znów kobiety, a już od tyłu z bocznego wejścia wchodzili policjanci.

Przez całą salę rozruch leciał szalony, to też, gdy o tem później na sądzie wspominali, zdania się podzieliły.

Jedni, że było tak, drudzy, że było owak.

Gdy inne robotnice przyskoczyły już do Kostryniównej a Lenora pozostawała jeszcze z twarzą bucikami dziecinnemi przesłoniętą, śmiertelnie zawstydzona,— wtedy to padł strzał pierwszy.

Zachwiała się Lenora wystrzałem Kostryniównej ugodzona. Wtedy zaś drugi strzał nastąpił.

Strzelać w takiej ciasnocie, pośród tylorga dzieci, więc jakże strzelał ten Mieniewski, skoro broni do oka nawet nie przykładał?

Z kieszeni strzelał przez sukno, czy też jak?!

Strzelił do Kostryniównej, poskoczył do Lenory i objął ją ramieniem, krzycząc jedno:

— Lenora, — ach, — Lenora!

Tak przeraźliwie, że jak to ludzie później wspominali, — zawsze płakali.

Dusiówna zwisła na ręku Tadeusza, pochylił się, ogarnął, cały się nad nią sklepił, niby jedno jedyne dla niej na całym świecie podtrzymanie.

Panna Zuzanna Kostryń złapała się za nogę, z bólu. Przenieśli ją na krzesło a stąd co prędzej dalej i precz z magistratu.

A tymczasem policja!

Dzieci zmykały pierwsze. Za niemi, łącząc się w jeden toboł chust i szmat, — wszystkie kobiety, na które spadał pościg policjantów.

Prowadził ich Kapuścik, — wyznawał się tu świetnie. Szli teraz prosto naprzełaj, do Mieniewskiego, który składał Lenorę na ziemię.

Właśnie szeptał do ucha, przez rozwiane jej włosy:

— Oprzyj się trochę, Lenorka, czekaj — czekaj chwilę!

Właśnie mu jeszcze rzekła, obejmując z tak czułym żalem:

— Pocom ci Tadek, poco, — taka biedna dziewczyna...

Ranną, w pośpiechu złożywszy byle jak: — Nie bijcie ludzi, — wrzeszczał Mieniewski, łzami zalany i straszliwy, w dzikiem szaleństwie.

Szamotali się pod ścianą i na ziemi, w pięciu zwalili się na Mieniewskiego, wywlekli stąd na tylne schody a tam już pod pięściami strasznemi stracił wrychle przytomność.

Pan Kapuścik zarządzał szybko i energicznie. Przykazał zgasić wielkie światło na sali a zostawił poboczne. Pocóż ma być to widać wszystko na ulicy? I tak już kamieniami wybijali szyby.

Wiatr teraz niemi ciągnął i śnieg prószył do środka. Pod ostatnim oknem, gdzie bójka nie dotarła, utworzyło się na podłodze białe pasmo.

Kto ma czas na literackie obserwacje? Sprawa Erazma, — drugi przewód sądowy. Bójka na magistracie, pobicie kobiet, — sprawa doraźniejsza!

Panna Kostryniówna — popełniła ostatecznie zabójstwo, — syn leadera strzelał w obronie swej dziewczyny.

Lekarz ma się rozumieć skonstatuje to jeszcze, — dziewczyna kopalniana nie żyła już, — to pewne.

Jak padła, tak leżała tu z parą związanych bucików dziecinnych w ręku.

Kapuścik zerwał się, przebiegł salę i wychylił się z okna.

Ulica Przemysłowa była już uprzątnięta. Wszystkie dojścia do magistratu na odległość kilkuset metrów zamknięte przez policję.

Pod podjazdem magistratu stała karetka więzienna. Znane Kapuścikowi konie, bułanki, machały złotemi ogonami przez śnieg.

Nie widać było nad podjazdem, kogo żołnierze policyjni ładują do wozu. Kapuścik rozpoznawał — ze słuchu. Ładowali normalnie, — słychać było, że utykają wzdłuż ścian, jakby mnóstwo tobołów.

Powrócił na swe miejsce, musiał przeczekać, — aż trupa odpowiednio opiszą i uprzątną. Siedział na kupce ciepłej bielizny dziecięcej i rozmyślał, obracając w ręku znalezione przy Mieniewskim papiery, — na nazwisko Mieniuk.

Stanisław Mieniuk.

Poniżej rysopis: Twarz owalna —

No, — teraz przez parę dni nie będzie owalna! To już trudno!

Należało telefonować do Starostwa, ba, — co telefonować i jak? Wyjść z założenia, że pierwszy wystrzelił właśnie Mieniewski. Panna Zuzanna Kostryń strzeliła jedynie w obronie swego życia... Znaleziono przy Mieniewskim fałszywe papiery, podrobiony paszport, — to okoliczność nader obciążająca. Rzecz cała oprze się wkońcu na zeznaniach świadków. Ustalić, które kobiety

były przy zajściu — zająć się niemi nieco bliżej, — są już chyba w więzieniu.

Kapuścik patrzył na trupa kopalnianej dziewczyny a równocześnie wzrokiem pamięci ogarnął nagle srogie oblicze leadera Mieniewskiego.

Pocóż było przechylać się odrazu na stronę Kostryniów?! Zawsze w Osadzie trzyma się stronę dyrektorów, — dany wypadek z komplikacją Mieniewskich, mógł się okazać zgubnym!

Ustalić trzeba nazwisko zabitej.

Leżała twarzą do sufitu, jakoby z bezgranicznem zdumieniem wpatrzona w banalny deseń malunku na powale. Mały błahy profilek kreślił się wyraźnym cieniem, — po posadzce. Blade, pół-rozchylone usta zastygły, — jakby w połowie wymawianego słowa.

— Ładna dziewczyna, — strzepnął palcami pan Kapuścik.

Nadbiegł jeden z policjantów, odstukał ukłon obcasami i ukazując rozerwaną na piersiach bluzkę Lenory meldował, kto zacz była, — dość znana tu i owdzie, wołali ją Lenora Duś, — takie nazwisko, — niejeden z chłopców Osady przydusił ją — i nieraz!

Kapuścik zerwał się z kupki ciepłej bielizny, wydał instrukcję swemu zastępcy i magistracką bryczką w jednego konia kazał się wieść co prędzej do więzienia.

Leżało za miastem, niezbyt daleko za torem kolejowym, po stronie sławnego dziś Zielonego — stamtąd Kania i Szymczyk, stamtąd ów Duś i większość poległych na Erazmie.

Dojazd tu był fatalny z przyczyny wód zalewających

tę miejscowość ustawicznie. Huta Katarzyna wylewała te wody i nie było na to rady.

Z naczelnikiem więzienia przywitali się w kancelarji więziennej, pod pięknym zielonym abażurem.

— Za dużo mi roboty dajecie! — krzyczał ów stary, wierny, praworządny pijak — ja już pękam!

Kapuścik machnął ręką, — poźniej będą rozmawiali. Przysłuchiwał się pod światłem lampy miarowemu łomotaniu więźniów. Słychać było wyraźnie przez sufit.

Kapuścik gruntował w sobie odpowiednią decyzję. Trzeba było telefonować już do Starostwa. Najwyższy czas!

Palce panu Kapuścikowi marzły ze zdenerwowania. Wyłamywał je z kościanym rozgłosem i wciąż rozważał.

Myślał nie o tem nawet, co się stało, lecz jak się układała decyzja, — bez najmniejszego udziału jego woli. Zadrzeć z starym leaderem, to, — oczywiście, — być zmiecionym z powierzchni zagłębia węglowego. Być wydalonym ze służby, albo też przeniesienie na kresy.

Mołodeczno, Wilejka, — maksimum jedna, dwie prostytutki w mieście, — gdy tu o pół godziny — Katowice!

Cóż może ofiarować taki Kostryń, — bez Coeura?! Jakie poparcie, — żadne!

Kapuścik wiedział jednak, śpiesząc do rozmównicy telefonicznej, iż meldunkowi swemu do Starostwa nada właśnie kierunek, powzięty podczas akcji w magistracie: Przeciw Mieniewskim, — pro Kostrynie!

Tak już chyba wisiało samo w powietrzu Osady,

w całem powietrzu, — iż władza musi zawsze pokrywać się z dyrekcją.

Wróciwszy z rozmównicy do kancelarji naczelnika, przejrzał pan kapuścik pośpiesznie listę „nowych gości“. Przeszkadzał mu w tem zajęciu stary cerber, zgłaszający wiecznie tę samą pretensję, — o wychodki. Więzienie pękało od ludzi, ludzi tych trudno wkońcu zamurować, — wywózka ekskrementów nie kalkuluje się, gdyż są rozmyte wodą z huty, — więzienie tonie w gnoju.

— Przyjdzie czas i na gnój, — krzyknął Kapuścik, — narazie jednak chyba ważniejsi są ludzie!

Czyżby można było w takiej chwili wdawać się na powyższy temat w zasadnicze dyskusje?!

Pan Kapuścik obiecał wrócić w nocy i co prędzej odjechał.

Zgłosił się do Kostrynia incognito.

Otworzył mu dyrektor, — własnoręcznie.

Stanęli w przedpokoju. Kostryń uniósł ręce do góry, jakby miał niebywałe nowiny do zwierzenia. Poczem, — palce na ustach położył.

Przeszli cicho do gabinetu, oświetlonego rzęsiście. Huta dudniła, jak zwykle. Przez powietrze tarły się twarde rozgłosy żelastwa, po kątach drżały cienie.

Kapuścik wsparł się na szabli i rzekł nagle, odepchnąwszy od siebie Kostrynia:

— Umarła.

— Kto?! — Kostryń domyślił się i uciekł za firankę. Nigdy tego nie robił przy ludziach. Dzisiaj, — nie mógł wytrzymać. Odczekać, — ach odczekać.

Kapuścik podszedł bliżej i przez firankę ujął ramię dyrektora.

— Ta wasza robotnica, — rzekł głośno, — już nie żyje. Eleonora Duś, o ile ustaliłem na miejscu. Zabita. Mówiąc ściślej — zastrzelona. No więc, — mamy zabójstwo!

Kostryń wyskoczył z za firanki. W swej szarej watowanej kurcie, niby ogromny szczur, — rzucił się ku drzwiom gabinetu.

Zamknął je na klucz i jął skamlać za biurkiem.

— Proszę pana, panie poruczniku! Nie, — tak nie można przecież! Usiądźmy.

Był pół przytomny.

Szli wolno ku kanapie. Dyrektor trzymał Kapuścika za ramię, drugą ręką chciał mu nieść zwisającą na rzemieniach szablę.

Usiedli wreszcie na tej kanapie, pod ścianą.

— Pan, — zaczął Kostryń, — jako człowiek młody, pan wie oczywiście!... — Kostryń zerwał się znowu, przekręcił szybko elektryczne kontakty. Zostali teraz przy jednej tylko lampce z nad biurka.

— Moja nieboszczka matka, — uśmiechnął się dyrektor, — zawsze lubiła szarówkę. Oświetlenie — o wiele łagodniejsze.

Kapuścik nic nie odpowiedział.

Minęła długa chwila. Poczem nagle zaczął Kostryń opowiadać szczegółowo o ranie Zuzy. Ciężki postrzał w kolano.

— To pan Mieniewski uraczył nas tak, za wszystko dobre, czego od nas doświadczył. — Kostryń wyciągnął

z kieszeni portfel i wydobył ostrożnie ze skórzanej przegródki dość „dziwny dokumencik".

— Ten oto, — kwitek na sto dolarów. Widzi pan: data, — podpis, wszystko w doskonałym porządku.

Kostryń roześmiał się głosem jak najlepszej nadziei. Nie myślał bowiem już o kwicie, — lecz o córce.

— Wedle tego, co mówią doktorzy, — było ich tu już trzech, — nie będzie żadnego śladu po tej ranie.

Co potem nastąpiło, jak dyrektor Kostryń wybrnął z dalszej rozmowy, — nie pamiętał.

Pamiętał doskonale, — lecz nie chciał o tem wiedzieć!

Gdy później przypominały mu się owe chwile, skuczał głośno do samego siebie.

Z rozmowy wydzielały się dwa mocne, wyraźne fragmenty. Niech sobie potem już sama Zuza odrabia to jakoś... Teraz — ratować córkę, przedewszystkiem ratować. Ratować córkę, dom nazwisko i pozycję.

Pierwszy fragment: kto strzelał pierwszy nie mówmy, — Bóg jeden o tem wie.

Dłuższy ustęp o Bogu i o postrzeleniu, — nawet wcale nie kogoś z nagonki, lecz jednego z myśliwych, — niedawno, — w okolicy, — w czasie polowania.

Fragment drugi: jaki cel mamy w życiu?

Kostryń wstał i ucałowawszy się gorąco z Kapuścikiem, zdradził mu — „tajemnicę ojcostwa". To jest, — posagu Zuzy.

— Tak, tak, — musimy przedewszystkiem następcom naszym ułatwić to, czego poprzednicy nasi nam nie ułatwili. Ułatwić — start.

Trzy razy ze łzami w oczach powtórzył Kostryń krótkie, twarde słowo: start.

Powtórzywszy, pokazał Kapuścikowi obie tekturowe tubki po pudrze. Wzniósł je wgórę, wymienił cyfrę, — o parę tysięcy dolarów większą od istotnej.

I dodał szeptem:

— Posag Zuzy.

Mówił szeptem do samego końca. O morzu, o potrzebie morza w każdym zdrowym narodzie, o nie pożytej przestrzeni jodo-bromu, o stacji węglowej na brzegu tych przestrzeni, — wreszcie wyrzucił z siebie:

— Myślałem o tem, żebyście się pobrali.

Pot zlewał Kostryniowi skronie, w ustach wciąż zasychało. Musiał prowadzić językiem po wierzchu warg. Zabronił odpowiadać, — ani słowa!

— Broń Boże, — rzeczy serca wymagają przemyślenia! Rozwagi i refleksyj!

Głaskał Kapuścika po plecach, przysuwał i oddalał.

Kapuścik wywinął się, tknął palcem w klapę dyrektorskiego kaftana:

— Ja nic nie mówię, panie dyrektorze, — pan rozumie, — wszystko spada tak nagle!

Zaśmiali się dyskretnie, nie patrząc sobie w oczy.

— Ja nic nie mówię w sprawie serca. Ale w tej? To jest, — co do zabitej robotnicy. Ustalono nazwisko nawet, — Eleonora Duś.

Kostryń zatkał sobie uszy, — zamknął oczy.

Kapuścik ręce te dobrotliwie od uszu odsunął, mówiąc:

— W drugiej sprawie, zabójstwa, musimy mieć

pokrycie, nadzwyczajnie solidne, panie dyrektorze. Pokrycie w osobie — pana posła Mieniewskiego.

Kostryń skulił się, Kapuścik westchnął nabożnie.

— Trzeba telegrafować, sprowadzić pana posła natychmiast. To ciężki orzech — prawda? Przedstawić sprawę ustnie i ustalić prywatnie. Niechby Mieniewski wpłynął z swojej strony na syna. Tak jakoś może trochę w duchu pojednawczym, — co do samej kolejności strzałów. To przecie, — prawie drobiazg. Rzecz właściwa pozostanie ta sama, — syna i tak uwolnią. Były żołnierz. Bohater. No, — syn swego rodzica, — coś tego, — od dzieciństwa — tradycja. Pewne inne atuty ma pan dyrektor w ręku: nietylko taki kwitek, jak ten, na sto dolarów. Cały ów nieszczęśliwy projekt wynalazków. Przecież to jednak byłaby froterka, a więc kompromitacja! Idąc nitką do kłębka — znaleźć można komunizm: rzecz dla naszego leadera bardzo przykra. Dodajmy jeszcze fałszywy paszport, — wcale niezłe dossier. Ach, jeszcze: że policja pobiła pana Tadeusza to znowu dowód, że on właśnie był stroną zaczepną. Dlaczegoż to na niego rzucili się, odrazu? Więc, — Kapuścik uśmiechnął się domyślnie, — więc był stroną zaczepną!

Stanęło na tem, że Kostryń telegrafuje zaraz.

Na korytarzu przypomniał jeszcze raz dyrektor — o tamtej sprawie, — serca. Kapuścik w odpowiedzi ścisnął dyrektora za rękę.

Rozstali się w milczeniu.

Zamknąwszy drzwi wejściowe uciekł Kostryń co prędzej do gabinetu, — by odczekać.

Z głuchej ciszy, wstrząsanej głosami żelastwa, wracała myśl potworna: — Pani Zuzanna Kapuścikowa, — czy też pani Coeurowa?!...

Owładnął nagle Kostryniem niespodziewany żal z powodu śmierci Coeura. Gdy Coeur tu był — nie miało się właściwie kłopotów. Cóż, — najwyżej drobiazgi?... Ewentualnie, — gdyby nakoniec Coeur miał się ożenić z Zuzą? No, to był przecież człowiek, — dyrektor potężnego Towarzystwa, który nawet w centrali robił wszystko, co chciał.

Niema Coeura — i oto, co dzieje się wszędzie!

Pani Ka-pu-ści-ko-wa... — Kostryń bryznął łzami i zadziwiony bezmiernie wyrzekł do siebie głośno: — to był przyjaciel.

Przestraszył się: wspomnienie Coeura narzuciło refleks dawnej dyscypliny. Kostryń ukrył w głębokiej szufladzie biurka oba tekturowe pudełka z dolarami, schował stare papiery, wytarł brzeg biurka i — zatelefonował na Erazma.

Wszystko normalnie, — akcja zamułkowa poprowadzona od strony szybu powietrznego dobiegała już końca, — miano niebawem rozpocząć pracę od strony szybu zjazdowego.

Pierwszą rzeczą będzie wydobycie Coeura. Czy bardzo poparzony?...

Co stało się, — Kostryń rozważał to ukradkiem nawet przed samym sobą, — z temi dwiema czarnemi perłami? Śmierć śmiercią, żal żalem a szkoda szkodą. Coeur nosił zawsze w gorsie koszuli frakowej dwie

spinki, rzadkiej piękności: dwie czarne duże perły, równiutkie, takiej samej wielkości.

Oczywiście, — potoczyły się tam gdzieś, licho wie, gdzie.

Lepiej myśleć o perłach, niż o wszystkiem innem. Sprawa Erazma, — tak trudne do przeprowadzenia kombinacje bez Coeura. W Radzie Kopalń i Hut uzyskać dziesięcioprocentową podwyżkę, — bardzo trudne! Trzeba koniecznie wydobyć zeznania tego starego bydlęcia, Falkiewicza od Drążka. I żeby rozpijaczonemu geometrze znów jakiś napad szczerości nie przyszedł do głowy!

Sprawa Zuzy! Jeżeli noga po operacji okaże się krótsza? Czekać teraz na przyjazd takiego Mieniewskiego, — jeden ciąg nieustannych udręczeń.

Kostryń zapadł w półsen. Były chwile, że nic prawie nie myślał. Sprawy, kwestje, koncepty przesuwały się bez najmniejszego związku.

Zerwał się wreszcie, — która godzina? Jedenasta.

Poszedł cicho do gabinetu Zuzy. Siedziała tu przy chorej Stanisława.

Milczały obie. — Może śpią? Światło nocnej lampki może uspić.

W gabinecie unosił się zapach apteki.

Kostryń pragnął pocieszyć córkę. Powiedzieć coś takiego, co mówi się już tylko w chwilach rzeczywiście najcięższych. Po czem ludzie poznają, iż bliscy są sobie. Że się wzajemnie nigdy nie opuszczą.

Zbliżył się do łóżka, ostrożnie dotknął brzegów

kołdry i rzekł nagle... Nie spodziewał się wcale, że to powie, samo się rzekło:

— No, więc, tak, no więc ta dziewczyna, — tam, — zaraz w magistracie umarła.

Pani Stanisława wzdrygnęła się na krześle.

Kostryń cofnął rękę z kołdry.

Milczeli, — wszyscy troje.

Usiadł po drugiej stronie łóżka córki. Niech się cały świat wali, — rodzice zawsze czuwają przy łóżkach swoich dzieci. Jest to szczęście rodzinne, — jedyne pewne szczęście człowieka na świecie.

Nagle rozległ się z łóżka tak przeraźliwy krzyk!

Zuza krzyczała, z ostrym sykiem czerpanego śpiesznie powietrza. Darła się z wszystkich sił:

— Nie mogę na nich patrzeć zbliska, — na żadnych robotników, — nie mogę patrzeć!!! To jest okropne — straszne!!!

Płakała spazmatycznie.

— Nie mogę na nich patrzeć, — nigdy, nigdy! Wy możecie, — a ja nie mogę! Nie wolno mi tych ludzi pokazywać zbliska!...

Pani Stanisława chwyciła się za głowę, Kostryń runął na kolana, obok łóżka.

Nie mógł płakać. Straszne wzruszenie odbierało mu oddech. Szczękał bezradnie zębami i dławił się powietrzem. Ogarnęło go nieludzkie wzruszenie, — nie dające się żadnem słowem wyrazić. Jakby cierpienie córki czyniło mu ją bliższą, uszlachetniało jeszcze biednego, nieszczęsnego ojca.

Biednego ojca, — który w żałosnej bezradzie obie-

cuje tę córkę, — ach mocny Boże, — wszelakim Kapuścikom! Kostryń tulił twarz do pachnącego lekami atłasu kołdry i mówił, plótł, powtarzał, — czego nie mówił nigdy od czasu nadkaspijskich kopalń:

— Wszystko dla ciebie, dziecko, — tylko dla ciebie. Kochane — dziecko — nasze...

Zuza zwróciła się do matki z bolesnym niesmakiem:

— Proszę cię, zabierz ojca. Wynoście się. Nie chcę was wcale widzieć. Chcę tu mieć kogoś obojętnego. Niech siedzi przy mnie głupia Knote. Będę miała przynajmniej opatrunek porządnie zmieniony. Jesteście okropni!

Porwał Zuzę i wykrzywił i ugiął nowy skręt, nowy napad drżącego cierpienia.

— Jestem tu sama, — krzyczała przeraźliwie, — na całym świecie sama!!!

Uciekli z gabinetu. Czekali potem długo w pokoju stołowym. Póki krzyk nie przeminie. Nakoniec przeszli cicho do kancelarji Kostrynia.

Trzeba wytelefonować Knote. Czy może iść po nią samemu?

Posłali stróża z kartką. Nie zastał masażystki w domu, a może zresztą spała i nie można się było dobudzić? Stróż nie chciał stukać za mocno, żeby nie wszczynać rozruchu w okolicy. Wpobliżu Rady Kopalń Domu Ludowego i magistratu — lepiej, by było cicho.

Trzeba czekać.

— Widzisz, — żalił się Kostryń, siedząc na niskim taborecie u stóp żony, — takie jest nasze życie. No, — teraz zarobiliśmy. Taki oto wypadek z dzieckiem. Na

Erazmie jesteśmy zagrożeni! Ze wszystkich stron — same nieszczęścia.

Pani Stanisława głaskała męża po włosach.

Pozwalał dzisiaj na to. Pozwalał nawet, by pytała, — co się dalej stanie? Jakie jest wyjście, kto teraz przyjedzie z ramienia Towarzystwa? Jaki człowiek?

Kostryń pozwalał dziś na tę rozmowę, zmartwiony wielce, że Knote włóczy się gdzieś po nocy.

Jednak zawsze, — co żona, — to żona.

Przesiedzieli w salonie do rana.

Knote nadeszła znacznie później, — parę minut przed ósmą.

Wiedziała już o wszystkiem naturalnie, o śmierci Lenory, o postrzale w kolano, o aresztowaniu Mieniewskiego.

Dali jej kawy w kancelarji dyrektora.

Kostryń sam chętnie nakrył u siebie, — na trzy osoby.

Dlaczego Knote nie chciała wcale pić? Ani też jeść śniadania? Konfitury, — niech pani je, — to świeże ciasto.

Za ciastem przepadała zawsze, jak nikt chyba w Osadzie Górniczej.

— No tak, pobicie wdów, chociaż nieznaczne, lecz jednak uszkodzenie nieletnich dzieci, — fakty niezmiernie przykre, — westchnął Kostryń.

Spojrzał na masażystkę, — pomimo woli chyba, — innym, cieplejszym wzrokiem.

Nie odpowiedziała na tę ciepłotę. Patrzyła wciąż przed siebie, jakby tam właśnie daleko, ach, — daleko i na-

wet chyba za murem mieszkania wypisany był jakiemiś wieczystemi zgłoskami niezmiernie ważny, najświętszy obowiązek.

— Czy mogę odejść? — spytała, gdy Kostryń otarł usta serwetą.

Ledwie zdążył poprosić, by wracając od córki zajrzała tu, do kancelarji. — Tam cię czekam, kochanie.

Na dźwięk słowa „kochanie“ gęste rumieńce wykwitły na policzkach masażystki.

— Jesteś nareszcie, — westchnęła Zuza. — Zamykaj drzwi. I słuchaj. Znamy się nie od dziś. Mogę śmiało powiedzieć, że — poniekąd, — należysz do rodziny naszej.

Knote poderwała się z krzesła purpurowa ze wstydu.

— Cicho. Słuchaj, Knociu, — i nie mów tego moim starym, że się pytałam o to... Co się dzieje z Tadeuszem Mieniewskim? Gdzie jest? Aresztowany, sądzę?

Knote wpatrzona w frendzle pistacjowej kanapki, dodała prędko:

— Aresztowany i pewno mu tam zęby powybijali.

Zuzanna uśmiechnęła się, z ledwie ukrywanym wysiłkiem:

— Może powybijali? Dowiedz się, Knociu, dowiedz się koniecznie. Dowiedz się też, co ojciec w tym kierunku zamierza? Ty umiesz z ojcem mówić... Z panem dyrektorem. Ojciec z pewnością nakręci tam, namota! Nic mnie to nie obchodzi. Niech mota. Musimy teraz mieć pieniądze, — to trudno.

Zuza zapatrzyła się przed siebie: oczywiście, — pieniądze. Proces, — długi, kosztowny, — potem do-

piero podróż. — Gdzieś nad morzem. Cicho, wytwornie, — pierwszorzędne stroje. Tadeusz w pięknym smokingu. — Pierwszorzęnym. I tam sobie powiedzą, — nad morzem, — na kamiennej terasie wytwornej restauracji, — sami we dwoje, — przy złotem świetle abażura... Tam wreszcie powiedzieć mu te słowa do ucha: — Zdawało mi się, że ją zabiłam — przez współczucie. Na widok takiej nędzy — bardzo trudno wytrzymać. Nigdy nie patrzyłam na to zbliska. Pomyśl tylko, — trzyma w ręku małą parę buciczków. Lecz to nieprawda, — wiesz? Zabiłam, — by jej na świecie nie było. Tak. Z miłości do ciebie.

— Knote? Musisz dowiedzieć się, jak mu tam jest w areszcie? Powiedz Kapuścikowi, — że państwo Kostryniowie bardzo proszą, ponieważ jest to syn leadera, aby pod względem traktowania —

— Za tamtego nie zdążyłaś jeszcze pomodlić się! — Knote podeszła blisko, nachyliła się nad poduszkami i wpatrzona w przerażone oczy Zuzanny, krzyknęła: — A za tamtego, dyrektora, Francuza, pomodliłaś się, aby?! Ja ci to mówię ja, — utrzymanka twego ojca!

Nie oglądając się za siebie, masażystka wyszła. Stąd, — prosto do Kostrynia.

Obskoczył ją nagabywaniem, ruchami, pieszczotami.

— Moja Knociu! — I skakał i podtykał eukaliptusowe swoje cukiereczki.

Knote milczała groźnie, wsparta o biurko.

Uśmiechał się, spłoszony, smutny, chwytał złote guziczki na bluzce masażystki i wciąż nastawał na ów sekret Zuzanny, — gdyż to jest pewno sekret, — wasze

babskie sekrety, — Knote nie ma sekretów przed swoim dyrektorem.

— Żadnych sekretów, sama to przecież wiesz, dokładnie!

Jął głaskać ją, jak dawniej, po policzkach, dobrotliwie, ze śmiechem pokornym; — nigdy jeszcze nie śmiał się do niej tak cicho, tak potulnie.

Policzki miała gładkie, miłe, puszyste.

— Uderz mnie, — rzekła nagle.

Spłoszony, — cofnął ręce.

— Uderz mnie, dyrektorze, uderz tę biedną Knote.

Uderzył lekko, — stropiony, zawstydzony.

— Biłeś, gdy ci mówiłam prawdę, — bij jeszcze dyrektorze, — sama proszę. Wszystkich tu biją u nas. Bij, Feliksie, — śmiała się załzawionem spojrzeniem.

Uderzył mocniej.

— Feliksie bij, — ach mocno, po twojemu!

Uderzał coraz mocniej, końcami palców.

— Za te razy i uderzenia, — Knote najszczerzej wdzięczna, — mówi ci smutną prawdę. Feliksie, — opamiętaj się, — może to jeszcze czas! Cóż ci z sekretów córki, — masz pełen dom sekretów!... Nawet nie wiesz, — że w swoim własnym domu masz dwie wdowy, — po dyrektorze Coeurze! Twoja żona — i córka.... Głos sumienia przemawia przezemnie — tyle ci jeszcze winnam —

Knote padła na kolana:

— Słuchaj nas, których biją, — których poniewierają!!

Kostryń zwalił się na nią, dusił, dławił, potem pod-

niósł, chwiejącą się z bezmiernym trudem postawił na podłodze.

Kiwał ręką, by znów nie zaczynała mówić.

Klęknął, położył się nieomal na ziemi, przytykał głowę do sukni Knote i błagał:

— To nieprawda, — cofnij, coś powiedziała, — to nieprawda!

Stała bez ruchu, wpatrzona, — jakby przez ściany tego domu naprzestrzał w jakoweś święte litery obowiązku.

Kostryń uciekł za firankę.

Odczekać, — ach, odczekać!

Skulił się, klęknął, tarł głową o podłogę, bił w posadzkę pięściami. W ruchu tym szklanny, pięknie wyrobiony papierosik wypadł dyrektorowi z kamizelki i roztłukł się.

Za szczątkami tego papierosika wypełzł Kostryń z kąta pokoju. Posuwał się niezdarnie na czworakach, macał przed sobą po posadzce, ślepy od łez, zbrzęknięty, siny, straszny.

Nie pamiętał, — kiedy Knote odeszła. Krążył wciąż na czworakach, aż zwalił się przy brzegach dywanu wpobliżu biurka i tak pozostał.

Z czczej, bolesnej zadumy zbudziło go pukanie gwałtowne.

Otworzył.

Stanisława.

Ucieszył się, — jak nigdy jeszcze. Wciągnął ją do pokoju i jął pytać.

O nic.

O szczegóły z rautu, — był taki miły raut, tuż przed katastrofą, — prawda? O raut, o Zuzę, z kim teraz Zuza będzie grała w tennisa, — naprzykład? Gdy się już wszystko skończy, — a przecież damy sobie jakoś radę, — z kim Zuza stworzy teraz partję? Na wypadek pogody, — oczywiście!

— Może zajrzymy do Zuzy?

Siedziała tu jakaś siostra miłosierdzia, zamiast Knote.

— Bo Knote, — szepnął Kostryń żonie, — ma pomieszanie zmysłów. Lekkie, — lecz ma! Jak sądzisz Stasiu? Czy to możliwe, by Knote mogła dostać pomieszania zmysłów?

Wrócili znów do kancelarji. Zatrzymał żonę przy biurku.

— Pocóż świecić? Razi w oczy?!

Huta dzwoniła żelastwem wciąż tak samo.

Kostryń czekał, słuchał uważnie, gdy nagle:

— No, mów! No, — jak to było?...

— Co?

— To. No, — mów, no? Jak to było?!

Patrzył jej w oczy, a usta mu się trzęsły:

— No mów, Stasiu!!

— Zabij, nie znęcaj się, — krzyknęła nagle.

— No, jak to było, — Stasiu?!!

Poczęła opowiadać nieskładnemi słowy, konając zda się ze wstrętu, wstydu i upokorzenia.

— Nic nie rozumiem, — syknął Kostryń. Siadł na kanapie. Wstał. Zapalił wszystkie światła.

— Teraz mów, — od początku. Jeszcze raz.

Jęczała, — poraniona słowami swemi.

— Nic nie rozumiem, chodź bliżej, opowiadaj! Więc było tak: ty stoisz tu, — a teraz on przychodzi. Ja — jestem on. Niech ci się zdaje, — że ja, — to on. A teraz wziął cię za kark? Tutaj! A teraz dalej! —

Kostryń rzucił się na Stanisławę.

Zsunęła się z kanapy.

Szepnął żonie prosto w ucho:

— Mimo, że już wiedziałaś o Zuzannie!

Wspomnienie córki, niby potężne uderzenie prądu zwaliło z nóg Kostrynia.

— To się w głowie nie mieści, — skuczał, — nie wolno o tem myśleć...

Stanisława wyrwała się nagle, i mimo biurka skoczyła prosto ku oknu. Otwierając rozbiła pierwszą szybę. Krew jęła spływać pani Stanisławie cienkiem pasemkiem z pomiędzy włosów, przez czoło i wzdłuż nosa.

Kostryń przybiegł, opatrzył żonę starannie bandażem z bocznej szuflady biurka. Rana była niewielka.

— Głupstwo, kochanie. — Usadowił się w kącie kanapy i jeszcze raz powtarzać kazał wszystko od początku. Najstraszniejszem bowiem było iż słuchał tej historji z przeraźliwą radością...

Dotykał żony z obrzydłą tak dręczącą rozkoszą, — jakby wdowy po sobie samym?!!

Jak biednej Knoci dotykał, — gdy po raz pierwszy poniewierać się dała w swem mieszkanku.

— Opowiadaj raz jeszcze! — Kostryń zatkawszy sobie uszy dłońmi, jął krzyczeć: — Nie mów nic! Nasza Zuza — to samo... Nie wolno myśleć! Nie wolno mi pamiętać!...

Zadzwoniono u wejścia.

Kostryń wyskoczył z kancelarji.

Służący już otwierał. Kłaniał się nisko.

W drzwiach w czarnem, ośnieżonem futrze stał leader Mieniewski.

4

W PIERSI MEJ GŁOS PIEŚNI TEJ

— Pan poseł!

— Dobry wieczór, panie dyrektorze.

Kostryń opanował się. Byle tylko nie załamać towarzyskiej procedury, wytrzymać na poziomie, rzecz właściwa wyniknie sama w przewidzianym czasie...

— Wielki to dla nas zaszczyt, panie pośle.

— Niechże pan nie przesadza, dyrektorze. — Mieniewski dawał się służącemu rozbierać z futra, z śniegowców, z szala, jak człowiek, któremu zawsze pomagają przy podobnych zachodach, — tu też pomagać muszą.

Kostryń pochylał się to w jedną stronę, to w drugą, by uchwycić wyraz oczu leadera.

Napróżno.

Wąskie, bystre źrenice posła kryły się pod nawisłemi powiekami.

— Na prawo, czy na lewo? — spytał leader, wskazując przeciwległe drzwi korytarza.

Służący kręcił się w salonie, Kostryń otworzył drzwi do gabinetu.

Stanisławy nie było już!

Przez krótką chwilę stali obaj panowie w ciemnościach.

Kostryń nie odkręcał jeszcze światła.

— To huta? — spytał Mieniewski, nasłuchując uważnie, ciężkich odgłosów żelastwa.

— To huta nasza, Katarzyna — podchwycił Kostryń.

Stali w rudym blasku dalekich ogni.

— Bardzo pięknie wygląda stąd — westchnął pan Mieniewski.

Kostryń odkręcił światło — i krzyknął, przerażony nieoczekiwaną obecnością służącego w gabinecie.

— Nerwy, nerwy, — uśmiechnął się Mieniewski.

Służący zamknął cicho drzwi.

— Ba, zapomniał pozbierać poduszki. Kostryń zgarnął je: — Poduszki porozrzucane przed chwilą przez żonę.

— Więc może pan tu spocznie?

— Chętnie. — Mieniewski usiadł swobodnie na kanapie.

— Czy mogę służyć papierosem? O — tu jest popielniczka.

Okazało się, że zapałki zostawił pan poseł w swem futrze, w przedpokoju.

Teraz dopiero, w obliczu leadera uprzytomnił sobie Kostryń, jak nisko upadł gwoli ratowania Zuzanny, skoro Kapuścikowi czynił tak wiążące, matrymonjalne obietnice.

Panny z największej arystokracji gdy upadną z kimś koronowanym, — wychodzą potem zamąż za generałów. Tak było wszędzie, gdzie szanowano tradycję. Lecz Coeur — nie był cesarzem przecie!

— Ostatnie wypadki w Osadzie Górniczej dają istotnie bardzo wiele do myślenia, — rzekł poseł Mieniewski.

Tadeusz zgubiony — ratować — czekam przyjazdu — Kostryń.

Leader pamiętał aż nadto dobrze tekst depeszy. Nie wspominał dotąd o telegramie. Badał sytuację.

Tadeusz zgubiony? Nie było o tem nic w dziennikach. Tak głośne nazwisko, do tego jeszcze tu, w jakąś polityczną awanturę zamieszane, nie dałoby się ukryć.

Więc może jakiś skandal?!

Depeszę Kostrynia trzymał leader w bocznej kieszeni spodni. Wymięła się, zmacerowała na bibułkę. Siedząc teraz z nogą na nogę założoną, dotykał ręką tego świstka.

Tadeusz — zgubiony?...

— Cały kraj, — mówił poseł, — wstrząśnięty jest tą sprawą waszej katastrofy. Co za szalony — pomysł!

Kostryń skurczył się na dźwięk tego słowa.

Jakgdyby rzecz podobną można było *wymyśleć?!*

Zsiniał, zatrzepotał rękami i pisnął nagle:

— Bóg daje i Bóg bierze.

Musiał powtórzyć to zdanie kilka razy, by nie wrzeszczeć z przerażenia.

Po strasznych wypadkach erazmowskich, po rewelacjach Knote nie można już było ani kryć się, ani odczekiwać po kątach. Otwierały się w myślach dyrektora, — jakgdyby wielkie rany, — straszliwe, — tak bolesne.

Znowu służący!

— Jaśnie pani prosi na herbatę.

— Pan poseł z pewnością zmarzł? — zatroskał się Kostryń.

— Ależ nic podobnego. W wagonach palą doskonale. Co do herbaty, — mieliśmy przecież wagon restauracyjny.

W wagonie restauracyjnym zrobiło się panu posłowi tak niedobrze! Po deserze ogarnął tam leadera zwierzęcy lęk, — że Tadeusz ucierpiał przy erazmowskim wypadku.

Jeżeli jednak Kostryń prowadzi tak spokojnie rozmowę, — nie, to nie jest nieszczęśliwy wypadek. Wypadek tego rodzaju ogłosiłyby natychmiast gazety...

— Nie pogardzi pan jednak skromną herbatką, panie pośle?

Przeszli do salonu.

Na głównej ścianie głowa sarny. Pięknie utrzymana.

— Ha? — Parawan z pierścionków od cygar. Ciekawy wyrób, — bardzo ciekawy.

Kostryń nie mógł oderwać gościa od tego, jakże niezwykłego parawanu.

— Dobre marki, ależ doskonałe marki palił pan, panie dyrektorze! Tak, świetny pomysł, — jakżeby tu powiedzieć, — Mieniewski szukał określenia z poważnem, wytężonem skupieniem, — rodzaj pamiętnika w dziedzinie uciech, płynących z nikotyny. Pamiętnik przyjemności. Coś w tym rodzaju chyba?

Weszła pani Stanisława, za nią służący z herbatą.

— Pani cierpiąca może dzisiaj? — Leader zadał pytanie i nie czekał odpowiedzi.

— Bardzo prosimy. — Rozstawiała zgrabnie talerzyki, filiżanki, ciasteczka, konfitury.

Trzęsły się ręce pani Stanisławie. Wszystko, czego tknęła, drżeć poczynało natychmiast. Filiżanki tańczyły na spodeczkach, łyżeczki dzwoniły w ręku.

Kostryń patrzył na żonę, oglądał ją uważnie, pilnie. Spostrzegł powyżej czoła wśród skrętów fryzury wąskie pasmo zmoczonych włosów. No tak, — to po tej szybie w gabinecie.

Żona chciała się rzucić z okna.

Powiedzieć to wyraźnie, głośno: — Moja żona chciała wyskoczyć oknem, ponieważ zdradziła mnie. Idjotka!

Rozmawiała z Mieniewskim o trudach drogi.

Na ileż tego starczy? Na pięć minut — najwyżej.

Kostryń podawał cukiernicę. Mało jej z rąk nie upuścił! Przypomniała mu się w tej chwili rzecz błaha zapewne w porównaniu z innemi a jednak najstraszniejsza ze wszystkich: czy Coeur gwałcąc, — niech się nazywa „gwałcąc“, — Stanisławę, spostrzegł i zauważył?... Ową niebieską żyłkę, występującą na nodze, z pod kolana, do połowy uda?

Ogarnęła dyrektora potworna, szaleńcza ochota zapytać! Tak, tak, — przeprosić Mieniewskiego, odprowadzić żonę choćby za ów parawan z obrączek od cygar i spytać: — Czy widział? Co powiedział?

Ach, — nie do wytrzymania!!! Coeur mógł porównywać matkę z córką!

Kostryń pochylił się, — rzekomo, by podnieść łyżeczkę. Zdało mu się przez chwilę, iż przywalony potwornym ciężarem, — nie potrafi wyprostować grzbietu.

Usiadł jednak nakoniec, — przełamał nawet w palcach kilka herbatników.

Poseł Mieniewski wciąż jeszcze rozmawiał z Stanisławą o trudach podróży.

Tak, blisko, — bardzo wygodne połączenie z Warszawą. Jeszcze rok temu ta sama droga trwała nie sześć, lecz siedm godzin z minutami.

Nie, nie, — Knote nie kłamała. Knote ma może obłęd religijny, — lecz nie kłamała, niestety! Kostryń przebiegał myślą wszystkie rodziny dyrektorskie, ich stosunki, koneksje:

Jedyne wyjście i jedyna pociecha, — że chyba wszędzie dzieje się to samo. Na pewno, tak — na pewno, — jeden dom publiczny! Robotnice pod płotem, — panie dyrektorowe w bibljotekach Staszica...

— W epoce pary, elektryczności panuje demokratyzm. — Dyrektor Kostryń wypowiedziawszy to zdanie uśmiechnął się. — Demokratyzm, sprowadzający się do jak największego skracania drogi we wszystkiem.

— Niech i tak będzie, — odpowiedział pan Mieniewski.

Stanisława podała mu raz jeszcze tacę z herbatnikami. Do rozmowy o trudach podróży nie można już było powracać.

Wszyscy troje umilkli.

Kostryń dostrzegł, że za nawisłemi powiekami leadera poczynało już żarzyć się białe, ostre światło niecierpliwości.

Stary parlamentarzysta trzyma się doskonale, choć na pewno wyskakuje ze skóry.

W pewnej chwili pan poseł Mieniewski odłożył łyżeczkę na brzeg spodeczka i spytał:

— No, a śmierć tego dyrektora na tym waszym Erazmie, jakże się nazywał ten wasz Francuz, — Coeur, zdaje się? Jakież to tu sprawiło wrażenie?

— Olbrzymie, — zaśmiał się cichutko Kostryń. — No, powiedz Stasiu, czyż nie?

— Tak, panie pośle. — Stanisława osunęła się na oparcie kanapy.

— Każdego życia ludzkiego szkoda, — narzucił żonie Kostryń.

— Każdego życia szkoda, — powtórzyła za mężem.

Nie mógł już słuchać dłużej: Zabrać stąd Mieniewskiego do gabinetu, zacząć już raz tę rozstrzygającą rozmowę. Wciąż jeszcze brakowało sił dyrektorowi.

Czuł się, — jakoby przegryziony nawylot, — opisywała to niedawno z racji różnorodnych wymiarów kary Gazeta Policyjna, w ustępie o chińskich męczarniach: szczur przegryza wnętrzności żywego człowieka.

To Coeur był takim szczurem!

— W ostatnich dniach nie możemy się tu w Osadzie Górniczej uskarżać na brak wrażeń. — Kostryń wypowiedział to znacząco w stronę pana Mieniewskiego.

Leader jednak trzymał się równo, nie pytał o nic.

Zapadło znów milczenie.

Kostryń powstał pierwszy.

Podziękowawszy za herbatkę, przeszli do kancelarji.

Tu dopiero utracił pan Mieniewski swą linję.

Szli razem, we dwóch, ku kanapie.

Potężna dłoń leadera spoczęła na ramieniu Kostrynia.

Zatrzymali się.

Ileż to trwało? Dwie sekundy, trzy najwyżej. Już znów słychać było wyraźnie w gabinecie potężne echa huty.

— Cóż to wszystko znaczy? — zawołał pan Mieniewski.

Czerwone oczy dyrektora zdały się mącić, topić i rozpływać w ogniu spojrzeń leadera.

Kostryń uskoczył na środek gabinetu i bryznąwszy łezkami, szepnął:

— Musimy ratować nasze dzieci.

— Ratować?!

— Pański syn żyje. Żyć, — żyje. Cały, — zdrów. Lecz może umrzeć, — moralnie! Pod tym względem jest umierający! Wszystko zależy tu od pana, panie pośle.

Fala gorącej krwi buchnęła leaderowi do głowy. Tadeusz żyje, — zdrów! —

Dobry humor napełnił wszystkie myśli leadera. Mieniewski rozsiadł się wygodnie na kanapie, podwinął nogi pod siebie i zapalił papierosa. Palił mocno, — wielkiemi kłębami dymu wciąganemi głęboko do płuc. Wraz z dymem przenikały posła szybkie postanowienia: — Załatwić tu dziś wszystko, wracać nocnym pociągiem, a niech tam nawet bez sleepingu, — należałoby telegrafować do Anny, — nada się później depeszę terminową. Tadeusza stąd zabrać.

Z jakąż radością myślał teraz o swym chłopcu. Jest zdrów, — do djabła!

Nie wypowiedział głośno swej radości. Źrenice schował zpowrotem pod nawisłe powieki. Ściągnął do siebie

Kostrynia na kanapę, poklepał po ramieniu i kazał wszystko dokładnie opowiedzieć.

W miarę słów Kostrynia począł pan poseł kręcić się, zwracać w prawo i w lewo. Ramię dyrektora wymykało się raz po raz z pod ręki.

Siedzieli, to zdaleka od siebie, to znów Kostryń lepił się do Mieniewskiego, przylegał szczelnie swem drżącem słabem ciałem.

Tadeusz złodziej? Oszust?!

Dyrektor pokazywał z portfelu ów karteluszek, kwit, — „kwicik“, — na sto dolarów. Sto dolarów, — na pewne wynalazki.

Osobiście, — nie zależało Kostryniowi na tych wynalazkach, pragnął jedynie wspomóc syna swego dawnego kolegi. Rozumiecie mnie chyba?!

Przeszedł na dawne koleżeńskie „wy“.

— Wspólna młodość, wspólne studja i praca i nawet wspólne awantury młodości!

Kwitek na sto dolarów. Mało tego! Fatalne towarzystwo:

Tadeusz jawnie z komunistami — przeciw ojcu: czy to jednak nie za wiele? Tak dalece z komunistami, że dziewczynę tam miał, co do której wystarczy spytać kogo bądź z Erazma, by wiedzieć, co za jedna. Poprostu, — dziewczyna uliczna.

Kostryń zawahał się. Mówił dotąd w myśl swego planu, lecz z niezmiernym wysiłkiem. Nieomal pośrodku zdania — otwierały się w nim — rany pamięci. Chował głowę w łopatki, odczekiwał tak, — sekundę, dwie, — by zapanować nad sobą.

Kwitek na sto dolarów, akcja z komunistami, — wynalazki, — dziewczyna uliczna, — ta niby jakaś przyjaciółka waszego Tadeusza, — co mu nie przeszkadzało kręcić się koło mojej córki, Zuzy.

Dolna warga poczęła trząść się Kostryniowi tak silnie, że nie mógł skleić wyraźnego słowa. Płakał. Nie był to ciurk płaczebny, — lecz gęste wielkie łzy.

Płakał nad samym sobą w ostatecznej bezradzie. Dlaczegoż ciągle działo się tak właśnie, że nie znajdował innych wyjść a tylko, iż pod tym, czy też innym pozorem dla ratowania Zuzy wciąż ją komuś stręczył?!... Coeurowi, Kapuścikowi, — pośrednio synowi Mieniewskiego...

— Gdzie jest mój syn? — Leader powstał. Źrenice jego żgliły głuchym połyskiem śrucin.

— Wasz syn, panie pośle, znajduje się w więzieniu. — Kostryń wydobył z kieszeni, użyczony na parę godzin przez Kapuścika, fałszywy paszport Tadeusza. Stanisław Mieniuk...

Leader czytał, obracał stronice dokumentu, ważył w palcach cieniutki kwit na sto dolarów a równocześnie słuchał zawiłej historji Kostrynia, — pełen gorzkiego żalu.

Wedle dyrektora chodziło tu zaiste o głupstwo.

O ustanowienie kolejności wystrzałów. Trzeba, by Tadeusz zgodził się na śledztwie, że to on pierwszy wystrzelił w magistracie. W szlachetnem oburzeniu, widząc, iż panie komitetowe wydzierają robotnicom buciki. Może istotnie jeden z policjantów stojących najbliżej uderzył tę Dusiównę?

Dusiówna już nie żyje. To wiecie, pośle, z gazet. Wtedy zaś córka moja, obskoczona, w obronie własnego życia, — cóż tu się dziwić?! W takiej chwili, — a jeszcze po tylu przejściach... Syn pański przestrzelił Zuzi kolano.

Kostryń upadł na piersi Mieniewskiego.

— Wasz syn Tadeusz przestrzelił mojej małej kolano! Nie mamy drugiego dziecka, — mój drogi, mój kochany!

Kostryń puścił Mieniewskiego, stoczył się na podłogę i klęcząc przed kanapą, z czołem wspartem o ciemny welwet pokrycia płakał gorzkiemi łzami, nie zwracając już uwagi na swego gościa.

Leaderowi żal się zrobiło. Patrzył na Kostrynia, jakby go widział dzisiaj pierwszy raz w swem życiu. Dawny kolega z politechniki, Felek Kostryń, głupawy Felek, — dziś starzec, trzęsący zgarbionemi łopatkami wśród łkań.

— Słuchajcie, Felek, — leader pochylił się, pragnąc podnieść dyrektora z podłogi.

W tym właśnie ruchu załamał się nagle pan Mieniewski. Owładnęło nim wzruszenie obce, nieznane, raczej może lenistwo jakieś, — nie wzruszenie?...

Kostryń uniósł twarz z oparcia i wołał ku pochylonemu nad sobą posłowi:

— Gdy twój chłopak przyzna się, że pierwszy strzelił, rzecz sama przez się odrazu upadnie.

Kostryń wzmagał swe prośby.

— Patrzysz na mnie surowo, może nawet ze wstrętem? Patrzysz na mnie z żałością, — a jakże sam wy-

glądasz? Gdzież ten dawny Mieniewski? Wyglądasz tak samo jak ja. Nie śmiałeś popatrzeć mi w oczy, póki nie dowiedziałeś się, czy żyje ten twój chołopak. Mój drogi: obaj już jesteśmy starzy. I wierz mi, — wszytko jedno, cośmy robili przez całe życie. Nic już więcej nie mamy do zrobienia. Myślisz teraz, patrząc na mnie, że nie wszystko jedno? Myślisz, — sługa kapitału! Mogę ci więcej nawet powiedzieć: człowiek nieszczęśliwy. Złamany, — człowiek z wyżartemi, wyprutemi wnętrznościami. To jednak, ostatecznie — wszystko jedno. Gdy patrzę na ciebie, czuję: — jesteś tak samo stary już, jak ja.

Leader uśmiechnął się żałośnie. Przyszło mu na myśl, że od chwili, gdy otrzymał depeszę Kostrynia, — zapomniał o wielkiem wydarzeniu na Erazmie, przez cały czas w pociągu mimowiednie nawet nie pomyślał o ofiarach wybuchu, pośród których znajdowało się tylu znajomych. Martyzel, — Duś, — Marzec, — Dudało, — Sikora, — Zbrożek, — Niestój.

— Bądź sobie zacny, wielki, — Kostryń gryzł w rozpaczy palce, — mnie już o nic nie chodzi. Tylko o dzieci. Obaj przecież mamy dzieci! Nie widzę już nic więcej. Nic więcej nie mam. Nic więcej!!! — wrzasnął nagle w porywie rozpaczy. — Dzieci nasze są nieszczęśliwe... Wierz mi, że o to tylko chodzi, — bo inne sprawy... Mówiłem nawet o tem niedawno twojemu synowi. Pieśń w piersi, czy pierś w pieśni?... Och jakże to już dzisiaj wszystko jedno!

Leader wstał i rzekł: — Przestań.

Nie mógł więcej powiedzieć. Słowa nic nie znaczyły

w danym wypadku. Spojrzenia jednak i gesty leadera dawały dyrektorowi najżywszą nadzieję.

Tak dużą, tak stanowczą, że trzeba było dłuższej chwili, nim pan Mieniewski mógł spojrzeć w oczy swemu dawnemu koledze. Gdy zaś popatrzył wkońcu, zarumienił się.

Zjedli razem kolację. Nie wypadało odmówić ze względu na panią domu.

W czasie wieczerzy nie mówili już o incydencie a tylko w linjach ogólnych — o prądach wychowania młodzieży.

Kostryń rozwodził się szeroko, — była to oczywiście dygresja, — nad warunkami mieszkania i pobytu na prowincji...

— Na prowincji rodzina utrzymuje się w swym odwiecznym charakterze. Odcięta od zbyt szumnych uciech wielkomiejskich, — mówił to cicho, powoli, raz wraz bryzgając czerwonemi łezkami, — zachowuje tu rodzina swój patriarchalny sposób bycia.

Słowa te wypadły na ostateczne zakończenie obiadu, tak, że do spraw wychowania młodzieży nie powrócono więcej.

Leader powstał, — pani Stanisława w panicznym popłochu odsunęła się ku kredensowi.

Pan poseł żegnał się, oczywiście naprzód z panią domu. Ucałował grzecznie końce jej palców i chcąc na do-widzenia powiedzieć coś miłego:

— Jakże to nazywają panią? — szukał w pamięci, — tak, tak, wspominano mi o tem jeszcze, gdym się tu do Zagłębia z temi ostatniemi wiecami wybierał, — tak,

tak, — kto mi to mówił? Zdaje się, któryś z panów przemysłowców. Piękna i zasłużona nazwa... Ach, Boże mój —

— Medaljon!! — krzyknęła pani Stanisława, śmiertelnie blada.

Trzęsła się, jak w febrze.

— Mój kochany medaljon, — powtarzał Kostryń głośno, ze śmiechem, jeszcze w przedpokoju. — Tak, mamy tu też i my przeróżne drobne ambicje, — prowincjonalne —

— Samochodu — nie trzeba?

— Koni — nie?

— Dziękuję. Tam już wiedzą, — czekają. — Leader zapewniał, że w Osadzie, mimo incognita, wszyscy go oczekują.

Nie wiedziano jednak nigdzie w Osadzie o przybyciu posła.

Uciekał z domu Kostryniów, zawstydzony. Dążył przed siebie, pod ciemnemi ścianami małych, pochyłych domków, dalej, — wzdłuż wysokiego muru huty Katarzyny, dalej, przez błoto rozkopanej ulicy, w stronę czarnych rozłogów Erazma, milczących, pustych, tu i owdzie rozwidnionych światłem łukowej lampy.

Za żeberkiem kolejowem, wśród suchych drzew wiatr wzmagał się. Dął tędy zukosa, czarną smugą węglową, porwaną z pięciu kominów huty, — przez odkrywki i place, w nieprzeniknioną ciemność.

Pan Mieniewski dążył śpiesznie ku tej ciemności.

Wstydził się dziś samego siebie, — choć w głębi ducha rozgrzeszał się.

Czyż można było wogóle postąpić inaczej?! Jakże

zapobiec mógłby tym szybkim gładkim kompromisom, które wcześniej, czy później, — znał przecież swoich ludzi, — zasklepią się nad erazmowską katastrofą?

Czyż on sam, znany w całym kraju leader i koryfeusz demokratycznej myśli nie zawarł oto przed chwilą kompromisu? Wszakże pomówi jutro w cztery oczy z tym jakimś panem aspirantem, czy porucznikiem, — czy jak się tam nazywa ten błazen, — Kapuścik?

Rozmowa będzie godna, rozumna, całkiem spokojna. Ale sens takiej konwersacji?

Odpowiedni kierunek śledztwa, które, — o ile da się je tędy skierować, uważać należy za najwygodniejsze dla syna. No, — i wtedy spadały same przez się, — Kostryń na wiatr nie mówił, zresztą można go zawsze dopilnować, — owe zarzuty, — paszport fałszywy, — komuniści... —

Wydało się posłowi nagle, — że małe domki robotnicze, stojące po obu stronach drogi — gonią go?!

Towarzyszą, — nie puszczają, — pilnują.

Nie kończyły się wcale.

Już uszedł spory kawał, domki wciąż są, te same, niskie, marne, trzeszczące pośród wiatru.

Robotnica, nazwiskiem Duś, — panna Lenora Duś i tak nie żyje. Ci, co zginęli podczas wybuchu, — już nie wskrzesną.

Poseł rozpytał się, — jak iść na Zielone. Pragnął raz bodaj przerobić tu piechotą drogę syna.

Szedł wśród czarnego błota, wzdłuż tam, i dalej, nad stawami, w stronę małego lasku, szumiącego żałośnie.

Ze wszystkich stron dalekich i bliższych mrowiły się wielkie światła hut.

Tędy chodziłeś, mój chłopcze z tą dziewczyną. Gdzieś tam po takich chatach spiskowałeś zażarcie przeciw ojcu. Ojciec twój w twoim wieku marzył o tem i walczył o to, przeciwko czemu ty właśnie spiskowałeś.

Jakże smutne przemiany?!

Pan Mieniewski oparł się o kładeczkę i wsłuchał w rytm tutejszego świata:

Ów świat tutejszy, czarny, dzwoniący wciąż żelastwem, poszarpany, zmącony chorą wodą, rozburzony kilofem, łatany ciągle stalą...

— Więc ojciec twój zapiera się ideałów — dla ciebie. Może tylko na chwilę? Na chwilę, czy na zawsze? Chodzi tu wszakże tylko o pozory. Szukać łatwych i zręcznych — niszczyć złe. Nic więcej człowiek w życiu nie potrafi i nic więcej nie robi. Nie zrobił może nigdy?

Leader pomylił drogę, wszedł na jakieś wertepy, znów brnął przez błota.

Okazało się, że wraca do miasta drogą okrężną, mimo więzienia.

Poznać można było budynek ów odrazu: blok gruby, ciężki, trzypiętrowy, otoczony dokoła murem, okna przesłonięte kratą, obite z zewnątrz wachlarzami z blachy.

Przy bramie, ponad budką wartownika, chude jałowe światło lampki.

Blask jej spieczony i jakgdyby wyprzały przenikał koleiny gościńca.

Pan Mieniewski zatrzymał się. Ach, — tak ściśle, nieustępliwie objęła go ta chwila!

Tu oto stoi ojciec: całe życie upartej ciężkiej pracy — dla człowieka: całe życie organizacji, sprawiedliwości, dobra.

Dygnitarz tylu zasług kapitalnych — a tam, za kratą, w grubych murach przebywa syn.

— Jakże się stało, że w tej organizacji i pośród tylu zasług ojca dostałeś się, ty właśnie dziecko, — do więzienia?!

Pan Mieniewski trzepnął laską po grudzie, niejako wpoprzek myśli własnej, przejęty tkliwem uczuciem ojcostwa: wszystko, co widział teraz, po drodze i wszystko w własnej duszy, sercu, sumieniu, — zdało mu się potocznem, nieistotnem. Wobec prostego faktu, iż ów człowiek, tam, za kratami, — to przecie ten sam właśnie, nad którego kołyską stało się wieczorami, którego nosiło się na rękach, dla którego po strasznym, ciężkim wiecu lat najburzliwszych biegało się ze śmiechem na czworakach!

Przez gęsty śnieg, w poświstach wąskiej uliczki, w czarnym porywie sypkich tumanów węglowych poczuł pan Mieniewski, — wciąż żywy, nigdy niewygasły zapach wiosny, — smak szczęścia i młodości.

Roztkliwił się i nagle zgarbił.

Spokorniał.

Kostryń ma chyba rację? Tylko starość odczuwać może te radości? Tylko starość uchwyta ostatni już, najwyższy, jedyny może sens biologiczny takich związków ojcostwa i synostwa, — wobec których wszystko jest cżczą gadaniną!

Szedł teraz ulicą Przemysłową. Tak, — prawda, —

w Osadzie Górniczej niema wcale hotelu! Trzeba gdzieś przenocować.

Może w Domu Ludowym? Wypadnie znów mieć doczynienia z Drążkiem.

Z Drążkiem, — z „towarzyszami".

Towarzysze, — zebrania, — lokale, — sprawy, — konwentykle, — kompromisy.

Brama Domu Ludowego, mimo spóźnionej pory była jeszcze otwarta.

Leader wszedł, skręcił w lewo, drogą, pamiętaną z ostatniego pobytu.

Okazało się w klatce schodowej, że pobłądził. Pomylił drzwi i ganki i już znów stąpał pośród rumowisk, mostków, sal pustych krytych dachem, lub otwartych, że widać było wgórze czarne niebo gwiaździste i przelot rzadkich chmur w siwym blasku księżyca.

Rzecz zaiste szczególna! Leader Mieniewski słuchał tej chwili, chłonął ją i pożywał, niby wątku budującej przypowieści: tak kiedyś, zawsze, na ostatek swych dni przyjść musi człowiek, najcichszą troską serca obarczony! Przyjść musi na początku swej zimy między czarne, niewykończone zawsze ściany budowli swego życia...

Niewykończona budowa wznosiła się, jakoby wewnątrz, w prostych myślach leadera. Nie pragnął jej już wcale uzupełniać. Niech kruszeje, — wietrzeje!

Czekał tu, nasłuchując. Papierzyska jakoweś, śmieci szemrały z gnuśnym wiatrem w korytarzach, co pomagało Mieniewskiemu układać wnioski praktyczne i potrzebne: nie dać żeru atakom prasowym. Pokryć te

przykre sprawy, — paszport i przeniewierstwo, — komuniści, pocóż to ludzie mają wiedzieć?!

Stał we framudze tak głęboko wzruszony, olśniony ciepłem światłem najczulszego egoizmu: chodziło przecież o to tylko, by nową narastającą w uczynkach syna awanturę oswoić, — obłaskawić.

— Nie możesz się ode mnie odrywać, Tadzio, — nigdy na to nie pozwolę! — zakończył leader luźny szereg myśli.

Zdjęło go nagle wielkie, bolesne, tak głębokie wzruszenie...

Wycofał się ostrożnie, świecąc pilnie zapałkami. Spocony, zgrzany, zadzwonił z pobłażliwym uśmiechem do drzwi lakierowanych, na których w błysku zapałki złociła się miedziana blaszka:

ANTONI DRĄŻEK
POSEŁ NA SEJM

Przywitaniom nie było końca.

Leader uśmierzał je, jak mógł.

Poseł Drążek w zielonym fartuchu, jakiego używają pomocnicy handlowi w zakładach gastronomicznych przy wyszynku piwa, zbudził cały swój dom, „zmobilizował" żonę, skrzyczał kuchtę, chciał budzić dzieci, rozpoczął wielkie uprzątanie ze stołu, zastawionego gąsiorami nalewek.

Z wielkim trudem opanował leader nareszcie jakotako sytuację.

Pani Drążkowa odeszła: długo jeszcze — dla większej puszystości waliła dłońmi poduszki, obok w sąsiednim pokoju.

Rozlegało się to i niosło po całem mieszkaniu, — niby strzały.

Drążek otrzymał od leadera formalny rozkaz dalszego przelewania wódek.

— Nie pali się, kochany towarzyszu, — mówił leader, — możemy sobie rozmawiać doskonale i może pan przytem filtrować te napoje.

Oto, co znaczy leader: ni z tego ni z owego użyje nagle słowa — napoje — i czujesz się odrazu, — na djabli wiedzą jaki dystans odsadzonym.

Poseł Drążek, choć zapomocą jednego słowa odsadzony na dystans, — nie czuł już jednak tak pobożnego strachu przed posłem Mieniewskim, — jak dawniej.

Składało się na to dużo rzeczywistych, realnych powodów:

Sprawa syna! Niech sobie ludzie mówią, co chcą, — różne tam były cierpienia różnych ofiarników za klasę robotniczą, — więzienie jednak zawsze pozostanie więzieniem. Porządni ludzie nie zwykli w niem siadywać, — sprawa wyraźna nie jest i zawsze cień zostawia na człowieku.

To jedno. Dwa:

Drążek miał teraz Dom Ludowy — niejako w kieszeni. Przelewał swą wódeczkę przez lejek szklanny, mocno wyłożony watą, w opowiadaniu srożył się ogromnie na ostatnie erazmowskie wypadki, lecz najważniejsze uczucie, w odnośnym czasie najprostszemi słowami wyrażone do Kozy, — przemilczał.

Uczucie posiadania ze strony klasy robotniczej, —

obecnie, — swego własnego kapitału, — w postaci ofiar poległych tak zaszczytnie!

Przelewał sobie Drążek wódeczki, — pomarańczówkę, wiśniówkę i śliwówkę. Spirytus ciurkał równomiernie w gąsiory różnobarwną kroplą i jeżeli poseł Drążek nie wypowiedział swej myśli głośno, to jedynie dzięki wyćwiczeniu w dyscyplinach partyjnych.

Myśl jest następująca: — Ty sobie stary gadaj, ile wlezie o *budowie wśród mroku*, tymczasem ja ci tu wśród tego mroku pod dach już swoją budę wyciągnąłem i wybuduję pięknie, — że ci oko zbieleje, kiedy znów przyjedziesz i zobaczysz.

Chełpić się jednak, stawiać — w takiem życiu partyjnem? Poco?

Drążek roztoczył leaderowi właściwy obraz erazmowskiej katastrofy, — na mocy wszystkich zeznań odtworzony.

Wynikała z obrazu tego wielka krzywda klasy robotniczej, — nie mógł się jednak leader Mieniewski ani doczekać, ani nawet w samem opowiadaniu dosłuchać roli właściwych sprawców, czyli winowajców.

Słowa posła Drążka, — gdy już do tego przyszło, — dreptały wciąż na miejscu, w jakichś ustawach górniczych i najróżniejszych sprzecznych rozporządzeniach.

— Jedno pewne, niestety! — Poseł Drążek jakoby musiał samemu sobie przerwać opowiadanie. — Pewne, że z owych pifli, to jest jakgdyby, dajmy na to gumowych szlauchów ta właśnie zmiana, która tam na chodniku ósmym wyginęła, — wodę na ogień lała. — No!! Więc zaraz, — para wodna! Prawda? H_2O. Czyli

większe wzmożenie pożaru. Winien sztygar, może starsi górnicy, — od tego będzie sąd, — niech się tam sądzą...

Leader zasmucił się opowiadaniem tem, — ba, nawet ziewnął głośno.

Spytał jeszcze, gdy leżał już w czyściutkim łóżku, — dali mu całkiem świeżą bieliznę, tę z pod Falkiewicza przy okazji do brudów wyrzucili, — gdzie zastanie telefonem, — naprzykład jutro rano, tego tam, jakże mu, — takie śmieszne nazwisko, — policjant, — no? — Kapuścik!

O synu słowa jednego, czemu Drążek nadziwić się nie mógł, ani dostatecznie nachwalić, — przed małżonką.

— Głowy sobie tem zanadto nabijać nie potrzebujesz, — mówił żonie, obtykając ją starannie kołdrą, — ale podaję ci rzecz taką do zrozumienia, — jacy są ludzie w partji naszej i jaka tam dyplomacja idzie i jak daleko naprzykład tobie do tych rzeczy!

Żona jednak nabiła sobie głowę, zaspała i Drążek sam musiał ładzić śniadanie dla zaszczytnego gościa.

Złądził je jeszcze nawet przed powstaniem leadera i nawet jeszcze zdążył pchnąć Kozę w stronę Kapuścika:

— Powiedz mu, — władza parlamentarna zjechała, stary Mieniewski bawi tu incognito, — coś bardzo węszy wkoło. Jedno. Dwa: Powiesz Kapuścikowi, że tak wielka uprzejmość z mojej strony jest bardzo wielką łaską. Żeby to sobie zapamiętał. Dwa. Trzy: Ty osobiście, wobec leadera stawaj dęba, bez mydła głupcze

nie pchaj się, gdzie nie trzeba, bo wiedz, że młodzi towarzysze wobec takich świeczników muszą zawsze okazywać proletarjacką dzikość. Ma to być wciągle widać, żeś jest materjałem wybuchowym i bojowym.

Kosztowało to Kozę, — nad siły prawie!

Jakże tu nie wstać na widok wchodzącego leadera? Gdy sam chrzęst tej postaci odznacza się przedziwnym czarem?!

Koza jednak wytrzymał:

Udaje, że nie widzi nic, pisze za biurkiem, zapisuje, całe życie związkowe trzyma na końcu stalki!

Jakże tu nie podlecieć do telefonu? Koza podniósł się, burknął coś, ale telefonu leaderowi nie wskazał. Wytrzyma za murami partji i to nietylko partji, za murami okręgu!

W okręgu twarde walki, niech sobie inni łamią głowy nad teoretycznemi horyzontami!

Koza trząsł się, gdy pan towarzysz leader we własnej swej osobie tracił wciąż połączenia. Gdy tenże leader wyrzucił ostatecznie z parlamentarnej piersi, piękną, zgrymaszoną przyśpiewką:

— Pan porucznik Kapuścik?

Sekretarz Koza trząsł się febrycznie i nabożnie. Listy mu szeleściły w bocznej kieszeni marynarki. Biedne listy, pisane znów od wczoraj, — nieprawda! Od przedwczoraj, — na wieść o postrzale panny Zuzanny Kostryń.

Pisane do niej właśnie!

Szeleściły przy każdem pochyleniu się nad biurkiem, tworzone prozą, wierszem, podpisane niezmiennie: *Biedne zwierzę domowe.*

Nie będą już wysłane, tu pozostaną, — za murami tej partji.

Na dowód tego dokonał Koza rzeczy rozpaczliwej, w pewnym sensie nadludzkiej: gdy poseł Mieniewski powstał od telefonu, by wyruszyć na miasto, Koza głowy nie podniósł nawet z nad papierów.

Dla swej pracy biurowej — za murami posłuszeństwa, z wzrokiem w Drążka utkwionym wytrwał nawet w tej chwili, jako twardy materjał wybuchowo-bojowy!

Wyszli we dwóch, poseł Mieniewski i Drążek.

Pogoda była zła. Suchy wiatr, tnący kurzem, żwirem, miałem węglowym prosto w oczy.

Na szczęście, — niedaleko stąd. Sąd Pokoju mieści się też na Przemysłowej w jednopiętrowym, niepokaźnym domu.

Leader odprawił posła Drążka w drzwiach sieni. Podziękował za wszystko — wyborny nocleg, doskonałe śniadanie. Obiecał jeszcze przyjść, — pożegnać się.

Na górze w Sądzie Pokoju musiał był chyba czekać już pan Kapuścik, gdyż po ulicy przeprowadzali konia osiodłanego w służbowe siodło.

Pana Kapuścika zalewał pot. Mówić z starostą, wojewodą — a mówić z takim posłem? Starosta, wojewoda, to jakby ogień karabinów. Karabinów maszynowych. Połówek. Niech będzie nawet — ciężkich dział! Lecz rozmowa z leaderem, sejmowym posłem — to jest poprostu nagły atak gazowy!...

Siedzi sobie tu taki leader w szarej sali sądowej, — dziś właśnie wolnej, taki pan siwy, bez żadnych odznak

a tymczasem, — ileż to głosów obywateli skrapla w sobie zawsze.

Leader wszedł, — odniechcenia ma się rozumieć kroczy sobie zawsze taka postać, — Kapuścik wyrznął „baczność“ ostrogami.

Rozmowa? Mówi taki leader gładko, pięknie, dostojnie, ileż jednak nawiasów ciągle w tem mówieniu?

Każdy nawias — pułapka i niebezpieczeństwo.

Poseł mówi, — a tu widać wyraźnie podłogę. Myli ją wczoraj, — jakie szczęście, — po sesji..

Podłoga, deski wydreptane, — białe główki gwoździków i ciemne kręgi sęków..

Poseł mówi, — aż tu nagle niema wcale podłogi, — tylko gorący dym — i własne słowa odpowiedzi.

Pchało to pana Kapuścika, — bezprzykładna fatalność: by mówić prawdę!

Doświadczenie służbowe i życiowe powstrzymało go jednak wporę. Radziło świadczyć — mimo wszystko — na stronę Kostrynia.

Stanęło więc na punktach następujących:

Policja w tych wypadkach bije, bo cóż ma robić? Nikt *syna* pana posła nie bił, sam dowód nawet okazuje, iż sądzono, że ma się do czynienia z Stanisławem Mieniukiem. Rzecz prosta, — konfrontacja syna z panem posłem zawsze bardzo wskazana. Aby oszczędzić trudu, — sprowadzimy tu syna. Dziś o godzinie czwartej. Tak jest.

Poseł chodził po sali miejscowego Sądu Pokoju tam i zpowrotem, między ławkami, po gradusie kate-

dry, za i przed sztachetkami, rozdzielającemi salę na dwie części.

Leader Mieniewski wiedział już wszystko naprzód w sprawie syna: śledztwo, — kaucja. — Zmiana warunków, — inne wpływy? Dużo przebywać razem. Może — podróż? Dokąd? — Zmiana warunków. — Jakaś idea. Wpływ potężnej idei! — Jakiej?

Poseł Mieniewski krążył po sali Sądu Pokoju, tam i napowrót, niestrudzenie szukając zbawczej idei. W miarę szukania owego otwierały się — coraz głębsze, dalsze, wspanialsze perspektywy — straszliwej pustki.

Cóż to znaczy?! — wykrzyknął przerażony.

W sieni dudniły kroki. Otwarto drzwi.

Leader odskoczył wtył, — ku oknu.

Wszedł Tadeusz, ociężałym krokiem wzdłuż ławek zbliżał się do ojca.

Poseł Mieniewski zamarł w bezruchu, — przerażony.

Nie jego syn! — Jakgdyby obcy człowiek: w starem, podartem palcie. Za krótkiem. Z rozwichrzoną czupryną.

Twarz?! — Leader doznał bolesnego wrażenia, jakgdyby się w nim serce obrywało.

Z pośród podbitych oczu, spuchniętych policzków Tadeusza wysterczało coś nakształt ryja.

Nie były to zaiste usta!

Spuchnięte bardzo wargi składały się w okrągły, krwawy ryj.

— Jak się masz, ojcze?

Podali sobie ręce.

Pan Mieniewski cofnął się jeszcze dalej, w głąb sali, w cień, pod katedrę sędziego. Drżał całem ciałem, nie mogąc połapać się, ani w potwornem zjawisku, ani w własnych uczuciach.

Na Boga, — Tadeusz seplenił! Słowo „ojcze“ wypadło mu z ust z wilgotnym poświstem.

Tadeusz nie miał przednich zębów. Gdy wymówiwszy — Jak się masz ojcze, — rozszerzył usta w uśmiechu powitania, — ukazała się między krwawemi wargami ciemna, głęboka czeluść.

— Przyjechałem tu — poseł Mieniewski podał synowi papierośnicę. Drżała leaderowi w rękach i nie mógł jej otworzyć.

— Wszystko wiem! — krzyknął nagle pan Mieniewski.

Krzyknął tak przeraźliwie głośno, jakby stał na wielotysięcznym wiecu i miał swym głosem wzburzone tłumy opanować. Tłumy owe w postaci syna przekreślił uniesioną ręką.

Siwą głowę wdół pochyliwszy, jął mówić o swem życiu. O życiu pracy, trudnych uczynków i przedsięwzięć. Dokładnie. Szczegółowo.

Ognie zapału, wielkie wybuchy starej, wypróbowanej miłości zrywały się ze słów leadera.

— Dla mego życia, dla jego prawdy, dla jego przyszłości w życiu idei... — Pan Mieniewski nie wierzył w żadną przyszłość. Chciał tylko przekonać narazie syna. Choćby nawet patosem, — choćby nawet podstępem.

— Dla przyszłości mego życia w idei, — musisz mnie posłuchać!!

Leader wołał, krzyczał, zdawało mu się chwilami, że całe jego życie trudów, prac i poczynań jest tu właśnie na nowo obecne. Jedna wielka arena, utkana tłumem od dołu do góry.

Lecz oto pośród tłumów areny tej, tam gdzieś daleko, na wysokich galerjach trwała właśnie ta twarz, spuchnięta o rozkrwawionych ustach. Twarz własnego dziecka a zarazem — jakoby nieznanego człowieka...

Leader stracił się. Wyliczał wszystkie winy synowskie od początku do końca. — Twoje bezczelne, idjotyczne sto dolarów, i fałszywy twój paszport, i konszachty z dziewczyną kopalnianą i komuniści!!

Tadeusz krzyknął:

— Nie mów!!!

Zdało się panu Mieniewskiemu, że to właśnie jakgdyby na wiecu, tak, właśnie, podczas przemówienia, ów obcy a tak zarazem ukochany człowiek, — niespodzianie wyrywa się z galerji i krzyczy — nie mów!

— Nie mów! Nic nie rozumiesz! — Tadeusz zamachnął się oburącz i tak z rękami wzniesionemi do ciosu, — sunął prosto ku ojcu.

Leader czekał, blady, jak ściana, iskrami sinych źrenic świecący przez mrok izby.

— Nie mów, — krzyczał Tadeusz, pochylony nad ojcem. — Czem mnie straszysz? Za ciebie, za was wszystkich jestem tu w więzieniu! Nie staraj się niczego urządzać. Nie organizuj już raz wreszcie! Powiem na sądzie wszystko dokładnie, jak było. Będziecie mi dziękować, żem strzelił tam. Ty i wszyscy! I sąd, — wszelka organizacja, — norma! Strzeliłem w to bezprawie tak

straszliwie okropne! Które ty wciąż przekładasz w normach paragrafów! Jak chcesz: ja jestem Mieniuk — a ty jesteś Mieniewski. Jeżeli chcesz — i owszem. Nie strasz mnie niczem. Cóż mnie obchodzą twoi komuniści, — twoje linje partyjne? Chciałem ci powiedzieć! To, — że jest podłość jakaś olbrzymia w tem, co robisz!

Tadeusz zachwiał się. Mówił z wielką trudnością skrwawione wargi pękały mu na nowo, wielkie słowa leciały z świstem przez opuchnięte dziąsła.

— Pamiętaj: komunista Duś już w grobie gnije, pochowany w raglanie, którym od ciebie dostał, gdym przeszedł do cywila, — po zawieszeniu broni. Ten płaszcz, co mam na sobie, to właśnie po Dusiu. Twój syn warjat i oszust? Nieprawda. Ja jeden, — nie ty, nie ty, żaden z twoich towarzyszy partyjnych, — ja jeden żyłem tu uczciwie.

Poseł Mieniewski przypadł do stopni katedry. Ukrył twarz w dłoniach, — rzęził.

— I co ci jeszcze powiedzieli? — krzyczał Tadeusz. — Że załoga ósmego chodnika wodę na ogień lała? Może nawet — i to?! Oni tu wszyscy codzień, te twoje Drążki leją wodę na każdy ogień, Drążki i inne dranie. Gadałeś tu do Drążka kiedyś bardzo zgrabnie, — że niby *próby przedmiotu* nie umieją wytrzymać. Wytrzymują tę próbę razem z tobą, — tylko tej innej próby, próby człowieka, — ojciec!! Próby duszy człowieka, — gdzie to masz? Gdzie to widzisz?

To nie jest żadne tam, — twoje rządzenie. Próba duszy człowieka!...

Tadeusz spadł na ojca, otoczył siwą głowę ramionami, zwarli się i sczepili, pan poseł zmarszczył twarz, niby przed wichrem mroźnym, — a syn krzyczał wciąż głośno:

— Zabili ją! Rozumiesz?! Zabili ją, tę kopalnianą dziwkę, — tatu!

Używszy tego słowa pierwszych czasów dzieciństwa, syn rozpłakał się łzami gorącemi, rzęsistym deszczem łez, — bez miary.

— Tatu, — zabili ją, Lenorę! Lenora Duś na fleku, na biednej deszczułeczce wypisana. Wedle tego, cośmy przeżyli razem oboje... Lenora, — licz ją... Uważaj za mą żonę, — twoja synowa, tatu, — twoja córka!

Złożył głowę na piersi ojca i płakał tak straszliwie.

Pan Mieniewski przemówił również. Lecz już się to nie ułożyło, wstyd poplątał mu słowa, niewczesna litość porozwłóczyła zdania i tak się odwróciło w tej rozmowie, że ojciec radził się syna, prosił, nie wiedział o co, wyczekiwał, — nadzieję chciał zachować...

— Ja nic nie zmienię, — jedź. Jedno cię tylko proszę, — nastawał wciąż Tadeusz. — Gdy już wyjdę z więzienia, — rozumiesz? Na cmentarzu, w Osadzie Górniczej chcę zastać napis na grobie Lenory Duś. Pod nazwiskiem każesz wyryć:

PRZYJDZIESZ DO MNIE

Ja jej to zawsze mówiłem: Przyjdziesz do mnie druga. Ja jej to tyle razy powtarzałem!

Siedzieli wpół objęci, poseł Mieniewski płakał wielkiemi łzami, — jakby się z własnem życiem żegnał

w bezgranicznem wzruszeniu. Głaskał syna po głowie, tulił, kołysali się na stopniach katedry, — gdy oto ktoś poskrobał we drzwi?!

Raz, drugi, — wreszcie uderzył mocno w klamkę.

Tadeusz podniósł się, otworzył, — do pokoju pomiędzy ławki — wpadł Buruś

Rzucił się na piersi Tadeusza, szarpał go za rękawy, grzał oddechem, składał głowę na piersi, obłocony zmarznięty, cały drżący z radości.

— Zabierz go z sobą, tego psa, — szeptał Tadeusz ojcu tajemniczo, — weź go z sobą do Warszawy, to był przyjaciel nasz, jedyny nasz przyjaciel, Buruś, wierny towarzysz Lenory!

W sieni dał się słyszeć dźwięk ostróg.

Pan Kapuścik uchylił drzwi.

Leader podniósł się ze stopni, wspaniały, uroczysty:

— Proszę pana, — rzekł — skończyliśmy właśnie. Żadnych zleceń dla pana nie mam, panie poruczniku.

Wyszli razem. Leader polecił stróżowi nie wypuszczać psa aż do swego powrotu.

Samochód charknął głośno przed bramą, Tadeusz wsiadł do wozu pierwszy, pan Mieniewski zoczywszy rękę syna machającą z okna, zatoczył się pod mur. Potem już ruszył pieszo, znowu w stronę więzienia.

Zgarbiony, cichy, straszny: całkowicie bezradny.

Powrócił za godzinę dorożką. Wszedł na górę, wziął Burusia na nową czarną smycz i odjechał na dworzec.

Przechadzali się tu po peronie, piesek zrywał się, skuczał, skomlił. Mieniewski zawrócił do bufetu, nakarmił kundla ciepłą kaszą.

Nadjechał wreszcie nocny kurjer.

Pan Mieniewski wsiadł do wagonu, zdjął futro.

Buruś wyskoczył na siedzenie przy oknie. Wsparł się na przednich łapach i patrzył, kiwając śpiesznie łbem w miarę znikających widoków.

Łomotały jeszcze w przelocie wagonów jakieś parkany, rude budynki stacyjne, niebawem zniknął z oczu rząd wielkich pięciu kominów huty Katarzyny, kurzącej wiecznym dymem.

Stare, pochyłe dachy, — a oto niby jama z pośrodka nich wyrwana, wielkie czarne rozłogi Erazma. A oto jeszcze dalej, pośród zamętu dymów, śniegów i mgieł rozwarte ślepia elektryczne płóczek, hut, podnośników i sortowni.

Bez końca, — aż do ciemnej granicy zmierzchłego horyzontu.

Pod bokiem jednej z kopalń, już za miastem, — jakoby usta blade: biała brama cmentarna i w świetle elektrycznem kopalni pochyłe nędzne krzyże, czarny cień rzucające na śnieg.

Pan Mienieniewski przymrużył oczy, gdy mijali to miejsce.

Tam chyba właśnie leży ta jego Lenora.

Tatu, — to twoja córka!...

Leader opuścił głowę, zakrył oczy rękoma a jednak widział jeszcze wciąż przed sobą ową ziemię zagłębia, wdrążoną, niską, tak bogatą, tak gorzką, rozpaloną światłami, — dla ludzi swych tak wieczne ciemną. Jakoby amfiteater bezmierny, nabity hen, — po brzegi, — ludem robotniczym, — na galerji zaś, w głębi, pośród

zziajanego tłumu, syn z twarzą w ryj obrzękły wyciągnioną...

Leader padł na poduszki, — gdy oto bystre ciepło tchnęło mu w twarz.

To Buruś!

Pan Mieniewski przyciągnął psa, przyłożył utrudzoną głowę do brudnej sierści kundla i płacząc strasznym, suchym płaczem starości, powtarzał prosto między ciekawe, bystre ślepia drżącego zwierzęcia:

— Uczyć się nam od ciebie, Buruś... Buruś!...

KONIEC.

SPIS TREŚCI